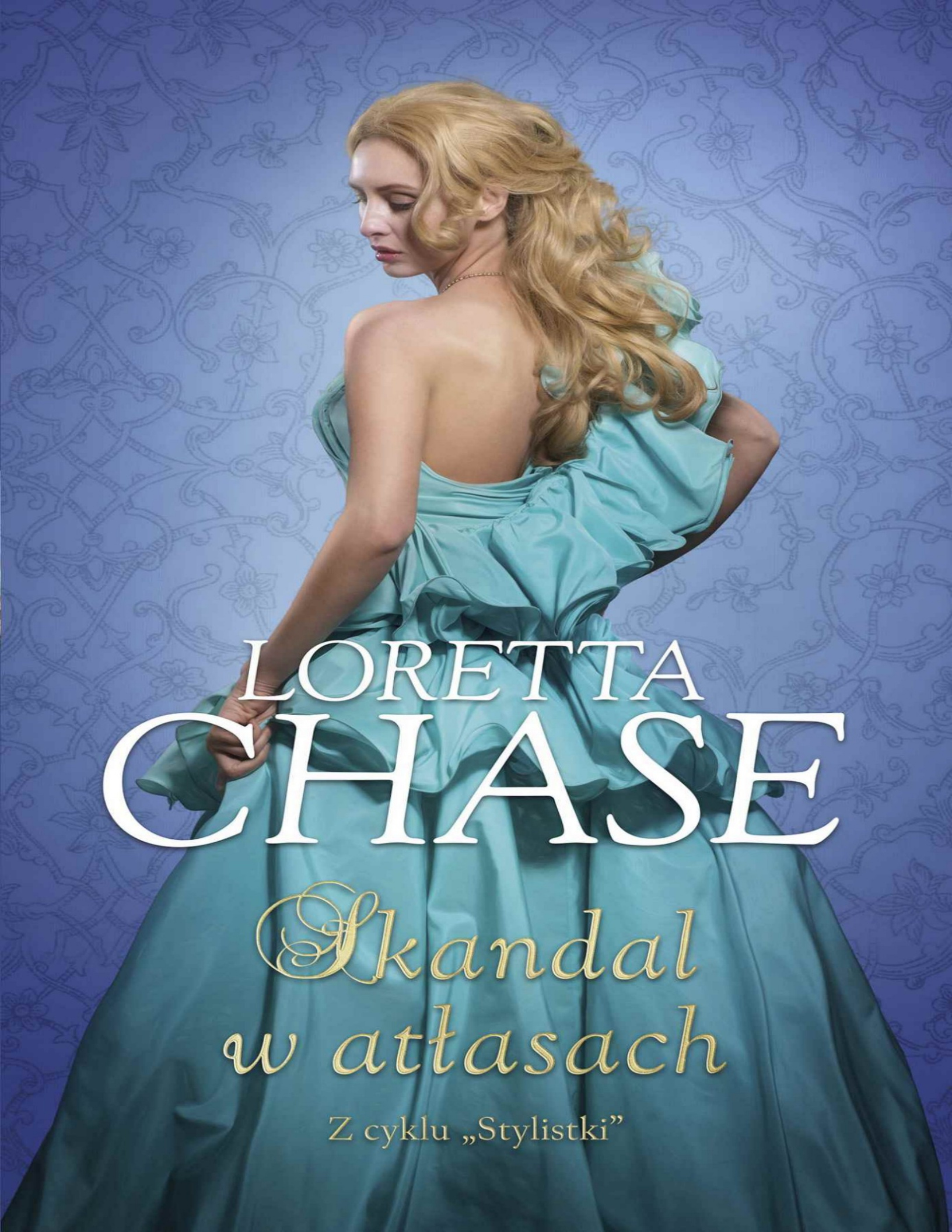
LORETTA
CHASE
Skandal
w atłasach
Z cyklu „Stylistki”

LORETTA
CHASE

Skandal w atłasach

przełożyła
Dorota Jankowska-Lamcha

bis
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *Scandal Wears Satine*

Projekt okładki: Dorothea Bylica

Copyright © 2012 by Loretta Chekani
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2017

ISBN 978-83-7551-545-9

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Przypisy

Prolog

Dostrzeżcie aurę zapalczywości i waleczności, czarne jak węgiel cygańskie kędziory, arystokratyczny (by nie rzec – arogancki) sposób bycia i maniery – nieporzucane nigdy, czy to uśmiecha się do szlachetnie urodzonej damy, czy marszczy na domagającego się spłaty długu lizusa.
„The Court Magazine”, *Szkice z życia prawdziwego* (1835)

Londyn, czwartek, 21 maja 1835 roku,
wczesny ranek

Kokoty wiedziały, jak się wydaje przyjęcia.

W środy wieczorem, po tańcach i grze w karty ze śmietanką towarzyską w klubie Almacka, spragnione nieco dzikszej rozrywki londyńskie towarzystwo podążało z ochotą do domu Carlotty O’Neill, kuszącego zupełnie odmienną atmosferą. W ofercie był tam stół do ruletki razem z innymi grami losowymi, także tymi najpikantniejszymi z udziałem dam lekkich obyczajów, które pełniły funkcję dam dworu aktualnej londyńskiej królowej kurtyzan.

Harry Fairfax, hrabia Longmore, był – rzecz jasna – obecny.

Dom Carlotty nie był miejscem, którego odwiedzanie przez dwudziestosiedmioletniego syna i dziedzica pochwalałby jego ojciec, markiz Warford. Stosowanie się do jego życzeń było jednak w opinii Longmore’a najprostszą drogą do zabójczej nudy.

W niczym nie przypominał rodziców, pod żadnym względem. Po swoim stryjecznym dziadku, lordzie Nicholasie Fairfaksie, odziedziczył czarną czuprynę, czarne oczy i wysoką, muskularną sylwetkę – cechy fizyczne kojarzone prędzej z piratem niż angielskim arystokratą – jak również talent do czynienia tego, czego nikt się po nim nie spodziewał.

Dlatego lord Longmore bawił u Carlotty.

A ona owinęła się na nim jak bluszcz, wydzielając silną woń perfum. I szczebiocząc, niestety.

– Jest pan z nimi blisko zaprzyjaźniony – powiedziała. – Musi nam pan powiedzieć, jak wygląda nowa księżna Clevedon.

– Jest brunetką – rzekł, obserwując obracające się koło ruletki. – Ładna. Mówi, że jest Angielką, ale zgrywa Francuzkę.

– Drogi mój, takie rzeczy możemy sobie przeczytać w „Porannym Zwierciadle".

„Poranne Zwierciadło", wydawane przez Foxe'a, było poczytnym londyńskim brukowcem. Markiza Warford, znana z surowych obyczajów, nazywała gazetę obrzydliwym szmatławcem, ale ją czytała, podobnie jak wszyscy inni, od londyńskich prostytutek i stręczycielek po rodzinę królewską. Każde zdanie z opublikowanego w nim artykułu o świeżo poślubionej żonie Clevedona było mistrzowsko sformułowane przez jasnowłosą siostrę tejże żony, Sophy Noirot, która we dnie była diabelnie doskonałą stylistką, a wieczorami – pierwszorzędnym szpiegiem Toma Foxe'a.

Longmore był ciekaw, gdzie podziewała się dzisiejszego wieczoru. Nie zauważył jej u Almacka. Projektantki mody, zwłaszcza z lekka francuskiej, miały taką samą szansę dostać się do Almacka, jak on – stać się niewidzialnym. Sophy Noirot miała jednak swoje sposoby i z perfekcyjną zręcznością wciskała swoje wyrafinowanie kształtne ciało, gdzie tylko chciała, choćby w przebraniu tymczasowej służącej. W taki oto sposób wydobywała wszelkie brudy do skandalizującej gazety Foxe'a.

Koło ruletki zatrzymało się, jeden z dżentelmenów przy stoliku zaklął, a występująca w roli krupiera dziewczyna przesunęła stos żetonów w stronę Longmore'a.

Zebrał je i wręczył Carlotcie.

– Twoja wygrana? – spytała. – Chcesz, bym ją dla ciebie przechowała?

– Tak, moja droga, przechowaj ją bezpiecznie. – Longmore się roześmiał. – Kup sobie błyskotki czy co tam chcesz.

Uniosła starannie umalowane brwi.

Chwilę przedtem, kiedy do myśli wkradł mu się obraz Sophy Noirot, odgadł, czego spodziewa się Carlotta – że on wkrótce zniknie z nią w sypialni. Uważano, że jest utrzymanką lorda Gorrella, który – choć dość bogaty – prawdopodobnie nie miał tyle sił witalnych, aby w pełni zadowolić Carlottę.

Z kolei uzależniony od pensji i wygranych Longmore nie był dla niej zapewne dostatecznie majętny. Nie wątpił w swoją pomysłowość i siły witalne oraz w to, że zdolne są utrzymać jej zainteresowanie, lecz właśnie pojął, że ona nie utrzyma jego zainteresowania dłużej niż pięć minut. Nawet według standardów lekkoducha nie była pod żadnym względem warta wymaganego wkładu finansowego ani też późniejszego wysłuchiwania tyrad ojca na temat nadmiernego szastania pieniędzmi.

Innymi słowy, Longmore już się nią znudził.

Zostawił zatem wygraną i czym prędzej opuścił to miejsce wraz z dwójką przyjaciół i dwiema towarzyszkami Carlotty. Znaleźli dorożkę i po krótkiej naradzie udali się w okolice St. James do jednej z jaskiń hazardu o bardzo kiepskiej reputacji. Tam można było liczyć na huczną zabawę.

Longmore, znudzony rozmową w dorożce, wyjrzał przez okno. Słońce o tej porze roku wschodziło wcześnie i choć okienko było brudne, widział wszystko dość wyraźnie. Ulicą śpieszyła gdzieś skromnie ubrana kobieta, taszcząc zniszczony kosz. Tempo, ubranie i kosz były dowodem na to, że nie jest to londyńska ulicznica, lecz prosta kobieta w drodze do pracy w porze, gdy wyżsi od niej stanem dopiero wracali do domów z przyjęć.

Szła bardzo szybko, ale okazało się, że to za mało. Z bocznego zaułka wyłoniła się bowiem jakaś postać, wyrwała jej koszyk i przewróciła kobietę na bruk.

Longmore wstał, otworzył drzwi dorożki i wyskoczył w biegu, głuchy na piski i krzyki towarzyszy. Zachwiał się zrazu, po czym błyskawicznie złapał równowagę i ruszył w pościg za złodziejem. Uciekinier był szybki, kluczył uliczkami. O zwykłej porze, gdyby na ulicach był normalny ruch, pewnie szybko zgubiłby pościg. Jednak o tak wczesnej godzinie nikt nie stanął na drodze Longmore’a, który po prostu biegł, pędzony ślepym gniewem. Kiedy złodziej wskoczył na wąskie podwórze, Longmore nie pomyślał, że może to być niebezpieczna pułapka. Zresztą nawet gdyby miał chwilę, aby się nad tym zastanowić, i tak nie przyszłoby mu to do głowy.

Złodziej pomknął w stronę drzwi, które otworzyły się ze skrzypieniem. Mieszkańcy bez wątpienia go oczekiwali. Longmore jednak dopadł go pierwszy. Złapał złodzieja i pociągnął w tył. Drzwi się zatrzasnęły.

Longmore cisnął nim o najbliższą ścianę. Mężczyzna natychmiast skurczył się i osunął na ziemię, puszczając koszyk. Chociaż nie mogło mu

się stać nic poważnego, bo takim jak on niełatwo było połamać kości, nie ruszał się i nie otwierał oczu.

– Na twoim miejscu nie wstawałbym za szybko – ostrzegł go Longmore. – Tchórz! Obdartus! Żeby napadać na kobiety!

Longmore podniósł koszyk i rozejrzał się po podwórzu. Jeśli złodziejaszkowi dopisuje dziś szczęście, wkrótce pośpieszą mu na ratunek niebezpieczni sprzymierzeńcy.

Lecz nie dopisywało. Wokół było cicho, chociaż Longmore doskonale wiedział, że jest obserwowany. Wyskoczył na Piccadilly.

Po paru minutach odnalazł kobietę. Stała oparta o wystawę sklepu i szlochała.

– Nic się nie stało – pocieszył ją. – Masz swoje cenne manatki. – Z kieszeni wyłowił trochę monet i wcisnął je wraz z pogniecionym koszem do jej ręki. – Co, do pioruna, miałaś w głowie, że biegłaś na oślep i nie rozglądałaś się na boki?

– Pracę – rzekła. – Muszę się dostać do pracy... wasza lordowska mość.

Nie zapytał, skąd wiedziała, że jest lordem, Longmore’a znali bowiem wszyscy.

– Po ulicach włóczą się złodzieje i pijani arystokraci szukający kłopotów. A ty tutaj sama... taka bezbronna – powiedział. – Cóż się dzieje z kobietami?

– Nnie... nie wiem.

Dygotała jak liść osiki. Była posiniaczona i ubrudzona po upadku na bruk. Miała szczęście, że nie stratował jej żaden pijany hulaka, których tak wielu powracało z nocnych zabaw.

– Chodź ze mną – polecił.

Zbyt wstrząśnięta, by pomyśleć, lub po prostu pod wpływem jego władzy – a często wywierał takie wrażenie nawet na równych mu stanem – poszła za nim do dorożki. Przyjaciele byli tak zalani, że nie zdziwiłby się, gdyby zostawili go i odjechali. Stali jednak, ciekawi przedstawienia.

– Wysiadać! – polecił Longmore.

Podniosły się głosy protestu, ale wszyscy chwiejnym krokiem opuścili powóz, gapiąc się przy tym na dość pospolitą kobietę.

– Nie jest w twoim typie, Longmore – zauważył Hempton.

– Ajaj, lękam się, że obniżasz standardy. – Crawford pokręcił głową.

Longmore nie zareagował.

– Dokąd się wybierałaś? – zapytał dziewczynę.

Wlepiła w niego zdumione spojrzenie, potem zerknęła na jego przyjaciół, wreszcie na prostytutki.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedział. – Nikogo nie interesują twoje sprawy. My jedziemy tylko na kolejną zabawę. Gdzie ma cię zawieźć dorożkarz?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Idę do Stowarzyszenia na rzecz Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet, wasza lordowska mość – wyjaśniła.

– Trudno wymówić – zauważył Crawford.

– Pracuję tam – powiedziała kobieta. – A już się spóźniłam.

Podała adres, który Longmore przekazał dorożkarzowi wraz z surowym poleceniem, że ma tam dojechać dwa razy szybciej niż zazwyczaj, w przeciwnym razie Longmore go znajdzie i wtedy naprawdę da mu powód do wleczenia się jak ślimak.

Pomógł wsiąść młodej kobiecie do powozu, zatrzasnął za nią drzwiczki, po czym machnął dorożkarzowi ręką, dając znak do ruszenia.

Pomyślał o założycielkach owego stowarzyszenia.

A właściwie o jednej z nich, blondynce.

Zostawił towarzyszy i przeszedł pieszo krótki odcinek do St. James. Aby się dostać do klubu Crockforda, musiał minąć klub White’a, w pobliżu którego znajdował się butik Maison Noirot.

Minął sklep wolnym krokiem. Zatrzymał się i przez chwilę patrzył na górne piętra, gdzie z niejasnych powodów nadal mieszkały dwie z trzech sióstr Noirot.

Dotarł do Crockforda, tam spędził ekscytujące chwile, na zmianę przegrywając i wygrywając spore sumy.

Kiedy po godzinie narastającego znudzenia wyszedł z klubu, było nadal nieprzyzwoicie wcześnie, przynajmniej według standardów eleganckiego towarzystwa. Niemniej Londyn budził się już do życia. Ludzie tłumnie wylegli na ulice. Przejechało kilka powozów, ale przeważali gnający gdzieś piesi. Sklepy były jeszcze zamknięte.

Maison Noirot, o ile wiedział, otwierano dopiero o dziesiątej, chociaż szwaczki – ostatnio bardzo liczne – przychodziły do pracy godzinę wcześniej.

Przez ostatnich parę tygodni zdążył już nieco poznać obyczaje Sophy Noirot.

Czekał.

Rozdział 1

W ostatnim tygodniu w całym eleganckim towarzystwie zawrzało z powodu ucieczki córki sir Colquhouna Granta z panem Brinsleyem Sheridanem... W piątkowe popołudnie około piątej młoda para pożyczyła powóz przyjaciela i co koń wyskoczy ruszyła na północ.
„The Court Journal”, sobota, 23 maja 1835 roku

Londyn, czwartek, 21 maja 1835 roku

Sophy Noirot wpadła, wymachując egzemplarzem „Porannego Zwierciadła” nad głowami księcia i księżnej Clevedon spożywających śniadanie w – jak przystało – pokoju śniadaniowym rezydencji Clevedonów.

– Widzieliście to? – zapytała i rzuciła gazetę na stół. – Towarzystwo się trzęsie – czyż to nie zabawne? Obwiniają trzy siostry Sheridana. Trzy siostry uknuły nikczemną intrygę – i nie jesteśmy to my! Och, kochana moja, kiedy to zobaczyłam, myślałam, że umrę ze śmiechu.

Pewni członkowie socjety w ostatnich dniach nieraz porównywali trzy właścicielki butiku Maison Noirot, który Sophy chciała za wszelką cenę uczynić najbardziej wziętym domem mody w Londynie, do trzech wiedźm z *Makbeta*. Gdyby nie omamiły Clevedona czarami, głosiła plotka, książę nigdy przecież nie ożeniłby się z właścicielką sklepu.

Ciemne głowy ich książęcych wysokości pochyliły się nad gazetą, jeszcze wilgotną od farby drukarskiej.

Plotki o ucieczce pary Sheridan i Grant krążyły w wyższych sferach już od jakiegoś czasu, ale „Poranne Zwierciadło”, jak zwykle pierwsze, potwierdziło je w druku.

Marcelline popatrzyła na artykuł.

– Piszą, że papa panny Grant wniesie sprawę przeciwko Sheridanowi – powiedziała. – Ekscytujące, doprawdy.

W tej chwili wszedł lokaj.

– Lord Longmore, wasza książęca mość – obwieścił.

Nie teraz, do licha – pomyślała Sophy. Jej siostra wprawiła wyższe sfery we wrzenie i uczyniła sobie śmiertelnego wroga z najbardziej wpływowej damy – która, tak się złożyło, była matką Longmore'a. Tłumy klientek przerzedziły się znacznie i Sophy nie miała pojęcia, jak nadrobić straty.

Tylko nie on.

Hrabia Longmore wszedł do pokoju śniadaniowego z gazetą pod pachą.

Puls Sophy znacznie przyśpieszył. Nic na to nie mogła poradzić.

Czarna czupryna i błyszczące czarne oczy... Szlachetny nos, który prosił się wielekroć o złamanie, a pozostał uparcie prosty i arogancki... Surowy, cyniczny wyraz ust... i ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Kwintesencja męskiej urody.

Gdyby jeszcze miał rozum.

Nie, lepiej nie. Po pierwsze, rozum u mężczyzny był niewygodą. Po drugie, o wiele ważniejsze, nie miała czasu ani dla niego, ani też dla żadnego innego przedstawiciela płci męskiej. Musiała uratować sklep przed zagrażającym mu bankructwem.

– Przyniosłem państwu najświeższy numer „Porannego Zwierciadła" – zwrócił się do pary przy stole. – Widzę jednak, że nie okazałem się dość szybki.

– Sophy była pierwsza – powiedziała Marcelline.

Spojrzenie ciemnych oczu Longmore'a spoczęło na Sophy, która chłodno skłoniła głowę i salwowała się ucieczką do stołu. Skupiła się na dymiących potrawach i nakładaniu ich na talerz.

– Panno Noirot – powiedział. – Jak widzę, pani od rana na nogach. Nie było pani wczoraj wieczorem u Almacka.

– W samej rzeczy, nie było – odparła. – Nawet hiszpańska inkwizycja nie zdołałaby zmusić protektorek, by wręczyły mi zaproszenie.

– Od kiedy potrzebne jest pani zaproszenie? Czuję się rozczarowany. Nie mogłem się doczekać, by zobaczyć, jakie przebranie wymyśli pani tym razem. Jak dotąd, najbardziej spodobała mi się służąca z Lancashire.

Sophy również.

Tyle że wkradanie się na modne przyjęcia w celu zbierania plotek dla Foxe'a miało pozostać jej głębokim i mrocznym sekretem. Nikt nie zwracał uwagi na żeńską służbę, a ona, jako jedna z sióstr Noirot, była osobą równie

zręczną w stawaniu się niewidzialną, co w skupianiu na sobie uwagi otoczenia.

On jednak zauważył.

Widocznie rozwinął w sobie ponadprzeciętny dar słyszenia i widzenia, żeby nadrobić niedostatki rozumu.

Podeszła z talerzem do stołu i usiadła przy siostrze.

– Czuję się zdruzgotana, że zepsułam panu zabawę – rzekła.

– Nic nie szkodzi – uspokoił. – Później znalazłem sobie rozrywkę.

– To widać – odezwał się Clevedon, przyjrzawszy mu się od stóp do głów. – Musiała być niezła. Skoro nie wstajesz nigdy tak wcześnie, wnoszę, że zatrzymałeś się u nas w drodze do domu.

Jak większość osób z jego sfery, lord Longmore rzadko wstawał przed południem. Zmierzwione czarne włosy, zwisający smętnie fular i wygniecione spodnie, żakiet i kamizelka powiedziały Sophy, że jeszcze nie położył się do łóżka – przynajmniej nie do własnego.

Wyobraźnia podsunęła jej przelotnie jego nagie, rosłe ciało w pomiętej pościeli. Nie widziała go nigdy nagiego i wolała nie oglądać. Tworzywem obrazów jej wybujałej wyobraźni były rzeźby, dzieła malarzy, a także widziane przed laty intymne detale pewnego dorodnego chłopca z Paryża.

Ze stanowczością przegoniła tę wizję.

Któregoś dnia poślubi godnego szacunku mężczyznę, który nie będzie się wtrącał do jej pracy.

A Longmore nie tylko nie był godzien szacunku, ale też jak ostatni głupiec nieustannie wchodził ludziom w drogę. Do tego – tak się składało – był najstarszym synem kobiety, która chciała zetrzeć siostry Noirot z powierzchni ziemi.

Tylko osoba pomylona z upodobaniem do samozniszczenia zaangażowałaby się w ten związek.

Sophy skierowała uwagę na jego ubranie. Pod względem sztuki krawieckiej strój był nieskazitelny i leżał idealnie na każdym centymetrze jego muskularnych ramion, szerokiej piersi i smukłym pasie, wąskich biodrach, a na dole – na długich, mocno umięśnionych nogach...

Znów odrzuciła niechciane myśli, tłumacząc sobie, że stroje to jej życie, więc patrzy na jego ubranie obiektywnie, jak profesjonalistka oceniająca pracę innego specjalisty.

Wiedziała, że zazwyczaj rozpoczyna on wieczór odziany bardzo elegancko. Pilnował tego osobisty służący Olney. Lecz Longmore nie zawsze zachowywał się odpowiednio, a na to, co działo się z ubraniem pana po jego wyjściu z domu, Olney nie miał już wpływu.

Z wyglądu Longmore'a widać było, że wiele się wydarzyło od czasu, gdy Olney wypuścił lorda spod swej pieczy.

– Zawsze byłeś gigantem intelektu w swojej rodzinie – pochwalił księcia Longmore. – Wywnioskowałeś prawidłowo. Zajrzałem do Crockforda. I jeszcze gdzieś. Musiałem zatrzeć wspomnienie koszmarnych godzin u Almacka.

– Szczerze nienawidzisz tych spędów – powiedział Clevedon. – Można przypuszczać, że zwabiła cię tam jakaś kobieta.

– Moja siostra – wyjaśnił Longmore. – Jeśli chodzi o mężczyzn, jest skrajnie niemądra. Moi rodzice nieustannie się na to skarżą. Nawet ja zauważyłem, jacy godni politowania są ci jej konkurenci. Zgraja zbereźników i bankrutów. Aby ich zniechęcić, przykleiłem się do boku Clary i wyglądałem groźnie.

Sophy z łatwością to sobie wyobraziła. Nikt nie wyglądał bardziej złowieszczo od niego, kiedy patrzył na świat z góry przez półprzymknięte powieki, jak wielkie czarne ptaszysko w polowaniu na ofiarę.

– Niezwykła postawa braterskiej troski – pochwalił Clevedon.

– Ta zakuta pała, Adderley, próbował się do niej przykleić. – Longmore poczęstował się kawą i zasiadł obok Clevedona naprzeciwko Marcelline. – Ona uważa, że jest uroczy. A ja myślę, że raczej zauroczony. Jej posagiem.

– Mówi się o nim, że błyskawicznie pogrąża się w długach – powiedział Clevedon.

– Nie znoszę jego uśmiechu – wyznał Longmore. – Poza tym wydaje mi się, że niespecjalnie lubi Clarę. Rodzice go nie cierpią. – Wskazał gazetę ręką, w której trzymał filiżankę kawy. – Nie przyjmą też dobrze tego wyczynu Sheridana. Niemniej, ośmielę się rzec, to rzecz wygodna dla was. Doskonały sposób na odciągnięcie uwagi od waszych jakże ekscytujących zaślubin.

Spojrzenie ciemnych oczu powędrowało leniwie w stronę Sophy. – Idealne wyczucie czasu. Lecz nie sądzę, by miała pani z tym coś wspólnego, panno Noirot?

– Gdybym miała, powinnam zażądać od księcia butelki najlepszego szampana i toastu na swoją cześć – rzekła Sophy. – To moje marzenie – umieć zaaranżować coś tak doskonałego.

Choć trzy siostry Noirot były jednakowo uzdolnionymi stylistkami, każda z nich miała dodatkowe talenty. Ciemnowłosa Marcelline, najstarsza, była prawdziwą artystką. Rudowłosa Leonie, najmłodsza, była geniuszem finansowym. A jasnowłosa Sophy – nader zręczną sprzedawczynią. Potrafiła rozmiękczyć kamienne serca i wyrwać z zaciśniętych pięści spore sumy. Skłaniała ludzi do uwierzenia, że czarne jest białe. Siostry często mawiały, że potrafiłaby nawet sprzedać piasek Beduinom.

Gdyby była w stanie sfabrykować skandal, który odciągnąłby uwagę ptasich móżdżków towarzystwa od Marcelline, zrobiłaby to bez wahania. Zarówno dlatego, że kochała Marcelline i cieszyła się z jej małżeństwa z ubóstwiającym ją mężczyzną, jak i dlatego, że cierpiała z powodu zamętu w ich świecie obracającym się zawsze wokół małej rodziny i wspólnego przedsięwzięcia. Nie była pewna, czy Marcelline i Clevedon rozumieli trudności, jakie ich niedawny ślub ściągnął na Maison Noirot, i to, w jakim niebezpieczeństwie znajdował się teraz butik.

Byli przecież nowożeńcami, a miłość zdawała się zaćmiewać umysły bardziej nawet niż pożądanie. Sophy nie zniosłaby, gdyby obawy jej i Leonie zakłóciły ich szczęście.

Młoda para wymieniła spojrzenia.

– Co o tym sądzisz? – spytał Clevedon. – Chcesz skorzystać z nowego skandalu i wrócić do pracy?

– Muszę wrócić do pracy niezależnie od tego – odezwała się Marcelline. Popatrzyła na Sophy. – Pośpieszmy się z wyjściem, *ma chère sœur.* Ciotki za godzinę zejdą na śniadanie.

– Ciocie – wtrącił Longmore – nadal tu są?

Dom Clevedona był dość duży, by wygodnie pomieścić kilka rodzin. Kiedy ciotki księcia przyjeżdżały z wizytą do miasta, zbyt krótką, żeby szykować na nią własne miejskie rezydencje, nie zatrzymywały się w hotelu, ale w północnym skrzydle.

Ostatnia ich wizyta miała na celu powstrzymanie tego małżeństwa.

Pierwotnie Marcelline i Clevedon planowali się pobrać nazajutrz po tym, jak książę namówił, a raczej uwiódł swoją ukochaną. Przeważyła jednak chłodna kalkulacja Sophy i Leonie.

Siostry dowodziły, że wesele nieuchronnie wywoła wrzawę, wielce prawdopodobne, że szkodzącą interesom. Jeśli jednak w ceremonii wezmą udział członkowie rodziny Clevedona, wyrażając tym samym akceptację wybranki, do pewnego stopnia uciszy to ogólne oburzenie.

Dlatego Clevedon zaprosił ciotki, które stawiły się gremialnie, aby zapobiec szokującemu mezaliansowi. Jednak żadna dama ani nawet sama królowa nie mogły się równać z trzema siostrami i ich tajemną bronią – sześcioletnią córeczką Marcelline, Lucie Cordelią. Ciotki poddały się po paru godzinach.

Teraz próbowały znaleźć sposób, by uczynić Marcelline bardziej godną szacunku. Wierzyły, że uda im się przedstawić ją królowej.

Sophy nie była pewna, czy poprawi to sytuację Maison Noirot. Przeciwnie, spodziewała się, że może to jeszcze podsycić płomień nienawiści lady Warford.

– Nadal tu są – potwierdził Clevedon. – Wydaje się, że są nieusuwalne.

Marcelline wstała i reszta także się podniosła.

– Lepiej pójdę, nim zejdą na dół – rzekła. – Nie pogodziły się jeszcze z moim powrotem do pracy.

– Co oznacza, że będzie wokół tego dużo więcej paplaniny, niżbyście chcieli – rzekł Longmore. – Doskonale to rozumiem. – Posłał Marcelline kpiący uśmiech i się ukłonił.

Był postawny i zdawał się dominować w przestrzeni, poza tym jednak był rozczochrany i niechlujny. Kłaniał się za to z lekkim wdziękiem eleganta.

Absolutna i pełna wdzięku swoboda, z jaką poruszało się jego ciało awanturnika, była irytująca. Jeszcze bardziej drażniło to, że promieniował witalnością.

Sophy była nieodrodną córą Noirotów, rodziny z natury nastawionej na uleganie zwierzęcym popędom i nieposiadającej zbyt wielu zasad moralnych.

Gdyby on dowiedział się kiedykolwiek o jej słabości, byłaby skazana na porażkę.

Dygnęła i wzięła siostrę pod rękę.

– Tak, lepiej nie marudźmy już, w żadnym wypadku. Obiecałam Leonie, że nie zostanę tu dłużej niż pół godziny.

Wyciągnęła siostrę z pokoju.

* * *

Longmore patrzył za odchodzącymi. Tak naprawdę patrzył za Sophy, pociągającą mieszaniną energii i przebiegłości.

– Butik – odezwał się, kiedy znalazły się poza zasięgiem głosu. – Niczego nie ujmując twojej księżnej, ale czy one są w pełni poczytalne?

– To zależy od punktu widzenia – odparł Clevedon.

– Widocznie nie pomieszało mi się jeszcze na tyle w głowie, bym to zrozumiał – powiedział Longmore. – Mogłyby go zamknąć i zamieszkać tutaj. Przecież nie brakuje miejsca. Ani pieniędzy. Dlaczego chcą kłaniać się i szyć szmatki innym kobietom?

– Kochają to – wyjaśnił Clevedon. – Ta praca to ich namiętność.

Longmore nie był pewien, czym właściwie jest namiętność. Nie miał za to wątpliwości, że nigdy nie doświadczył niczego podobnego.

Od czasu, kiedy skończył osiemnaście lat, nie doświadczył nawet chwilowego zauroczenia.

Clevedon, jego najbliższy przyjaciel, musiał to wiedzieć, więc Longmore zbył odpowiedź milczeniem. Pokręcił tylko głową i podszedł do kredensu. Napełnił talerz jajkami, grubymi plastrami bekonu i chleba oraz dużą kulką masła, aby to wszystko łatwiej przełknąć. Zaniósł śniadanie do stołu i zaczął jeść.

Zawsze traktował dom Clevedona jak swój własny, a po ślubie oznajmiono mu, że w tej materii nic się nie zmieniło. Księżna zdawała się go dość lubić. Jej jasnowłosa siostra wręcz przeciwnie – wyglądała, jakby chciała go zastrzelić, co czyniło ją jeszcze bardziej interesującą i zabawną.

Dlatego na nią czekał. Dlatego śledził ją od Maison Noirot do Charing Cross. Zauważył w jej rękach gazetę i odgadł, co zawierała.

Mistrzostwo dziennikarskich sztuczek, najpewniej poparte paktem z samym diabłem, sprawiało, że „Poranne Zwierciadło” trafiało na londyńskie ulice i w ręce sprzedawców zazwyczaj na długo przed konkurencją. Chociaż wiele rozrywek wyższych sfer nie zaczynało się przed jedenastą wieczór ani też nie kończyło przed świtem, Foxe wynalazł sposób, jak zapełnić szpalty brukowca szczegółami o tym, kto i co zrobił przed kilkoma zaledwie godzinami.

Nie było to małe osiągnięcie, nawet biorąc pod uwagę fakt, że „rano”, zwłaszcza w wyższych sferach, było bardzo elastyczną jednostką czasu, przeciągającą się dobrze poza południe.

Zaciekawiony, co o tak wczesnej porze prowadzi Sophy do rezydencji Clevedonów, kupił egzemplarz od gazeciarza na rogu i zatrzymał się na chwilę, by go przejrzeć. Poznawszy już jej styl, wiedział, że jest niestrawny na pusty żołądek, niemniej wytrwale szukał. Nie rozumiał wprawdzie, jak mogła przyłożyć rękę do skandalu z Sheridanem, lecz nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Intrygowało go w niej więcej rzeczy – począwszy od sposobu, w jaki się poruszała. Nosiła się jak kobiety z jego klasy, lecz kołysanie jej bioder obiecywało coś kuszącego, zupełnie nie w stylu damy.

– Poślubiłem Marcelline, doskonale wiedząc, że nigdy nie porzuci pracy – mówił Clevedon. – Gdyby to uczyniła, stałaby się kimś innym. Nie byłaby już kobietą, w której się zakochałem.

– Miłość – powiedział Longmore. – Kiepski pomysł.

– Któregoś dnia miłość przyjdzie po ciebie i kopnie cię w zadek. – Clevedon się uśmiechnął. – A ja będę na to patrzył i śmiał się do rozpuku.

– Miłość będzie musiała wyciąć mi specjalny numer – odgryzł się Longmore. – Nie jestem tak wrażliwy jak ty. Żeby mnie złapać, miłość będzie musiała nie tylko kopnąć mnie w zadek, ale skrępować i stłuc na miazgę, taką samą, jaką zdaniem niektórych optymistów mam w mózgu.

– Całkiem możliwe – zgodził się Clevedon. – Co sprawi, że cała rzecz będzie jeszcze zabawniejsza.

– Musisz poczekać – ostrzegł Longmore. – W tej chwili to miłosne życie Clary jest tematem numer jeden.

– Ośmielę się stwierdzić, że od czasu mojego ślubu atmosfera w waszym domu jest nieco napięta.

Clevedon wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Lord Warford był bowiem jego opiekunem. Clevedon i Longmore wychowywali się razem. Byli dla siebie bardziej braćmi niż przyjaciółmi. Clevedon od wczesnego dzieciństwa miał słabość do Clary. Przyjęto za pewnik, że tych dwoje stanie w końcu na ślubnym kobiercu. Kiedy książę poznał swoją stylistkę, Clara skwitowała to jednak słowami: „Krzyżyk na drogę” – ku wielkiemu wstrząsowi rodziców, braci i sióstr, nie wspominając już o śmietance towarzyskiej.

– Ojciec już się poddał – powiedział Longmore. – Matka nie.

To było grube niedopowiedzenie.

Matka przeszła samą siebie. Na najmniejszą wzmiankę o księciu czy jego nowej żonie wrzeszczała. Bez powodu kłóciła się z Clarą. Doprowadzała córkę do szału i obie stale wciągały w swój konflikt Longmore'a. Każdego dnia otrzymywał od siostry wiadomość, w której błagała go, żeby przyjechał i coś z tym zrobił.

Longmore i Clara byli gośćmi na ślubie i tym samym pobłogosławili temu związkowi. Fakt ten, błyskawicznie podany do publicznej wiadomości przez „Zwierciadło", zamienił rezydencję Warfordów w pole bitwy.

– Doskonale rozumiem, że Clara mnie odrzuciła – rzekł Clevedon.

– Nie pojmuję, jak mogłoby to do ciebie nie dotrzeć. Wyjaśniła wszystko szczegółowo, głosem jak dzwon, przed połową towarzystwa – zauważył Longmore.

– Nie rozumiem jednak, dlaczego nie posyła Adderleya do diabła – zastanawiał się dalej Clevedon.

– Jest wysoki, jasnowłosy, przystojny wygląda na poetę – wyjaśnił Longmore. – Wie, co należy mówić kobietom. Mężczyźni widzą, kim on naprawdę jest. Kobiety nie.

– Nie mam pojęcia, co siedzi w głowie Clary – mówił dalej Clevedon. – Lecz moja żona i jej siostry na pewno by do tego dotarły. To ich praca – rozumieć klientki, a Clara jest dla nich klientką szczególną. Najlepszą. Projektami Marcelline chwali się dla wywołania wrażenia. Nie będą chciały, by poślubiła człowieka, któremu pieniądze wylatują z kieszeni.

– A czy są przy tym dobrymi swatkami? – spytał Longmore. – Jeśli tak, chciałbym, żeby znalazły dla niej kogoś odpowiedniego i oszczędziły mi tym samym koszmarnych wieczorów u Almacka.

– Zostaw to Sophy – poradził Clevedon. – To ona uczęszcza na przyjęcia. Zrozumie, co się święci, lepiej niż ktokolwiek inny.

– Łącznie z tą częścią, którą ludzie radzi by przed nią ukryć – dopowiedział Longmore.

– Ma wyjątkowo bystre oko, jeśli chodzi o szczegóły – zauważył Clevedon.

– A także wyjątkowo dużo pisze. Łatwo jest rozpoznać jej styl w „Porannym Zwierciadle". Potoki słów o wstążkach, kapeluszach, koronkach, lamówkach i fałdkach. Nawet nitce nie odpuści.

– Widzi też gesty i spojrzenia – sprostował Clevedon. – I słucha. Nikt nie pisze tak jak ona.

– Nie ma co do tego wątpliwości – zgodził się Longmore. – Nie ma żadnego przymiotnika ani przysłówka, którego by nie użyła.

Clevedon się uśmiechnął.

– To właśnie przyciąga klientki: kombinacja plotek i kunsztownych detali sukien, wszystko w sensacyjnych barwach. Powiedziano mi, że wywiera to podobny wpływ na kobiety, jak na mężczyzn patrzenie na nagie kobiece ciała. – Postukał palcem gazetę. – Poproszę ją, by miała oko na Clarę. Z wami obojgiem na straży powinna ustrzec się kłopotów.

Longmore nie miał zastrzeżeń do jakiegokolwiek działania, które zakładałoby udział Sophy Noirot.

Wprost przeciwnie, do głowy przychodziły mu najrozmaitsze akcje. Jej przyłączenie się do obserwowania jego siostry mogło stworzyć cudowną okazję, by była przy nim, zawsze pod ręką, a przy sprzyjającym szczęściu także pod inną częścią ciała.

– Trudno pomyśleć o kimś lepszym do wykonania tego zadania – powiedział Longmore. – Przed panną Noirot nic się nie ukryje.

W myśli nazywał ją już Sophy. Nigdy jednak nie zaproponowała mu, by mówił jej po imieniu, tak jak reszta rodziny. Nawet zażyłość z Clevedonem nie zmieniała faktu, że dobre maniery nakazywały, aby Longmore używał poprawnej formy wobec najstarszej niezamężnej damy w rodzinie.

– Z tobą i Sophy na straży zbereźnicy i bankruci nie będą mieli żadnych szans. Sam Argus nie dałby sobie rady lepiej.

Longmore przeorał pamięć w poszukiwaniu tego imienia.

– Masz na myśli psa?

– Olbrzyma z dodatkową parą oczu – wyjaśnił Clevedon. – „I postawiła przy niej strażnika, wielkiego i silnego Argusa, który spoglądał czterema oczyma w cztery świata strony” – zacytował. – „Bogini obdarzyła go niestrudzoną mocą: by sen nigdy nie przymykał mu powiek, by zawsze wszystko widział”.

– To przesada – skwitował Longmore. – Ale zawsze byłeś romantyczny.

Tydzień później

– Warford, jak mogłeś?

– Moja droga, wiesz, że nie mogę rozkazywać jego królewskiej mości...

– To nie do zniesienia! To stworzenie, z którym się ożenił – przedstawione na królewskim dworze! W salonie urodzinowym króla! Jakby odwiedzała rodzinę królewską!

Longmore był uwięziony w powozie z matką, ojcem i Clarą. Odjeżdżali spod Pałacu św. Jakuba. Chociaż wydarzenia na dworze nudziły go i otępiały, odwiedził salon, mając nadzieję, że dostrzeże tam pewną niezaproszoną osobę. Zobaczył jednak jedynie siostrę Sophy – owo „stworzenie”, na które wściekała się matka. Rozważał, czy lepiej się wymknąć, czy raczej zapolować na równie znudzoną żonę lub wdowę. Pałac wyposażony był obficie w ustronne zakątki dogodne do szybkiej zabawy.

Nie poszczęściło mu się. Morze piór i brylantów skrywało reprezentację świętoszkowatych matron i dziewic. Z dziewicami należało się żenić. Nie były one kandydatkami na szybką zabawę pod schodami.

– Dziwne, zgadzam się w pełni – rzekł ostrożnie lord Warford. Chociaż porzucił już gniew z powodu małżeństwa Clevedona, porzucił także, dawno temu, wszelkie próby przemówienia żonie do rozsądku.

– A mnie nie wydaje się to dziwne – zaprotestował Longmore.

– Nie wydaje się dziwne! – zawołała matka. – Doprawdy! Nikogo nie przedstawia się w salonie urodzinowym króla!

– Nikogo prócz cudzoziemskich dygnitarzy – sprostował lord Warford.

– To było oburzające naruszenie etykiety, nawet jak na prośbę uczynienia wyjątku – oświadczyła lady Warford, zapominając dla wygody, że sama kazała mężowi oburzająco naruszyć etykietę i powiedzieć królowi, by nie zezwalał na prezentację księżnej Clevedon.

Wytknięcie jej tego należało jednak do małżonka, nie syna, a lata małżeństwa nauczyły lorda Warforda tchórzostwa.

– Nie mogę uwierzyć, że jej królewska wysokość uczyniła coś takiego, nawet na prośbę lady Adelaide – ciągnęła matka. – Wydaje się jednak, że muszę – dodała z goryczą. – Królowa bardzo lubi najmłodszą ciotkę z rodu Clevedonów. – Popatrzyła ponuro na córkę. – Lady Adelaide Ludley mogła użyć swoich wpływów dla ciebie i twojej rodziny. Lecz nie, ty musiałaś okazać się najniewdzięczniejszą i najbardziej nieposłuszną córką, jaka kiedykolwiek żyła na świecie. Musiałaś zerwać z księciem Clevedonem!

– Nie zerwałam z nim, mamo – powiedziała Clara. – Nie można zerwać z kimś, z kim nie jest się zaręczonym.

Longmore zbyt często słuchał tej kłótni, by chcieć wysłuchiwać jej znowu w ciasnym powozie. Matka podnosiła głos coraz bardziej, a Clara nie pozostawała jej dłużna. Normalnie kazałby stangretowi się zatrzymać, żeby wysiąść, zostawiając wszystkich z ich humorami za sobą.

Wiedział, że Clara potrafi się bronić. Sęk w tym, że prowadziło to do zaostrzania kłótni, krzyków i liścików do niego, by przybył niezwłocznie do rezydencji Warfordów, bo inaczej jego siostra zostanie matkobójczynią.

Pomyślał więc szybko i intensywnie, po czym się odezwał:

– Jasne jak słońce, skoro nawet ja to widzę, że dokonano prezentacji przy opuszczonej kurtynie, jeśli można tak rzec, aby nie ranić twoich uczuć, mamo.

Po jego słowach nastąpiła wściekle intensywna cisza, która zapadała zawsze, kiedy rodzice zastanawiali się, czy może, wbrew wszelkiej logice i dowodom, ich syn nie powiedział czasem czegoś, czego warto było posłuchać.

– Ze względu na ciotki królowa byłaby w niezręcznej sytuacji – ciągnął. – Nie mogła zlekceważyć całej rodziny, a tak by się właśnie stało, bo przecież ciotki zaaprobowały pannę młodą.

– Pannę młodą – powtórzyła gorzko matka. – Jego pannę młodą. – Rzuciła Clarze spojrzenie, które z pewnością Cezar posłał Brutusowi, czując w ciele wbite przez niego ostrze noża.

– W ten sposób prezentacja została załatwiona w kuluarach, a nie w obecności całej cholernej socjety.

Kiedy matka w swojej kipiącej z wściekłości głowie rozważała tę myśl, powóz dojechał przed rezydencję Warfordów. Lokaje otworzyli drzwi powozu, a członkowie rodziny wychynęli ze środka. Damy wyszły na chodnik i wygładzały spódnice.

Longmore nie rzekł już nic więcej, Clara również. Rzuciła mu tylko pełne wdzięczności spojrzenie, zanim weszła za matką do środka.

Ojciec jednak pozostał przed wejściem wraz z Longmore’em.

– Nie wejdziesz?

– Myślę, że nie – rzekł Longmore. – Zrobiłem, co w mojej mocy. Starałem się dolać oliwy i takie tam.

– To się nie skończy – powiedział cicho ojciec. – Twoja matka nie przestanie. Roztrzaskane marzenia, zraniona duma, podrażnione uczucia i co tam jeszcze. Widzisz, nie zaznamy spokoju w naszej rodzinie, dopóki Clara nie znajdzie stosownego zastępstwa za Clevedona. Co nigdy się nie zdarzy, jeśli nadal będzie zachęcać te wszystkie szumowiny. – Gestem wyraził lekceważenie. – Musisz sprawić, by sobie poszli, rozumiesz, do cholery?

* * *

Bal u hrabiny Igby,
sobota, 30 maja 1835 roku,
pierwsza nad ranem

Longmore patrzył od jakiegoś czasu na lorda Adderleya. Człowiek ów dowiódł, że jest zbyt gruboskórny, by przejąć się aluzjami. Longmore doszedł do przekonania, że najprościej będzie mu wlać, może wtedy zrozumie, że ma się trzymać z dala od Clary.

Kłopot w tym, że na przyjęciu u lady Igby była także Sophy Noirot, a Longmore, w przeciwieństwie do Argusa, miał tylko jedną i to zwyczajną parę oczu.

Rozproszył uwagę, obserwując Sophy, przemykającą tam i z powrotem i niezwracającą niczyjej uwagi poza, jak zwykle, grupą głupców wierzących, że żeńska służba istnieje dla ich wyłącznej rozrywki. Jako że Longmore widział w niej już swoje prywatne źródło zabawy, zaczął za nią podążać, lecz wkrótce się przekonał, że nie potrzebowała żadnej pomocy w radzeniu sobie z potencjalnymi amantami.

„Przypadkowo” wylała gorącą herbatę na kamizelkę jednego z dżentelmenów, który zbytnio się do niej przysuwał. Inny, który podążył za nią do przedsionka, potknął się o coś i przewrócił, padając wprost na twarz. Trzeci poszedł za nią korytarzem i wszedł do jednego z pokoi. Po chwili wyszedł, utykając.

Pochłonięty obserwowaniem jej przygód Longmore nie tylko nie zlokalizował Adderleya, lecz także stracił z pola widzenia siostrę, której miał strzec przed rozpustnikami i bankrutami. Nie byłby to może wielki

problem, gdyby Sophy obserwowała ją uważniej. Ta jednak sama musiała bronić się przed poszukiwaczami łatwej rozrywki.

Longmore nie myślał o tym. Myślenie nie było jego ulubionym zajęciem, a myślenie o więcej niż jednej rzeczy naraz zakłócało jego równowagę. A w tej chwili myśli zaprzątali mu mężczyźni, którzy naruszali to, co uważał już za swoje terytorium. Nieszczęśliwie oznaczało to również, że nie uświadomił sobie, iż w tym samym czasie matka także straciła Clarę z oczu. Stało się tak, ponieważ lady Warford prowadziła uprzejmą i jadowitą konwersację z najlepszą przyjaciółką, a zarazem najzaciętszym wrogiem – lady Bartham.

Krótko mówiąc, nikt, kto powinien był zwracać uwagę, nie zwracał uwagi, kiedy lord Adderley wyprowadził Clarę podczas walca na drugi koniec sali balowej w stronę drzwi wiodących na taras. Nikt też z tych, którzy powinni byli bacznie śledzić zachowanie pary, nie dostrzegł mrugnięcia, którym Adderley porozumiał się ze swoimi przyjaciółmi, jak również towarzyszącego mu uśmieszku.

Poruszenie w tłumie sprowadziło Longmore’a na ziemię i przypomniało mu o głównym powodzie, dla którego tu był.

To nie było poruszenie oczywiste, zwyczajne, lecz z rodzaju tych, których być nie powinno. Longmore był dostrojony do towarzystwa na tyle, że łatwo poznał, iż na coś się zanosi, zlokalizował miejsce oraz rodzaj afery. Wyczuwalna zmiana w atmosferze dotyczyła szykującej się walki.

Tłum podążał na taras.

Coś w środku dało mu znać, że przegapił ważną rzecz. Nie wyjaśniło jaką, ale postawiło go na baczność. Longmore był człowiekiem działającym instynktownie. Ruszył bardzo szybko w tamtą stronę.

Nie musiał przebijać się przez tłum. Wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że lepiej zejść mu z drogi, niż być z niej przez niego zepchniętym.

Wtargnął na taras. Zebrał się tam tłumek gapiów. Oni też usunęli się na boki.

Nic już nie zasłaniało mu widoku.

Rozdział 2

NOWY STYL. PROJEKTOWANIE STROJÓW. Madame
i panna Follet upraszają o łaskę damy, które nie wypróbowały
ich usług (oraz składają podziękowania damom, które to uczyniły).
Zdecydowana wyższość ich stylu w połączeniu z nader umiarkowanym
kosztem niezawodnie daje zadowolenie nawet najbardziej
wymagającym – ul. New Bond 53 w Londynie i rue Richelieu w Paryżu.
Ogłoszenie w „The Court Journal”, sobota, 28 marca 1835 roku

Adderley.

I Clara.

W ciemnym zakątku tarasu.

Lecz nie aż tak ciemnym, by Longmore nie zobaczył, że Adderley nieporadnie próbuje pomóc jego siostrze w umieszczeniu stanika na właściwym miejscu.

Krawcowe wycięły dekolt jej białej sukni bardzo nisko, co pozwoliło każdemu gapiącemu się na nią dżentelmenowi dostrzec pod spodem koronkową halkę. Jednak podczas umizgów lord Adderley zsunął jej z ramion rękawy sukni i ramiączka gorsetu prawie do samych łokci. Z tego, co było widać, mocno poluzował jej także gorset.

Kiedy z plaśnięciem odsunęła od siebie jego drżące ręce, stanął przed nią, by ją zasłonić, lecz nie miał wystarczająco pokaźnej postury. Jasnowłosa, błękitnooka piękność, lady Clara Fairfax – miała. Stanowczo nie była kruszynką. W rezultacie kosztowna bielizna – nie wspominając o sporej powierzchni ciała zwykle nieobnażanego publicznie – ukazały się oczom każdego gapia, który znajdował się w pobliżu.

Łącznie z dziesiątką gości, którzy napłynęli na taras i okrążyli scenę jak hieny wokół padliny reputacji lady Clary Fairfax.

– Nikt nigdy nie doprasuje tych zagnieceń – mruknęła służąca stojąca obok Longmore’a.

W odległym zakątku jego umysłu pojawiło się zdziwienie, że ktokolwiek mógł w takiej chwili zauważyć coś tak trywialnego jak pomięcie stroju

Clary. W tym samym zakątku pojawiła się też myśl, że nie ma się czemu dziwić, zważywszy, kto to powiedział: Sophy Noirot.

Lecz był to jedynie margines świadomości. Większa część jego umysłu zaprzątnięta była sceną rozgrywającą się przed jego oczami, którą widział przez zasłonę krwawych płomieni.

– Już ja doprasuję, ale jego – warknął.

– Niech pan nie będzie...

Lecz on już rwał naprzód, roztrącając gości, którzy wchodzili mu w drogę – mimo że większość, dostrzegłszy go, uciekała czym prędzej.

Dopadł do Adderleya i pięścią wymierzył mu cios w twarz.

– ...głupcem – dokończyła Sophy.

Ugryzła się w język. Była przecież przebrana za służącą, a służba nie zwracała się do wyższych stanem per „głupcze”. A już w żadnym razie na głos.

To był jednak kłopot z Longmore’em. Właził w paradę wszystkim i wszystkiemu, zwłaszcza jej jasnemu myśleniu.

Oparła się pierwszej, emocjonalnej reakcji i dopuściła do głosu swoją praktyczną stronę, tę, którą pielęgnowała w niej ciotka Emma. Powinowata w niczym nie przypominała rodziców Sophy o duszy włóczykijów. Nie była uroczą przybłędą, lecz trzeźwo myślącą i praktyczną paryżanką.

W kategorii interesów to, co właśnie się stało, oznaczało klęskę.

Lady Clara była najlepszą klientką Maison Noirot. Kupowała najdroższe fasony i to zachłannie, nie zważając na wrogość matki. To rządca lorda Warforda płacił wszystkie rachunki, a płatności zlecane przez niego musiały być wykonywane błyskawicznie i w całości, bez faworyzowania kogokolwiek.

Lord Adderley zaś był bankrutem, albo prawie bankrutem, przez hazard, któremu się bez umiaru oddawał.

Gdyby lady Clara miała się z kimś zapomnieć, to Adderley stanowczo nie był faworytem Sophy. W pierwszych dziesięciu tysiącach otrzymałby u niej pozycję dziewięć tysięcy dziewięćset pięćdziesiątą szóstą.

Gdyby Longmore był odrobinę inteligentniejszy i mniej porywczy, a także kilkanaście razy mniej arogancki, poradziłaby mu z kolei, by się nie wtrącał i nie zabijał kochanka siostry. Ponieważ lord Longmore nie posiadał jednak żadnej z tych cech, nie traciła czasu, by mu wytłumaczyć, iż

morderstwo tylko skomplikuje tę sytuację i pozostawi lady Clarę ze zniszczoną reputacją już na zawsze.

Był wściekły i chciał komuś przylać, a Adderley zasłużył sobie na to jak nikt inny. Sophy też kusiło, by mu przyłożyć.

Lecz nie tylko dlatego nie zamknęła oczu ani się nie odwróciła.

Widziała wcześniej, jak walczy Longmore. Był to widok, od którego kobiecie przyśpieszał puls, jeśli nie była lękliwa. Sophy stanowczo taka nie była.

Uderzenie powinno było powalić przeciwnika, lecz lord Adderley tylko się zachwiał i cofnął o parę kroków.

Był zatem twardszy, niż się zdawało. Walczył jednak tylko o utrzymanie się na nogach, nie okazując woli oddania ciosu. Nie wiedziała, czy stosuje się do jakiegoś głupiego kodeksu honorowego, czy też ma wysokie mniemanie o swojej urodzie i w związku z tym pragnie zachować wszystkie zęby.

Longmore tymczasem był zbyt zaślepiony gniewem, by cokolwiek dostrzec czy też zważać na to, czy lord Adderley zamierza się bronić.

Znów rzucił się nań z uniesioną pięścią.

– Nie waż się, Harry! – krzyknęła lady Clara. Zasłoniła kochanka własnym ciałem. – Nie waż się go tknąć!

A potem utonęła we łzach, i to bardzo szczerych. Sama Sophy nie rozpłakałaby się lepiej, a była w tym doskonała. Lamentując nad poszkodowanym kochankiem, któremu wedle oceny Sophy dojrzewał potężny siniec pod okiem, roniąc potoki łez spływających po jej doskonałej twarzy i świecąc mlecznym, głęboko obnażonym biustem, lady Clara grała swoją rolę po mistrzowsku.

Mogła obudzić, prócz najprymitywniejszych namiętności, także współczucie obecnych dżentelmenów. Damy zaś, zaspokojone świadectwem upadku najpiękniejszej kobiety w Londynie, mogły sobie pozwolić na litość. ,,Mogła mieć księcia – powiedzą. – A teraz musi się zadowolić człowiekiem bez pensa przy duszy”.

Modny Londyn nie zmęczył się jeszcze powtarzaniem fragmentów mowy lady Clary odrzucającej księcia Clevedona. Jednym z ulubionych fragmentów było zakończenie: „Czemu miałabym się ustatkować właśnie dla ciebie?”.

Przez chwilę lord Longmore wyglądał, jakby miał zmieść siostrę z drogi pięścią. Wreszcie musiał zdać sobie sprawę, że to niczemu się nie przysłuży. Przewrócił oczami i westchnął, a Sophy obserwowała, jak jego szeroka pierś unosi się i opada.

W końcu opuścił ręce i się odwrócił.

Tłum otoczył scenę, szczelnie zamykając ją przed oczami Sophy.

Nieważne. Markiza Warford w każdej chwili mogła zwietrzyć uszczerbek cnoty córki i Sophy musiała być wtedy obok, była to winna Foxe'owi. A do pewnego stopnia musiała też przyjrzeć się bliżej niepokojącej plotce, którą zasłyszała w salonie wypoczynkowym dla dam.

Zapowiadała się długa noc.

Rozejrzała się za najbardziej dyskretną drogą na drugi koniec sali balowej. W przeciwieństwie do służby męskiej służące miały być niezauważalne. Musiała się trzymać z dala od sal, gdzie się bawiono, przemieszczać głównie korytarzami dla służby oraz obsługiwać damy w pokoju wypoczynkowym, podszywać tam przydeptane rąbki spódnic, naprawiać pończochy, biegać po szale i pelerynki, podawać sole trzeźwiące damom, które mdlały, oraz sprzątać po tych, które nadmiernie się struły.

Zastanawiała się, które z dwojga drzwi oferowały lepszy punkt obserwacyjny, gdy drogę zastąpił jej Longmore.

– To pani – powiedział.

– To ja, wasza lordowska mość – powtórzyła, akcentując szerokie samogłoski Lancashire. Pamiętała, że zapomniała się przed chwilą i zwróciła się do niego normalnie, lecz przecież była bezwstydną kłamczuchą jak reszta jej rodziny. Popatrzyła na niego błękitnymi oczami otwartymi tak szeroko, jak tylko umiała, nieskalanymi zrozumieniem i inteligencją niczym oczy cielęcia, które z wielką dumą potrafiła naśladować.

– Tak, pani – powiedział. – Poznaję panią na kilometr, panno...

– O, nie, wasza lordowska mość, ja nie żadna panna, ja Norton. Mam panu coś może przynieść, to czy tamto?

– Proszę przestać – zaprotestował. – Nie jestem w nastroju do odgrywania komedii.

– Pan mnie wpędzi w kłopoty, sir – rzekła, nie dodając: „ty wielki ośle". Trzymała się roli i uśmiechnęła się promiennie, szeroko otwierając oczy

i mając nadzieję, że on wyczyta z nich, co trzeba. – Żadnych flirtów z gośćmi.

– Jak, u diabła, on to zrobił? – spytał. – I dlaczego ona to zrobiła? Czyżby oszalała?

Sophy rozejrzała się dookoła. Goście byli zajęci rozpowszechnianiem sensacji o niecnotliwym zachowaniu lady Clary. Lord Longmore nie był widocznie aż tak interesujący – czy też raczej budził przestrach na tyle, by zniechęcić każdego do rzucania mu ukradkowych spojrzeń. Skoro bezwstydnie pokazał przed towarzystwem stan swojego ducha, nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się teraz narażać na jego gniew. Starałby się raczej nie patrzeć, ani gdzie poszedł, ani co robi.

Złapała go za ramię.

– Tędy – rzekła.

Gdyby napotkała opór, próba odholowania jego wielkiego ciała zakończyłaby się takim samym sukcesem co zatrzymanie parowozu.

Prawdopodobnie jednak użycie siły przez taką drobinę jak ona było ostatnią rzeczą, której się spodziewał. Czy speszony, czy też tylko rozbawiony, poszedł z nią dość chętnie. Poprowadziła go jednym z korytarzyków dla służby. Ponieważ większość służby pod byle pretekstem starała się znaleźć jak najbliżej sceny skandalu, wątpiła, by ktokolwiek tamtędy przechodził.

Mimo to rozejrzała się w lewo i w prawo. Pewna, że pole jest czyste, puściła jego rękę.

– Teraz niech mnie pan posłucha – zaczęła.

Popatrzył trochę zagubiony na swoje ramię, a potem na nią.

– Jedno jest w tym dobre – porzuciła pani granie cielęcia z Lancashire.

– Czy ma pan pojęcie, co by się ze mną stało, gdybym została zdemaskowana? – spytała.

– A czym się pani przejmuje? Pani siostra poślubiła księcia.

– Przejmuję się, ty... ty skończony ośle.

Odchylił nieco głowę i podniósł ze zdziwieniem czarne brwi.

– Czyżbym powiedział coś złego?

– Owszem – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Nie mów więc nic więcej, lecz posłuchaj!

– Boże, nie ma żadnej dyskusji, prawda?

– Nie ma, jeśli chce pan pomóc siostrze.

Zmrużył oczy, ale się nie odezwał.

– Proszę mi wierzyć, że nie jestem zadowolona z obrotu sprawy podobnie jak pan – powiedziała. – Czy ma pan pojęcie, jaki to będzie miało wpływ na nasz interes?

– Wasz interes – powtórzył.

Mówił cicho, ale wiedziała, jak daleki jest od zachowania spokoju. Przemoc, której się dopuścił, nadal w nim tkwiła. Zrozumiała, dlaczego ludzie schodzili mu z drogi, kiedy wbił wzrok w kogoś albo w coś.

Przemoc w tej chwili nie była jednak dobrym rozwiązaniem. Musiała odciągnąć jego uwagę – i teraz przynajmniej mogła jej w tym pomóc prawda.

– Adderley zadłużył swoje hipoteki tak bardzo, że wierzyciele będą odbierali dług od pierwszego, drugiego i trzeciego pokolenia – rzekła. – Leonie może wyliczyć panu co do ćwierć pensa, ile jest teraz wart, o ile w ogóle wart jest aż ćwierć pensa. Byłabym zdziwiona.

– Wiem – przerwał. – Chcę wiedzieć, w jaki sposób moja siostra skończyła z nim na tarasie. Wiem, że jest naiwna, ale nie myślałem, że aż tak głupia.

– Nie wiem, jak to się stało – rzekła Sophy. – Przysięgłabym, że tylko ćwiczyła na nim swoją sztukę flirtowania, jak zresztą na wszystkich adoratorach. Nie okazała nigdy, że jest jej faworytem.

– Jest pani pewna? – spytał.

Nie podobał jej się ton jego głosu. Zapowiadał kłopoty. Chociaż nie życzyła Adderleyowi niczego innego, nie mogła pozwolić, by Longmore rozniósł go na strzępy, co najwyraźniej właśnie chodziło mu po głowie.

– Słyszałam, że on potrafi zdobywać serca – powiedziała. – I wiem, że lady Clara czuje...

– Doskonale. Porozmawiajmy o uczuciach.

Gdyby teraz miała pod ręką coś ciężkiego, rąbnęłaby go bez wahania. Pewnie nawet by nie poczuł, ale ten czyn poprawiłby jej samopoczucie.

– Tak, porozmawiajmy – powiedziała. – Oszczędzę panu skomplikowanych okoliczności i przejdę do rzeczy. Lady Clara przeżywa bunt i ośmielę się rzec, że czekała na okazję, by uczynić coś zdrożnego, kiedy matka nie będzie patrzyła. Widocznie Adderley ujrzał w tym korzyść dla siebie i postarał się, by coś niewinnego upozorować na coś poważniejszego.

Zmarszczyła brwi. Coś w tej scenie się nie zgadzało. Musi to później przemyśleć.

Pierwszeństwo miał jednak człowiek stojący tuż przed nią. Zdawało się, że powoli przestaje zionąć ogniem.

– Będę go musiał wyzwać na pojedynek, ostatniego wieprza – syknął. – Co oznacza wyprawę do jakiegoś lasu skoro świt. Unikam poranków jak diabeł święconej wody, nie mówiąc już o tym, że Olney narobi hałasu o ślady prochu na mankietach.

Sophy złapała go za klapy żakietu.

– Proszę mnie posłuchać – powiedziała.

Popatrzył na jej dłonie z takim samym zmieszaniem jak wcześniej na ramię.

Jego lordowska mość nie był najbystrzejszym osobnikiem na ziemi i na jego zmieszanie wpływ mogło mieć wiele rzeczy.

– Proszę posłuchać – powtórzyła. – Nie może go pan zabić z zimną krwią.

– Dlaczego nie?

Bogowie, cierpliwości!

– Ponieważ on będzie wtedy martwy – rzekła tak spokojnie, jak umiała. – A reputacja lady Clary pozostanie splamiona na zawsze. Błagam, lordzie Longmore, niech pan w ogóle nic nie robi. Proszę zostawić to nam.

– Nam?

– Moim siostrom i mnie.

– Co pani może mi zaoferować? Ubrać go do trumny? Przylizać i zmusić, by posłuchał dyktatu najświeższej mody?

– Jeśli to okaże się konieczne – odparła. – Błagam jednak, niech pan nie robi sobie z nim kłopotu.

Wlepił w nią wzrok.

– Cokolwiek pan zrobi, niech go pan nie rani ani nie zabija – powiedziała, na wypadek gdyby nie było to dla niego wystarczająco jasne. – Cios z prawej był doskonały. Wyraziście podkreślił gniew brata...

– Właśnie tak zrobiłem, na Jowisza! Czy pani przypadkiem nie komponuje teraz artykułu o reputacji mojej siostry? Tego, który ukaże się w jutrzejszym „Porannym Zwierciadle”?

– Jeśli ja go nie skomponuję, uczyni to ktoś inny – powiedziała. – Lepszy diabeł, którego już znamy, milordzie. Niech mi pan pozwoli robić, co

umiem, a pan niech wyjdzie stąd z paniami, jak przystało na mężczyznę opiekuńczego względem matki i siostry.

– Ach. – Wytrzeszczył czarne oczy w teatralnym grymasie. – Więc to mam teraz uczynić.

– Tak. Potrafi pan?

– Z jedną ręką zawiązaną na plecach.

– I błagam, niech pan zachowuje się zwyczajnie. Bez ostentacji.

– Dobrze. – Stał i przypatrywał się jej.

– Już – ponagliła. – Pora iść. Pańska matka dowie się lada chwila, o ile już się nie dowiedziała. – Pokazała to gestem.

Stał nadal, patrząc na nią z dużym skupieniem, aż zaczęła zdawać sobie sprawę z żaru tego spojrzenia i jakiejś naglącej potrzeby. Poczuła się tak, jakby nie była w pełni ubrana.

Och, na litość boską! Nie teraz.

– Musi pan iść – powtórzyła. Próbowała go wypchnąć.

Równie dobrze mogłaby wypchnąć ceglany mur.

Popatrzyła w górę, prosto w jego twarz.

– To łaskocze – powiedział.

– Idź, idźże już! – powtórzyła.

Odszedł.

* * *

Przed paroma chwilami Longmore szykował się, by zabić.

Teraz robił wszystko, by powstrzymać się od śmiechu.

Sophy w stroju domowej służącej z głupawym spojrzeniem szeroko otwartych oczu, które znikło, kiedy straciła cierpliwość i nazwała go osłem.

A potem ta ślicznotka złapała go za ramię i próbowała wyprowadzić. To była najzabawniejsza rzecz, jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła.

„Proszę zostawić to nam” – powiedziała.

W żadnym razie, pomyślał. Jeśli jednak miał swoim posłuszeństwem sprawić jej przyjemność, to niech sobie ma.

W tym ugodowym stanie umysłu udał się na poszukiwanie matki i siostry. Nie było trudno je znaleźć. Wystarczyło skierować się tam, skąd dochodził wrzask.

Był to tylko jeden okrzyk, po czym lady Warford w całej swej godności zemdlała.

Zręcznie i z wdziękiem zorganizował rodzinne wyjście. Zachowywał się przy tym po męsku i opiekuńczo, tak jak go poinstruowano.

Z Adderleyem rozprawi się później, obiecał sobie.

A potem...

Cóż, zajmie się, rzecz jasna, Sophy.

* * *

Rezydencja Warfordów,
sobota po południu

– Claro, jak mogłaś! – krzyczała lady Warford. – Z tym bankrutem!

Leżała na kozetce w swoim salonie, a na stoliku obok stała taca wypełniona środkami wzmacniającymi.

Clara potrzebowała tych środków znacznie bardziej niż jej matka. Chciała – jak nigdy – być mężczyzną, by rozwiązać swoje problemy po męsku – upić się, wdać w pojedynek, a potem rzucić się w wir hazardu i zaszaleć z kokotami.

Była jednak damą. Siedziała wyprostowana na krześle i powiedziała:

– Cóż to za pytanie, mamo? Sądzisz, że dałam się upokorzyć umyślnie?

– Uczyniłaś coś, czego nie powinnaś była czynić umyślnie – odparła matka. – Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

Wtedy nie wyglądało to aż tak źle. Clara tańczyła walca z lordem Adderleyem i zakręciło jej się w głowie. Możliwe, że z powodu zbyt dużej ilości wina. A może dlatego, że wykonała zbyt wiele tanecznych obrotów. Albo z obu tych powodów. Zaproponował, by wyszli na świeże powietrze. Niezauważone wymknięcie się na taras dostarczyło przyjemnego dreszczyku. A potem opowiadał różne głupstwa, słodkie głupstwa i wyglądał na tak namiętnie zakochanego.

A potem...

Gdyby była teraz sama, zasłoniłaby twarz i się rozpłakała.

Tak właśnie zawsze postępowała mama. Szlochała, krzyczała i mdlała.

Clara wyprostowała się jeszcze bardziej i złożyła ręce. Zapragnęła wyskoczyć przez okno, by znaleźć się jak najdalej stąd.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Harry.

Miała ochotę zerwać się i podbiec do niego tak, jak czyniła to w dzieciństwie, kiedy czegoś się przestraszyła albo było jej bardzo smutno. Gdy ptasie gniazdo spadło na ziemię i rozbiły się jaja. Albo kiedy zachorował szczeniak. Czy też – gdy dobito rannego konia.

Nie byli już jednak dziećmi, a mama wyczerpała całą histerię, jaka mogła się zmieścić w jednym pokoju. Harry miał się z czym zmagać.

– Jesteś wreszcie! – zawołała mama. – Musisz wyzwać Adderleya na pojedynek, Harry. Musisz go zabić.

– To rzecz trochę śliska – odparł. – Widziałem się z ojcem po przyjeździe. Powiedział, że hultaj poprosił o rękę Clary. – Podszedł do matki i lekko cmoknął ją w czoło. Wyprostował się i dodał: – Powinienem był go zabić, kiedy miałem okazję. Ale Clara weszła mi w drogę.

A jaki miała wybór? Bała się, że Harry zabije Adderleya – człowieka, który nawet nie próbował się bronić. Byłoby to morderstwo, a Harry mógł za to pójść na stryczek albo musiałby uciekać i zamieszkać na zawsze w obcym kraju – tylko dlatego, że ona okazała się niemądra.

Wyglądało na to, że najprawdopodobniej zrujnowała sobie życie. Nie zamierzała niszczyć życia bratu.

– Mamo, jeśli Harry zabije lorda Adderleya, moja reputacja pozostanie zniszczona na zawsze – rzekła stanowczo Clara. – Jedyna droga, by ją naprawić, to małżeństwo. Lord Adderley się oświadczył, ja go przyjęłam i jest po wszystkim.

– Naprawdę? – Harry popatrzył na nią.

– Tak – potwierdziła. – A skoro mama jest zbyt zmęczona na jakikolwiek wysiłek i z pewnością niegotowa, by pokazać się publicznie, chciałabym, żebyś wybrał się ze mną po ślubną suknię.

– Ślubną suknię! – wrzasnęła matka. – Za dużo myślisz o strojach! I cały elegancki świat za dużo o tych strojach wie! W moich czasach młode damy nie robiły z siebie widowiska i nie reklamowały każdego dzieła sztuki krawieckiej, które na siebie wkładały. Żeby twoja halka opisywana była – ze szczegółami! – w gazecie, jakbyś była jakąś kurtyzaną albo żoną bankiera. Powinnaś się rozchorować z zażenowania. Lecz ciebie nic nie zawstydza. Nic dziwnego, że ostatniego wieczoru zachowałaś się jak

pospolita ulicznica. To wina tych francuskich stylistek. Jeśli jeszcze raz postawisz nogę w ich sklepie, wyrzeknę się ciebie!

– Boże, a cóż to znowu za różnica? – spytał Harry. – O ile Adderleya nie spotka tragiczny wypadek, ona i tak będzie musiała wyjść za niego w takiej czy innej sukni. Może przecież teraz dostać kilka porządnych sztuk garderoby, bo najprawdopodobniej po ślubie nie będzie jej stać na zbyt wiele.

– Adderley może ją sobie wziąć w koszuli – rzekła matka. – To zwyczajny łowca posagów i w dodatku nikczemny uwodziciel. Nawet ja to dzisiaj widzę! Świeżo upieczony baron – po uszy tonący w karcianych długach. Jego matka to córka irlandzkiego karczmarza! Kiedy pomyślę, że moja córka mogła zostać księżną Clevedon!

– Stanowczo radzę przestać o tym myśleć – odezwał się Harry. – Zniszczyliby się nawzajem.

– Adderley za to da jej szczęście?

Kobieta opadła na poduszki i zamknęła oczy.

– Clara weźmie go w cugle – pocieszył matkę Longmore. – A jeśli nie uda się jej wyleczyć go z hulaszczego trybu życia, to kto wie? Może wpadnie gdzieś po pijanemu w rów albo wyleci z powozu, a ona zostanie młodą wdową? Staraj się dostrzec jasne strony.

Powinien wiedzieć, że nie była to najlepsza taktyka radzenia sobie z matką, która nie miała pojęcia, czy żartował, czy nie, a to tylko dolało oliwy do emocjonalnego ognia.

Clara wybrała skuteczniejszą drogę.

– Ciekawe, co powie lady Bartham, kiedy usłyszy, że mam być odesłana bez wyprawy, jedynie w sukni ślubnej – powiedziała.

Nastąpiła krótka chwila złowrogiej ciszy.

Po chwili matka na powrót usiadła. Otarła oczy chusteczką i powiedziała:

– Moje życzenia się tu nie liczą. Musimy wziąć pod uwagę zdanie twojego ojca. Przekonam go, żeby pozwolił ci na zakup ślubnej sukni. – Machnęła chusteczką. – Lecz nie od tych francuskich ladacznic! Pójdziesz do pani Downes.

– Downes! – zakrzyknęła Clara. – Majaczysz, mamo? Przecież zamknęła sklep.

Zagryzła wargi. Powinna, jak zwykle, zachować spokój. Musiała, mając brata z gorącą głową i matkę skłonną do histerii. Szczęśliwie ta ostatnia

była zbyt przejęta własnymi uczuciami, by zwracać uwagę na cokolwiek innego.

– Tylko czasowo – wyjaśniła matka. – Wczoraj przysłała mi bilecik, że znów otworzyła, dzięki Bogu. Pójdziesz do niej. Twoja moralność jest w strzępach, ale przynajmniej możesz ubrać się godnie.

– Dobrze, mamo – poddała się Clara.

Harry rzucił jej ostre spojrzenie.

Odwzajemniła się ostrzegawczym.

* * *

Tymczasem przy St. James pod numerem pięćdziesiątym szóstym siostry Noirot z niedowierzaniem wpatrywały się w skromne ogłoszenie.

Dzisiejsze „Poranne Zwierciadło” trafiło do sprzedaży dopiero po otwarciu sklepu. Poranek był niezwykle pracowity, nie miały więc czasu, by przejrzeć więcej niż nagłówki.

Teraz w salonie wystawowym Maison Noirot radziła sobie samotnie zręczna sprzedawczyni Selina Jeffreys.

Trzy siostry natomiast stłoczyły się przy biurku w gabinecie Marcelline z oczami utkwionymi na stronie z ogłoszeniami.

Oto pani Downes obwieszczała, że z prawdziwą przyjemnością, po odnowieniu wnętrz, na powrót otwiera swoją krawiecką pracownię i sklep.

Sophy zwietrzyła to poprzedniego wieczoru na przyjęciu. Wspomniała o tym siostrom. Miały jednak nadzieję, że to tylko – jak zwykle – niepoparta faktami pogłoska.

I bez tego miały już dosyć kłopotów.

– Niech ją wszyscy diabli – odezwała się Marcelline. – Powinnyśmy były ją wykończyć. Zamknęła pracownię. Mówiła, że z powodu remontu, ale zwolniła przecież pracowników. Byłam pewna, że wyślizgnęła się z Londynu jak żmija, którą wszak jest.

Żmiją była Hortensja Downes, właścicielka sklepu określanego w Maison Noirot nie inaczej niż ,,U Pretensji”. Parę tygodni wcześniej ona i jedna z jej pupilek doprowadziły siostry na krawędź ruiny. Siostry jednak zastosowały wobec niej swoją sztuczkę i obnażyły przed światem jej oszustwa i fałszerstwa.

Albo tak im się tylko zdawało.

Marcelline potrząsnęła głową.

– Przecież kradzież moich pomysłów powinna ją bezpowrotnie wykończyć.

– Obwiniła o nią szwaczki – rzekła Sophy. – A swoim protektorkom powiedziała, że zatrudniła nowy personel.

– Niech ją cholera – zaklęła Marcelline. – Kto by pomyślał, że Pretensja okaże się na tyle bystra, żeby odzyskać dobrą opinię...

– Na jej miejscu zrobiłabym to samo – powiedziała Sophy. – Zrzuciłabym winę na personel. Wyczyściłabym dom. I postarałabym się wyznać „prawdę” o tym, jak to zostałam ofiarą niewdzięcznych pracownic. A potem rozesłałabym klientkom listy jeszcze przed ukazaniem się ogłoszenia w gazecie.

– To bardzo niedobrze – powiedziała Marcelline. Popatrzyła na siostry pytająco. – Ile już przeze mnie straciłyśmy?

Sophy i Leonie spojrzały po sobie.

– Rozumiem – podchwyciła Marcelline. – Jest gorzej, niż myślałam.

– Lady Warford ma naprawdę potężne wpływy w towarzystwie – odezwała się Leonie. – Nikt nie chce kupować w miejscu, które ona potępiła.

– Przecież ubiera się fatalnie! – wykrzyknęła Marcelline.

– Ona uważa inaczej, a nikt nie ma odwagi powiedzieć jej prawdy – powiedziała Sophy. – Poza tym reszta nie jest wcale bardziej wyrobiona od niej. Są jak stado owiec, a ona jest jego przewodnikiem, wszystkie to wiemy.

– Ona mnie nienawidzi – zauważyła Marcelline.

– Najprawdziwszą, rozpaloną do czerwoności nienawiścią, jaką jej klasa przeznacza zwykle dla anarchistów i republikanów – dodała Sophy.

Marcelline zaczęła się przechadzać po gabinecie.

– Nie byłoby aż tak źle, gdyby lady Clara nie wpakowała się w kłopoty z nieodpowiednim mężczyzną – powiedziała Leonie. – Mogłaby zostać wyrocznią w sprawie mody i pomóc nam zdobyć klientelę wśród młodszego pokolenia.

– Wybrała jednak niewłaściwego męża – skwitowała Marcelline. Powróciła do biurka, odłożyła na bok gazetę, po czym wzięła swój notes

i zaczęła w nim zajadle rysować grube, energiczne kreski. – Powiedz prawdę, Leonie.

– Stoimy przed wizją bankructwa – powiedziała zwyczajnie rudowłosa siostra Noirot.

Żadna nie zająknęła się ani słowem na temat małżonka Marcelline, który za zawartość swoich kieszeni mógł kupić kilka takich sklepów.

Nie chciały, by ktoś je kupił.

To był ich butik. Trzy lata temu przyjechały z Paryża, gdzie straciły wszystko. Przyjechały z chorym dzieckiem, paroma monetami w kieszeni i swoim talentem. Marcelline wygrała pieniądze przy stoliku do gry. To pozwoliło im zacząć.

Teraz musiała boleśnie poczuć, że zniszczyła wszystko, na co pracowała razem z siostrami. Dla miłości.

Marcelline miała jednak prawo kochać i być kochaną. Pracowała bardzo ciężko. Zniosła tak wiele. Zasługiwała na szczęście.

– Już raz stanęłyśmy w obliczu ruiny – powiedziała Sophy. – To nie jest nic gorszego od Paryża i od cholery.

– Tutaj też przeżyłyśmy katastrofę – przypomniała Leonie.

– Z pomocą Clevedona – zauważyła Marcelline. – Której nie chciałyśmy przyjąć, ale okazało się, że nie mamy innego wyjścia.

– Nalegałyśmy, żeby to była pożyczka – kontynuowała Leonie.

– Której teraz, jak się zdaje, już nie spłacimy – powiedziała Marcelline, nadal wściekle kreśląc kształty w notatniku. – I nie poprawi sytuacji fakt, że będziemy musiały poprosić o następną. Albo powinnyśmy pogodzić się z klęską. Leonie miała rację, jak się okazuje. Odgryzłyśmy za duży kęs i nie damy rady go przeżuć.

Przed kilkoma tygodniami, kiedy książę Clevedon znalazł dla nich nowy lokal, Leonie ostrzegała, że nie mają dostatecznie dużo klientek, by utrzymać tak wielki butik przy St. James.

– Zawsze odgryzamy więcej, niż dajemy radę przeżuć – sprostowała Sophy. – Przyjechałyśmy z Paryża z niczym i w zaledwie trzy lata stworzyłyśmy świetny salon mody. Zaczaiłyśmy się, żeby schwytać lady Clarę, i udało nam się – chociaż niedokładnie tak, jak planowałyśmy. Nie byłybyśmy tu, gdzie jesteśmy, gdybyśmy zachowywały się jak normalne kobiety. Nie rozumiem, dlaczego akurat teraz miałybyśmy zacząć zachowywać się zwyczajnie. Bo nasza najważniejsza klientka popełniła

błąd w wyborze męża, co czyni zresztą większość kobiet? Ja nie mam zamiaru poddawać się tylko z powodu trudności finansowych.

Marcelline spojrzała znad rysunku i nareszcie się uśmiechnęła.

– Tylko ty potrafisz nieuchronne bankructwo nazwać trudnościami finansowymi.

– Kłopot z tobą polega na tym, że się zakochałaś i masz z tego powodu wyrzuty sumienia, co w ogóle nie pasuje do Noirotów – odcięła się Sophy.

– Ma rację – przytaknęła Leonie. – Wyszłaś za księcia. Świat oczekuje od ciebie, że będziesz arcyszczęśliwa. To wielka wygrana. O ile mi wiadomo, do tej pory nie udało się to nikomu z rodziny, z żadnej strony.

– Nie tylko księcia, ale jeszcze nieprzyzwoicie bogatego księcia – dorzuciła Sophy. – Twoja córka może się teraz bawić w prawdziwych zamkach i pałacach.

– Przestań więc rozpamiętywać – rzekła Leonie.

– Stoję przed klęską – broniła się Marcelline. – Gigantyczną, katastrofalną klęską, z której będzie rechotała ta gadzina, koszmarna Pretensja. Daje mi to prawo do rozpamiętywania.

– Nie, nie daje – zaprotestowała Sophy. – Ona nie będzie rechotać, a my nie poniesiemy klęski. Coś wymyślimy. Zawsze coś wymyślamy.

– Musimy myśleć szybko – wtrąciła Leonie. – Został niecały miesiąc do końca kwartału.

Początek lata, dwudziesty czwarty czerwca. Wtedy przypadała data płatności czynszu i innych rachunków.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam? – zawołała Marcelline.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, ukazując fragment szczupłej postaci Mary Parmenter, jednej ze szwaczek.

– Proszę wybaczyć, wasza książęca wysokość i panie. Przyszła lady Clara Fairfax. I lord Longmore.

Rozdział 3

Z całą pewnością istnieje powiązanie pomiędzy suknią
a umysłem. Uważny obserwator wyśledzi pewne
zależności. Zarówno słabi, jak i zdecydowani
zawsze podlegają wpływowi dobrej lub kiepskiej sukni.
„Lady's Magazine & Museum", czerwiec 1835 roku

To rodzaj domu publicznego dla kobiet, pomyślał Longmore.

Sklep miał nawet dyskretne tylne wyjście, zarezerwowane, bez wątpienia, dla luksusowych kurtyzan i mężczyzn, którzy je utrzymywali.

Parę chwil wcześniej skromnie, lecz schludnie odziana kobieta wpuściła ich tędy i poprowadziła bocznymi schodami, wyłożonymi dywanem i skąpo oświetlonymi. Bladozielone ściany ozdobione były małymi pejzażami i portretami przedstawiającymi modę dawnych epok.

Był już w butiku Maison Noirot, ale te wnętrza tworzyły zgoła inny świat.

Pomieszczenie, do którego wprowadziła ich kobieta, przypominało salon z mnóstwem malowideł i bladoróżowymi ścianami. Pokój zastawiono bibelotami z porcelany, stoliki przykryto koronkowymi serwetami. Już samo powietrze pachniało kobieco i bardzo subtelnie. Jego nozdrza wyczuwały cień delikatnej woni, jakby przenoszono tędy przed chwilą bukiet kwiatów i ziół. Wszystko dookoła było delikatne, a zarazem luksusowe. Kojarzyło się z niewolnicami z haremów na malowidłach. Z odaliskami.

Dywan kusił, by się na nim wyciągnąć, wezwać tancerki i zapalić fajkę z haszyszem.

Otworzyły się drzwi. Wszystkie jego zmysły zamarły w pogotowiu.

W progu stanęła elegancko ubrana kobieta z tacą. Postawiła ją na stoliku do herbaty. Longmore zauważył talerz z ciasteczkami. Obok niego, zamiast dzbanka z herbatą, stała karafka.

Kiedy kobieta wyszła, powiedział:

– Ach, więc tak to robią. Częstują cię alkoholem.

– Nie, to ciebie częstują alkoholem, bo wiedzą, że inaczej będziesz się nudził – sprostowała Clara. – Chociaż nie miałabym nic przeciwko czemuś na wzmocnienie. – Zatopiła się w fotelu. – Och, Harry, co ja najlepszego robię?

Jej twarz się skurczyła.

Znał tę minę. Zwiastowała łzy.

Wzięła go przez zaskoczenie. W drodze tutaj zdawała się być w dobrym nastroju. Podbródek trzymała wysoko, oczy jej błyszczały. Nie zdziwił się, kiedy oznajmiła, że ma ją zabrać do Maison Noirot. Pokaz potulności przed matką nie oszukał go.

Clara była tak anielsko piękna, że ludzie uważali ją za łagodną i skłonną do ustępstw. Błędnie przyjmowali jej obojętność za uległość. Należała do tego rodzaju kobiet, którym nie zależało na zbyt wielu rzeczach. Kiedy jednak znalazło się już coś takiego, potrafiła być uparta jak osioł.

Skoro siostry Noirot przekonały ją do swoich strojów, obstawała przy nich z uporem godnym lepszej sprawy.

Starał się nie poddać panice.

– Daj spokój, Claro. Nie lej tu łez. Powiedz, o co chodzi, i załatwione.

Znalazła chusteczkę i pośpiesznie wytarła oczy.

– Och, chodzi o mamę. Gra mi na nerwach.

– Tylko tyle? – spytał.

– Mało? – spytała. – Stałam się pośmiewiskiem w towarzystwie, mam wyjść za mąż w pośpiechu, a moja matka nie robi nic, tylko wyrzuca mi każdą rzecz, którą jej zdaniem zrobiłam źle.

– A to – wskazał ręką otoczenie – będzie kolejna taka rzecz.

– Jak to kolejna? – zaprotestowała Clara. – To przynajmniej podniesie mnie na duchu. W przeciwieństwie do wizyty u tej niedouczonej w sprawach mody damulki, której matka zaufała zupełnie wbrew rozsądkowi.

Zabrał ją tu, ponieważ chciała tu przyjechać... a także dlatego, że i on wolał być właśnie tutaj.

W Maison Noirot było nieprzyzwoicie drogo, jego właścicielki były uwodzicielkami (jeśli chodziło o stroje) kuszącymi do pierwszego zamówienia, było poza tym bardzo francusko, a nade wszystko – miejsce to było matecznikiem Sophy Noirot.

Jeśli jakikolwiek mężczyzna mógł się przywiązać do butiku, to było to właśnie to miejsce.

Jego wybór oznaczał jednak więcej kłopotów dla Clary. Jeszcze więcej.

– Nasza matka urządzi z tego powodu awanturę – ostrzegł. – A ty przyjmiesz na siebie cały jej impet.

– Te stroje będą tego warte – broniła się.

I będzie to ostatnia okazja, by pozwolić sobie na tego typu ekstrawagancje, póki on nie znajdzie sposobu na jednoczesne pozbycie się Adderleya i odbudowanie reputacji Clary.

Nie był pewien, czy Clara chciała się pozbyć swego narzeczonego, ale gdyby było inaczej, okazałaby się albo szalona, albo głupia, co oznaczałoby, że jej życzenia nie powinny się liczyć.

Musiał bezwiednie zmarszczyć czoło, bo dodała:

– Dla mnie to będzie rozrywka, ale wiem, że ty zanudzisz się na śmierć. Nie musisz tu zostawać. Wrócę do domu dorożką.

– Dorożką? – powtórzył. – Oszalałaś? Nie chcę nawet o tym słyszeć. – Przyłożył omdlewającą rękę do skroni, podniósł głos o oktawę i powiedział, do perfekcji naśladując ton ich matki: – Jak mogłeś, Harry? Swoją własną siostrę zostawić w brudnym publicznym powozie? Bóg tylko raczy wiedzieć, kto ją widział, gdy podróżowała po ulicach Londynu niczym jakaś subiektka. Ze wstydu nie spojrzę przyjaciółkom w oczy.

Usłyszał za sobą szelest pelerynki i coś... jakby stłumiony chichot?

Odwrócił się z mocno bijącym sercem.

Trzy młode kobiety – brunetka, blondynka i rudowłosa stały przed nim, wyrażając uprzejme zainteresowanie. Dwie ostatnie miały ogromne, szokująco błękitne oczy. W tych oczach wykrył oznaki rozbawienia, które, jak mu się zdawało, słyszał, lecz nie było to wcale oczywiste.

Prawdę mówiąc, dostrzegł je tylko w oczach Sophy, ponieważ jej siostry równie dobrze mogłyby być cieniami, greckim chórem czy też zasłonami przy oknie.

Wszystkie były atrakcyjne, każda na swój sposób interesująca.

Jednak ona nie miała sobie równych.

Wystarczyło na nią spojrzeć. Kręcone włosy o kolorze bladego złota pod koronkowym czepkiem. Ogromne, wymownie patrzące oczy barwy głębokiego szafiru. Mały zgrabny nosek. Zapraszające pełne usta, ostry, uparcie mały podbródek. A pod szyją... cóż, było jeszcze lepiej.

Przepysznie, pomimo obłąkańczego stylu ubrania uznawanego za szczyt mody.

– Księżno – odezwała się Clara, wstając z fotela i kucając w głębokim ukłonie.

– Błagam, proszę nie nazywać mnie księżną – odparła Marcelline. – To sklep. W jego wnętrzu możemy udawać, że jesteśmy we Francji, gdzie do księżnej mówi się ,,madame", tak jak do każdej pracującej kobiety. Proszę myśleć o mnie jako o zwykłej krawcowej.

– Najlepszej na świecie stylistce – poprawiła Sophy.

– A pani w takim razie jest...? – odezwał się pytająco Longmore.

– Drugą najlepszą stylistką na świecie – dokończyła Sophy.

– Ktoś powinien wyjaśnić pani zagadnienie stopniowania przymiotników – powiedział. – Rozumiem, że angielski nie jest pani pierwszym językiem.

– Nie jest moim jedynym pierwszym językiem, milordzie – powiedziała. – *Le français est l'autre.*

– Może ktoś powinien też wytłumaczyć pani znaczenia słów *jedyny* i *pierwszy* – rzekł.

– O tak, proszę mnie oświecić, milordzie – rzekła, otwierając szeroko błękitne oczy. – Nie mam głowy do liczebników. Leonie zawsze się na to skarży. Mówi: czy nigdy nie nauczysz się liczyć?

– A jeszcze... – zaczął.

I wtedy spostrzegł, że odciągnęła go od Clary, która właśnie zmierzała z dwiema siostrami Noirot w stronę drzwi.

– Gdzie się wymykacie? – spytał.

– Oglądać wzory – odparła Clara. – Na pewno cię to nie zainteresuje.

– To zależy – powiedział.

– Od czego? – spytała Sophy.

– Od tego, jak bardzo znudzony się teraz czuję. – Rozejrzał się dookoła. – Nie ma tu zbyt wiele rozrywek.

– Klub dla dżentelmenów jest parę kroków dalej – poradziła Sophy. – Może raczej zaczeka pan tam. Poślemy po pana, kiedy lady Clara skończy.

– No, nie wiem. Czuję, że powinienem tu zostać i studzić jej zapał do zakupów.

– Pan i studzenie zapału... – zadrwiła Sophy.

– Ekscytujące kobiety. Stroje. Nieuchronny gwałt na rachunku ojca. Wydaje się, że przyda się tutaj chłodny rozsądek mężczyzny.

– Harry, wiesz, że papa nie dba o to, ile wydaję na stroje – powiedziała Clara. – Lubi, kiedy dobrze wyglądamy. I wiem też, że i ciebie nie obchodzi zbytnio, co sobie kupuję. Miło z twojej strony, że mnie tu przywiozłeś, ale nie musisz się mną opiekować. Jestem całkowicie bezpieczna.

Powiódł spojrzeniem po trzech siostrach, by zatrzymać wzrok na Sophy. Zebrał myśli i starannie dobrał słowa.

– Doskonale. Mężczyźni jaśniej myślą, gdy otaczają ich kobiety, a poza tym muszę stworzyć sobie alibi.

Złapała przynętę, bo spojrzała surowo.

– Dlaczego? – spytała. – Czyżby planował pan morderstwo?

– Jeszcze nie – powiedział. – Nie pozwolicie mi zabić pana młodego. Nie, potrzebuję alibi dla Clary, której wcale nie powinno tu być.

– Mama powiedziała, że mam pojechać do panny Downes – wyjaśniła Clara. – Harry’emu zrobiło się mnie szkoda.

– Zrobiło mi się szkoda samego siebie – sprostował. Powrócił spojrzeniem do Sophy. – Przywiozłem tu siostrę, żeby uciec przed łajaniem, narzekaniem i szlochaniem, to wszystko.

– Zatem winna jestem panu przysługę w formie wspomnianego alibi.

Pomyślał o wielu możliwych miłych aktach podziękowań, lecz na początek ten powinien wystarczyć.

– Powinno być nieskomplikowane – uprzedził.

– Wiem. – Przewróciła oczami.

– Jestem prostym człowiekiem.

– To jest tak proste, że nawet skończony głupiec to zapamięta – powiedziała. – Kiedy lady Clara wróci do domu, powie, że był pan nietrzeźwy i przywiózł ją pan tutaj zamiast do panny Downes, a potem utrzymywał z uporem maniaka, że to właściwe miejsce.

– O, znakomicie! – wykrzyknęła Clara.

– Doskonale, wystarczy – zgodził się. – Będzie mogła powiedzieć, że stałem nad nią i zmusiłem, by zamówiła sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt sukien, kilkadziesiąt halek i...

Jego umysł zaczął doznawać zaćmienia. Miraże muślinowych i koronkowych części bielizny zamuliły mu umysł, a gdzieś w tym bieliźnianym nieładzie majaczył niebieskooki anielski diabeł, w dużej mierze obnażony. Machnął ręką, by odpędzić te obrazy. Nie był czas po temu. Dopiero rozpoczął oblegać tę twierdzę i dobrze wiedział, że to

twierdza wielce podstępna. Pełna tajemnych przejść i zdradzieckich zasadzek.

Gdyby była łatwa do zdobycia, byłoby to nudne.

– I wszystkie rodzaje dodatków. A kiedy nasza matka odzyska przytomność i zażąda od Clary anulowania zamówienia, siostra zwróci się do naszego nadmiernie racjonalnego rodzica, który potwierdzi, że nie można tak, pod wpływem kaprysu, anulować zamówienia.

Sophy splotła ręce. Coś zalśniło w jej oczach. Poza tym wyraz jej twarzy pozostał nieodgadniony.

– Doskonale – rzekła. – Tak trzymać, nie trzeba koloryzować.

– Nie ma strachu – zapewnił. – W każdym razie łatwo uczynić tę historyjkę częściowo prawdziwą. Muszę tylko wskoczyć do swojego klubu i zdrowo popić, aż skończysz doprowadzać naszego ojca do bankructwa. Wówczas, kiedy odwiozę cię do domu, nikt nie będzie miał kłopotu, by uwierzyć w moją nietrzeźwość.

Wyszedł z salonu.

Dotarł do schodów i zaczął po nich schodzić.

Za sobą usłyszał odgłos pośpiesznych kroków i szelest falbaniastej halki.

– Lordzie Longmore!

Wymawiała jego nazwisko jak nikt inny, nie litera po literze, lecz w sposób, w jaki wymawia się imiona Rzymian – z zaakcentowanymi spółgłoskami i połkniętymi samogłoskami. Dodatkowo dochodził do tego leciutki francuski akcent.

Spojrzał w górę.

Stała na samym szczycie schodów i przechylała się przez poręcz.

Widok był cudowny. Widział jej jedwabne pantofelki z kokardami, które zwracały uwagę na doskonały łuk podbicia i zgrabne kostki. Widział delikatne jedwabne pończochy opinające kawałek stopy i nogi powyżej. Jego wyobraźnia łatwo dopisała sobie to, czego w polu widzenia nie było: miejsce nad kolanem, gdzie zaczynały się podwiązki, które w jego wizji były czerwone i wyhaftowane we francuskie sprośności.

Przez chwilę milczał i upajał się tym obrazem.

– Wspaniałe wyjście – pochwaliła.

– Też tak myślę.

– Nie chciałam go zepsuć – ciągnęła. – Ale mam pomysł.

– Jest pani genialna – pochwalił. – Najpierw alibi, a teraz pomysł. I wszystko w tym samym dniu.

– Pomyślałam, że mógłby mi pan pomóc.

– Ośmielam się wierzyć, że mogę – rzekł, kontemplując jej kostki.

– Z pańską matką.

Podniósł wzrok na jej twarz.

– A co by pani chciała jej zrobić?

– Najlepiej, gdybym mogła ją ubrać.

– To byłoby trudne, zważywszy, że ona pani nienawidzi – powiedział. – To znaczy nie chodzi o panią osobiście, ale jako osobę bliską księżnej Clevedon, co zresztą dotyczy również całego sklepu.

– Wiem, ale jestem pewna, że możemy ją wyleczyć z nienawiści. To znaczy ja mogę to zrobić. Z małą pańską pomocą.

– Co pani proponuje, panno Noirot? Czy mam napoić czymś jaśnie panią i przynieść ją, zemdloną, do waszej jaskini, gdzie zmusicie ją do przymierzania sukien?

– Potraktujmy to jako środek ostateczny. Miałam na myśli coś znacznie prostszego. I nikt nigdy się nie dowie, że nas pan wspomógł

– To Londyn – zaoponował. – Tu nie istnieje coś takiego jak „nikt nigdy się nie dowie”.

– Nie, naprawdę. Obiecuję...

– Ja nie dbam o to, czy ktoś się dowie – pośpieszył z deklaracją.

– Słusznie, zapomniałam. Ale mnie nikt nie może rozpoznać.

– Czy to oznacza przebranie?

– Tylko dla mnie – uspokoiła. – Muszę złożyć wizytę Pretensji, widzi pan, i...

– A Pretensja to...?

– Koszmarna Hortensja Downes, potwór, który wciska pana matkę w te okropne stroje. Chcę dostać się do jej sklepu.

Wiedział, że całym jej światem były stroje, a koniec tego świata mógł nastąpić wskutek niewłaściwie wykonanego ukłonu.

– Proponuje mi pani wyprawę szpiegowską za linię wroga – domyślił się.

– Tak właśnie – potwierdziła.

– Zamierza pani wysadzić to miejsce w powietrze?

– Tylko w ostateczności.

Z radością ją tam zabierze, nawet jeśli ona nie posunie się tak daleko. Zabrałby ją gdziekolwiek. Zbyt szybka zgoda oznaczałaby jednak, że Sophy zaraz stąd odejdzie, a on jeszcze nie znudził się podziwianiem jej kostek.

Udał, że się waha.

– To potrwa tylko godzinę – zachęcała. – Nie powinno zakłócić napiętego planu pańskich zajęć.

– Normalnie nie – powiedział. – Teraz mam jednak na głowie Adderleya, a to wymaga dogłębnego i długiego rozpoznania.

– Nie ma pan na głowie żadnego Adderleya – zaprotestowała. – Czy nie powiedziałam, że ja i moje siostry się nim zajmiemy?

– To nie jest sprawa, którą chciałbym pozostawiać kobietom – rzekł. – Można się przy tym ubrudzić, a ja nie ścierpiałbym, gdyby pani piękna suknia doznała nieprzyjemności.

– Proszę mi wierzyć, lordzie Longmore, moje siostry i ja miałyśmy już do czynienia z większym bałaganem.

Spojrzał jej w oczy. W ich błękicie wychwycił błysk czegoś nieoczekiwanego i surowego. Umknęło w jednej chwili, ale nasunęło wspomnienie mężczyzn, którzy się za nią uganiali i wyszli z tego doświadczenia poranieni.

– Proszę pozwolić mi to przemyśleć – powiedział. – Zrobię to w przepastnych otchłaniach mojego klubu.

Zszedł na dół.

* * *

Dwie godziny później

Ze strony słynnego łukowego okna White’a, gdzie parę dekad temu rej wodził Beau Brummell, doszedł nagły odgłos poruszenia i wtargnął w leniwe, nudne popołudnie. Hałas stopniowo narastał, aż zwrócił w końcu uwagę lorda Longmore’a.

Usadowił się w salonie z „Porannym Zwierciadłem”, by przejrzeć historię Sophy o tym, co zaszło poprzedniego wieczoru. Jeśli szło o dramatyczny styl i fanatyczne przywiązanie do każdego nudnego

centymetra sukni Clary, Sophy przeszła samą siebie. Clara była „okrutnie oszukaną niewinnością”, Longmore ukazał się jako wzorowy brat-mściciel, a opis sukni ociekający francuskim żargonem znanym wyłącznie kobietom zajmował dwie z trzech kolumn tytułowej strony. Jej artykuł wyparł dosłownie wszystkie inne plotki, które Foxe nazywał wiadomościami.

Longmore przeczytał artykuł już rano po śniadaniu. Nie zobaczył w nim teraz nic nowego. Nie był pewien, co dobrego może on przynieść Clarze – chyba że był to tylko pierwszy krok kampanii. Jeśli tak, będzie czekał, aby się dowiedzieć, dokąd zaprowadzi.

Po przełknięciu największej na świecie kolekcji przymiotników i przysłówków przejrzał pozostałe plotki i wiadomości sportowe. Następnie przeszedł do stron z ogłoszeniami. Tutaj Maison Noirot przejął we władanie najlepsze miejsca, odsuwając do mrocznego kąta anonse o przyborach toaletowych, sztucznych zębach i sosach do sałatek.

I wtedy odkrył ogłoszenie pani Downes.

Zastanawiał się nad związkiem pomiędzy chęcią Sophy do odwiedzenia sklepu konkurentki a ogłoszeniem, kiedy ktoś przy oknie zapytał:

– Kim ona jest?

– Żartujesz – odpowiedział ktoś inny. – Nie wiesz?

– Czy pytałbym, gdybym wiedział?

Włączyły się inne głosy.

– Hempton, niewiniątko. Byłeś w śpiączce przez ostatni miesiąc?

– Jak mogłeś nie słyszeć o mezaliansie stulecia? Mówią o tym już na Syberii i w Tierra del Fuego.

– Ale to nie może być narzeczona Sheridana.

– Ani ucieczka, ty z trudem myślący człowieku.

– Masz na myśli Clevedona? – spytał Hempton. – On przecież ożenił się z brunetką. A to jest blondynka.

Longmore zamknął „Zwierciadło”, wstał z fotela i podszedł do okna.

– O co chodzi? – spytał, choć się domyślił.

Mężczyźni skupieni przy oknie pośpiesznie zrobili mu miejsce.

Sophy Noirot stała po drugiej stronie St. James. Podmuch wiatru przykleił tył jej bladożółtej sukni do nóg i wydął pelerynkę z przodu. Wiatr zadrwił sobie także z jej koronkowej, delikatnej parasolki, którą trzymała dla ochrony przed deszczem. Oberwanie chmury przeszło w kapuśniaczek,

a mglista jasna sylwetka Sophy pomiędzy powozami, jeźdźcami i przechodniami wyglądała jak obraz wyjęty ze snu.

Komentarze przy oknie jasno dowodziły, że nie była bynajmniej snem, mimo że w tej chwili grała zapewne główną rolę w wyuzdanych fantazjach wszystkich mężczyzn.

Była dostatecznie realna, mając na sobie coś na kształt szala sięgającego do kolan albo miejsca, gdzie prawdopodobnie znajdowały się jej kolana – pod kilometrami koronki i muślinu. Na blond fryzurze sterczał śmieszny kapelusz, przyozdobiony wstążkami, koronką i piórami. Longmore rozpoznał z tyłu kapelusza coś na kształt wiatraka zaaranżowanego z koronki i piór, kiedy pochyliła się nad chudym chłopcem. Dała mu coś, a on ruszył biegiem przez ulicę, klucząc między jeźdźcami i powozami.

Wtedy spojrzała w górę, prosto w okno klubu. Prosto na Longmore'a.

Uśmiechnęła się.

Wtedy wszyscy mężczyźni popatrzyli na niego i uśmiechnęli się.

Zrobił to samo.

Nie śpieszył się. Wysączył resztkę wina, ponownie przeczytał ogłoszenie, po czym kazał sobie podać swoje rzeczy.

Włożył kapelusz, rękawiczki, ścisnął laskę i wyszedł. Kapuśniaczek przeszedł w lekką mżawkę i wiatr nieco ucichł.

Przeszedł kawałek w górę ulicy. Sophy przyglądała się ruchowi na Piccadilly. Przechodzący mężczyźni nie mogli oderwać od niej wzroku.

Longmore spokojnie zszedł na jezdnię i przeszedł na drugą stronę ulicy.

– Myślałem, że znajdzie pani posłańca bliżej sklepu i prześle mi wiadomość, iż moja siostra gotowa jest wracać do domu – powiedział. – A dlaczego nie wysłała pani służącej albo szwaczki? Musiała pani wychodzić sama? W deszcz?

– Tak – powiedziała.

– Rozumiem, że ma mi pani coś specjalnego do powiedzenia.

– Mogłabym powiedzieć to wszędzie – odparła. – Nadarzyła mi się okazja, aby pokazać kapelusz mojego projektu. Nie jestem geniuszem, jeśli chodzi o suknie, jak Marcelline, ale moje kapelusze są całkiem niezłe.

Przyjrzał się kapeluszowi z koronkami, wiatrakiem i Bóg wie czym jeszcze.

– Dla mnie jest jaskrawo niedorzeczny – ocenił. – Ale rzuca się w oczy.

Uśmiechnęła się, aż zrobiły się jej dołeczki w policzkach, a jego serce radośnie podskoczyło, co go zdumiało.

– Żywię szczerą nadzieję, że jest pociągający na tyle, aby osłabić pański opór – powiedziała.

– Jaki opór?

– Wobec mojego planu.

– Ach, o to chodzi. O zabranie pani do Pretensji.

– Muszę się dowiedzieć, co zamierzają.

– Pomyślałbym, że to oczywiste – rzekł. – Ruszyły zniszczyć konkurencję, jak każdy szanujący się rywal.

Zaczął iść ulicą, zastanawiając się, jakich diabelskich sztuczek użyje Sophy, by przekonać go do zrobienia czegoś, co i tak zamierzał zrobić.

Szła u jego boku.

– Wiem. Muszę jednak mieć pewność, z czym mamy do czynienia: czy ze starą Pretensją, czy też z czymś nowym, z czymś, czego jeszcze nie poznałyśmy. Muszę wiedzieć, czy to miejsce i stroje, jakie oferuje, uległy jakimś zmianom.

– Przypuszczam, że dozna pani wstrząsu, kiedy powiem, że dla mnie wszystkie kobiece stroje wyglądają tak samo.

– Wcale nie doznam – zaoponowała. – Pan jest mężczyzną. I dlatego proszę pana o przysługę. Potrzebuję postawnego, silnego mężczyzny, na wypadek gdyby mnie zdemaskowano i gdybym miała narazić się osiłkom pilnującym Pretensji. – Przerwała na chwilę. – Kiedy brałyśmy miarę z pańskiej siostry, przypadkiem wspomniała o lady Gladys Fairfax i o tym, że szkoda, iż nie możemy się nią zająć.

– Kuzynka Gladys – powtórzył. – Niech pani nie mówi, że przyjedzie na wesele.

– Nie wiem, kto będzie zaproszony – powiedziała. – Kiedy jednak lady Clara o niej wspomniała, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Doszli do skrzyżowania z ulicą Benneta. Zatrzymali się, żeby przepuścić powozy i jeźdźców skręcających z St. James.

Kiedy droga była wolna, wziął ją pod rękę i pośpiesznie przeprowadził przez ulicę. Puścił ją, gdy znaleźli się na chodniku. W dłoni czuł jeszcze jej ciepło, które tak szybko powędrowało do jego lędźwi, że aż zakręciło mu się w głowie.

Boczne wejście do sklepu prowadziło przez wąskie podwórze od strony ulicy Benneta. Zaczekała, aż się tam znaleźli, po czym powiedziała:

– Lady Clara mówi, że matka państwa wybiera się do Pretensji na początku tygodnia, żeby zamówić suknię na wesele. Leonie zwolni mnie ze sklepu w piątek rano. Mógłby mnie pan tam wtedy zabrać?

Po gwarze St. James małe podwórze zdawało się azylem spokoju. Dobiegł go lekko znajomy zapach. Przysunął się trochę bliżej i wlepił wzrok w boczne wyjście, udając, że intensywnie się nad czymś zastanawia. Tymczasem upajał się tym zapachem. Składał się – rzecz jasna – z woni kobiety, lawendy... i czego jeszcze?

Spostrzegł, że opuszcza głowę niebezpiecznie blisko jej szyi. Wyprostował się.

– Osiłek – powiedział. – W butiku?

– Dwóch wielkich brutali – uściśliła. – Do ochrony przed pijakami i złodziejami. Przynajmniej tak utrzymuje panna Pretensja. Osobiście sądzę, że wynajęła tych mężczyzn, by trzymali w ryzach szwaczki. Wie pan, tak jak w domach publicznych.

– To brzmi jak zabawa – rzekł. – A pani pojawi się tam w przebraniu, rzecz jasna.

– Tak.

– Służącej, jak przypuszczam.

– Oczywiście, że nie – powiedziała. – Cóż służąca miałaby robić w sklepie z drogimi sukniami? Będę pańską kuzynką Gladys.

* * *

Lord Adderley nie tracił czasu i postarał się, by wzmianka o jego zaręczynach ukazała się w gazetach, ale pewne wiadomości i tak obiegały Londyn szybciej, niż oddawano do druku „Poranne Zwierciadło”. Od poniedziałku jego krawiec, szewc, kapelusznik, dostawcy win i tytoniu, wszyscy, którzy dostarczali mu wygód i rozrywek, ponownie otworzyli swoje księgi rachunkowe i przyznali mu kredyt.

Uratował się cudem.

Jeszcze tydzień i musiałby uciekać za granicę. Choć arystokraci nie szli do więzienia za długi, nie omijały ich inne nieprzyjemności, takie jak

choćby odcięcie od kredytu. Wszyscy jego usługodawcy i dostawcy chyba się zaś zmówili, bo odcięli go równocześnie, na dwa dni przed balem u lady Igby.

Nadchodzący ślub wzbudził w nich wszystkich większą wyrozumiałość.

Świętował zatem w poniedziałkowy wieczór z panem Meffatem i sir Rogerem Theakerem w prywatnej jadalni hotelu Brunswick. Podczas posiłku dżentelmeni obficie spełniali toasty i wino rozwiązało im języki. Nie miało to znaczenia, bo nie było w pobliżu nikogo, kto by ich usłyszał.

– To był wyrównany pojedynek – zauważył sir Roger.

– Przeraźliwie wyrównany – zgodził się lord Adderley.

– Nie byłem pewien, czy dasz radę – powiedział pan Meffat. – Obserwowali ją niczym kruki swoją ofiarę.

Lord Adderley wzruszył ramionami.

– Gdy ujrzałem lady Bartham zasiadającą na plotki z mamą, wiedziałem, że z tej strony przez jakiś czas mam spokój.

– Mnie martwił Longmore – rzekł pan Meffat.

Adderley powstrzymał chęć pomacania posiniaczonej szczęki. Miał więcej powodów do zmartwienia. Nieźle się spocił – jak tłumaczył lady Clarze – z podniecenia, że mógł się do niej zbliżyć i trzymać ją w ramionach – zwyczajowe trele-morele.

– Potrzebowałem tylko paru minut, a on był akurat na drugim końcu sali balowej. Wasze szybkie działanie uratowało sprawę.

Zadaniem Meffata i Theakera było ściągnąć na taras uwagę publiczności bez zwracania uwagi na siebie. Nic trudnego. Wystarczyło, by jeden powiedział do drugiego: „Ciekawe, co Adderley robi na tarasie? I kim jest ta kobieta?”.

Nie trzeba też było mówić tego zbyt wielu osobom. Kilku gapiów tworzyło już zaczyn, następni zauważali to i przyłączali się do korowodu, ciekawi, co też zwróciło uwagę innych.

Bardzo łatwo było sterować Clarą. Chociaż nie była pensjonarką i miała dwadzieścia jeden lat, czyli więcej niż lubił Adderley, była jak dziecko nieświadome miłosnych zabiegów. Wystarczyło napełnić jej kieliszek winem, zakręcić nią na parkiecie i wyrecytować wprost do ucha kilka wierszy, aby zaczęło jej wirować w głowie. Niemniej należało zachować ostrożność. Zbyt dużo wina i wirowania w tańcu mogło doprowadzić ją do mdłości – a była to jego ostatnia okazja.

– Nareszcie zdobyłeś piękną kobietę – zauważył Theaker. – Najczęściej kiedy ojciec daje hojny posag, oznacza to, że panna jest zezowata, pryszczata albo kulawa.

– Chce przez to powiedzieć, że takie panny często bywają niespecjalnie urodziwe – załagodził Meffat.

– Mam szczęście – zgodził się Adderley. – Wiem. Mogłem trafić dużo gorzej.

Była pięknością, co uczyni przyjemniejszym obowiązek płodzenia dziedziców. Problem w tym, że nie była w jego guście, wolał kobiety drobniejsze i ciemnowłose.

Za to jej posag był niesamowicie obfity, ona zaś – chętna. Żebracy nie wybierają.

– Błogosławiona ta jej niewinność – zauważył Theaker. – Poszła jak owieczka na rzeź.

– Nie będzie ci stwarzała kłopotów – powiedział Meffat.

* * *

Rezydencja Warfordów,
środa, 3 czerwca

Clara trzymała się, póki nie zamknęła za sobą drzwi swojej sypialni.

Przełknęła ciężko ślinę, przeszła szybkim krokiem przez pokój i usiadła przy toaletce.

– Proszę pani – odezwała się jej służąca, Davis.

Z piersi Clary wydarł się szloch. Po czym następny.

– Och, milady! – jęknęła Davis.

– Nie mam pojęcia, co robić! – Clara ukryła twarz w dłoniach.

– Nie trzeba się martwić, milady. Zrobię pani dobrej, gorącej herbatki i poczuje się pani lepiej bez względu na zmartwienie.

– Potrzeba mi więcej niż herbaty – rzekła Clara. Popatrzyła w górę i napotkała w lustrze wzrok Davis.

– Doleję kropelkę brandy – obiecała Davis.

– Więcej niż kropelkę – zażądała Clara.

– Tak, proszę pani.

Davis wybiegła.

Clara wyjęła liścik od lorda Adderleya.

Miłosny liścik wypełniony pięknymi słówkami, które miały skutecznie rozmiękczyć serce romantycznej dziewczyny.

Oczywiście, że słowa były piękne. Napisali je poeci – Keats i Lovelace, Marvell, nawet Szekspir! Myślał, że nie rozpozna słów jego sonetu! Albo był kompletnym idiotą, albo uważał, że ona jest aż tak głupia.

– Pewnie to drugie – wyszeptała. Zmięła liścik i rzuciła go na podłogę.

– Kłamca – powiedziała. – To wszystko były kłamstwa. Wiedziałam. Jak mogłam być taką idiotką?

Ponieważ pan Bates nie poprosił jej do tańca, a ona obserwowała, jak wiruje po parkiecie z lady Susan Morris, córką lady Bartham. Lady Susan była drobna, ciemnowłosa i śliczna. Przy niej Clara zawsze czuła się nieatrakcyjna i niezręczna.

Czyli co?

Chwilowa uraza. Wówczas wyrósł obok lord Adderley z kieliszkiem szampana i zręcznym dowcipem, który wywołał na jej twarzy uśmiech.

Mama powiedziałaby o nim – fałszywy pochlebca, jak Irlandczyk.

Możliwe, że taki właśnie był. Albo był jak piękne słowa, które kradł od utalentowanych pisarzy. Tak czy inaczej – fałszywy.

Szampan, walc i komplementy, a Clara połknęła przynętę.

A teraz...

Co robić?

Wstała, podeszła do okna i wyjrzała. Strugi deszczu chłostały kwiaty i krzewy. Gdyby była mężczyzną – gdyby była Harrym – uciekłaby przez to okno gdzie pieprz rośnie, gdzie nogi by ją poniosły.

Nie była jednak mężczyzną i nic nie wiedziała o ucieczkach.

Czas, pomyślała. Jej jedyną nadzieją był czas. Jeśli przeciągnie ślub o miesiąc, potem o kolejny, wybuchnie jakiś nowy skandal i wszyscy zapomną o wczorajszym.

Weszła Davis z herbatą.

– Wlałam trochę więcej kropelek, ale musi pani pić szybko – rzekła. – Przyszła z wizytą lady Bartham i lady Warford zażądała, by pani zaraz tam zeszła.

– Lady Bartham – jęknęła Clara. – Tu potrzeba więcej niż paru kropel. Przydałaby się cała butelka.

Przełknęła herbatę z brandy, przybrała oficjalną minę i zeszła do salonu.

Wizyta przebiegała gorzej, niż można się było spodziewać. Lady Bartham była tak pełna współczucia, że gdy wychodziła, wzrok Clary zaślepiała wściekłość, a jej matkę rozbolała głowa.

Następnego poranka mama ogłosiła, że z pewnością rozchoruje się na śmierć z powodu przerażającego ślubu i insynuacji towarzystwa. Muszą zatem przejrzeć kalendarz i ustalić datę.

– Tak, oczywiście, mamo – potulnie zgodziła się Clara. – Może jesienią. W mieście nie jest wtedy zbyt tłoczno.

– Jesienią? – wrzasnęła matka. – Oszalałaś? Nie mamy chwili do stracenia. Musisz wyjść za mąż przed końcem sezonu – najpóźniej przed ostatnim przyjęciem w salonie królowej.

– Mamo, to tylko trzy tygodnie!

– Wystarczy, żeby urządzić wesele, nawet największe. Małe i ciche w ogóle nie wchodzi w grę. Wiesz, co powiedzą ludzie. A jeśli twoje francuskie krawcowe-intrygantki, do których zawiózł cię Harry, nie skończą na czas, to trudno. Nie moja wina, że własne dzieci na każdym kroku okazują mi nieposłuszeństwo.

Rozdział 4

Obecnie, dzięki prasie na parę, statkom na parę
i pojazdom na parę, geniusz francuskiej krawcowej
czy modystki nie daje już paryskiej elegantce nowego
kapelusza czy ozdoby sukni, których nie miałyby
także londyńskie piękności.
„La Belle Assemblée”, marzec 1830 roku

Piątek, 5 czerwca

Longmore przerzucił lejce do jednej ręki, drugą wyjął z kieszeni zegarek. Otworzył kopertę.

O jedenastej, powiedziała. Przed południem – ponieważ modne arystokratki udawały się na zakupy popołudniami, a ona chciała dostać się tam przed nimi.

– To ważne, by dotrzeć, zanim pojawią się tam ulubione klientki Pretensji – powiedziała mu Sophy. – Właścicielki takie jak ona osobiście obsługują damy z torebkami ciężkimi od pieniędzy, a smętne wiejskie panienki zostawiają asystentkom. A naprawdę by się przydało zobaczyć wzór sukni pańskiej matki, ponieważ to ich najważniejsza klientka. Oznacza to, że nie mogę być przekazana asystentce. Musi obsłużyć mnie Pretensja we własnej osobie albo jej prawa ręka.

Punkt jedenasta Longmore popatrzył na niebo. Było pochmurno, ale nie zapowiadało się na deszcz, jak upierał się jego stajenny, Reade. Ten ostatni nie był zadowolony, że musiał zostać w domu. Gdyby miało się rozpadać – o czym zapewniał jego lordowską mość – Longmore musiałby samodzielnie siłować się z budą swojego karykla.

No cóż, w takim przypadku po prostu zmokną.

Longmore wsadził zegarek do kieszeni i odwrócił się, by popatrzeć na drzwi sklepu. Powiedziała mu, żeby odebrał ją nie z Maison Noirot, ale ze sklepu ze wstążkami położonego niedaleko Pałacu św. Jakuba. Aby uniknąć podejrzeń.

Była zabawna.

– Kuzynie – odezwał się znajomy kobiecy głos.

Zamrugał. Brzmiał jak głos Sophy, a zarazem inaczej. Wiedział, że to musiała być ona, ale widok temu przeczył. Kobieta stojąca na chodniku obok jego powozu była tak trudna do określenia, że prawdopodobnie patrzył na nią już wcześniej, ale wcale jej nie zauważył.

Figurę otulał bury płaszcz. Błotniście zielony kapelusz z kokardą pod brodą krył włosy. To, co dawało się dostrzec, było mizerne, nudne i żylaste. Z jednej strony zgrabnego noska zrobiła sobie pieprzyk. Nałożyła na ten nos przyciemnione okulary, które sprawiły, że jej jasnobłękitne oczy stały się szare.

Zdał sobie sprawę, że szeroko otworzył usta ze zdziwienia, ale szybko się pozbierał.

– Ach, tutaj pani jest – powiedział.

– Zobaczyłby mnie pan wcześniej, gdyby nie myślał pan o niebieskich migdałach – powiedziała karcącym tonem Gladys i w taki sam pozbawiony wdzięku sposób. Wsiadła też do powozu tak samo niezgrabnie, jak uczyniłaby to jego kuzynka.

Gdyby nie był wtajemniczony, byłby pewien, że Gladys stroi sobie z niego żarty.

Tylko że ona nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Nie miała ani wyobraźni, ani poczucia humoru.

– Jak pani to zrobiła? – spytał. – Przecież jej pani nie poznała. Ona od lat nie rusza się z Lancashire.

– Lady Clara ma dar naśladowania – wyjaśniła. – Łatwo było określić, jakiego typu jest to osoba. Wie pan, robimy coś takiego: definiujemy klientki, kiedy wchodzą do sklepu. Mówiąc ogólnie, każda należy do jakiejś kategorii.

– Gladys również? Przykro mi to słyszeć. Zawsze myślałem, że jest jedyna w swoim rodzaju i że to w zupełności wystarczy.

Popuścił cugle i pozwolił koniom iść stępa, ale cały czas musiał na nie zerkać. Chociaż przepędził je przez Hyde Park, żeby pozbyły się nadmiaru porannej energii, nadal zachowywały się niespokojnie. Widocznie były zaprzęgane tak samo rzadko, jak rzadko on przemierzał ulice o tak wczesnej godzinie w towarzystwie zwyczajnych ludzi. Z jakiegoś powodu zwierzęta prosiły się o kłopoty. Próbowały wpaść na inne powozy, wjechać na

chodnik, obierały za cel przechodniów i starały się ugryźć inne konie, które krzywo na nie spojrzały.

Zazwyczaj uważał, że to zabawne.

Dziś jednak było to nader niewygodne. Miał do wykonania akcję z kobietą u boku, a była ona na tyle podstępna, że potrzebował całego swojego sprytu. Tymczasem teraz musiał całkowicie poświęcić się dowiezieniu ich w jednym kawałku na Piccadilly. A potem musiał się przedrzeć przez gęsty tłum przy wjeździe na Regent Street.

– Co, u diabła, ci wszyscy ludzie robią na ulicach o świcie? – spytał.

– Usłyszeli, że hrabia Longmore wstanie dziś przed południem – wyjaśniła. – Na pewno mają zamiar upamiętnić to wydarzenie iluminacjami i fajerwerkami.

Powoził od dzieciństwa, ale nie pamiętał, by kiedykolwiek sprawiło mu to tyle kłopotu co dziś.

– Myślę, że to pani przestraszyła mi konie – rzekł.

– A ja myślę, że są nieprzyzwyczajone do jeżdżenia po ulicach za dnia – odparowała.

– Może przeszkadza im pani pieprzyk – odgryzł się. A może jej zapach. Zapach nie pasował do Gladys. Był tak subtelny, że zdawał się raczej ułudą niż perfumami. Kobieta, jaśmin i coś jeszcze. Jakiś rodzaj ziół lub trawy.

Nie, ten zapach nie przeszkadzał koniom. To jego doprowadzał do szaleństwa, które w tej chwili nie mogło znaleźć ujścia. Wyczuwał też, kiedy jej spódnica ocierała się o jego spodnie, słyszał szelest halek. Słyszał wyraźnie, pomimo ulicznego hałasu zwierząt, powozów i ludzi.

Chciał jej dotknąć, ale nie mógł, a konie wyczuły jego napięcie.

To było tak niedorzeczne, że aż się roześmiał.

– O co chodzi? – spytała.

Spojrzał na nią.

– O panią – odparł. – I o mnie. Że o tej godzinie jedziemy do sklepu.

– Wiem, że tylko wyjątkowo wstaje pan przed południem – rzekła.

– Ale nie na zakupy – dodał.

– Nie. Na wyścigi. Albo na mecz bokserski czy walkę zapaśników. Na aukcję koni. Nie jestem pewna, czy zaoferuję panu równorzędną rozrywkę.

– Będzie dość rozrywki, kiedy się wyda, kim pani jest. Bo na pewno się wyda. Przecież będzie się pani musiała rozebrać do miary. A co, jeśli

pieprzyk odpadnie przy zdejmowaniu ubrania? Co będzie, jeśli okulary zaplączą się pani w perukę?

– Włożyłam na siebie kilka dodatkowych warstw – powiedziała. – Nie pozwolę im dotrzeć dalej niż do drugiej. A to wcale nie jest peruka. Wtarłam we włosy rozkłócone jajka. Mówi się, że po zmyciu dodają włosom połysku, ale jest wręcz odwrotnie.

To musiała być trudna praca, mycie takich włosów. Były gęste i wijące się, a o ile nie dodawała do nich sztucznych pukli, jak czyniło wiele kobiet, musiały być naprawdę długie. Do pasa? Wyobraźnia podsunęła mu wizję długich złocistych włosów spływających po nagich jedwabistych plecach.

Warto było na to zaczekać.

– Obiecała mi pani brutali – rzekł. – Spodziewam się zakosztować walki. Tylko to wyciągnęło mnie z łóżka. Ma pani pojęcie, jak wiele czasu minęło od ostatniej okazji, kiedy mogłem oddać komuś cios?

– Gdybym była dżentelmenem i zobaczyła, że podchodzi pan do mnie z podniesioną pięścią, uciekłabym gdzie pieprz rośnie – rzekła.

– Brutale to nie dżentelmeni, nie uciekną – powiedział z przekonaniem.

– W takim razie, jeśli się pan tak bardzo znudzi, rzeczywiście pozostaje panu walka – rzekła.

– Jeśli oni w ogóle istnieją. Nigdy nie słyszałem, by butik wynajmował tego typu ochronę.

– Nigdy ich pan nie zauważył, bo nie zastanawiał się pan nad tym, jak prowadzi się taki sklep. Dostrzegał pan jedynie, czy obsługa jest dobra, czy zła. Tymczasem silny mężczyzna przydaje się we wszystkich sklepach prowadzonych przez kobiety. Nieraz trzeba radzić sobie z pijanymi, którzy demolują wystawy albo zaczepiają szwaczki. Najgorsze są jednak szajki złodziei. Przychodzą parami, dobrze ubrani, i udają, że w ogóle się nie znają. Jeden zajmuje uwagę subiektek, podczas gdy drugi napełnia sobie kieszenie. Mają w tym celu specjalnie uszyte ubrania! I w dodatku są bardzo szybcy. Nie uwierzyłby pan, jak wiele mogą zabrać, kiedy spuści się z nich wzrok choćby na sekundę.

– W takim razie gdzie ukrywa pani tych umięśnionych siłaczy, którzy u was pracują? – spytał.

– My nie potrzebujemy ochrony – wyjaśniła. – Zaczęłyśmy w Paryżu, był to interes rodzinny, więc pracowałyśmy od najmłodszych lat. Niech pomyślę... Marcelline miała dziewięć lat, ja z siedem albo osiem, a Leonie

– sześć. Kiedy przesiąknie się zawodem we wczesnym dzieciństwie, to wszystko, co się z nim łączy, przenika do instynktu. Pijacy, złodzieje, mężczyźni, którzy biorą sklep z modną odzieżą za lupanar – jesteśmy doskonale przygotowane, by radzić sobie z takimi rzeczami.

Zapamiętał twardy wyraz jej twarzy, kiedy po raz pierwszy powiedziała mu, że da sobie radę z każdym kryzysem. Nie miał jednak czasu, aby się tym zainteresować. Skręcili na Oxford Street, gdy nagle przed karyklem przebiegło dwóch chłopców. Longmore w ostatnim momencie ściągnął cugle.

Serce mu waliło. Chwila zwłoki albo roztargnienia i para łobuziaków niechybnie by zginęła.

– Patrzcie lepiej, gdzie leziecie, skończeni głupcy! – wrzasnął na całe gardło ponad resztą przejeżdżających powozów, stangretów i dorożkarzy wykrzykujących komentarze.

– Aj, paskudna wiedźmo! – jakiś głos zaskrzeczał mu koło ucha. – Puszczaj mnie, ty chrzaniona macioro!

– Nie ma mowy – oświadczyła Sophy.

Longmore popatrzył w jej stronę.

Obdarty chłopiec zwisał z tylnego siedzenia. Sophy trzymała go za ramię i wydawała się dobrze bawić.

Longmore mógł ich obserwować tylko kątem oka. Para koni i ruch uliczny wymagały całej jego uwagi.

– Cóż to jest, do diabła? Skąd on się wziął?

– Znikąd! – darł się chłopak. Wił się wściekle, ale na próżno. – Nic nie zrobiłem! Czepnąłem się tylko tyłu powozu, a ta śmierć w okularach chce ukręcić mi rękę!

Silny cockney chłopaka był niemal niezrozumiały, więc Longmore mógł się tylko domyślać, o co mu chodzi. ,,Nic” brzmiało jak ,,nisz”, końcówki powyrzucano albo podoczepiano do niewłaściwych słów, a niektóre głoski zdawały się przybyć z innej planety.

– I chciałeś tylko ogrzać rękę w kieszeni tego dżentelmena? – spytała.

Longmore stłumił śmiech.

– Nic nie miałem do jego kieszeni! Czy wyglądam jak walnięty w pałę?

– Skądże znowu – powiedziała Sophy. – Jesteś bystry i szybki.

– Nie dość szybki – mruknął chłopak.

– Szkoda, że tego nie widziałeś, kuzynie – rzekła Sophy. – Tych dwóch, którzy przebiegli tuż przed powozem, miało tylko odwrócić naszą uwagę, podczas gdy ten wskoczył tu, by wykonać swoją robotę. Mały szatan omal mnie nie podeptał. Zajęło mu tylko dwie sekundy, żeby przeskoczyć na siedzenie stangreta. Zapewne potrzebowałby kolejnych dwóch, żeby ukraść ci zegarek, a może i sygnet albo chusteczkę. Obie ręce miałeś zajęte lejcami. Ośmielam się stwierdzić, że ocenił mnie jako szlachetnie urodzoną paniusię, która wybałuszy tylko oczy i zacznie bezradnie wrzeszczeć, kiedy on ze zdobyczą czmychnie gdzie pieprz rośnie.

Zwróciła się do chłopca:

– Następnym razem, radzę ci, chłopcze, upewnij się, że w powozie jedzie tylko jedna osoba.

Następnym razem?

Longmore omal nie przejechał ulicznego sprzedawcy.

– Jakim następnym razem? – spytał. – Jedziemy na najbliższy posterunek i zostawimy go tam.

Chłopiec wypluł z siebie potok zdumiewających przekleństw i szarpnął się wściekle. Sophy jednak musiała wzmocnić uścisk lub zrobić coś znacznie boleśniejszego, ponieważ przestał i zaczął szlochać, że ma złamane ramię.

– Jak tylko wyjadę z tego piekielnego galimatiasu, dam ci takiego szturchańca, że popamiętasz – zagroził Longmore.

– Nie sądzę, że powinniśmy zabierać go na policję – powiedziała Sophy. – Myślę, że powinniśmy go wziąć ze sobą.

Chłopak i Longmore zareagowali równocześnie.

– Nieee! – wrzasnął chłopiec.

– Upiłaś się? – spytał Longmore.

– Nie zrobicie tego – zaprotestował chłopiec. – Nigdzie nie pojadę! Mam przyjaciół i oni zaraz tu będą. Wtedy popamiętacie! Przez to, jak mnie trzyma ta wiedźma, zgiętego wpół, mam już zmiażdżone żebro.

– Nie ruszaj się – polecił chłopcu Longmore. Potrzebował chwili spokoju, aby przedrzeć się przez labirynt umysłu Sophy. Nie mógł tego zrobić, słuchając równocześnie okaleczonej angielszczyzny chłopca.

– Co właściwie proponujesz? – spytał.

– Chłopak jest cudownie szybki – rzekła. – Przyda się w naszej misji.

Pochłonięty panowaniem nad końmi i lawirowaniem w ulicznym ruchu Longmore mógł tylko pobieżnie przyjrzeć się ulicznikowi. Wyglądał, jakby miał dziesięć, najwyżej jedenaście lat, chociaż trudno to było ocenić u dzieci z niższych klas. Niektóre z nich wyglądały na starsze, niż były, inne zaś, cierpiące z niedożywienia, były mniejsze i zdawały się młodsze. Temu chłopcu spod zniszczonej czapki wystawały jasne włosy i choć nie miał zbyt czystej szyi, to nie lepił się od brudu, tak jak wielu innych uliczników. Jego ubranie było znoszone i źle dopasowane, ale jednocześnie całkiem czyste i pocerowane.

– Nie wiem, jaki można mieć z niego użytek poza wykorzystaniem do czyszczenia cudzych kieszeni.

– Może popilnować koni.

– Czyżby? Proponujesz, abym zostawił swój dobytek pod opieką małego złodziejaszka?

– A znajdziesz kogoś czujniejszego, baczniej przyglądającego się wchodzącym i wychodzącym? Kto skuteczniej zaalarmuje o nadchodzących kłopotach?

To było szalone, ale miała słuszność.

– Zupełnie nie znamy tego diabelskiego nasienia! – zaprotestował. – Może to straceniec poszukiwany przez policję, może w poniedziałek czeka go transport. Próbował mi ukraść zegarek. Wspiął się na powóz od tyłu, żeby to zrobić! To wymaga bezczelności lub braku piątej klepki. Jeśli myślisz, że zostawię pierwszorzędną parę koni w lepkich rękach Szalonego Dicka Turpina, to proszę, przemyśl to raz jeszcze. I weź coś na głowę, skoro już przy tym jesteśmy.

– No, nie – odezwał się z urazą chłopak. – Nie jestem koniokradem.

– Zaledwie kieszonkowcem – poprawił się Longmore. – Jak masz na imię?

– Nie mam imienia – wyjaśnił chłopiec. – Mniej fatygi, no nie?

– To będę nazywał cię Fenwick.

– Jak?

– Fenwick – powiedział. – Skoro nie masz imienia, dam ci imię gratis.

– Nie takie – zaprotestował chłopiec. – To jest okropne.

– Lepsze niż żadne – wtrąciła Sophy.

– Nie mówiłem, psze pana? – Chłopiec zwrócił się do Longmore’a. – Niech pan jej każe przestać.

Longmore nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, bo strasznie zachciało mu się śmiać.

– To nie pan, ale jego lordowska mość – powiedziała Sophy. – To prawdziwy lord, a ty chciałeś wyczyścić mu kieszenie.

– Wasza lordowska mość, niech ona przestanie. Niech przestanie mi łamać ramię... To kobieta-monstrum, nigdy jeszcze takiej nie widziałem.

Longmore zerknął na Sophy. Ściskała małego bluzgającego ulicznika z wyrachowaniem malującym się na jej twarzy – albo tak mu się zdawało. Nie miał pewności. Mógł zerknąć na nią tylko przelotnie, a poza tym okulary przyciemniały jej oczy.

Zobaczył jednak dość – uśmieszek igrający w kąciku jej ust i przechyloną głowę, jakby patrzyła na chłopca niczym ptak na robaka.

– Jesteś w tarapatach, Fenwick – ostrzegł. – Ona ma jakiś nowy pomysł.

* * *

Ojciec Sophy był Noirot, a matka pochodziła z rodu DeLuceyów. Żadna z tych rodzin nie zawracała sobie głowy dobroczynnością, zajęta wyprzedzaniem o krok posunięć wymiaru sprawiedliwości.

Chociaż ciotka Emma wzięła do siebie Sophy i jej siostry i nauczyła je zawodu, to w najwcześniejszym dzieciństwie nie były one otoczone właściwą opieką. Nauczyły się, jak przeżyć na ulicy. Do tej umiejętności zaliczała się także szybka ocena innych.

Sophy w ciągu kilku minut zobaczyła i usłyszała dość, żeby zrozumieć, iż chłopak był rarytasem. Po niewielkim przyuczeniu mógł się okazać niezwykle użyteczny. Nie zamierzała pozwolić, by wylądował w więzieniu z pospolitymi przestępcami.

– Jesteśmy blisko posterunku policji przy Great Marlborough – powiedziała. – Nie ma problemu, możemy cię tam zostawić, Fenwicku. Albo, jeśli wolisz, możesz pojechać z nami, przypilnować koni jego lordowskiej mości i poobserwować okolicę.

– A czego niby mam wyglądać? – spytał chłopiec.

– Kłopotów – odpowiedziała. – Myślisz, że w porę je rozpoznasz?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że leży to w możliwościach chłopca – zgodził się Longmore.

– Jeśli wywiążesz się z zadania – ciągnęła Sophy – postaram się o dobry obiad dla ciebie i bezpieczny nocleg.

– A gdzie? – zainteresował się Longmore.

– Nie obawiaj się, kuzynie. Nie miałam zamiaru oddawać ci go pod opiekę.

– Na pewno sama też się jej nie podejmiesz. Nic o nim nie wiesz. Pewnie jest zawszony...

– Oszczerstwo! – wrzasnął chłopak.

– Poskarż się w sądzie – zakpił Longmore.

– A co pan myśli, że tego nie zrobię? Nie mam na sobie więcej robactwa niż pan, wasza wysokość. Myłem się!

– W czasie chrztu? – dokuczył mu znów Longmore. – Ach, nie, zapomniałem, wszak nie masz imienia.

– Fenwick może być – zgodził się chłopak. – A ona może mnie nazywać nawet Grzesio Pudding, jeśli da mi obiad i łóżko, jak mówi. Ale nie da, no nie?

– Słyszałeś o Stowarzyszeniu na rzecz Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet? – spytała Sophy.

Chłopiec zmrużył oczy.

– No – potwierdził nieufnie.

– Zdaje mi się, że kogoś stamtąd znasz.

– No.

– Znam dobrze prowadzące je panie – rzekła. Nie mogłaby znać ich lepiej – to ona wraz z siostrami założyła w zeszłym roku tę organizację. – A jeśli ty kojarzysz to miejsce, to wiesz, że nie obiecuję na próżno.

Dojechali do Bedford Square.

– Patrz tu, Fenwicku – powiedziała. – To sklep, który zamierzamy odwiedzić z jego lordowską mością. – Ruchem głowy wskazała butik Pretensji. – Znasz to miejsce?

– Szyją stroje dla arystokratów – powiedział. – Pracowała tu taka jedna, co ją znałem, ale wszystkie szwaczki zostały wyrzucone na bruk.

Sophy miała nadzieję, że dziewczyna trafiła do stowarzyszenia. Powinna razem z siostrami lepiej zadbać o pracownice zwolnione przez Pretensję.

Lecz nie wszystko naraz.

– Kiedy będziemy z jego lordowską mością w środku, będziesz pilnował koni, a także tego, co się dzieje dookoła. Jedno przeciągłe gwizdnięcie, jeśli

uznasz, że ktoś może nam przeszkodzić, w porządku? Spraw się dobrze, a ja zrobię, co obiecałam. Umowa stoi, Fenwicku?

– Nie ma żadnego haka?

– Haka? – powtórzył Longmore. – Cóż za tupet!

– Czy wyglądam na oszustkę? – spytała Sophy.

Chłopiec przez dłuższą chwilę taksował ją badawczym spojrzeniem, próbując przeniknąć przez przyciemnione okulary.

– Owszem. Nie mówiąc o tym, że uścisk ma paniusia jak kajdany.

Uśmiechnęła się.

– No, wiedziałam, że jesteś bystry. Żadnych sztuczek.

Puściła jego ramię. Dał teatralny pokaz masowania, a potem szukania połamanych kości. Mamrotał coś o szalonych morderczych damulach i brutalnych lordach.

– Dość narzekania – wtrącił Longmore. – Nie chcę spędzić całego dnia na zakupach. Albo to robisz, albo nie. Zdecyduj się.

* * *

– Proszę być sobą – powiedziała Longmore’owi Sophy, kiedy dołączył do niej na trotuarze po dłuższej rozmowie z Fenwickiem, jak przypuszczała, o koniach, a także o tym, co czeka chłopaka, jeśli nie wywiąże się z zadania.

– Mam być sobą? Jest pani pewna? – spytał.

– Potrzebuję pana ze względu na to, kim pan jest – rzekła. – Lord Longmore – najstarszy syn lady Warford. Czyli syn ulubionej klientki Pretensji. – To dlatego wciągnęła go do spisku. Chciała uratować swój interes, a to oznaczało, że musiała zbadać terytorium wroga, aby zyskać pewność, na co powinna się przygotować. Najłatwiejszym i najskuteczniejszym sposobem było użycie właśnie jego jako części swojego przebrania. – Niech pan niczego nie udaje.

– Muszę udawać, że pani to Gladys.

– Jestem do niej tak podobna, że nie powinno być z tym problemu. Proszę zostawić wszystko mnie.

– A jeśli panią wyproszą?

– Wtedy też niech pan będzie sobą – niech się pan śmieje.

– Gdyby pani była panią, to tak – odparł. – Ale Gladys to inna historia. – Zafrasował się. – Pogubię się.

– Wcale nie – pocieszyła go. – Wszystko, co musi pan robić, to pozostać sobą. Niech pan o tym nie myśli. Tu nie ma nic do myślenia.

Pomaszerowała do drzwi z gracją nieokrzesanej starej panny.

Ruszył gładko do przodu, by je przed nią otworzyć.

W myślach stała się już kuzynką Gladys – brzydką, nieprzystępną i przewrażliwioną. Weszła do środka. Rozejrzała się wokół z zaciśniętymi ustami, żeby nikt nie miał wątpliwości, że niełatwo ją będzie zadowolić. Równocześnie była nadal Sophy Noirot, oceniającą otoczenie spojrzeniem znawczyni i poważnie zaskoczoną... a nawet zaniepokojoną tym, co odkryła.

Chociaż nie można było podrobić blasku Maison Noirot, ktoś bardzo się postarał. Ściany pomalowano na jasnobrzoskwiniowy kolor z kremowym paskiem. Ktoś pomyślał o rozmieszczeniu gamy różnobarwnych akcentów. Ktoś także natrudził się, by w artystyczny sposób wyłożyć tkaniny. Niektóre wisiały na dużych obręczach obok okna wystawowego. Inne leżały na kontuarach, sprawiając wrażenie, że przed chwilą rozwijano je dla klientek. Na stole leżał kusząco otwarty magazyn z modnymi fasonami. Dookoła stały wygodne fotele, nadając pomieszczeniu atmosferę prywatnego salonu. Stoliki przy fotelach zasłane były czasopismami dla mężczyzn i kobiet.

Sklep, choć nie tak szaleńczo czysty jak Maison Noirot, był znacznie przytulniejszy i mniej obskurny niż przedtem.

Rozwiązanie tej zagadki stało za kontuarem.

Pretensja wynajęła Francuzkę. Była ładna, elegancka i pełna wdzięku. Jej jasne, starannie ułożone włosy przykrywał piękny koronkowy czepek.

Dziewczyna nawet nie drgnęła, ale jej powitalny uśmiech zbladł na widok Sophy – Gladys. Spojrzenie jasnobrązowych oczu z widoczną ulgą spoczęło na Longmorze.

Ta subtelna niechęć nie mogła być dostatecznie subtelna dla wrażliwej duszy, jaką według wyobrażenia Sophy była Gladys. Francuzka nie powinna była okazać ani cienia bezradności, wręcz przeciwnie.

Do butików i pracowni krawieckich wchodzi mnóstwo rodzajów kobiet, w tym tak nieobiecujących jak fałszywa Gladys. Cała sztuka zasadza się właśnie na tym, jak się je obsłuży. Wszystko wskazywało na to, że

Francuzka oceniła lady Gladys raczej jak próbę przetrwania niż ekscytujące wyzwanie, jakie stanowiłaby dla Sophy i jej sióstr. Ich twarze pojaśniałyby z chwilą przestąpienia przez klientkę progu salonu.

– Pani Downes? – spytała Sophy.

– Jestem pani Ecrivier, *mademoiselle* – odpowiedziała Francuzka. – Pani Downes jest w tej chwili zajęta, ale ja...

– Zajęta! – rzekł Longmore, zaskakując Sophy i panią Ecrivier. – Gdzie, do pioruna, może być zajęta, jeśli nie w swoim własnym sklepie? To jest jej sklep, jak przypuszczam? Lepiej niech tu będzie. Piekielnie trudno nam się było tu dostać. Wypadek na Oxford Street i tłumy gapiów spowolniły ruch w trzech kierunkach.

Sophy była zbyt doświadczona w przebierankach, żeby okazać swoje uczucia. Nie patrzyła na niego, pozostawiła to myślom. Powiedział, że może się pogubić, i przez chwilę zaniepokoiła się, że ten podstęp jednak go przerósł.

Mimo to stworzył wprost wymarzone otwarcie. Od razu wiedziała, jak pod nie zagrać.

– Czy lady Warford nie powiedziała pani Downes, że może spodziewać się w tym tygodniu osób z jej rodziny? – spytała. – Jej córka, a moja kuzynka, lady Clara, wychodzi za mąż. Z pewnością ciocia musiała państwa poinformować. Nie rozumiem, jak mogła tego nie uczynić. Powiedziała mi, że zamówiła już suknię na wesele. Zamówiła ją w tym sklepie. W poniedziałek, o ile się nie mylę.

I – zgodnie z tym, co mówiła lady Clara – wybrała szczególny fason, kiedy dowiedziała się, że córka wcale nie poszła do butiku pani Downes.

– *Oui, mademoiselle* – milady. Z całą pewnością...

– To moja kuzynka, która musi się ubrać na ślub mojej siostry – powiedział Longmore. – To pierwszy ślub w rodzinie, pragnę dodać. Gdzie jest właścicielka? Proszę, w jaki sposób traktuje się klientów. Cóż, Gladys, lepiej stąd chodźmy. Kim była ta druga stylistka, o której wspominała Clara? Ta o francuskim nazwisku? Gdzieś przy St. James. Gdybym wiedział, że spotka nas tutaj tak chłodne przyjęcie, zaoszczędziłbym sobie kłopotliwej drogi.

Madame Ecrivier aż zatańczyła w panice.

– Och, nie, nie, nie, milordzie. W żadnym razie nie chłodne przyjęcie. Wyślę kogoś, by zawiadomił *madame*. Tysiąckrotnie przepraszam.

Oczywiście, *madame* zajmie się młodą damą. Zechcą państwo na moment wybaczyć, zaraz to załatwię.

Francuzka wypadła z salonu i znikła za drzwiami. Chociaż zamknęła je za sobą, Sophy słyszała, jak porozumiewa się z kimś przez rurę podniesionym głosem.

Longmore podszedł do okna i wyjrzał.

– Powóz nadal tu jest. Fenwick nie sprzedał jeszcze koni.

Jego ściszony głos nabierał barwy, od której Sophy nieruchomiała, niczym zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo.

Trwało chwilę, nim otrząsnęła się z tego uczucia.

– Konie nie mogą być bezpieczniejsze – zapewniła. – Chłopak jest przerażony.

– Nie powiedziałbym.

– Nauczył się nie okazywać istotnych uczuć – wyjaśniła.

Longmore zaśmiał się krótko i odszedł od okna. Jął przechadzać się po salonie. Przesunął palcem po zwoju muślinu. Przerzucił kartki magazynu z fasonami. Poruszał się z beztroską gracją, ale nie była to zwyczajna lekkość nudzącego się arystokraty.

Ciarki przeszły jej po skórze. Był mężczyzną, zaledwie mężczyzną – powiedziała sobie. Otaczała go jednak aura niebezpieczeństwa i wyglądał niczym wilk, który zakradł się do ludzkiej siedziby.

Usłyszała kroki i głosy przybliżające się do drzwi salonu.

– Gdybym wiedziała, że londyńskie stylistki w ten sposób traktują swoje najlepsze klientki, zamówiłabym suknię w Manchesterze – powiedziała głośno. – Żeby czekać bez końca wtedy, kiedy w sklepie nie ma nikogo poza mną! Pewna jestem, że uszyto by mi w domu coś nieodstającego elegancją od całej tutejszej oferty. I to za ułamek tej ceny!

W tym momencie w drzwiach ukazała się Pretensja. Była boleśnie chudą kobietą średniego wzrostu. Obszerna pelerynka z haftowanego materiału rozpościerała się na szerokich rękawach á la Folle jej drukowanej muślinowej sukni, stwarzając wrażenie, że jej właścicielka ma pełniejszą figurę. Wielkie ciemne loki obramowywały jej twarz pod koronkowym czepkiem.

Jej strój był elegancki, trzeba było jej to oddać. Wstyd, że swoich klientek nie ubierała równie starannie.

– Milady, milordzie, zechcą państwo wybaczyć – powiedziała bez tchu. – Nie spodziewałam się państwa wizyty tak wcześnie.

– Sklep jest otwarty od dziesiątej, tak mi powiedziano – rzekł oschle Longmore.

– Tak napisano w witrynie – dodała Sophy.

– Ma pani rację, milady. – Pretensja wyszła zza kontuaru. – Zawołano mnie na chwilę. Małe zamieszanie w pracowni. Już jestem do państwa usług. Chodzi o suknię na zaślubiny lady Clary Fairfax, nieprawdaż? Czy jaśnie pani zechciałaby przejrzeć wzory? Mamy wszystkie najświeższe kroje z Paryża i wspaniały wybór jedwabiów.

Sądząc z okruchów na pelerynce, właścicielka musiała nieśpiesznie delektować się śniadaniem.

– Ciocia powiedziała, bym oddała się w pani ręce – rzekła Sophy.

– I dobrze się do tego przyłóż, kuzynko – wtrącił Longmore. – Żadnych obrzydliwych zieleni, które kupujesz zbyt często, bo oglądasz je w niewłaściwym świetle.

Sophy wydała z siebie chichot.

– Moja kuzynka ma wiejskie gusta – dodał – ale...

– Ja! Wiejski gust!

– Drogie dziewczę, twoje pojęcie o elegancji wywodzi się z wykładów o wypchanych ptaszyskach z muzeum w Manchesterze.

– Najwytworniejsze tkaniny w Anglii pochodzą z Manchesteru! – zawołała.

– Oczywiście, milady – potwierdziła Pretensja. – Muszę jednak pochwalić także nasze jedwabie ze Spitalfields. A jeśli przy tym jesteśmy, wierzę, że mamy coś właśnie dla pani. Madame Ecrivier, proszę pokazać jaśnie pani jedwab, o którym mówię.

Ecrivier omiotła Sophy szybkim spojrzeniem, po czym otworzyła jedną z szuflad, z której wydobyła błękitny jedwab.

– Błękitny! – zdziwiła się Sophy. – Nie noszę błękitnych rzeczy.

– Z całym szacunkiem, milady, może pora zacząć?

– A jakiego koloru będzie suknia cioci? – spytała Sophy. – Moja nie może być takiego samego, a wiem, że ona lubi błękitny.

– Żałuję, ale nie możemy zdradzić tego sekretu. Milady...

– Nie możemy zdradzić! – zakrzyknął Longmore. – Proszę posłuchać, nie pozwolę tak traktować mojej kuzynki. I nie zamierzam tracić tu więcej

czasu. Może pani swobodnie powiedzieć nam, co moja matka założy w dniu ślubu mojej siostry. Na Boga, czy sądzi pani, że opublikujemy to w gazetach?

Rzucił Sophy z ukosa ponure spojrzenie.

– Wiesz, kuzynie, ten sklep nazbyt mnie już drażni – rzekła Sophy. – Ciocia zapewniła mnie, że spotkamy się tutaj z życzliwym przyjęciem. Najpierw kazano nam czekać, a teraz nagle okazuje się, że suknia cioci to sekret, chociaż to naprawdę ważne, żeby nasze kreacje były do siebie dobrze dopasowane.

– Milady, błagam o wybaczenie, ale lady Warford wyraźnie zabroniła nam dzielić się szczegółami z kimkolwiek – pośpieszyła z wyjaśnieniem Pretensja. – Obawia się, że ktoś mógłby wykonać kopię jeszcze przed ślubem, z przykrością muszę stwierdzić, że zdarzało nam się to w przeszłości. Inne stylistki przysyłają na przeszpiegi swój personel i...

– Czy wyglądamy na szpiegów jakichś krawcowych? – obruszył się Longmore. – Przysięgam, że to przebrało już wszelką miarę. Chodźmy stąd, kuzynko. Mam dość tego kręcenia i czekania.

Ruszył w stronę drzwi.

Na Boga, grał doskonale!

Sophy podążyła za nim.

– Zupełnie nie wiem, co powiedzieć cioci – pożaliła się. – Przecież będzie mnie pytać, dlaczego poszłam gdzie indziej – do francuskich stylistek przy St. James. Jak one się nazywają?

– Maison Noirot – podpowiedział, po czym otworzył drzwi.

Sophy usłyszała za sobą stłumione przekleństwo, a potem:

– Słyszała pani jego lordowską mość, madame Ecrivier. Proszę natychmiast pokazać jedwab, który wybrała lady Warford.

Longmore zamknął drzwi i odwrócił się do obu kobiet. – I fason – dodał.

– Fason? – Oczy Pretensji się rozszerzyły.

– Słyszała pani – rzekł. – To moja kuzynka, przyjechała prosto ze wsi. Nie czuje się komfortowo w Londynie, a sposób, w jaki ją pani potraktowała, bynajmniej nie pomógł. Proszę pokazać nam krój sukni. Jeśli się jej spodoba, zostaniemy. Jeśli nie, widzi nas pani po raz ostatni.

* * *

Sophy była zupełnie jak Gladys, wciąż na nowo. Nie wypadła z roli nawet na chwilę, choćby najmniejszą.

Longmore także się nie zdradził. Cóż, nie mógł, bo grał wyłącznie samego siebie, a tę partię potrafił zagrać olśniewająco.

Ona odgrywała swoje przeciwieństwo... Lecz udawanie przychodziło jej z łatwością.

Reagowała na wszystko tak, jak zrobiłaby to Gladys. Miała w sobie tę samą sztywność i arogancję, które czyniły kuzynkę doprawdy nieznośną. I identyczne przewrażliwienie.

Momentami nieomal zapominał, że tak naprawdę jest przy nim Sophy. Jej zapach jednak stale wytrącał go z równowagi.

Świetnie się bawił podczas tego przedstawienia. Kiedy jednak Sophy udała się do drugiego pomieszczenia z dwiema kobietami, poczuł niepokój. Nie powiedziała mu, co zrobić na wypadek, gdyby została zdemaskowana. Nie dopuszczała do siebie tej możliwości.

Lecz jak ukryje fakt, że nie jest uformowana jak kartofel?

Powiedziała, że ma na sobie dużo warstw. Ile?

Ile czasu zajęłoby mu zdjęcie ich wszystkich?

To zależałoby jeszcze od innych czynników, prawda?

Jego wyobraźnia wymalowała obrazy, które kazały mu się uśmiechnąć. Rozluźnił się jednak tylko na chwilę. Spodziewał się kłopotów, wręcz na nie czekał.

Najlepiej było zająć umysł czymś innym.

Oparł laskę o fotel, z pobliskiego stolika wziął magazyn dla pań i zaraz go odłożył. Podszedł do witryny sklepu, założył ręce za plecami i wyjrzał na ulicę.

Nie było łatwo zobaczyć przez wszystkie kolorowe kawałki tkanin i wstążek, co działo się na zewnątrz, ale znalazł miejsce, z którego udało mu się dojrzeć Fenwicka.

Powóz nadal stał po przeciwległej stronie ulicy, obok otoczonego płotkiem owalnego trawnika na środku. Longmore zostawił go tam, bo miejsce było ocienione, a pojazd nie przeszkadzał nikomu, kto wysadzałby czy odbierał pasażerów.

Usłyszał trzask otwierających się drzwi.

Szybko odwrócił się od okna.

Była to jednak tylko służąca. Mimo wczesnej pory wyglądała na bardzo zmęczoną. Niosła tacę z kieliszkiem wina i talerzykiem herbatników. Po chwili wahania postawiła ją na stoliku najbliżej fotela, przy którym zostawił laskę. Wzięła parę magazynów sportowych i położyła je obok tacy. Zabrała też magazyny dla pań i przełożyła na dalszy stolik.

Spytała, czy przynieść mu coś jeszcze.

– Nic – odparł. – Jak długo to może potrwać?

– Niedługo, wasza lordowska mość – odrzekła. – To tylko jedna suknia. Ponieważ jaśnie pani jest nową klientką, potrzeba paru minut, by wziąć pełną miarę.

Powiedziała coś jeszcze, ale krzyk z zewnątrz przyciągnął go z powrotem do okna. Zobaczył dwóch osiłków biegających po trawniku dookoła jego powozu. Nigdzie nie mógł dostrzec Fenwicka.

Longmore wypadł ze sklepu.

Rozdział 5

Łaźnie w Londynie są liczne i przestronne, wyposażone
ku wygodzie odwiedzających. Zwyczajna cena za zimną kąpiel
wynosi szylinga, a za gorącą
– 3 szylingi 6 pensów; ale jeśli klient zapisze się na kwartał,
rok lub na dłużej, koszt jest proporcjonalnie niższy.
Kąpiele z morskiej wody kosztują 3 szylingi
6 pensów, a ciepłe kąpiele z morskiej wody
około 7 szylingów 6 pensów.
Leigh’s New Picture of London (1834)

Ulica, w przeciwieństwie do wiodących do niej handlowych pasaży, była prawie pusta. Longmore przebiegł ją na tyle szybko, by zobaczyć, jak dwaj mężczyźni wybiegają zza karykla z wijącym się pomiędzy nimi Fenwickiem. Wyższy był wzrostu Longmore’a, ale tęższy od niego. Niższy był nieco szczuplejszy i ruchliwszy. Obaj mieli blizny na nieogolonych twarzach. Ubrani byli dość kosztownie, ale niechlujnie.

Pierwszy z nich, ten potężniejszy, zaciskał rękę na kołnierzu połatanej kapoty Fenwicka.

– Ostrzegałem cię, żebyś mnie nie zmuszał do ganiania za sobą – powiedział. – A ty zniknąłeś i mnie rozzłościłeś. Tym razem ci się nie upiecze, ty zawszone złodziejskie nasienie!

– Nie mam wszy! – zaprotestował Fenwick. – Zabieraj ode mnie brudne łapska! – Walczył, ale brutal trzymał go nie tylko za kołnierz. Chłopiec mógł się wyrwać, ale musiałby najpierw zrezygnować z ubrania. – Mam przyjaciół! Pokażą ci, pożałujesz! – Rozejrzał się i dostrzegł Longmore’a. – O, tutaj! To jeden z nich!

– Co to ma być, u diabła! – zagrzmiał Longmore. – Chłopiec pilnuje mi koni.

– Z szacuneczkiem, sir, ale został pan wykorzystany. Temu małemu bękartowi nie należy wierzyć, bo można stracić cały dom.

– Pozwólcie, że ja to ocenię – powiedział Longmore. – Puśćcie go.

– Za przeproszeniem, sir, lepiej, jeśli tego nie zrobię – upierał się brutal. – Będzie to pana drogo kosztowało, oj, drogo.

– Ostrzegaliśmy go parę razy, że ma się nie kręcić przy porządnym sklepie – rzekł drugi osiłek. – Pani sobie tego nie życzy. Flejtuch w pobliżu zniechęca elegancką klientelę. Ile to razy go ostrzegaliśmy?

– No co, nie mogłem sobie pójść, no nie? – bronił się chłopiec. – Jego lordowska mość by mnie powiesił, gdybym opuścił posterunek. Tak powiedział, no nie, że pan tak powiedział, wasza wysokość?

– I tak cię któregoś dnia powieszą – rzekł tęższy gagatek.

– Puśćcie go – polecił Longmore.

– Z całym szacunkiem, sir, niech pan go nie żałuje – poradził ten niski. – Należy mu się dom poprawczy jak nic. I to jeśli będzie miał szczęście, bo to kandydat do więzienia, gdyby mnie kto pytał. Nagabuje, symuluje, kiedy mu się każe....

– Kazałem mu zostać – przerwał Longmore. – Nudzi mnie już ta dyskusja. Zostawcie chłopca i zabierajcie się stąd!

Ochroniarze Pretensji spojrzeli po sobie. Następnie popatrzyli na chłopca, po czym na sklep po drugiej stronie ulicy.

– Powiem panu coś – odezwał się wysoki. – Pani nie lubi, jak się jej sprzeciwiać.

– Zabawne, bo ja też nie – odpowiedział Longmore.

– Dlaczego mam nie zaprowadzić chłopca tam, gdzie nie będzie go widzieć? – spytał osiłek. – Farley popilnuje panu koni, sir. A pan może iść załatwić swoją sprawę...

– Nigdzie mnie nie zabierzecie! Nie pójdę! – Fenwick kopnął swojego oprawcę.

Ten natychmiast wymierzył mu kuksańca w głowę i strącił czapkę.

W tym momencie Longmore rzucił się na brutala.

* * *

Z salonu dobiegł stłumiony krzyk.

Sophy, która nastawiała uszu na wszelkie dźwięki oznaczające kłopoty, narzuciła płaszcz i wybiegła z przymierzalni.

Pretensja i Ecrivier pobiegły za nią.

– Milady, gorset! – wołała Pretensja.

Sophy podbiegła do okna, przy którym stała szwaczka, zasłaniając usta ręką. Zdołała ujrzeć, jak osiłek wymierza cios Longmore’owi, przed którym ten ostatni uchylił się jednak i oddał tak mocno, że mężczyzna się zachwiał.

– Przepraszam za Farleya i Paytona, milady – odezwała się Pretensja. – To ten piekielny urwis znów narobił nam kłopotu. Wyślę zaraz dziewczynę, żeby....

Sophy odprawiła ją gestem i sama rozejrzała się za bronią.

Spacerowa laska Longmore’a stała oparta o pobliski fotel. Sophy złapała ją i wypadła ze sklepu.

Usłyszała krzyk Pretensji.

Mimo to popędziła przez ulicę.

Powaliwszy na ziemię większego, Longmore zabrał się za drugiego zabijakę. Wtedy ruszył mu z pomocą Fenwick i skoczył na mniejszego napastnika niczym szalony mały derwisz, wywijając pięściami i nogami.

Sophy, nie zważając na opór chłopca, odciągnęła go od Farleya.

Wówczas Longmore błyskawicznie złapał szczuplejszego osiłka i rzucił nim w płot. Mężczyzna odbił się od desek i ruszył na Longmore’a. W tej samej chwili większy podniósł się z ziemi i rzucił się na niego z rykiem. Sophy podstawiła mu laskę. Potknął się i z impetem runął na chodnik.

Longmore złapał mniejszego i znów cisnął nim o płot. Tym razem nieszczęśnik osunął się na ziemię.

– Pora jechać – rzekł Longmore.

Sophy wskoczyła do powozu. Fenwick się zawahał.

Brutale podnosili się z ziemi.

– Ty też, Szalony Dicku – zaprosił go Longmore.

Chłopak wskoczył błyskawicznie na siedzenie stangreta. Longmore szybko uspokoił wzburzone konie i dał im sygnał, by ruszyły.

Na odjezdnym Sophy zawołała:

– Powiedzcie swojej pani, że cofam zamówienie! Zatrudnia okropnych ludzi.

* * *

Bedford Square i połączone z nim pasaże, oddalone od głównych ulic handlowych, były prawie puste. Longmore potrzebował chwili, aby wydostać się stamtąd na Tottenham Court Road.

Było na tyle cicho, że słyszał, jak jego pasażerowie ciężko dyszą. On sam też się nie spodziewał, że będzie tak wzburzony.

Z drugiej strony walka okazała się trudniejsza niż zwykle.

– Dobry Boże – odezwała się Sophy – Nie można pana zostawić nawet na minutę.

– Nudziłem się – odparł Longmore. – Czy nie poradziła mi pani, żebym wdał się w bijatykę, kiedy mi się sprzykrzy czekanie? Zaczynałem się dobrze bawić, kiedy się w to wmieszaliście. Jak, u diabła, mam rozegrać uczciwą bójkę, kiedy muszę uważać na dwoje intruzów, żeby ich przez przypadek nie stratować ani nie zabić?

To wzmogło zainteresowanie i emocje, choć mogło pozostać zaledwie banalną uwagą.

– Nie sądzi pan chyba, że zostałabym w sklepie, skoro dał mi pan doskonałą wymówkę, aby się stamtąd wyrwać – powiedziała. – A potem jeszcze wspanialszy pretekst do anulowania zamówienia na koszmarną suknię. Doprawdy, nie mogło pójść lepiej.

– Co pani gada? – Fenwick popatrzył za siebie. – Wpakowaliśmy się w takie kłopoty, o mało nie wylądowałem w poprawczaku, a pani tak naprawdę wcale nie chciała tej cholernej sukni?

– To podstępna sztuka – zauważył Longmore. – Sam tak powiedziałeś, o ile pamiętam.

Ulica była spokojniejsza niż te, którymi jechali wcześniej, więc mógł dokładniej przyjrzeć się Sophy. Jej strój był w kompletnym nieładzie, brzydki kapelusz przekrzywił się, fryzura oklapła, a kosmyki włosów przylepiły się jej do czoła i policzków. Stanik sukni miała rozpięty.

– Zaraz spadnie pani suknia – zauważył.

– Och! – zakrzyknęła i sięgnęła pod płaszcz, by poprawić kreację. Po chwili mocowania się z nią wymamrotała pod nosem przekleństwo. Zabrzmiało jak uliczna francuszczyzna.

Głośniej oznajmiła:

– Okropne babsko źle zapięło mi haftki. Nie mam pojęcia, co ona zrobiła, ale nie mogę tego teraz odpiąć. Fenwick, pomóż mi.

– Nigdy w życiu – zaprotestował chłopiec. – Są rzeczy, które robię, i rzeczy, których się nie dotknę. Dotykanie babskich haftek i guzików, i takich tam nie wchodzi w grę.

– Nie bądź taki zasadniczy – powiedziała Sophy. – Nie myślisz chyba, że lord Longmore zatrzyma teraz konie, żeby mi pomóc.

– Lepiej niech zrobi to on niż ja – oświadczył Fenwick. – Nie tknę tego nawet pogrzebaczem.

– Tchórz! – powiedział Longmore. Dzień stawał się coraz lepszy.

Skręcił w najbliższą boczną ulicę i zatrzymał powóz. Wysłał Fenwicka na dół, by przytrzymał konie, a potem obrócił się przodem do Sophy.

Odpięła płaszcz i zsunęła go z ramion. Opadł jej do pasa. Potem odwróciła się i odgarnęła włosy z szyi.

Coś pojawiło się w powietrzu, coś zaiskrzyło.

Miał przed sobą jej nagi kark. Jedwabistą, doskonale mleczną skórę i złocisty ślad, gdzie zaczynała się linia włosów.

Niemal poczuł jej smak. Pochylił głowę, myślał wyłącznie o polizaniu jej karku w taki sposób, w jaki kot wylizuje śmietankę.

– A tak przy okazji, był pan świetny – pochwaliła.

– Powiedziała mi pani, bym był sobą – rzekł ochryple. Czuł zapach jej skóry, nutę lawendy i... sosny?

Ledwie mógł się skupić na haftkach, gapiąc się na gładką szyję.

– Myślę, że to coś pośrodku – powiedziała.

– Co takiego?

– Haftka, którą zaczepiła o złą pętelkę. To pętelka, widzi pan? Nie dziurka.

Z trudem przeniósł uwagę na suknię. Na środku pleców tkanina się wybrzuszała, a ponad miejscem, gdzie suknia została źle zapięta, zrobiła się dziura. Widział przez nią bieliznę. Szlachetny atłas. Haftowany. W drobne kwiatuszki.

Stłumił jęk.

– Doskonale wyczuł pan atmosferę – pochwaliła. – Był pan świetny.

Upomniał się surowo, by nie przekraczać granic.

Nie było to łatwe. Nigdy nie uznawał powstrzymywania żądzy za rozsądną czynność. Teraz jednak poddanie się jej nie mogło przynieść mu żadnej korzyści, nie tutaj. Nawet taki uwodziciel jak hrabia Longmore potrafił to zrozumieć.

– Zrób, co trzeba, i skończ to – powiedział do siebie.

Nie było to zbyt trudne zadanie. Przywykł do zapinania i rozpinania damskich sukien. Robił to niejeden raz, nawet w rękawiczkach. Robił to po ciemku. Robił to tak szybko, że zasłużył na niejeden medal, zwłaszcza kiedy dama piszczała:

– Śpiesz się, na litość boską, on wraca!

Zabrał się do pracy.

Powinno to zająć sekundę. Wszystko się jednak poplątało, palce zdawały się niezdarne i grube jak serdelki. Choć bardzo chciał dotrzeć do właściwej pętelki, wciąż się nie udawało, a z każdym niepowodzeniem gotował się jeszcze bardziej.

– Co się dzieje? – spytała.

– Te haftki – wybąkał. – Są jakieś podstępne.

– Ta idiotka musiała je powyginać – domyśliła się. – Powinny dać się łatwo zapinać. Nie mamy zbyt wielu służących i nie zawsze ma się pod ręką pomocną siostrę. W razie potrzeby musimy móc się ubrać samodzielnie.

– Musi być pani diabelnie giętka.

Źle to zabrzmiało.

Milczała, a jego umysł jął malować obrazy. Jakby już nie był dostatecznie podniecony.

Nie przywykł do zachowywania powściągliwości. A ona była... giętka. Jego umysł nie mógł porzucić tej myśli. I jeszcze pachniała tak kobieco, lawendą i świeżą zielenią. No i widział kawałeczek jej bielizny.

O mało nie pękła mu od tego głowa.

– Lordzie Longmore – odezwała się.

Zebrał wszystkie resztki zdrowych zmysłów.

– Haftka jest zaplątana albo zagięta – powiedział. – Nie widzę, o co chodzi.

Puls wciąż przyśpieszał, idąc w dół gorącą falą.

Chryste!

– Zaczepiła go może o szew – powiedziała. – Bardzo się śpieszyła, chcąc się mnie jak najszybciej pozbyć. Dziwię się, że nie zostawiła tego tej Francuzce, Ecrivier. Widział pan, o co w tym wszystkim chodziło, nie mam wątpliwości.

– Powinienem przekonać chłopca, by to zrobił – rzekł. – Ma mniejsze dłonie.

– Dalej, niech pan pociągnie i nie boi się przerwać nitki – ośmieliła go. Jej głos drżał. – Naprawimy to. Albo jeszcze lepiej niech pan to zostawi. Potrzeba tylko zapiąć haftki z tyłu, żeby stanik się trzymał.

– To tylko jedna zaplątana haftka – powiedział. – Nie poddam się odrobinie metalu, zwłaszcza kiedy patrzy na to Szalony Dick, który już układa w głowie drwiącą ripostę.

Wyprostował ramiona.

Zdjął rękawiczki.

Kiedy tym razem dotknął tyłu jej sukni, zadrżała.

Dłonie mu spotniały.

Pochylił się niżej, znalazł kawałek nitki, o którą zaczepiła się haftka. Odczepił ją.

Wypuścił powietrze, nie wiedząc zupełnie, że wstrzymał oddech.

Usłyszał, jak westchnęła.

Zrobione.

Zauważyła.

I na pewno nie tak, jak zauważa się muchę, która siada na skórze, albo psa, który pcha się z nosem do ręki, ale w specjalny, kobiecy sposób.

Zatem machina oblężnicza ruszyła.

Wiele go to kosztowało, ale w końcu ruszyła.

W swojej dobroci zapiął resztę haftek i guzików, po czym odwrócił się, by włożyć rękawiczki.

Stoczył straszliwą walkę ze swoją naturą, ale wyszedł z niej zwycięsko.

No i zrobił postępy.

– Możesz wrócić, mały tchórzu! – zawołał do Fenwicka. – Dama jest już przyzwoicie odziana.

* * *

Lord Longmore w piekielnym tempie jechał w stronę St. James. Kiedy przejeżdżali przez tłum, Sophy słyszała okrzyki protestu i przekleństwa, ale wszyscy ustępowali mu z drogi.

Złapała poręcze powozu i życzyła sobie tylko tego, by mógł jechać jeszcze szybciej.

Wciąż czuła jego ręce na plecach i ciepły oddech na szyi. Wciąż słyszała jego głos, niski i ochrypły.

Jej siła woli gdzieś wyparowała.

Czuła, jakby jej mózg stopniał, a mięśnie w ślad za nim. Niemal pragnęła znów znaleźć się w jego ramionach i pozwolić mu zrobić ze sobą, co tylko by zechciał.

Na szczęście dla niej wydawało się, że niczego nie chce.

Miała go z głowy. Oddał jej przysługę i tyle. Jedyne, co musiała teraz zrobić, to dotrzeć do domu i nalać sobie kieliszek lub cztery brandy, a potem opowiedzieć siostrom, czego się dowiedziała.

Kiedy dojechali na miejsce, zeskoczyła z karykla.

Odwróciła się, by wbiec do środka, kiedy przypomniała sobie o chłopcu. Dobry Boże, jakże mogła o nim zapomnieć?

Odwróciła się.

– Na co czekasz? Chodź ze mną, Fenwicku.

Chłopiec otaksował nieufnym wzrokiem sklep, ale jął złazić z powozu.

– Nie pójdziesz tam – odezwał się Longmore.

Chłopiec się zatrzymał i zaczął spoglądać to na nią, to na niego.

– Pojedziesz ze mną – powiedział Longmore. – Dopilnuję, żebyś się najadł i dostał miejsce do spania. Jest świetna piekarnia tuż za...

– Wykluczone – zaprotestowała Sophy. – Ja to chłopcu obiecałam.

– Obiecała, wasza wysokość – potwierdził Fenwick.

– I zaufasz jej bardziej niż mnie? – spytał Longmore. – Wiesz, co to jest? – Wskazał ruchem głowy Maison Noirot. – To sklep z modą. Tam są same kobiety.

– Może lepiej, żebym został z panem, psze pani – powiedział z wahaniem Fenwick. – On jest od pani ważniejszy.

– Nie zostaniesz – upierała się. – To ja znalazłam cię pierwsza.

Podeszła do karykla. Chłopak odsunął się na drugi koniec siedzenia.

– Bez urazy, psze pani, ale to on uratował mnie przed poprawczakiem – powiedział Fenwick. – A jak mu się zachce, to może mnie zgnieść jak muchę.

– A ja uratowałam ci życie, bo wyciągnęłam cię z tej bójki, zanim ktoś cię tam przez przypadek nie zdeptał – zaprotestowała Sophy. – A gdyby jego lordowska mość miał cię zmiażdżyć, to zrobiłby to zaraz po tym, jak chciałeś go obrabować. Chodź już i więcej się nie wygłupiaj.

Wyciągnęła rękę, by złapać Fenwicka za ramię, ale ten się odsunął i skulił.

– Nie mam czasu na takie głupstwa – wtrącił się Longmore. – Miłego dnia, panno Noirot.

Musiała się cofnąć, bo dał znak koniom, by ruszyły, a one gwałtownie wyrwały do przodu.

Odjechał. Zacisnęła pięści i patrzyła za nim bezradnie.

* * *

Longmore wiedział, że to nie był dobry pomysł, aby zostawić ją rozzłoszczoną na trotuarze. Jednak jeszcze gorszym pomysłem było pozwolić jej przygarnąć chłopca. Któż wiedział, kim byli jego znajomi? Któż wiedział, jak wiele przestępstw zdążył już popełnić? Zastraszony, mógł otworzyć tylne drzwi sklepu dla całego gangu rabusiów i rzezimieszków.

Po chwili Fenwick się odezwał:

– Myślałem, że ma na imię Gladys.

– Ma setkę imion, używa ich, jak jej pasuje – wyjaśnił Longmore. – Nie próbuj za tym nadążyć. Rozboli cię tylko głowa.

Usłyszał przeraźliwy krzyk.

Popatrzył w tamtą stronę. Sophy co sił w nogach biegła za powozem.

– Oddawaj chłopca! – wrzeszczała.

– Wracaj do domu! – odkrzyknął.

Wrzasnęła wniebogłosy. A potem zachwiała się i upadła na trotuar.

Natychmiast pośpieszyli ku niej przechodnie.

Longmore zatrzymał powóz, rzucił lejce Fenwickowi, po czym przepchnął się przez szybko gęstniejący tłum.

– Z drogi, do licha! Chcecie ją stratować?

Podniósł ją. Zawisła bezwładnie w jego ramionach.

Kobiety często mdlały. Były do tego przyzwyczajone. To ich nie zabijało, powtarzał w myślach, by nie wpaść w panikę.

Wiedział jednak, że Sophy dużo pracowała, a niedawno straciła sporo sił w bójce – bójce, która nawet jego wytrąciła z równowagi. Wpadła w sam środek walki i poradziła sobie, wykazując się błyskawicznym refleksem.

Dopadły go wyrzuty sumienia.

– Niech mnie licho, niech mnie licho – szeptał.

Zaniósł ją z powrotem w kierunku St. James, prowadząc za sobą orszak gapiów. Skręcił w ulicę Benneta, obejrzał się przez ramię i odprawił przechodniów władczym: – Zabierajcie się stąd.

Pochód się rozpierzchnął.

Wniósł ją na wąskie podwórze i kopnął drzwi.

* * *

Minutę później

Sophy potrzebowała tylko jednej minuty, by odzyskać Fenwicka. Kiedy krzyknęła, przyciągnęła uwagę ludzi. Gapie wzięliby jej stronę, ponieważ odgrywała nieszczęśliwą matkę, której odbierają dziecko. Była przekonana, że chłopiec poczułby dla niej litość i zszedł z powozu.

Ale Longmore, niech go diabli, nie dał jej tej minuty ani nawet sekundy, by pomyśleć. Podniósł ją z ziemi tak lekko, jakby była paczką wstążek.

A teraz przyciskał ją do dużego, twardego i gorącego torsu, jednym umięśnionym ramieniem łapiąc ją pod kolanami, a drugim – pod plecami.

Otworzyła oczy.

– Może mnie pan już puścić.

Poczuła, jak się napiął. Ciemne spojrzenie jego zmrużonych oczu napotkało jej wzrok.

– Jak mocno mam cisnąć? – spytał.

Nie wypuścił jej z objęć.

– Nie zabierze pan tego chłopca. To ja go znalazłam. Pan zaprowadzi go na policję.

– Powinienem to zrobić – powiedział. – Nie nadaje się do pilnowania koni. I co, jeśli jest poszukiwany? Założę się, że znaleźlibyśmy wielu takich, którzy marzą o tym, by go schwytać.

Jego dotyk był tak gorący i silny, że jej mięśnie wiotczały, a ciało pragnęło stopić się pod jego dłońmi.

– Proszę mnie puścić albo zacznę krzyczeć! – powiedziała.

– To niełądna gra.

– Ja tak właśnie gram – odparła.

Puścił ją, lecz ani gwałtownie, ani szybko. Dał pokaz ostrożności i troski, rozluźniając uścisk stopniowo, tak że zsunęła się powoli tuż przy jego ciele, ocierając się o wełnę, płótno i jedwab, o wszystko, co stanowiło oszałamiającą kwintesencję męskości, aż wreszcie dotknęła stopami ziemi.

Wiedziała już, że jest niebezpieczny. Miał taką opinię. Przypuszczała jednak, że jest niebezpieczny w oczywisty sposób – przez swoją posturę, dzikość i lekkomyślność.

Okazało się jednak, że to śmiertelne zagrożenie.

– Radzę, by zaoszczędził pan sobie kłopotów i przestał mi się przeciwstawiać – rzekła. – Chcę mieć tego chłopca i nie spocznę, póki go nie dostanę.

Patrzyła, jak trawi jej słowa, a jego ciemne spojrzenie ucieka w dal.

– Wie pani, nie jest mi trudno w to uwierzyć – powiedział po chwili.

– Potrzeba nam takiego chłopca w sklepie – rzekła pewnym tonem.

– Powiedziała mi pani, że nie chcecie takich. – Miałam na myśli osiłków do pilnowania butiku – wyjaśniła cierpliwie. – Ale przydałby się nam chłopiec na posyłki. Nie jest ani za mały, ani za duży, by się przyuczyć. Jest szybki, bystry i dobrze wygląda. Kiedy się go wykąpie...

– ...i odwszawi...

– Da dobre ubranie i pokaże co i jak – będzie idealny.

Longmore skrzywił się w grymasie, który bez wątpienia wyrażał ból myślenia.

Czekała, czując, jak pomiędzy piersiami spływa jej strużka potu. Gdyby nie nazywała się Noirot, zacisnęłaby pięści i zagryzła zęby, aby powstrzymać się od uczynienia czegoś nieprawdopodobnie głupiego.

Zważywszy, że była nieodrodną córką swoich rodziców, i tak było zdumiewające, że w ogóle mogła teraz myśleć o chłopcu.

Dzięki ciotce Emmie Sophy i jej siostry były twardsze niż wiele kobiet ich pokroju. Stała więc i czekała, zastanawiając się, dlaczego, u diabła, nikt nie podchodzi do drzwi. Przydałoby jej się teraz wsparcie sióstr.

– Dobrze – burknął.

Jego głos obniżył się o pełną oktawę, co zaćmiło jej umysł.

– Przyznam, że nie jest to pomysł całkiem od rzeczy – rzekł. – Będzie jednak lepiej, jeśli ja mu to powiem. Nakarmię go najpierw i oswoję. A potem przywiozę z powrotem.

– Mam nadzieję, że to nie jest podstęp – ostrzegła.

Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

– O co chodzi? – spytała.

– Podstępy to pani specjalność, panno Noirot – rzekł. – Moją jest powalanie ludzi na ziemię. Pochlebia mi jednak, że wyobraża sobie pani, iż mógłbym wyprowadzić ją w pole.

Zaśmiał się krótko i odszedł.

* * *

– Powiedz moim siostrom, że wróciłam – powiedziała Sophy, przemykając szybko obok Mary, pokojówki, która wreszcie otworzyła drzwi.

Pośpieszyła w górę po schodach do swojego pokoju. Musiała się umyć i przebrać. Potrzebowała orzeźwiającej kąpieli.

Zdjęła brzydki płaszcz, koszmarną suknię, po czym odbyła krótką walkę ze sznurówkami gorsetu. To przypomniało jej niekończącą się mękę, gdy Longmore pracował nad haftkami sukni.

Nie potrzebowała takich wspomnień.

Podeszła do kominka i pociągnęła za sznurek dzwonka.

Napełniła miskę wodą. Odlepiła pieprzyk i wyszorowała twarz.

Nie było czasu, by umyć włosy, musiała jednak jak najszybciej pozbyć się ubrań. Gdzie, do licha, podziała się Mary?

Drzwi się otworzyły. Stanęła w nich jednak nie Mary, lecz Marcelline.

– Moja droga, nic ci się nie stało?

– Nie. Pomóż mi się rozebrać, dobrze? Nie cierpię tego ubrania. Tylko z nim kłopot. Kiedy je zdejmę, mam zamiar je spalić.

– Sophy...

– Wszystko opowiem, gdy pozbędę się tych szmat.

Marcelline podeszła, by pomóc siostrze w zdjęciu gorsetu. Po chwili Sophy rzuciła go na podłogę.

– Rozumiem więc, że nie poszło zbyt dobrze – zaczęła Marcelline.

– Skądże, poszło śpiewająco – odparła Sophy.

Powiedziała sobie, że nie będzie głupia. Longmore nic nie znaczył. Był wyłącznie środkiem do celu. Liczył się tylko sklep.

Zdejmując warstwę po warstwie, opowiedziała Marcelline, jak cudownie wypadł w swej roli Longmore jako tępy, władczy arystokrata. Wyjaśniła, jak to dzięki niemu mogła przyjrzeć się fasonowi i jedwabiom, które wybrała lady Warford. Opowiedziała też o nowym wystroju butiku i francuskiej sprzedawczyni.

– To niedobrze – westchnęła Marcelline.

– Nie tego się spodziewałam, ale mogło być gorzej – rzekła Sophy. – Nasze wnętrze wygląda znacznie lepiej. Wystarczy, że tylko trochę je upiększymy. Maison Noirot wymaga odmiany. Musi być zawsze dziesięć kroków przed sklepem Pretensji. Ludzie nie zauważają drobnych różnic.

Wymagało to jednak pieniędzy, których nie miały. Leonie coś wymyśli. Musi. Sophy nie mogła zadbać o wszystko.

– A fasony? – spytała Marcelline. – A suknia lady Warford?

– Polecę dziewczętom ze Stowarzyszenia na rzecz Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet, żeby rozpracowały i odtworzyły suknię – powiedziała Sophy. – Lady Warford, niestety, nie widzi jej wad.

– Jak to możliwe, że stoi obok córki i nie dostrzega tak wielkiej różnicy?

– W tym stylu, w jakim lady Clara się ubierała, zanim wzięłyśmy ją pod swoje skrzydła – wyjaśniła Sophy. – Jej oko jest niewyćwiczone. W tej chwili nie widzę sposobu, żeby ją podszkolić. Myślę, że teraz poświęcę się w całości sprawie lady Clary. Tylko ona chroni nas przed porażką. Jeśli nadal będzie u nas kupować, to przeżyjemy. Lecz jeśli poślubi Adderleya, wszystko się skończy.

Marcelline przechadzała się po pokoju.

– Leonie powie, że powinnyśmy ustalić priorytety – dodała Sophy. – Mamy trzy kłopoty. Trzeba je ustawić po kolei od najprostszego do najtrudniejszego. Moim zdaniem lady Warford to najtwardszy orzech do zgryzienia, tarapaty, w których znalazła się lady Clara, to problem łatwiejszy do rozwiązania, a Pretensja to doprawdy najmniejszy kłopot. Zgodzisz się ze mną?

Marcelline kiwnęła głową, wciąż się przechadzając.

– Wiemy, co zrobić z Pretensją – przynajmniej na razie. Teraz zabiorę się za lady Clarę.

– Warto by się dowiedzieć, co w ogóle dzieje się w jej głowie. – Marcelline zatrzymała się na chwilę.

Lady Clara przyszła w środę zamówić suknię do konnej jazdy i dwa kapelusze, ale Sophy zajmowała się wówczas lady Renfrew, jedną z ich najwierniejszych klientek.

– Możemy ją tu zaprosić jutro na przymiarkę? – spytała Sophy. – Jeśli uda mi się z nią porozmawiać, pociągnę ją za język.

– Możemy wysłać szwaczkę z wiadomością – rzekła Marcelline. – Jednak wolałabym nie przypominać wszystkim w rezydencji Warfordów, że lady Clara patronuje zaprzysięgłym wrogom swojej matki.

– Możemy poprosić lorda Longmore’a, żeby jej to przekazał. Pojawi się tu za godzinę lub coś koło tego.

Marcelline uniosła brwi ze zdziwienia.

Sophy opowiedziała więc siostrze o Fenwicku oraz o próbie Longmore’a, aby się go pozbyć.

– Ależ słodki! – Marcelline się zaśmiała. – Próbuje ochronić cię przed niebezpiecznym przestępcą. Gdyby tylko wiedział...

Fenwick w porównaniu z nimi był aniołkiem. Co prawda nigdy nie zajmowały się kradzieżami kieszonkowymi, nie było jednak gry ani ulicznego oszustwa, którego by nie znały. Swego czasu musiały radzić sobie ze wszystkimi typami złoczyńców. W czasie epidemii cholery Paryż był miastem, w którym nie obowiązywało żadne prawo. One jednak przetrwały.

– Myślałam o tym – powiedziała Sophy. – Byłam zbyt wściekła z powodu jego despotyzmu. Tak wściekła, że przez chwilę nie wiedziałam, co zrobić. Ale tylko przez chwilę. Potem odegrałam przedstawienie i zemdlałam. Niestety, musiałam mdleć na ulicy, a to obrzydliwe.

– Wyobrażam sobie – ze znaczącym uśmiechem powiedziała Marcelline. – A nie mogłaś wymyślić czegoś mniej angażującego?

– Może i tak, ale nie było czasu. Bałam się, że odjedzie. Prowadzi jak pijany woźnica rydwanu, zupełnie nie dbając o to, co może napotkać na drodze.

Marcelline kopnęła szpetną suknię lady Gladys leżącą na podłodze.

– Zgadzam się, że najlepiej je spalić. Poślę też po Mary, by przygotowała ci porządną kąpiel. – Zmierzyła wzrokiem fatalną fryzurę Sophy. – Powinnyśmy usunąć ci z głowy ten bałagan.

– To będzie musiało poczekać do jutra – powiedziała Sophy. – Zostawiłam ciebie i Leonie same na cały dzień, poza tym mam klientkę

umówioną na dziś po południu. Upnę je tylko gładko i włożę koronkowy czepek, nikt nie zauważy.

– Nie wychodzisz wieczorem?

– To tylko przyjęcie o lorda Londonderry’ego, tam nikt nie będzie nosił naszych sukien.

– Świetnie – ucieszyła się Marcelline. – Powinnaś się porządnie wyspać.

Sophy przede wszystkim powinna poczuć czyjeś wielkie ręce na ciele, wiodące ją na pokuszenie.

Któregoś dnia, obiecała sobie. Nie będą to jednak ręce Longmore’a. To miałoby wyłącznie nieprzyjemne następstwa.

Pomyślała, że ma dość trudnych spraw do wyprostowania i powinna pracować tylko nad tymi, które nie były z gruntu przegrane.

W sprawie Longmore’a chciała tylko wiedzieć, czy przywiezie jej chłopca, czy też zmusi ją, by uciekła się do drastycznych środków. Pocieszyło ją ich obmyślanie.

* * *

Po jakichś dwóch godzinach Longmore powrócił przed drzwi sklepu. Polecił pokojówce, która otworzyła drzwi, oznajmić Sophy Noirot, że przyprowadził jej „młodego opryszka”.

Służąca wprowadziła ich do pokoju na parterze. Miał bardziej spartański wystrój niż salon na górze, przeznaczony był bowiem, sądząc z wielu szafek i szuflad, do bardziej roboczych celów.

Mimo to był idealnie czysty. Możliwe, że Fenwick nigdy w życiu nie widział nic równie czystego.

Ledwo zaczęli się zastanawiać, co kryją w sobie liczne szuflady, gdy pojawiła się Sophy.

Pozbyła się już wszelkich śladów lady Gladys.

Fenwick w ogóle jej nie rozpoznał. Przez długi czas stał dziwnie milczący i tylko się przyglądał.

– Tak, to ta sama dama – rzekł zniecierpliwiony Longmore. – Jak wspomniałem, ma sto imion i sto twarzy. A to – zwrócił się do niej – pani drogi Fenwick.

– Co pan z nim zrobił?

– Usunął z siebie kilka warstw brudu – rzekł.

– Wygląda, jakby usunięto mu także parę warstw skóry.

Fenwick przypomniał sobie, że ma język.

– Jego lordowska mość kazał mi wziąść kumpiel. Mówiłem mu, że kumpałem się w zeszłym tygodniu. Zeskrobali mi całą gębę.

– Kąpiel – poprawił Longmore. – Nie kumpiel. I wziąć, a nie wziąść. Układaj usta poprawnie, tak jak ci pokazałem.

– Kąpiel – powtórzył z przesadną poprawnością Fenwick.

– Głowa zaczyna mnie boleć od tłumaczenia tego, co on mówi, bo nie wiem, jakim językiem on się w ogóle posługuje – pożalił się Longmore.

– Jadłem mięso – pochwalił się Fenwick. – Takie mięso w cieście wielkim jak moja głowa. – Użył rąk, aby pokazać nieprawdopodobne rozmiary dania. – Poszedliśmy do sklepu, gdzie pan mi znalazł te rzeczy...

Longmore popatrzył na niego.

Chłopiec się poprawił:

– Poszliśmy.

– Zajrzeliśmy do handlarza niedaleko łaźni – wyjaśnił Longmore. – Wiem, że wbije go pani w dziko wspaniałą liberię, ale nie miało sensu szorowanie go do czysta po to, by na powrót włożył te szmaty, które miał na sobie.

Rzuciła mu łagodniejsze niż zazwyczaj spojrzenie.

Czyżby zawierało ślad pochwały? Dobry Boże!

Przysunął się jeszcze o krok.

– Omówiliśmy z Fenwickiem całą sprawę – powiedział. – Doszliśmy do wniosku, że będzie mu lepiej na służbie u pani niż gdziekolwiek indziej. Będzie miał dach nad głową, regularne posiłki, wyjątkowo wytworne ubranie i miejsce do spania, gdzie nikt go nie okradnie ani nie napadnie, nie zaciągnie do więzienia ani do domu poprawczego.

– Lepiej bym tego nie opisała – pochwaliła.

– Zapewne użyłaby pani większej liczby przymiotników – zauważył Longmore. – W każdym razie nie wydobyłem z chłopca jego prawdziwego imienia ani tego, skąd pochodzi, ani kim są jego rodzice, o ile w ogóle ich zna. Ośmielę się jednak stwierdzić, że pani wydobędzie z chłopca jego najgłębsze i najczarniejsze sekrety – ciągnął Longmore.

Zanim zdołała odpowiedzieć, weszły siostry.

Fenwick wlepił w nie zdumiony wzrok.

Longmore nie miał o to do niego pretensji. Jedna panna Noirot wystarczająco zapierała dech w piersi, a co dopiero trzy, w tych wszystkich koronkach, wielkich bufiastych rękawach, spódnicach, falbanach i wstążkach. We wszystkich kolorach tęczy, szeleszczące przy każdym ruchu wydawały się halucynacją.

– To Fenwick – dokonała prezentacji Sophy.

Wszystkie spoglądały na chłopca z tym samym wyrazem uprzejmego zainteresowania.

Longmore zastanawiał się, co dzieje się w ich głowach. Nie, tak naprawdę zastanawiał się tylko, co dzieje się w jej głowie.

– Wziąłem kąpiel – powiedział starannie Fenwick.

– Z użyciem mydła – dopowiedział Longmore. – Cóż, mają panie zamiar go zatrzymać?

Księżna Clevedon się uśmiechnęła.

– Myślę, że bardzo dobrze się u nas sprawi.

– O tak, chodź ze mną, Fenwicku – powiedziała z właściwą sobie energią Leonie. – Zaopiekuje się tobą nasza służąca Mary. Dziś jesteśmy bardzo zajęte. Porozmawiamy później, po zamknięciu sklepu.

Położyła rękę na ramieniu chłopca i poprowadziła go do drzwi.

– To miło z pana strony, że zajął się pan jego higieną i ubraniem – pochwaliła z uśmiechem księżna.

– Pomyślałem, że najlepiej będzie zaprowadzić go do łaźni. Teraz jest w dobrych rękach, a i ja nie będę już zajmował paniom czasu.

Ukłonił się i odwrócił, aby wyjść, kiedy usłyszał hałas. Pokój znajdował się niedaleko tylnych drzwi, które ktoś najwyraźniej próbował wyważyć.

Przypomniał sobie opryszków wynajętych przez Pretensję.

Przypomniał sobie także, co Fenwick mówił o swoich przyjaciołach. Mali złodzieje krążyli przeważnie w grupach dowodzonych przez starszych przestępców. Szybko przemierzył krótki korytarz i otworzył drzwi.

Stał tam jego brat Valentine z podniesioną pięścią, gotów znowu załomotać w drzwi.

– Co, u diabła?! – spytał Longmore. – Czy wszyscy wiedzą o tym wejściu?

– Wszędzie cię szukam – powiedział Valentine. – Nie było cię w domu, więc zajechałem do White’a, potem pojechałem do rezydencji Clevedonów – tam też jednak nikt nie umiał powiedzieć, gdzie się podziewasz.

Pomyślałem zatem, że może masz za sobą długą noc, zajrzałem więc do klubu Crockforda, gdzie powiedziano mi, że ktoś widział, jak skręcasz w ulicę Benneta. Udałem się więc tutaj i zobaczyłem powóz. Sprawdziłem już pięcioro drzwi w tym podwórzu. Co to za miejsce?

– Nieważne. Czego, u diabła, chcesz?!

Valentine popatrzył w głąb pomieszczenia.

Longmore odwrócił się i zobaczył, że Sophy jednak za nim poszła.

– Porozmawiajmy na zewnątrz – rzekł Valentine. – Coś się wydarzyło.

– Na pewno z lady Clarą – odezwała się Sophy.

– Jak, u diabła... – Valentine szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

– Co tym razem zrobiła? – zażądał odpowiedzi Longmore. – Zabiła narzeczonego? Czy naszą matkę?

– Czy ona wie o wszystkim? – spytał Valentine, kierując wzrok na Sophy.

– To szwagierka Clevedona, głupcze. Praktycznie należy do rodziny.

– Ale nie do naszej – zauważył Valentine.

– Nie nadymaj się tak, jakbyś cierpiał na zaparcie – przygadał mu Longmore. – Co takiego zrobiła Clara?

– Może wyjdziemy na zewnątrz? Wolałbym, aby nie dowiedział się o tym cały świat.

– Ten świat – rzekł Longmore, wskazując gestem Sophy – i tak wszystkiego się dowie.

Valentine wymamrotał coś pod nosem, westchnął głęboko, po czym wszedł do przedsionka i zamknął za sobą drzwi.

– Clara uciekła.

Rozdział 6

Niektórzy uważają, że najwznioślejszym obiektem natury
jest statek na kotwicy na pełnym oceanie; pozwólcie jednak,
że dla własnej satysfakcji podam przykład dyliżansów pocztowych,
które wieczorami wlewają się na Piccadilly i miażdżą bruk,
po czym pożerają drogę przed sobą aż do krańca świata!
William Hazlitt, *Szkice i eseje* (1839)

– Nie opowiadaj bzdur – rzekł Longmore. – Clara by nigdy...

– Panowie – wtrąciła się Sophy. – To nie jest najlepsze miejsce, by kontynuować tę rozmowę. Ludzie przechodzą, drzwi otwierają się i zamykają.

– A o czym tu rozmawiać? – spytał Longmore. – Przecież czegoś takiego nie można wziąć na poważnie.

Wyraz twarzy Sophy był jednak bardzo poważny.

– Radzę panu potraktować to serio – rzekła. – Powinniśmy przejść do ustronnego miejsca.

Poszła do pokoju, z którego Longmore właśnie wyszedł. Nie zaczekała nawet, by sprawdzić, czy mężczyźni podążyli za nią. Przez chwilę obserwował jej kołyszące się biodra. A potem zauważył, że brat patrzy na to samo.

– Nie stój tu jak słup soli – ofuknął go Longmore. – To przecież ty chcesz utrzymać sprawę w tajemnicy.

Poszli do pokoju. Zamknęła starannie oboje drzwi.

– To typowa dla rodziny Fairfaksów burza w szklance wody – rzekł lekceważąco Longmore. – Clara nie jest zdolna do ucieczki. Nie potrafi sama się ubrać. Nie ma pieniędzy. Dokąd miałaby pójść?

– Wzięła ze sobą Davis.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Myślisz, że stroję sobie żarty?

– Dama nie jest w stanie utrzymać niczego w tajemnicy przed osobistą służącą – wtrąciła Sophy. – Musiała powiedzieć Davis. I choć Davis

zapewne się to nie spodobało, przecież nie mogła pozwolić lady Clarze jechać gdziekolwiek samotnie.

To była prawda. Davis była jak wierny pies, niezwykle lojalna i opiekuńcza. A także bardzo rozsądna – albo tak wydawało się Longmore’owi.

– Clara odjechała kabrioletem około południa – wyjaśnił Valentine. – Miała ze sobą mnóstwo pakunków, powiedziała, że to stare ubrania, które wiezie gdzieś oddać. Potem miała pojechać do ciotecznej babki Dory w Kensington i spędzić u niej noc. Robiła tak już wcześniej. Nikt nie uznał tego za podejrzane. Moglibyśmy niczego się nie domyślić aż do jutra, gdyby nie to, że cioteczna babka Dora przyjechała dziś w odwiedziny do matki. Wtedy przelękliśmy się nie na żarty, jak się domyślasz.

Longmore zdziwił się, że nie usłyszał aż tu wrzasków dochodzących z rezydencji Warfordów, wszak ich dom znajdował się zaledwie parę ulic dalej, naprzeciwko Green Park.

– Czy lady Clara zostawiła jakąś wiadomość?

Valentine nagle się usztywnił. Zdjął kapelusz i wykonał niezwykle przepisowy ukłon.

– Nie sądzę, bym miał honor... – zaczął.

Nadęty dupek.

– Panno Noirot, pozwoli pani, że przedstawię mojego brata: Valentine Fairfax.

Głupiec wykonał jeszcze jeden przesadnie uprzejmy ukłon, po czym zapytał:

– Panno Noirot, może byłaby pani tak dobra i pozwoliła mi porozmawiać z bratem na osobności?

Dygnęła w ukłonie dalekim od przepisowego. Zanurzyła się nisko w zatrzęsieniu koronek i atłasu szeleszczących jak szepty oburzonych widzów na widok kurtyzany w loży teatralnej. Następnie uniosła się z lekkością i wdziękiem tancerki baletowej. Popatrzyła na Valentine’a szeroko otwartymi błękitnymi oczami.

– Nie jestem wcale dobra, proszę zapytać lorda Longmore’a.

– W tym względzie nadal nie mam pewności – oświadczył Longmore. – Powiem tylko, że utrzymywanie tajemnicy przed tą osobą na nic się nie zda.

Valentine, zapatrzony w wielkie błękitne oczy, nie usłyszał ani słowa.

– Wiadomość, Valentine – przypomniał mu Longmore. – Czy nasza siostra zostawiła jakąś wiadomość?

Valentine otrząsnął się z wrażenia, po czym wyciągnął z kieszeni kamizelki kawałek papieru i wręczył go bratu.

Wiadomość była lakoniczna:

NIE poślubię tego mężczyzny. Wolę okryć się hańbą na całe życie i skończyć jako żebraczka.

C.

– Och, wybornie – jęknął Longmore. – Tego nam potrzeba – przedstawienia.

Przypomniał sobie jednak skurczoną twarz Clary, kiedy ją tu przywiózł w zeszłym tygodniu. Powiedziała wtedy... Co ona takiego powiedziała?

Coś o ich matce, że ją dręczy. Coś o małżeństwie. Zbyt pośpiesznym ślubie.

Ślubie, którego wcale nie musiałoby być, gdyby uczyniła jedną najprostszą rzecz, którą – co nawet on rozumiał – powinna była uczynić: gdyby trzymała Adderleya z dala od siebie.

Sophy wyciągnęła rękę. Dał jej liścik.

Szybko przebiegła wzrokiem pismo i odwróciła papier na drugą stronę. Widniało tam tylko jedno słowo: Mama.

– Gdy matka zrozumiała, że Clara wcale nie pojechała do babki Dory, pobiegła na górę i przeczesała jej pokój – wyjaśnił Valentine. – Liścik wciśnięty był do pudełka z biżuterią. Wyjęła z niego wszystko. Niewiele tego było, zazwyczaj matka pożyczała jej swoje klejnoty, a wszystko, co stanowiło większą wartość, trzymała pod kluczem.

– Mogła sprzedać suknie – rzekła Sophy. – Służąca pewnie jej w tym pomagała. Dlatego wzięły tyle pakunków.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią.

– Osiągną niezłą cenę, zwłaszcza za te stroje, które my szyłyśmy – wyjaśniła.

Dopiero wtedy Longmore poczuł strach.

Clara. Na drodze. Z jedną tylko służącą.

Zrobiło mu się słabo.

– Ośmielę się rzec, że matka do tej pory już to odkryła – rzekł Valentine. – Garderoba jest pusta.

– Naprawdę przestała wrzeszczeć na tak długo, by to wszystko odkryć? – spytał Longmore.

– W ogóle nie krzyczała. Najpierw zemdlała, potem zaczęła płakać, po czym zamknęła się w pokoju Clary. Nikogo tam nie wpuściła ani też z nikim nie chciała rozmawiać.

– Och, nie. Nieszczęsna kobieta. – Sophy podniosła dłoń do ust i zamknęła oczy. Tylko na ułamek sekundy okazała prawdziwe emocje. Longmore zrozumiał natychmiast, jak wyjątkowa była to chwila. Nie wiedział, skąd ta pewność, nie miał jednak co do tego wątpliwości, jak i do tego, że Sophy to Sophy, niezależnie od przebrania, które na sobie miała.

Iskierka uczucia zniknęła niemal natychmiast, a Sophy nabrała energii.

– Szkoda, że nie zostawiła więcej śladów. Wzięła jednak służącą. A także ubrania i biżuterię do oddania w zastaw. Do pewnego stopnia to planowała. Pierwsze, co musimy ustalić, to kierunek, w którym się udała.

– Musimy? – powtórzyli bracia jednocześnie.

* * *

Lord Valentine Fairfax, którego Sophy widywała wiele razy, przypominał starszego brata tylko posturą. Mimo to oczywiste było, że są rodzeństwem. Obaj zareagowali na nią eksplozją tych samych uczuć – zaskoczeniem, zmieszaniem i gniewem.

Byli arystokratami. Ich mózgi nie były ani zbyt dobrze rozwinięte, ani też nastawione na subtelności.

– Przypuszczałam, że mają panowie życzenie mi pomóc.

– Pomóc pani? – spytał lord Longmore.

Lord Valentine pamiętał jeszcze o manierach.

– To bardzo... ee... uprzejmie... z pani strony, panno... ee...

– Noirot, idioto. Powiedziałem przecież. Szwagierka Clevedona. I jeśli ona...

– Tak, oczywiście – potwierdził lord Valentine. – Ośmielę się rzec, że moglibyśmy wezwać Clevedona, by towarzyszył nam w organizacji poszukiwań.

– Ach, tak? – rzekła. – Gdzie proponuje pan rozpocząć te poszukiwania?

– No... – Lord Valentine zmarszczył brwi i popatrzył na brata.

– Ja osobiście czuję się bezradna, gdy o tym pomyślę – rzekła. – Może się mylę, ale wydaje mi się, że potrzebują panowie wielkiej grupy poszukiwawczej, aby przeszukać każdą drogę wychodzącą z Londynu, jak również, cóż... wszelkie możliwe szlaki we wszystkich kierunkach.

Popatrzyli po sobie, a potem na nią.

– Nie mogę też nie zastanawiać się, jak zamierzacie to uczynić bez zwrócenia uwagi socjety na fakt, że lady Clara Fairfax uciekła z domu tylko w towarzystwie służącej – dodała. – Może się mylę, jestem w końcu tylko właścicielką sklepu – ale zawsze sądziłam, że szlachetnie urodzonym pannom nie zezwala się na samotne eskapady. Przypuszczam, że jeśli któraś z nich uczyniłaby coś takiego, jej rodzina wolałaby, aby o tym nie wiedziano.

– Cóż... – zaczął lord Valentine.

Longmore’owi wyrwało się z ust gwałtowne przekleństwo.

Sophy mogłaby dodać kilka równie porywczych – i to w dwóch językach. Sytuacja była fatalna z wielu względów. Szlachetnie urodzona panna podróżująca bez przyzwoitki i bez eskorty poza jedną służącą. Clara równie dobrze mogła wymalować sobie czerwoną farbą tarczę na plecach. Oraz z przodu. Jeśli dowie się o tym wielki świat...

Już nic nie naprawi jej reputacji.

Można było mieć tylko nadzieję, że dziewczyna przemyślała to po raz drugi i jest już w drodze do domu.

Sophy jednak była zbyt mądrą osobą, by polegać na nadziei.

– Mam rozległą sieć znajomości. W takiej sytuacji mogę z niej skorzystać – powiedziała. – Poza tym mamy Fenwicka. Podejrzewam, że będzie mógł popytać wśród swoich znajomych. Ktoś musiał zauważyć dwie kobiety w konkretnym pojeździe, podążające w ściśle określonym kierunku.

Czekała na argumenty. Dwaj mężczyźni stali jednak i tylko słuchali jej z jednakowym wysiłkiem malującym się na twarzy. Przypuszczała, że obaj z trudem interpretują to, co właśnie powiedziała. Nie można było oczekiwać od nich, by w tym samym czasie robili coś jeszcze.

– Wszystko, czego od panów potrzebuję, to opis powozu i jego charakterystycznych detali. – Wyjęła zegarek kieszonkowy na łańcuszku

i otworzyła kopertę. – Już prawie wpół do piątej. Jeśli dopisze nam szczęście, dowiemy się czegoś jeszcze przed nadejściem nocy.

– Nocy! – powtórzył lord Valentine. – Moje drogie dziewczę, Clara jest w drodze od wielu godzin. Do nocy może dotrzeć do Dover albo Brighton, a nawet znaleźć się na statku płynącym na kontynent.

– Panna Noirot nie jest twoim drogim dziewczęciem, pretensjonalny półgłówku – zgromił go Longmore.

– Żeby wyprawić się na kontynent, musi załatwić dokumenty – rzekła Sophy. W przeciwieństwie do panien Noirot, lady Clara nie miała pojęcia, jak pozyskać podrobiony paszport czy listy uwierzytelniające i tego typu rzeczy, nie wspominając o przebraniu się za kogoś innego.

– Zostaje zaledwie cała Wielka Brytania – westchnął lord Valentine.

– Dzięki za tak oczywiste stwierdzenie – zauważył jadowicie Longmore.

– Ja tylko miałem na myśli...

– Niech się pani nie przejmuje tym, co on myśli, panno Noirot – rzekł Longmore. – Nawet on tego nie wie, a ponieważ jest przewrażliwiony jak reszta ludzi z naszej klasy, wpada w panikę z byle powodu.

– Myślę, że jest powód do paniki – zauważyła. – Stało się coś bardzo niedobrego.

– Przed chwilą powiedziała pani, że możemy się na coś przydać – rzekł. – Co chce pani, bym zrobił?

– I ja, rzecz jasna – wtrącił lord Valentine.

Nie było wyboru.

Sophy nie mogła uporać się z tym sama. Nigdy nie wyjeżdżała z Londynu. Potrzebowała pomocy.

– Lordzie Longmore, proponuję, żeby pojechał pan do domu i przygotował się do kilkudniowej podróży – rzekła.

– Kilkudniowej! – Lord Valentine przeczesał ręką włosy. – Podróżuje tylko ze służącą! Życie Clary będzie nie do uratowania!

Zrujnowane życie Clary było w tej właśnie chwili ostatnią z trosk Sophy. Mogła jedynie mieć nadzieję, że nikt nie napadł jeszcze na dziewczynę, nie zgwałcił jej ani nie zamordował. Była zupełnie bezbronna. Nie wiedziała o świecie dosłownie nic. Wystarczyło popatrzeć, z jaką łatwością wykorzystał ją Adderley.

– Proszę spakować się na kilka dni – rzekła cichym i kojącym głosem. Chciała jednocześnie uspokoić lorda Valentine’a i przekonać Longmore’a,

że wie, co robi. – Kiedy się czegoś dowiem, poślę po pana i będziemy kontynuować.

– My? – powtórzył lord Longmore.

– Przywykłam do pana – rzekła. – W ogóle nie znam lorda Valentine’a ani on mnie.

Longmore wiedział przynajmniej – do pewnego stopnia – na co ją stać. Wiedział o jej pracy dla „Porannego Zwierciadła”. Nie będzie musiała tracić czasu na wyjaśnianie każdej najdrobniejszej rzeczy. Z Pretensją poszło im wszak doskonale.

Wykorzystała go wtedy i teraz też miała zamiar go wykorzystać. Jak narzędzie. Był dla niej tylko narzędziem, powtarzała sobie w duchu.

– Milordzie, radzę panu wrócić do rezydencji Warfordów. Musi pan znaleźć jakąś wymówkę, która tłumaczyłaby ewentualnym gościom nieobecność lady Clary. Ciężkie przeziębienie czy jakąkolwiek inną chorobę wymagającą trzymania się z daleka od ludzi.

Valentine popatrzył na starszego brata.

– Masz lepszy pomysł? – spytał Longmore. – Może muszę ci jeszcze udowodnić, że panna Noirot też dużo położyła na tej szali? Clara jest najważniejszą klientką tego sklepu. Wszystko, co tu szyją, jest wymyślone specjalnie dla niej. Jeśli reputacja Clary ucierpi, zostaną z całą wyprawą panny młodej na lodzie i będą zrujnowane, bo żadna kobieta nie ubierze się w suknie, jakie nosiła Clara. – Ostatnie zdanie wypowiedział, przedrzeźniając Sophy. – Nie wspominając o tym, że miały nadzieję na sprzedanie jej kolejnych kreacji po pozbyciu się Adderleya.

– Jakie to podobne do ciebie: żarty w takiej chwili – rzekł gorzko lord Valentine.

– Nie żartuję. Nie miałbyś co do tego wątpliwości, gdyby to ciebie zastraszono i zaszantażowano, abyś odwiózł naszą siostrę na zakupy.

– To nie żart – rzekła Sophy. – Ja i moje siostry chcemy, by lord Adderley zszedł ze sceny. Chcemy, by lady Clara poślubiła kogoś ze znacznym majątkiem. Naprawdę jest naszą najlepszą klientką i będziemy zrujnowane, jeśli nie założy pięknej sukni ślubnej, którą dla niej szyjemy.

To nie żart. Straszliwa prawda. Prawdziwsza niż cokolwiek innego.

Longmore odwrócił się od wyraźnie osłupiałego brata.

– Panno Noirot, powiedziała pani, że chce opisu kabrioletu. Proponuję poszukać papieru i ołówka. Zamówiłem ten powóz specjalnie dla niej

i pamiętam najdrobniejszy detal. A jeśli o czymś nie pamiętam, Valentine zaraz mi przypomni. Uważa, że powinienem był kupić ten powóz dla niego.

* * *

Wkrótce potem trzy siostry Noirot były w sypialni Sophy. Marcelline i Leonie pomagały jej się pakować. Powiedziała im o lady Clarze i swoim skleconym naprędce planie, jak ją odszukać. Miała nadzieję, że zaproponują jej jakieś lepsze rozwiązanie. Jej pomysł – czuła to – był pod wieloma względami daleki od ideału.

Jednak Marcelline i Leonie nie miały do zaoferowania nic odpowiedniejszego.

– Nie widzę alternatywy – powiedziała Marcelline. – Ogłoszenie zniknięcia Clary jest nie tylko niebezpieczne dla jej reputacji, ale także dla niej samej. Masa drani może jej zacząć szukać. Mogą ją nawet uwięzić dla okupu – i to w najlepszym razie. – Przerwała, by zrolować halkę. – *Mon Dieu*, jej biedna matka.

Marcelline miała córeczkę, którą prawie utraciła. Dwukrotnie. Wiedziała, przez co przechodzi teraz lady Warford. Wszystkie rozumiały, dlaczego markiza zaryglowała się w pokoju córki.

Lady Clara była tylko klientką, lecz Sophy czuła, jakby miała się rozchorować ze zmartwienia.

– Skoro mowa o draniach... – rzekła, składając pończochy. – Chciałabym wiedzieć, co takiego Adderley uczynił, że ją spłoszył.

– Czy to ma znaczenie? – spytała Leonie.

– Szkoda, że nie dowiedziałam się, zanim uciekła – dodała Sophy. – Miałybyśmy amunicję.

– Dowiesz się, jak ją znajdziesz – pocieszyła siostrę Leonie. – A znajdziesz. Musisz.

– To jasne, że Sophy ją znajdzie – zawtórowała Marcelline. – Kochane, tylko jak mam powiedzieć o tym Clevedonowi? Będzie szalał. Wiecie, ile znaczy dla niego Clara.

Kiedy rodzina Fairfaksów wzięła go do siebie, lady Clara zastąpiła mu tragicznie zmarłą siostrę. Zawsze byli sobie bliscy. Chociaż nie obyło się

bez wstrząsów, lady Clara przyszła na jego ślub z Marcelline i zaakceptowała je wszystkie, traktując je prawie jak siostry.

– Daj mu jakieś zadanie – rzekła Sophy. – Obiecałam Longmore’owi, że pozbędziemy się Adderleya. Nie mogę jednak być w dwóch miejscach jednocześnie. Poproś Clevedona, by po cichu dowiedział się wszystkiego o Adderleyu. Przyda nam się każda informacja.

– A co takiego Clevedon ma odkryć, skoro wszyscy już wiedzą, że Adderley ma skłonność do hazardu, a jego finanse to katastrofa? – spytała Leonie.

– Scena na tarasie nie była lekkomyślnym aktem namiętności – rzekła Sophy. – Czułam, że coś tam nie grało. Podejrzewam, że była starannie wyreżyserowana. Adderley powinien rozpaczliwie walczyć o kobietę, którą kocha, tymczasem pozwolił, by Longmore go uderzył, a lady Clara stanęła w jego obronie. Pozwólmy, niech Clevedon dotrze do głębi. Może dowiedzieć się czegoś, po prostu grając w karty, tak jak ja robię to, podsłuchując na przyjęciach i rozmawiając z ladacznicami.

Wzięła kapelusz, który zamierzała włożyć, i usiadła, by przypiąć do niego woalkę.

– Może ja będę mogła wejrzeć głębiej w finansowe sprawy Adderleya – powiedziała Leonie.

– Ty i Marcelline będziecie miały dość pracy z prowadzeniem sklepu, gdy mnie nie będzie – rzekła Sophy. – Przykro mi, że wszystko zostawiam na waszej głowie.

– Daj spokój – zaprotestowała Leonie. – Musisz odnaleźć lady Clarę. To najważniejsze.

– Lady Clara należy do naszej rodziny bez względu na to, czy podoba się to jej matce, czy nie – powiedziała Marcelline. Zmarszczyła brwi, patrząc na kapelusz, nad którym siedziała Sophy. – A skoro mowa o rodzinie, kochanie, chciałabym pomówić z tobą przed wyjazdem.

* * *

Chociaż Longmore przemierzył miasto w rekordowym czasie po otrzymaniu wezwania przekazanego przez Fenwicka, było prawie wpół do

dziewiątej, kiedy podjechał faetonem pod kawiarnię Gloucester na Piccadilly. Słońce już zachodziło.

Jak co dzień o tej porze, górę brała atmosfera napięcia i dramatu. Odprawiano do drogi siedem dyliżansów pocztowych i wszyscy tu obecni albo brali udział w tym przedstawieniu, albo mu się przyglądali.

Longmore pamiętał, że kilka lat temu zgiełk i zamieszanie dawały się znacznie bardziej we znaki. Wówczas wszystkich trzydzieści pięć dyliżansów Poczty Królewskiej wyjeżdżało z Londynu o tej samej porze razem z mnóstwem innych powozów. Przesunięcie godziny odjazdu dyliżansów pocztowych rozładowało trochę tłumy, lecz nadal nie stwarzało idealnych warunków do spotkania z „kuzynką Gladys”. Znalezienie nieokreślonej kobiety w tym tłumie nie było łatwe, a o tej porze gapiów obserwujących odjazdy było najwięcej.

Nagle zauważył większe poruszenie w jednej z grup obserwatorów. Mężczyźni spychali z drogi jeden drugiego, potykając się o własne nogi i podchodząc niebezpiecznie blisko pod kopyta i koła dyliżansu.

Pośrodku stała przyczyna tego zamieszania.

Zamiast zwykłego kamuflażu Sophy włożyła na siebie tego wieczoru najświeższe dzieło szalonego stylu Maison Noirot. Suknia miała zgaszony odcień lila. Pozostałe elementy stroju uderzały intensywnością barw. Na jej ramionach spoczywał szeroki kołnierz. Pod nim ukryto pelerynkę sięgającą do łokci i bufiaste rękawy wielkości beczek piwa. Metry czarnej koronki obficie spływały na biust. Zielone przybranie wyglądało niczym rozwijające się liście przebijające przez koronę kapelusza. Zielone kokardy i biała lamówka ozdabiały spód ronda, okalając twarz, a raczej tylko to, co można było dostrzec przez gęsto zmarszczoną czarną woalkę.

Wyglądała nieziemsko.

Oraz dziwnie kusząco.

– Na Boga – powiedział. – Na Boga.

Wtedy go dostrzegła i nieśpiesznie podeszła do jego powozu, kołysząc biodrami zdecydowanie mocniej, niż wypadało w tym otoczeniu. Szedł za nią służący, taszcząc bagaże.

– To ona – rzekł Fenwick z tylnego siedzenia.

– Widzę przecież – rzekł Longmore. Sfora mężczyzn rzuciła się do powozu. Jeden, który zdołał wyrwać się na pierwszą pozycję, zaoferował jej pomoc, lecz Longmore był szybszy. Złapała jego dłoń, która niemal

pochłonęła jej drobną rączkę obciągniętą rękawiczką delikatnej cielęcej skóry. Zanim wskoczyła na siedzenie powozu, przez chwilę trwała bez ruchu.

Mężczyźni stali w milczeniu, podziwiając rzadkie zjawisko. Rozległo się westchnienie, gdy z głośnym podniecającym szelestem usadowiła się po lewej stronie siedzenia, a jej twarz znikła pod budą powozu.

Potem dwóch mężczyzn próbowało wyrwać jej bagaże od służącego, lecz on szybko rzucił je na tył powozu, gdzie Fenwick ułożył je obok bagażu Longmore'a.

Protest zdawał się nieunikniony, ale Longmore z braku czasu nie zwlekał i dał koniom sygnał do ruszenia.

– Niezbyt dobra pora na wyjazd z Londynu – zauważył. – Wszystkie dyliżanse pocztowe obierają tę samą trasę przez Piccadilly do Hyde Park Corner. Będziemy musieli jechać za nimi aż do Brompton Road. Skręca tam dyliżans do Portsmouth i my też skręcimy.

– Wolę wyjechać, kiedy ruch jest największy – powiedziała. – Tak wiele się dzieje, że powóz z podróżnymi przyciąga mniejszą uwagę.

– Naprawdę uważa pani, że nie zwróci uwagi w takim stroju? – spytał, pokazując gestem jej suknię. – Czy to miało być przebranie?

– Tak – odparła. – Jestem pana najświeższą kochanką.

Nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Jechali po granitowym bruku w ślad za długą i hałaśliwą paradą pojazdów. Dziesiątki podków mocno stukały, łańcuchy dzwoniły, a koła skrzypiały i turkotały.

– Pani jest... czym? – Popatrzył na nią.

– Kurtyzaną – stwierdziła pogodnie. – Siostry i ja zgodziłyśmy się, że nikt, kto pana zna, nie poświęci zbytniej uwagi towarzyszącej panu kobiecie o wątpliwej reputacji. A ja nie zostanę przecież rozpoznana tak szybko jak pan. Nawet klientki Maison Noirot nie zwracają uwagi na nasze twarze.

Opowiadała głupstwa. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby nie rozpoznać jej zdradliwie anielskiej twarzy, wstrząsająco błękitnych oczu, zadartego noska ani zapraszająco pełnych warg.

– Jesteśmy prawie tak niewidzialne jak służba – bredziła. – Co więcej, ludzie mają skłonność do nierozpoznawania osoby, którą widzą poza jej normalnym otoczeniem. Wybrałam tę suknię nieprzypadkowo, bo sprawia, że wyglądam wytwornie i kosztownie. Jest strojniejsza niż to, co noszą

godne szacunku angielskie damy. – Dotknęła woalki. – No i nikt się nie zdziwi, że pana wybranka ukrywa twarz przed publicznością.

– Czyli mianowała się pani moją kochanką – powiedział, tłumiąc uśmiech. – Ryzykowna gra.

– Och, niespecjalne poświęcenie – wyjaśniła. – Większość moich przebrań jest niewygodna i nieefektowna. Nawet moje zwykłe ubranie nie jest aż tak ekscytujące.

– Według jakiej miary, ciekaw jestem – rzekł. – Przypominam sobie kapelusz z czymś na kształt wiatraka z tyłu, ze wstążkami, kwiatami i piórami, i Bóg wie czym jeszcze.

– Przy kapeluszach można sobie pozwolić na trochę więcej – powiedziała. – Nie można jednak nosić takich w Londynie. To odstrasza klientki. Tylko Marcelline nosi swoje najstrojniejsze kreacje, bo to ona jeździ do Paryża. No i proszę nie zapominać, że zamężne kobiety mogą pozwolić sobie na więcej – i tutaj, i tam.

Był tego świadom. Mężczyznom też wolno było pozwolić sobie z nimi na więcej.

Sophy, choć niezamężna, była francuską stylistką. Wychodziło więc na to samo.

– Nawet gdybym pojechała do Paryża, nie mogłabym nosić tam tego, co może nosić ona – ciągnęła. – Niezamężne kobiety we Francji podkreślają niewinność jeszcze bardziej niż tutaj. Noszą proste suknie i włosy zaczesane do tyłu. Nie wiem, co mężczyźni w tym widzą, ale... – Przerwała i zaśmiała się. – Ale to nie ma znaczenia. Ważne jest, że dzięki temu nikt nie będzie się zbytnio interesował ani panem, ani mną, ani też tym, co robimy. A dodatkową zaletą jest to, że wszyscy będą zbyt zajęci moim strojem i nie przyjrzą się mojej twarzy.

Niewinność?

Nie mogła przecież do tej pory zachować cnoty.

To niemożliwe. Z takim ciałem i sposobem poruszania się, no i... przecież była stylistką!

– A skoro mowa o cnotliwych pannach... – odezwał się. – Porozmawiajmy o mojej siostrze.

Zgodnie z wiadomością doręczoną przez Fenwicka, Sophy miała dobry powód, by sądzić, że Clara odjechała w kierunku Portsmouth. Teraz podzieliła się z nim szczegółami. Któryś z kompanów Fenwicka wypatrzył

kabriolet przy Hyde Park Corner. Potem powóz był widziany na Knightsbridge Road, jechał do Kensington. A według pocztyliona jakiś czas później, w gospodzie w Fulham, kobieta o wyglądzie buldoga pytała o najlepszą drogę do Richmond Park.

– Udawała, że jedzie do ciotecznej babki, ale potem zawróciła i widocznie udała się na południowy zachód – rzekła Sophy. – Czy Richmond Park ma dla niej jakiekolwiek znaczenie?

– Nic o tym nie wiem – powiedział. – Jeśli miałbym zgadywać, pierwszym miejscem, o którym bym pomyślał, byłoby Bath. Clara podróżowała tam czasami z matką ojca. Były sobie bliskie. Babcia Warford zmarła jednak trzy lata temu. Clara bardzo ciężko to zniosła. Lubiła też zawsze starsze damy, przyjaciółki babci. – Potrząsnął głową. – Nie przychodzi mi jednak do głowy żadna, która mieszkałaby w Richmond Park.

– Może w ogóle nie wiedziała, dokąd uciec – rzekła Sophy. – Wydarzyło się coś, czego nie mogła znieść, i po prostu uciekła. Na ślepo. Byle dalej.

Skorzystał z przerwy i sprawdził, co robi Fenwick. Chłopak siedział na tylnym siedzeniu w pozycji zawadiaki, z założonymi rękami, i wpatrywał się w ciemniejące niebo.

Longmore także popatrzył w górę. Nad ich głowami zbierały się chmury. Nie przejął się tym. Buda faetonu była postawiona, a w razie ulewy miał jeszcze do nałożenia fartuch. Tylne siedzenie nie miało zadaszenia, lecz Fenwickowi nic się nie stanie. Olney zapakował parasol, a Reade, głęboko nieszczęśliwy, że zostaje na miejscu, dał panu jeszcze jedną ze starych peleryn.

Longmore jechał dalej, minął rogatkę, potem gospodę Pod Białym Koniem i baraki piechoty armii brytyjskiej.

– Nie pojmuję, co wstąpiło w moją siostrę – powiedział. – Zawsze była taka rozsądna.

– Rozsądna, ale niedoświadczona – zauważyła Sophy.

Usłyszał drżenie w jej głosie. Niemal niezauważalne, ale jego wyostrzony słuch wychwytywał nawet najlżejsze zmiany. Czasami, w tłumie, poznawał ją tylko po głosie, nawet jeśli przybierała jakiś prowincjonalny akcent.

Popatrzył na nią. Trzymała rękę na czole. Woalka nadal zasłaniała jej twarz, nie można więc było odczytać jej wyrazu. Mimo to odniósł wrażenie,

że Sophy jest zmartwiona.

– A to czemu? – spytał ostro.

– Nie wie bardzo wielu rzeczy. Jak na kobietę liczącą sobie dwadzieścia jeden lat jest rozdzierająco naiwna. – Wciągnęła powietrze i wypuściła je.

Popatrzył na falujące piersi. Było to grubiańskie, zważywszy na okoliczności. Był jednak mężczyzną, zapadła noc, a ona ubrana była z szykowną zmysłowością.

Mijali Westbourne i dotarli do gospody Wiejski Zamek. Zatrąbiły dyliżansowe trąbki. Żegnały się z powozem do Portsmouth, który właśnie tu skręcał. Wkrótce i oni mieli za nim podążyć.

– Ma trzech braci – wyjaśnił. – Nie jest taka niewinna. Wie, jacy są mężczyźni. Powinna była być na tyle mądra, by nie ośmielać utracjuszy.

– Kobieta może myśleć, że wie coś o życiu, ale dopóki to się nie zdarzy, to znaczy dopóki nie dotknie jej mężczyzna, tak naprawdę nic nie wie.

Przypomniał sobie reakcję tej kobiety na swój oddech na jej szyi.

Czy to możliwe, że nie wiedziała tego, co, jak przypuszczał, wiedziała?

Niedorzeczność! Nie była pensjonarką. Wychowała się w Paryżu. Była stylistką. I poruszała się w ten jedyny, wyjątkowy sposób.

Minął Sloane i skręcił na Brompton Road. Nie było już przed nimi korowodu dyliżansów. Jechał tylko jeden, niezbyt daleko.

– Możliwe, że o to chodzi – odezwała się.

– O co? – spytał.

– Może ma nawet mniej doświadczenia niż inne kobiety w jej wieku. To dopiero... ile? – Policzyła na palcach. – Miesiąc, odkąd powiedziała mojemu szwagrowi, żeby poszedł do diabła. Całe życie spędziła, myśląc, że poślubi właśnie jego, po czym zrozumiała, że to nie to, czego jej trzeba. Pewna jestem, że poczuła wolność, kiedy odrzuciła księcia Clevedona, ale potem... Musiała się jakoś odnaleźć. Musiała zrobić to, co inne dziewczęta robią, mając lat siedemnaście czy osiemnaście, w czasie swojego pierwszego sezonu.

– Wasza wysokość! – usłyszeli piskliwy głos Fenwicka.

– Wasza lordowska mość – poprawiła Sophy. – Wyjaśniałam ci to. Czy tak trudno zapamiętać?

– Wasza lordowska mość – powtórzył mocniej Fenwick. – Lepiej niech pan zamknie przód najlepiej, jak pan umie. Zaraz nadejdzie wiatr ze wschodu.

– A co to znowu, kurek na dachu? – zażartował Longmore.

I wtedy lunął deszcz.

– Lepiej niech się pan pośpieszy, wasza wysokość – nalegał chłopiec. – Pogoda za chwilę naprawdę zrobi się paskudna.

Rozdział 7

W Putney, w południowej części wsi, stoi obelisk wzniesiony
przez korporację londyńską z inskrypcją upamiętniającą
eksperyment wykonany w 1776 roku przez Davida Hartleya,
udowadniający skuteczność metody budowania
odpornych na pożar domów, za który dostał
on od parlamentu nagrodę w wysokości dwóch
i pół tysiąca funtów.
Samuel Lewis, *Atlas topograficzny Anglii* (1831)

Pogoda rzeczywiście się pogorszyła, i to w mgnieniu oka. Wiatr nabierał prędkości, a deszcz zacinał tak mocno, że nawet fartuch nie mógł ich w pełni osłonić.

Niemniej każdy woźnica potrafił kierować zaprzęgiem w deszczu. Zła pogoda nie mogła spowolnić Poczty Królewskiej ani tym bardziej jej zatrzymać. Powożący dyliżansami jechali przez burze, powodzie, sztormy, śnieżyce i ślizgawice. Teraz Longmore zmagał się tylko z ulewnym deszczem. Nie rozlegały się gromy, nieba nie rozświetlały błyskawice, które mogłyby przestraszyć konie.

Jechał dalej.

Wichura wzmagała się, strugi deszczu tłukły w budę albo wdzierały się bokami do wnętrza powozu, w zależności od kierunku podmuchu wiatru. Chociaż księżyc bladł dopiero we wczesnych godzinach porannych, ulewa skradła jego blask. Deszcz lał się z budy powozu, zasłaniając Longmore’owi drogę i mdłe światło rzucane przez lampy powozu. Wciąż zwalniał, aż wreszcie zaczął jechać stępa. Do czasu, kiedy minęli Queen’s Elm, jechał na wpół ślepo, trzymanie się drogi powierzając koniom. Szczęśliwie był to główny trakt dla dyliżansów, szeroki i równy.

Musiał całą uwagę skierować na powożenie. Rozmowa nie wchodziła już w grę. Tak czy inaczej przy deszczu bębniącym w budę i wietrze świszczącym im w uszach musieliby krzyczeć, żeby w ogóle się usłyszeć.

Przejeżdżali przez wsie, które rozpoznawali jedynie dzięki światłom w oknach. Niewielu. Zapadła już pora nocnego spoczynku. Życie toczyło

się jeszcze w gospodach i tawernach, lecz nie było ich zbyt wiele.

Popatrzył w lewo. Tylko dłoń Sophy w rękawiczce, kurczowo zaciśnięta na wygiętej poręczy siedzenia, zdradzała lęk.

Choć szybko przeniósł wzrok na drogę przed sobą, pomyślał mimochodem, że go zadziwiała. Nie mógł sobie przypomnieć żadnej innej kobiety, która w takich okolicznościach nie wrzeszczałaby ani nie szlochała i nie błagała, by się zatrzymali.

Chociaż żółwie tempo sprawiało wrażenie, że minęły już długie godziny, wiedział, że nie ujechali zbyt daleko. Nie pokonali jeszcze mostu w Putney, a był on oddalony zaledwie o siedem kilometrów od Hyde Park Corner.

W strugach ulewnego deszczu dostrzegł migoczące światła. Stopniowo zaczął rozróżniać ciemne sylwety domów lub czegoś, co do złudzenia je przypominało. Nareszcie dojechali do osobliwego, starego punktu poboru opłat. Rozpościerający się nad nim dach ochronił ich nieco przed deszczem, gdy czekali na poborcę, który za osiemnaście pensów otwierał bramę. Chociaż nie był skłonny przedłużać spotkania, odpowiedział na pytanie Longmore’a.

Tak, zapamiętał kabriolet. Wyjątkowo piękny powóz i szlachetny koń. Pod budą jechały dwie kobiety. Nie mógł przyjrzeć się ich twarzom. Jedna zapytała o drogę do Richmond Park.

Przyciśnięty o więcej szczegółów, rzekł jeszcze:

– Powiedziałem im, żeby się trzymały tej drogi do skrzyżowania, a potem uważały na obelisk w Putney i pojechały tamtędy, zbaczając w prawo. Powiedziałem, na co mają zwracać uwagę. Nie jest trudno trzymać się głównej drogi, ale wielu jest takich, co gubią drogę do Richmond Park i lądują w Wimbledon.

Odszedł do swojej budki przy bramie.

– Richmond Park – powtórzył Longmore. Musiał podnieść głos, by usłyszano go przez wiatr i dudniący deszcz. – Co tam takiego, u diabła, jest?!

– Czytałam, że to piękne miejsce – rzekła Sophy.

– Myśli pani, że Clara wybrała się na wycieczkę?

– Mam nadzieję. Może to ją uspokoi.

Musiał przerwać rozmowę i skupić się na przejeździe przez most. Był stary, wąski i nierówny, a jego nawierzchnia tu i ówdzie nieoczekiwanie się

wybrzuszała. W nocy przy tej pogodzie należało zachować najwyższą ostrożność.

A nie był to ulubiony styl Longmore’a.

Zacisnął zęby, dopóki nie przejechali bezpiecznie Tamizy. Teraz czekało ich trzy i pół kilometra do obelisku.

Konie szły mozolnie pod górę, a do środka zaczęły wlewać się strugi deszczu spływające z brzegu budy. Twarz i fular Longmore’a były już całe mokre.

Choć wiedział, że rozkoszna zagadka podróżnej sukni Sophy tkwi w wielu warstwach, woda z czasem musiała przedrzeć się do samej skóry, o ile już tego nie uczyniła.

Zaczął się nad tym zastanawiać, obserwując jednocześnie drogę i spierając się z samym sobą, co czynić.

Kiedy dotarli w końcu do Putney, wiatr nagle ucichł. Z daleka odezwał się dzwon. Chwilę później rozległ się potężny grzmot. Odwrócił głowę w tę stronę, aby zobaczyć, jak niebo rozdziera błyskawica.

Wiatr ponownie zawył.

* * *

Sophy struchlała.

Serce biło jej mocno tak długo, że aż zakręciło jej się w głowie. Bała się, że zemdleje i wypadnie z powozu wprost pod koła. Gdyby spadła, Longmore mógłby tego nie zauważyć w kompletnej ciemności i w strugach niestrudzenie dudniącego deszczu.

Gdy siedzi się bezpiecznie w domu, dźwięk deszczu bębniącego w dach może wydać się kojący.

Teraz jednak było wręcz odwrotnie.

Sophy wychowała się w mieście. Bywała na wsi tylko w najwcześniejszym dzieciństwie. Słabo przypominała sobie podróż przez francuskie przysiółki, gdy przed trzema laty razem z siostrami uciekały przed szalejącą w Paryżu cholerą. Podróżowały wtedy jednak w zamkniętym powozie, w ciągu dnia, a i pogoda była zdecydowanie lepsza.

Rozum podpowiadał, że nie grozi jej żadne wielkie niebezpieczeństwo. Longmore znany był co prawda z lekkomyślności, ale powszechnie wiedziano, że jest świetnym woźnicą. Trudno byłoby znaleźć się w lepszych rękach. Powoził ze wzniosłym spokojem, który Anglicy uważali za obowiązkowy w wyższych sferach. Konie nie okazywały choćby cienia zdenerwowania. Trakt królewski wyróżniał się gładką i dobrze utrzymaną nawierzchnią. Przy drodze stały gęsto rozstawione zajazdy. Pomoc była na wyciągnięcie ręki.

Mimo wszystko nie czuła się zbyt pewnie.

Rozpoczęła tę wyprawę z troski o lady Clarę. Trudy podróży, nawet nocnej, w ogóle nie przyszły jej do głowy. Po pierwsze, o tej porze roku zmierzch zapadał bardzo późno. Po drugie, wieczór zapowiadał się przyjemnie. Kiedy wychodziła z domu, spodziewała się, że nocną podróż oświetli im księżyc.

Zamiast tego po kilku chwilach przedzierali się już przez egipskie ciemności, a nieliczne, tu i ówdzie niewyraźnie połyskujące światełka tylko podkreślały tę ciemność. Świat wokół niej ział przerażającą pustką.

Łomot błyskawicy wdarł się nieoczekiwanie w ciszę, sprawiając, że Sophy podskoczyła. W słabym świetle latarni powozu zauważyła mocno zaciśnięte mięśnie szczęki Longmore’a.

– Dobrze się pani czuje? – spytał.

– Doskonale – skłamała.

– Za to konie podczas burzy czują się fatalnie – rzekł. – Postanowiłem nie ryzykować. Ze złamanym karkiem nie pomoże pani mojej siostrze. Musimy się zatrzymać.

Poczuła ulgę, ale tylko częściową. Postawiona na baczność do tego stopnia, że natychmiast wybrała się w podróż, niecierpliwiła się każdą zwłoką. Jeszcze w Londynie obejrzała Richmond Park na mapie. Był położony niedaleko miasta. Lecz skoro nawet Longmore nie chciał ryzykować dalszej podróży, to żaden inny człowiek o zdrowych zmysłach nie powinien tego próbować.

Chociaż zdawali się przemierzać niezamieszkaną i niezmierzoną pustkę, niebawem wjechali na podwórze zajazdu. Białe zygzaki przecinały niebo, a pioruny uderzały coraz częściej, głośniej i coraz bliżej.

Kiedy stajenni podbiegli, by zająć się końmi, Longmore prawie zdjął ją z siedzenia i jedną ręką poniósł do wejścia, wołając przez ramię:

– Zajmijcie się chłopcem! Jeśli się jeszcze nie utopił, osuszcie go i dopilnujcie, żeby coś zjadł!

Wkrótce potem otrząsała wodę z podróżnej sukni, a Longmore traktował właściciela z taką samą monarszą niecierpliwością, jaką okazał Pretensji i jej sprzedawczyni.

– Owszem, dwa pokoje. Ciocia potrzebuje osobnego. I proszę przysłać do niej służącą.

– Pańska ciocia? – spytała Sophy, kiedy właściciel pobiegł przygotować pokoje.

W ciemnych oczach Longmore’a pojawiło się rozbawienie, a kąciki ust drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Zawsze podróżuję z ciotkami, nie wiedziała pani? Gram usłużnego siostrzeńca. Szczęśliwie mam całe stado ciotek.

Tylko tyle było trzeba – mało dostrzegalnego błysku w ciemnych oczach i cienia uśmiechu. Serce jej podskoczyło, a ciepło rozlało się po całym ciele, szczególnie w jego dolnych partiach. Musiała stoczyć ze sobą walkę, aby nie podskoczyć do najbliższego okna i nie otworzyć go na oścież bez względu na burzę. Potrzebowała mnóstwa zimnej wody do orzeźwienia.

Nakazała sobie spokój. Używał tych min, aby uwieść setki kobiet, prawdopodobnie z tym samym skutkiem. A ona była Noirot. Kobietą, od której oczekiwano, że wzrokiem będzie kłaść mężczyzn trupem.

W każdym razie przypuszczała, że powinna być zadowolona, iż stać go było na minimum dyskrecji.

Podobnie jak eufemizm „córa nocy”, „ciocia” była prawdopodobnie bardziej użyteczna niż „żona”. Rozpoznawało go pół świata, a więc pół świata doskonale wiedziało, że nie jest żonaty i nie zamierza się ożenić ani wkrótce, ani kiedykolwiek.

– Ona też nie będzie jechała w taką pogodę, prawda? – spytała szeptem Sophy, chociaż byli w pomieszczeniu sami. – Na pewno zatrzymała się w najbliższej gospodzie od razu, kiedy się ściemniło...

– Mam nadzieję – powiedział. – Któż jednak wie, co myśli Clara?

– Ma Davis – pocieszyła go Sophy. – Ona nie pozwoli swojej pani narażać się na niebezpieczeństwo.

– Clara potrafi być uparta – powiedział. – Pokładałbym nadzieję raczej w koniach. Niezależnie od tego, gdzie zmierza, będzie jej bardzo trudno o ich zmianę. Kabriolet zaprzężony jest tylko w jedno, ale silne zwierzę.

Zajazdy rezerwują takie do dyliżansów. Prawdopodobnie będzie jej łatwiej polegać tylko na swoim koniu, a to będzie wymagało przerw.

Sophy wiedziała niewiele o opiece nad końmi. Ona i jej siostry miały dość pracy, by nauczyć się nie tylko swojego rzemiosła, lecz także umiejętności towarzyskich właściwych damom. To niemały wyczyn dla dziewcząt, które nigdy nie miały wolnego czasu, było to jednak nieprawdopodobnie łatwiejsze od nauczenia się zawodu. Chociaż rody DeLuceyów i Noirotów składały się w większym lub mniejszym stopniu z przestępców i nikczemników, siostry nigdy nie zapomniały o swojej błękitnej krwi. Do tego doskonale wiedziały, że wytworna wymowa i wykwintne maniery ogromnie ułatwiają zadanie omotania niespodziewających się niczego złego dam i dżentelmenów.

Uczenie się krawiectwa, projektowania mody i tego, jak być damą – nie wspominając o zdobywaniu innych szlachetnych umiejętności rodów DeLuceyów i Noirotów – nie pozostawiło czasu na poznanie tajników stajni. Sophy potrafiła rozróżnić główne rodzaje powozów, umiała docenić pięknego konia, ale co do reszty musiała zdać się na opinię Longmore’a.

– Chyba wyślę Fenwicka, żeby rozpytał wśród stajennych – powiedział, spoglądając na drzwi, za którymi znikł gospodarz. – Zauważyliby kabriolet, gdyby tędy przejeżdżał, albo musieliby usłyszeć o nim od chłopców na posyłki. Na pewno znają więcej szczegółów niż poborca opłat za przejazd.

Gospodarz pojawił się ponownie w towarzystwie pulchnej służącej. Odprowadziła Sophy do jej pokoju, podczas gdy Longmore zdecydował się jeszcze na pogawędkę z właścicielem.

* * *

W tym samym czasie niespełna dwadzieścia kilometrów dalej lady Clara, usadowiona przy kominku w gospodzie Pod Niedźwiedziem, pilnie studiowała swój egzemplarz przewodnika Patersona.

– Portsmouth – powiedziała do służącej. – Jesteśmy na właściwej drodze, to tylko dzień podróży. – Policzyła – Ledwie sto kilometrów.

– A do Londynu mamy trzydzieści parę – zauważyła Davis.

– Nie wrócę – oświadczyła Clara. – Nie wrócę tam do niego.

– Milady, to nierozsądne.

– Nie jestem rozsądna! – Clara poderwała się z fotela, a przewodnik spadł na ziemię. – Odrzuciłam księcia, bo nie dość mnie kochał. Biedny Clevedon! On przynajmniej mnie lubił.

– Milady, każdy, kto panią zna, musi panią pokochać.

– Nie Adderley – rzekła gorzko Clara. – Jakże mogłam być tak ślepa? Wierzyłam w te wszystkie romantyczne słowa, które wyjmował z książek.

– Niektórzy dżentelmeni nie potrafią wyrazić się sami – łagodziła Davis.

– Ja nieomal mu uwierzyłam – rzekła Clara. – Lecz to przecież nie o to chodzi, prawda? To nie główny problem. Jakież to upokarzające, że potrzebowałam aż lady Bartham, żeby dostrzec prosty fakt. Gdyby prawdziwie mnie kochał, nigdy nie uczyniłby tego, co uczynił.

Lady Bartham nie powiedziała tego tak otwarcie, zazwyczaj ślizgała się wokół tematu jak żmija i kiedy ofiara najmniej się tego spodziewała, atakowała, zatapiając ostre kły, tak ostre, że w ogóle się ich nie czuło... dopóki po ciele nie rozlała się trucizna.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Davis zauważyła:

– Portsmouth to miasto portowe, milady. Bardzo surowe. Są tam marynarze i mnóstwo szemranych przybytków, i...

– Jest niedaleko – przerwała Clara. – I to port. Mogę wsiąść na statek i popłynąć, gdziekolwiek zechcę. To nie może być aż tak niebezpieczne. Ludzie jeżdżą tam na wycieczki, zwiedzają. Jestem zrujnowana. Czemu nie miałabym zobaczyć świata? W ogóle nie widziałam Anglii! Gdzie ja byłam? W naszym majątku w Lancashire i Londynie. A od kiedy umarła babcia Warford, w ogóle nigdzie nie wyjeżdżałam. Ona zabierała mnie ze sobą i tak dobrze się bawiłyśmy. – Z trudem przełknęła ślinę. Wciąż tęskniła za babką. Nikt nie mógł zająć jej miejsca, a Clara nigdy nie potrzebowała jej rady bardziej niż teraz.

– Sama powoziła, wiesz – ciągnęła wspomnienie, choć Davis doskonale to wiedziała. Clara jednak potrzebowała rozmowy, a jej służąca nie mogła nakrzyczeć na nią jak matka. – Robiła to doskonale. Jeździłyśmy do Richmond Park i Hampton Court i odwiedzałyśmy tam jej przyjaciółki.

Clara przyjechała tu dzisiaj w nadziei, że duch babki odnajdzie ją w tym miejscu i powie, co ma robić. Wyjechała stamtąd wcale nie mądrzejsza, po czym udała się do Hampton Court. Niestety, mieszkająca tam bliska przyjaciółka babki, lady Durwich, nie znalazła dla niej lepszej rady, jak wrócić i przestać udawać dziecko.

Clara nie była pewna, dokąd ma pójść. Może do Portsmouth, zacząć wszystko od nowa. A potem... gdzieś, gdziekolwiek. Byle nie do Londynu. Byle nie do niego.

* * *

Pokój Sophy był mały, lecz czysty, a służąca starała się jej dogodzić na wszystkie możliwe sposoby. Akcent klasy wyższej i wytworne ubrania zawsze zapewniały należytą obsługę, a sute napiwki i łapówki gwarantowały szczerą czołobitność.

Sophy była zaś nie tylko odziana w drogi strój, ale miała też naszykowane pieniądze. Marcelline kazała Leonie zapewnić fundusze na napiwki i łapówki, a Sophy nie skąpiła monet. Chciała zjeść porządną kolację, zagrzać się przy ogniu i wykąpać i była gotowa za to zapłacić.

Wszystkie trzy rzeczy zdobyła błyskawicznie i bez szemrania pomimo późnej godziny i potężnego napływu podróżnych uciekających przed burzą.

Tak się jednak przejęła losami butiku i lady Clary, że ledwie tknęła posiłek. Nawet w najspokojniejszych czasach słabo sypiała, wiedziała więc, że nie warto próbować zasnąć, dopóki nie zażyje kąpieli. To ją uspokajało. Poczuła się znacznie lepiej, gdy zmyła okropną jajeczną miksturę z włosów. Przywiozła ze sobą ulubione mydło o zapachu lawendy i rozmarynu.

Chociaż wanna, którą wniesiono do jej sypialni, była mała, nie miała tego za złe, bo kąpała się już w bardziej prymitywnych warunkach. I nie, zmycie włosów bez niczyjej pomocy nie było najłatwiejszą czynnością, ale dała sobie z tym radę.

I tak, z czasem, dzięki umyciu włosów, kąpieli, uspokajającym właściwościom zapachu mydła i kieliszkowi wina – napięcie zaczęło opadać.

Włożyła koszulę nocną, owinęła się szlafrokiem, nalała sobie jeszcze jeden kieliszek wina i usiadła w fotelu przy kominku, żeby wysuszyć włosy.

Ściany starego zajazdu były grube. Słyszała niewiele z tego, co działo się poza sypialnią. Odgłosy burzy ucichły. Deszcz nadal padał, dzwoniąc w szyby, lecz teraz, kiedy czuła się bezpieczna i sucha pod dachem, odgłos ten przynosił ukojenie. Zawsze lubiła ten dźwięk.

Wspomniała deszczowe dni w Paryżu i mżawkę, w której pobiegła w dół St. James, aby wypatrzyć lorda Longmore’a. Udawała, że rozgląda się na wszystkie strony, ale doskonale widziała, jak długimi susami przemierza dla niej ulicę... długie nogi w pięknie skrojonych spodniach... elegancko uszyty płaszcz idealnie leżący na torsie, podkreślający szerokie ramiona i smukłą sylwetkę... śnieżnobiały fular zawiązany z wyrafinowaną prostotą pod zdecydowaną linią podbródka... poruszał się z elegancją człowieka pogodzonego ze swoim ciałem i bardzo pewnego siebie... jakąż dziwną kombinację stanowił... trochę elegant, trochę gbur... tak wysoki i atletyczny... chciałaby być jego krawcem... och, jakże chciałaby ubrać go w coś wyjątkowego... drzemka nie zaszkodzi... Co się pali?!

* * *

Longmore starał się nie myśleć o siostrze, samej pośrodku burzy.

Nie powinna być na zewnątrz, powtarzał sobie. Nie była aż tak lekkomyślna. A jeśli nawet była, to Davis pomyśli za nią.

Gdziekolwiek teraz jest Clara, on i tak się tego nie dowie. Gdziekolwiek jest, on nie może jej teraz bronić.

Mimo że jego umysł odmalowywał szpetne obrazy siostry w szponach złoczyńców, nie zapominał o tym, co dzieje się w sąsiedniej sypialni. Wychwycił stłumiony dźwięk głosów, kiedy Sophy rozmawiała ze służącą, odgłos kroków w pokoju, szuranie czegoś ciężkiego, a potem plusk wody.

Kąpała się.

To był znacznie przyjemniejszy obraz.

Powiedział sobie, że zamartwianie się o Clarę i tak jej nie pomoże, że tylko nadszarpnie mu nerwy podrażnione już jazdą w czasie burzy.

Wypił kolejną butelkę wina i oddał służącemu płaszcz do wyszczotkowania i wysuszenia.

Ponieważ jego spodnie wciąż były wilgotne, zasiadł w fotelu przy ogniu. Siedział tam, sącząc wino.

Stopniowo się uspokajał. Clara mogła stracić rozum, ale na pewno nie narazi na niebezpieczeństwo konia, tłumaczył sobie. Musiała gdzieś się schronić. Wybrała przyzwoity zajazd, bo Davis nie pozwoliłaby jej wejść

do żadnego innego. A przy drodze do Portsmouth stało dużo odpowiednich lokali.

Wino i coraz optymistyczniejsze myśli uspokoiły go na tyle, że poczuł senność. Wyciągnął obute nogi i oparł je o osłonę paleniska, kiedy usłyszał krzyk Sophy.

Porwał się z miejsca i rzucił do drzwi między pokojami. Szarpnął za klamkę, ale były zamknięte na klucz. Cofnął się o krok i kopnął je.

Trzasnęły o ścianę.

Sophy piszczała, kręciła się w kółko i próbowała wyswobodzić się ze szlafroka. Z jego rąbka unosił się dym. Longmore zobaczył pełzający w górę język ognia.

W dwóch szybkich podskokach dopadł do niej, rozerwał pasek, który próbowała rozsupłać, zerwał z niej szlafrok i wrzucił go do wanny.

– Och! – jęknęła.

– Nic się pani nie stało? – spytał. Nie czekając na odpowiedź, obrócił ją dookoła. Na szczęście na jej ubraniu nie było ognia, jedynie trochę brązowych plam i dziur.

– Co pani robiła, u diabła?! – Obrócił ją jeszcze raz. Koszula, choć suto zmarszczona – przy szyi, nadgarstkach i na froncie spódnicy, w gruncie rzeczy była jak pajęczyna. Cieniutki jak bibułka muślin... przez który z łatwością można było ujrzeć zarys jej... nagiego... ciała.

Coś zaświtało mu w głowie, ale odrzucił te myśli. Nie było teraz czasu na takie rzeczy.

Nie było barier do pokonania. Nie czas, nie miejsce.

Lecz część jego umysłu zapytała: Dlaczegóżby nie?

Nie zwracał na to uwagi.

– Upiła się pani? – spytał ostro. – Wpadła pani do ognia?

Ktoś zastukał do drzwi prowadzących na korytarz.

– Proszę pani, proszę pani!

Podbiegła do kuferka i zaczęła w nim grzebać.

Longmore podszedł do drzwi i otworzył je. Stał tam służący z gospody.

– Czego chcesz, u diabła?!

– Sir... wasza lordowska mość, błagam o wybaczenie, ale ktoś krzyczał, a goście wyczuli dym.

Sophy wyciągnęła szal.

– Tak, to ja krzyczałam – przyznała. – Wydawało mi się, że zobaczyłam nietoperza.

– Nietoperza, madame? A dym? – Służący pociągnął nosem. – Ja też go czuję.

Człowiek próbował zajrzeć do pokoju, ale Longmore skutecznie zasłaniał sobą widok półnagiej kobiety, która nie należała do niego, przed wzrokiem obcego mężczyzny.

– To był nietoperz – stwierdził Longmore. – Złapałem go i wrzuciłem do ognia. Może kawałek na spróbowanie? Chyba się jeszcze nie upiekł. Nie? Cóż, to dziękujemy bardzo.

Zatrzasnął drzwi tuż przed nosem służącego.

Odwrócił się do Sophy, której najciekawsze części ciała zasłaniał teraz ściśle szal.

W pierwszej chwili skupił się głównie na tym, czy się nie pali. Dopiero potem odkrył, jak przezroczysta jest jej koszula. Teraz zobaczył, że długie i gęste włosy Sophy są mokre i spływają jej na ramiona i piersi. W niektórych miejscach pukle wyschły już i lśniły niczym płynne złoto.

Zaczął oddychać szybciej, a to natychmiast postawiło w stan gotowości jego przyrodzenie.

Nie teraz.

A to dlaczego?

– Co tu się stało, u diabła?! – spytał. Dostrzegł butelkę wina na małym stoliku przy kominku. – Ile pani wypiła?

– Nie jestem pijana! – zaprotestowała. – Byłam tylko zbyt wzburzona, by od razu zasnąć. Wzięłam kąpiel.

– Słyszałem – rzekł.

Otworzyła szeroko oczy.

– Mógłbym podglądać przez dziurkę od klucza – zażartował. – Ale to mnie nie satysfakcjonuje. Widzi się tylko kawałek pokoju i z doświadczenia wiem, że na ogół nie ten, co trzeba. Tak czy inaczej, siedziałem przy kominku i suszyłem się, a opuszczenie ciepłego miejsca i butelki po to, by klękać przy drzwiach i nic nie zobaczyć, uznałem za niepotrzebną fatygę.

Popatrzyła na drzwi między pokojami, na wannę, a potem na niego.

– Sądził pan, że to niepotrzebna fatyga? – spytała.

– Nie wiem, co mnie naszło. – Wzruszył ramionami. – Tak jak nie wiem, jakim cudem udało się pani przebyć drogę od kąpieli do stanięcia

w płomieniach.

Po chwili milczenia rzekła:

– Nie tylko się wykąpałam, ale przede wszystkim umyłam włosy, by pozbyć się okropnej jajecznej mikstury. Zaczęła się psuć. Gdybym położyła się na poduszce, całe robactwo z okolicy przyszłoby do mnie na ucztę.

– Nie było tak źle – powiedział.

– Mówi pan tak, bo to nie pan miał to na głowie – zaprotestowała. – Więc umyłam włosy. Trzeba je suszyć przy ogniu, prawda? I to właśnie robiłam. Musiałam się jednak zdrzemnąć – a kiedy się obudziłam, szlafrok się palił. Pewnie zsunęłam się z fotela i za bardzo zbliżyłam do ognia. Wystarczyła iskra. A potem nie mogłam rozwiązać tego głupiego paska i zedrzeć z siebie tej przeklętej szmaty. – Zamrugała. – Dziękuję, że mnie pan uratował. Przykro mi, że narobiłam tyle kłopotu.

– Cóż, to było podniecające – rzekł.

– Nie lubię być podniecająca w taki spo... sposób.

– Dobry Boże, nie zacznie pani teraz płakać, prawda? Mam nadzieję, że nie martwi się pani zniszczonym szlafrokiem?

– N-nie. Oczywiście, że nie.

– A może chodzi o to, że nie spojrzałem przez dziurkę od klucza?

– Niech pan nie żartuje.

– To dlaczego pani płacze?

– Wcale nie płaczę! – zaprotestowała. – Czuję się doskonale.

– Nie, nieprawda.

– Ależ tak. To tylko... Nie opuszcza mnie myśl, że powinnam była zostać z pańską siostrą, kiedy przyszła do sklepu w minioną sobotę. Powiedziałam panu, że zajmiemy się Adderleyem, ale nie powiedziałam tego jej. Miałam inne rzeczy na głowie. Pańską matkę. Pretensję. A teraz... okazuje się, że nie to było najważniejsze...

– Bzdura! Nie wiedziała pani przecież, że Clara zachowa się tak głupio.

– Nie poświęciłam jej dość uwagi! A teraz jest w niebezpieczeństwie. Nie ma najmniejszego pojęcia, co robić. Nie pozna się na bałamutniku, nawet gdyby miał to wypisane na czole. Zaufała Adderleyowi! Powinnam była coś zrobić!

– O czym pani mówi? Co powinna była pani zrobić?

– Cokolwiek. – Machnęła ręką. – Trzeba było coś wymyślić.

Podszedł do niej, złapał ją za ramiona i lekko potrząsnął.

– Proszę przestać.

– Tak bardzo się martwię – wyznała.

Wziął jej twarz w dłonie i podniósł do góry, aby spojrzeć jej prosto w oczy. Były przepełnione łzami. Wyglądały jak wody Adriatyku we mgle. Mała kropla potoczyła się w dół. Dolna warga wydęła się lekko i drżała.

To nie był właściwy czas ani miejsce.

Nie powinien opuszczać tarczy.

Lecz poruszyła ramionami, co sprawiło, że jej biust się zakołysał. A on mógł opanować w głowie tylko jedną myśl naraz, a poza tym zazwyczaj był na bakier z tym, co powinien, a czego nie powinien.

Był sobą, czyli niegrzecznym chłopcem. Pochylił się więc i zmiażdżył jej jedwabiste usta swoimi wargami.

* * *

Nigdy nie robił niczego połowicznie. I teraz też się na to nie zanosiło.

Pocałował ją mocno, bez lęku, lekkomyślnie, tak wyglądało przecież całe jego życie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zachować ostrożność.

Prawdę mówiąc, niewiele przychodziło mu do głowy. Po prostu to zrobił, nie myśląc o niczym ani o nic się nie martwiąc.

I tak przekroczył krawędź urwistego brzegu.

Zanurzał się w niej jak w morzu. Smakowało słonymi łzami i odrobiną wina, które wcześniej piła. Oddychał jej świeżym zapachem. Powietrze przesycone było lawendą i czymś jeszcze – wonią, która przywodziła mu na myśl wspomnienie słońca w Toskanii i willi otoczonej kwitnącym jaśminem. Poczuł to samo niewytłumaczalne i wszechogarniające szczęście, które towarzyszyło mu kilka lat temu daleko od Anglii.

Objął ją ramionami. Instynktownie zatrzymywał coś, co było zbyt piękne, by to zrozumieć.

Jej usta poddały się pod jego wargami, miękkie i zapraszające. Jej ciało topniało pod jego ciałem, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie. Uniosła ramiona i objęła jego szyję. Piersiami przywarła do jego kamizelki. Była gorąca i tak miękko zaokrąglona, a jego puls przyśpieszał, w miarę gdy upajał się nią coraz mocniej: słodyczą jej ust, czystym zapachem i sposobem, w jaki jej krągłości dopasowywały się do jego ciała.

Zsunął ręce, pochwycił pośladki i przycisnął ją mocniej do siebie. Wydała z siebie zduszony okrzyk prosto w jego usta. To wystarczyło.

Zdjął ręce z jej pośladków.

Oderwał wargi od jej ust.

Cofnął się z trudem o krok, potem o następny.

Jej wielkie błękitne oczy były zamglone. Lekko się zachwiała. Szal opadł na podłogę.

– O Boże! – powiedziała bez tchu. – O Boże...

Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się kompletnie pijanym wzrokiem.

Do diabła!

To był jej pierwszy raz.

Nikt nigdy jej nie całował.

To było niemożliwe.

Niemożliwe.

A jednak.

Nieważne. Nie było innej rady, niż zamanifestować głośno wycofanie się z tego, czymkolwiek to było.

– Nie waż się tego zrobić ponownie – zgromił ją.

– Tak – powiedziała z drżącym uśmiechem.

– Nie znoszę histerii – oświadczył stanowczo.

– Tak – zgodziła się.

Jemu też kręciło się w głowie, lecz widział ją dostatecznie wyraźnie. Widział stanowczo zbyt wiele... ale też nie dość. Dostrzegł także łóżko, zaledwie o parę kroków, bardzo gościnne i przytulne.

Cóż, czemu nie przyjąć tego zaproszenia?

Ponieważ... nie wiedział czemu. Ani też – czemu nie.

Odwrócił się tyłem – do niej, do łóżka, do wszystkiego – i wymaszerował z pokoju.

* * *

Wciąż zamroczona Sophy patrzyła za odchodzącym.

Obserwowała, jak wszystko odchodzi razem z nim: jego czarne włosy w nieładzie, jakby poczochrał je palcami – a może ona to zrobiła?...

szerokie ramiona i ich ruch pod kamizelką... mięśnie kusząco odznaczające się pod szlachetnym płótnem koszuli... plecy, fałdę żakietu, jego biodra i długie nogi... jego duże ciało poruszające się tak płynnie, z wdziękiem rasowego konia.

Podszedł do drzwi i zamknął je z trzaskiem, który wyrwał ją z zamroczenia, aż podskoczyła.

Pokręciła głową. Zamknęła oczy i ponownie je otworzyła. Wysunęła język z warg... tak jak zrobił to on.

Podeszła do stolika, napełniła kieliszek winem i wypiła szybko do dna, aby podkreślić swoje postanowienie.

Pomaszerowała do drzwi łączących ich pokoje i otworzyła je.

Znieruchomiał z kieliszkiem wina podniesionym do ust. Podstępnych i niebezpiecznych ust.

– A właśnie, że nie – powiedziała. – Absolutnie nie.

– Co pani mówi? Oszalała pani? – spytał.

– Tak, na jedną minutę – przyznała. – Nie zrobi pan czegoś takiego jeszcze raz. Nie może być pan aż tak głupi.

– Proszę stąd wyjść – rzekł. – Wie pani, że prawie nie ma na sobie ubrania?

– Nieważne. Potrzebuję...

– Nieważne? Posłuchaj mnie, panno Niewiniątko. Jest wiele rzeczy nieważnych dla mężczyzny. Prawie naga kobieta do nich nie należy.

– *Tant pis*! – powiedziała. – Nie miałam czasu się ubrać. Muszę to powiedzieć, dopóki wiem, dlaczego to mówię, dopóki jestem jeszcze pod wpływem chwili.

Przeczesał ręką rozczochrane włosy.

– Nie musi pani nic mówić, musi pani stąd odejść.

– Nie mogę angażować się w związki z klientami – powiedziała. – To niedobre dla interesów.

– Interesów!

– I proszę mi nie mówić, że nie jest pan klientem.

– Nie jestem, głuptasie. Kiedy to ostatnio kupiłem u was suknię?

– Każdy mężczyzna, który ma środki, by opłacić nasze rachunki, wcześniej czy później zdobędzie kobietę, którą będziemy chciały zobaczyć w swoim sklepie – wyjaśniła. – Nie przyjdzie do nas, jeśli będziemy miały reputację pożeraczek męskich serc.

– Interesy – powiedział. – Tu chodzi o butik?

– Tak – rzekła. – Co oznacza, że mówię najpoważniej w świecie. Jeśli pocałuje mnie pan jeszcze raz, zasztyletuję pana.

Odwróciła się i wymaszerowała, trzaskając drzwiami.

Nalała sobie kolejny kieliszek wina, ten jednak wypiła już wolniej. Nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz uczyniła coś równie bolesnego i przerażającego oraz całkowicie sprzecznego z tym, czego pragnęła.

Nic dziwnego, że Marcelline straciła głowę dla Clevedona.

Nic dziwnego, że setki razy nalegała, by wyjaśnić Sophy, skąd się biorą dzieci.

Żądza była bardzo niebezpieczną siłą.

Sophy była nieodrodnym członkiem swojej rodziny, kochała niebezpieczeństwo, ryzyko i grę.

Nie mogła jednak ryzykować w tej grze Maison Noirot. Jeśli pozwoli zepchnąć się z drogi, zniszczy wszystko, na co pracowała przez całe życie.

Wstała, podeszła do wanny i wyjęła z niej zamoczony szlafrok. Wyżęła go mocno i rozwiesiła na oparciu fotela w pobliżu ognia, lecz nie za blisko. Dziewczęta ze Stowarzyszenia na rzecz Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet będą mogły go rozpruć i do czegoś wykorzystać.

Szlafrok nie był jednak ważny. Sophy musiała ocalić butik i pracownię, a to oznaczało, że musi uratować lady Clarę. Tylko tyle, jednak wcale nie było to takie łatwe.

Uśmiechnęła się. Nazywała się Noirot. Jeśli byłoby to zbyt łatwe, nie miałaby z tego żadnej uciechy.

Rozdział 8

Richmond Park ma obwód trzynastu kilometrów i zajmuje powierzchnię dziewięciuset hektarów, z czego zaledwie czterdzieści hektarów należy do parafii Richmond; dwieście sześćdziesiąt – do parafii Mortlake, sto pięć do Petersham, dziewięćdziesiąt dwa do Putney, a reszta do Kingston. Powierzchnia parku jest przyjemnie urozmaicona wzgórzami i dolinami. Zdobi go też wielka liczba szlachetnych dębów oraz inne uprawy.
Daniel Lysons, *Okolice Londynu* (1810)

Rezydencja Warfordów,
sobota, 6 czerwca

– Chora? – powtórzył Adderley. – To nic poważnego, mam nadzieję?

Clara była zawsze zdrowa jak koń. Czy raczej krowa. Była zaprzeczeniem słabości i choroby.

– Mamy nadzieję, że nie – wyjaśnił lord Valentine. – Musiała zmarznąć u ciotecznej babki Dory. To bardzo stary dom, a w nocy było dość wilgotno.

– Zmarznąć – powtórzył Adderley. Jego też przeszył chłód. Dziś w rezydencji Warfordów było bowiem jakoś smutno.

Smutniej niż zazwyczaj, trzeba to było podkreślić. Wyczuwał, że atmosfera – w najlepszym razie – była nieco sztywna. Lady Warford była wobec niego niebywale uprzejma, jakby był to sposób na ukrycie czegoś, o czym dobre maniery nie pozwalały wspominać. Clara zdawała się już rozgrzewać – na tyle, na ile umiała – teraz jednak z każdym dniem jakby zwiększała dystans.

Jej uczucia nie miały tu, oczywiście, znaczenia – musiała wyjść za niego za mąż i wszyscy o tym wiedzieli. Mogli go kopać, a lady Warford mogła nie opuszczać żadnej sposobności, by przypominać mu o jego niskim pochodzeniu, lecz ani on nie zamierzał się poddać, ani też oni nie mogli go wypędzić.

Nie pomyślał jednak o tym, że Clara zachoruje.

Śmiertelnie, jak należało wnosić z oznak. W sercu Adderleya zagościł niepokój.

Nie mogła umrzeć. Przynajmniej nie przed ślubem.

– Czy jest coś, w czym mógłbym pomóc? – spytał.

Lord Valentine smutno pokręcił głową.

– Przykro mi. Nic nie można zrobić. Nasza matka jest teraz przy niej. Nie odchodzi od niej nawet na chwilę.

– Oczywiście posłali państwo po lekarza?

– Zapewniam, że siostra ma tu bardzo dobrą opiekę. Ośmielam się twierdzić, że za kilka dni całkowicie wyzdrowieje.

Jednak lord Valentine nie powiedział tego z dostateczną pewnością.

Niezadowolony i zaniepokojony Adderley wyszedł.

Wiele miesięcy zajęło mu urabianie Clary. Mógł poświęcić ten czas komuś innemu.

Lepiej niech nie umiera.

Byłaby to skrajna niedogodność. Nie znał ani jednej posażnej panny, która byłaby równie łatwa do zdobycia. A musiał bardzo się spieszyć. Jego wierzyciele nie zaczekają nawet do pogrzebu.

* * *

Longmore wciąż się zastanawiał, co w niego wstąpiło, że w nocy nie skorzystał z tak doskonałej okazji.

Pewnie zaskoczenie, pomyślał. Kompletnie osłupiał, gdy się przekonał, jak niedoświadczona jest Sophy.

Zazwyczaj bardzo łatwo podnosił się z takiego wstrząsu. Teraz jednak miał za sobą dzień prawdziwej próby. Siostra uciekła z domu, po raz pierwszy w życiu tak bardzo się o nią martwił. A potem Sophy omal się nie spaliła.

Nic dziwnego, że miał nadszarpnięte nerwy.

Choć początkowo kręcił się i rzucał na łóżku – co bez wątpienia było spowodowane przez części ciała na próżno czekające na kobietę – potem smacznie zasnął. Dzień wstał pogodny. Nerwy i rozsądek powróciły do formy. Wszystko stało się dla niego jasne.

Być może nie miała dużego doświadczenia. Nie oznaczało to jednak, że nie miała żadnego. Była Francuzką. Miała gust. Po prostu brakowało jej praktyki w sztuce kochania.

Ktoś musiał posunąć jej edukację do przodu. Dlaczego nie mógłby to być on?

Wprawdzie nigdy wcześniej nikogo nie uczył, ale zawsze musi być ten pierwszy raz, a on był gotów na nowe wyzwania.

Lecz prawdą było i to, że kazała mu się trzymać od siebie z daleka.

Choć dopiero po fakcie.

Zanim popełnił głupi błąd i wrócił do pokoju, wydawało się, że jest ona nastawiona do jego działań dość entuzjastycznie.

A dziś przy śniadaniu serdecznie go powitała.

Nie zauważył w jej wyglądzie niczego ponurego czy zniechęcającego.

Zdobiła ją szaroróżowa suknia. Jedna z tych pelerynek, na punkcie których kobiety ostatnio kompletnie oszalały, wydymała się na idiotycznie nadmuchanych rękawach. Na obramowaniu narzutki furkotał kołnierz z białej koronki, a pod nim, przez cały przód sukni, maszerowały kokardki, które kończyły się poniżej talii – zupełnie jakby stanowiły drogowskaz dla mężczyzny. Ozdoby ciągnęły się dalej po obu stronach spódnicy, układając się w odwrócone V. Rondo kapelusza ozdabiały kwiaty. Pomiędzy nimi powiewały zielone wstążki.

Już samo patrzenie na to musiało przyprawiać mężczyzn o zawroty głowy.

Znacznie bardziej wolał ją nagą, ale taki strój wydał mu się całkiem zabawny.

A skoro mieli przed sobą perspektywę poszukiwań w Richmond Park, dobry humor był niezbędny.

Ledwo wyjechali z gospody, Fenwick zaczął głośno pociągać nosem.

Longmore popatrzył do tyłu.

– Lepiej nie choruj – powiedział. – Nie mamy czasu na niańczenie przeziębionych chłopców.

– Ja tylko cóś wąchałem – odparł Fenwick.

Longmore zmarszczył brwi.

– To znaczy coś – poprawił się Fenwick. – A co to za zapach?

– Jaki zapach? – spytał Longmore. Jedyna woń, która do niego docierała, to była lawenda Sophy z tym czymś, co wyczuwało się pod nią. Wątpił

jednak, by Fenwick ze swojego miejsca, za opuszczoną budą i stosem bagaży, potrafił to wyczuć.

– Chodzi mu o zapach powietrza, jak sądzę – wtrąciła Sophy. – To aromat wsi, Fenwicku. – Wciągnęła głęboko powietrze do płuc. Jej pierś wyraźnie opadła i uniosła się. Łatwo było ocenić stopień wznoszenia się i opadania biustu dzięki podkreślającym to kokardkom.

Stanowczo warto było poczekać na ich zdjęcie.

* * *

Sophy była zachwycona Richmond Park. Choć wychowana w mieście, potrafiła docenić pociągającą moc natury, zwłaszcza tutaj, na przestrzeni pięciokrotnie przekraczającej rozmiary Hyde Parku, jak wyjaśnił jej Longmore. Mogła sobie wyobrazić lady Clarę spoglądającą ze szczytu wzgórza na rozpościerający się w oddali i osnuty mgiełką Londyn. Zapewne poczuła, że znalazła się daleko od zmartwień.

Nie była jednak bezpieczna. Nie miała pojęcia, jak o siebie zadbać, a jedna służąca to było zdecydowanie za mało.

Ponieważ nie przysłużyłoby się sprawie, gdyby świat się dowiedział o niewinności, która wyrwała się na wolność, zespół poszukiwaczy musiał zachować ostrożność, wypytując miejscowych. Aby nikt nie poznał historii lady Clary, spreparowali prostą historyjkę o tym, że pasażerka kabrioletu zostawiła w zajeździe saszetkę z dokumentami i pieniędzmi, którą oni próbują jej teraz zwrócić.

Nawet nie zamierzali przeszukiwać parku, bo według Longmore’a zajęłoby to przynajmniej trzy dni. Zamiast tego przepytywali ludzi przy bramach. Mimo to mijały kolejne godziny, okrążyli już niemal cały park i zdążyli wrócić do wzgórza Richmond, nim dowiedzieli się czegokolwiek.

Dopiero po południu znaleźli gospodę, w której zatrzymała się Clara. Pytała tam o drogę do pałacu Hampton Court.

– I tyle z naszych nadziei, że wróci do Londynu – skwitował Longmore, kiedy ruszyli w dalszą drogę.

– Przynajmniej coś wiemy – pocieszyła go Sophy.

– O tak. Jesteśmy z powrotem na drodze do Portsmouth po mitrędze uganiania się za tą głupią gęsią. Niech ja ją tylko dorwę...

– Łatwo to panu przychodzi – zauważyła.

– Łatwo? Co ma pani na myśli, do diabła?!

– Jeśli ktokolwiek pana obrazi, używa pan argumentu pięści. A co w takiej sytuacji może zrobić pańska siostra?

– Nikt nie oczekuje od niej, że coś zrobi. To kobieta.

– Więc powinna po prostu wszystko ścierpieć? Czy przyszło panu do głowy, jak bardzo upokorzona się czuje? Założę się o cokolwiek, że jej tak zwane przyjaciółki po kryjomu dodatkowo ją dręczyły. Jak miała zareagować? Poza tym ma bolesną świadomość, że wszyscy mężczyźni, którzy kiedyś ją szanowali i adorowali, myślą o niej jak o brudnej szmacie. Czy wyobraża pan sobie, jak może czuć się kobieta w takiej sytuacji?

– Uczucia – powiedział tak drwiąco, że miała ochotę go uderzyć.

– Tak, uczucia – powtórzyła. – A czemu nie? Nie może oddać. Nie może zmusić ich, by przestali. To musiało być dla niej okropne. Dlatego uciekła. Na oślep i szaleńczo, bez wątpienia. Martwię się o nią i wolałabym, by tego nie zrobiła, muszę jednak przyznać, że podziwiam ją za to, że zaryzykowała, zamiast cierpieć w milczeniu.

Nastąpiła długa cisza. Nie próbowała jej przerwać, tylko patrzyła przed siebie, czekając, by opuścił ją gniew.

Nieczuły tuman. Wiedziała, że zmarnowała tylko słowa, ale tego już było za wiele.

– Podziwia ją pani – powiedział.

– Tak. Jest bardzo odważna.

– Raczej lekkomyślna. Głupio lekkomyślna.

– Zupełnie jak jej brat.

Znów zapadła cisza.

– Coś w tym jest – przyznał.

* * *

Tyrada Sophy była dla niego zaskoczeniem, ale nie pierwszym.

Longmore nie przetrawił jeszcze w pełni zdumiewającej przemowy, kiedy niedługo potem znów przejechali przez Tamizę i Sophy dostrzegła

stary pałac.

– Jaki piękny! – wykrzyknęła. – Popatrzcie tylko! – Roześmiała się, lekko gardłowo, co załaskotało go w uszy i rozpaliło dziwnie ciepłe uczucie w piersi.

– Miałam już powiedzieć, że Lucie byłaby zachwycona – dodała. – Ale i ja chyba mam znów sześć lat, bo jestem tak podekscytowana.

Popatrzył na wyniosłą budowlę, a potem na Sophy.

– Nie widziała pani nigdy pałacu Hampton Court?

– A kiedy? – odparła, wciąż się uśmiechając. – Przez ostatnie trzy lata Londyn był całym moim światem. Jest wielki i bardzo ciekawy, ale nie byłam nigdzie poza nim.

To była jeszcze jedna odsłona Sophy, prawie dziecka. Z podniecenia o mało nie wyskoczyła z faetonu.

– Żadnych wycieczek po rzece? – spytał.

– Mam sklep – wyjaśniła. – Otwarty sześć dni w tygodniu. Pracujemy od dziewiątej do dziewiątej.

A ona pracowała jeszcze dłużej, dotarło do niego, po nocach, szpiegując dla Toma Foxe’a. Nie miała czasu na wycieczki na wieś.

O tym nie pomyślał. Niby dlaczego? On nigdy nie pracował. Nic o tym nie wiedział.

Widocznie niewiele wiedział też o swojej siostrze.

To była jeszcze jedna niespodzianka. Nie był pewien, czy jego umysł zniesie kolejne.

– Interesujący, prawda? – spytała.

Z pewnością był interesujący.

– Wychodziłam tylko ze sklepu i patrzyłam wzdłuż St. James na Pałac św. Jakuba – rzekła. – Wiem, że też pochodzi z czasów Tudorów. Obudowany jest jednak innymi domami i ulicami. Wokół jeżdżą powozy i omnibusy. Wygląda po prostu jak jeden z budynków. Podobnie jest z większością pałaców w Londynie. Wyglądają wprawdzie dostojnie, ale – tu uczyniła gest ręką – ten rozciąga się w pustce. Wygląda jak twierdza.

– Teraz popada w ruinę – rzekł Longmore. – Przez stulecia nie chciał tu zamieszkać żaden z monarchów. Obecny król też nie chce. Ani on, ani jego poprzednik na tronie. Służył ich kawalerom, starym pannom, wdowom po bohaterach wojennych... – umilkł, bo wreszcie zaczął rozumieć.

Richmond Park. Hampton Court. Oczywiście.

– Stare panny i wdowy? – spytała Sophy.

– W apartamentach gościnnych – odparł. – Przeznaczonych dla tych, którzy w szczególny sposób zasłużyli się Koronie albo których ojcowie, mężowie lub bracia się zasłużyli. To głównie samotne kobiety, w większości starsze. Wiem w końcu, dlaczego przyjechała tutaj Clara.

* * *

Chociaż Longmore od jakiegoś czasu nie zaglądał do przyjaciółki babci, pałacowa służba rozpoznała go. Wczoraj rozpoznano także jego siostrę, co powiedziano mu od razu, zanim sam zdążył zapytać.

Musieli się zastanawiać, dlaczego lady Durwich zrobiła się ostatnio tak popularna w rodzinie Fairfax. Longmore pozwolił, by dociekali tego sami. Pośpiesznie przeprowadził Sophy przez labirynt korytarzy do apartamentu, który od dwudziestu pięciu lat zajmowała lady Durwich.

A raczej próbował to uczynić. Sophy bowiem ciągle się zatrzymywała – a to, żeby popatrzeć na stare wieżyczki i inne detale, a to, by spojrzeć w dół na pałacowy dziedziniec. Czuł się, jakby prowadził ze sobą dziecko.

– Można by pomyśleć, że nigdy nie widziała pani ani jednej zmurszałej cegły z czasów Tudorów – zauważył.

– Jestem właścicielką sklepu – rzekła.

– Prawda – zgodził się. – Sześć dni w tygodniu. Od dziewiątej do dziewiątej.

– Czasami któraś z nas zabiera Lucie do ogrodu zoologicznego albo do amfiteatru Astley, albo na festyn. Nigdy jednak nie zrobiłyśmy wycieczki poza Londyn. A to takie ciekawe. Lucie bardzo by się spodobało.

– Cóż, wobec tego Clevedon powinien ją gdzieś zabrać od czasu do czasu, kiedy wy powalacie konkurencję na kolana – rzekł Longmore. – Dziś nie mamy czasu na wycieczkę. Przywiozę tu panią innego dnia. Są tu wspaniałe obrazy i rzeźby. Ogrody także są bezsprzecznie ciekawe. Teraz jednak chcemy się tylko zobaczyć z lady Durwich.

– Rozumiem – zgodziła się.

– Niech pani nie gra żadnej roli – ostrzegł. – Teraz niech pani będzie sobą.

– Stylistką? – upewniła się.

– Lady Durwich żyje na tym świecie już z tysiąc lat – rzekł. – Wątpię, czy cokolwiek może ją jeszcze zszokować. Poza tym jestem staroświecki...

– Zacofany, powiedziałabym raczej.

– Trochę nieśmiały...

– To pierwsza rzecz, którą w panu zauważyłam – rzekła. – Właśnie nieśmiałość. Kiedy wdarł się pan do domu Clevedona, krzycząc wniebogłosy...

– Bardzo nieśmiały, a zważywszy, że przedstawię panią przyjaciółce babki jako moją *chère amie*, zwłaszcza że pani nią nie jest... – Zawahał się na ułamek sekundy. – Jeszcze nie.

– I nigdy nie będę, ale potrafię udawać tak pięknie, że pan sam uwierzy, że to prawda – rzekła.

– Chodzi o to, że nie poradzę sobie z nią i wymyśloną kobietą w tym samym czasie.

Zastanowiła się.

– Ma pan rację – przyznała.

Niedługo potem lokaj wpuścił ich do salonu lady Durwich.

Miła staruszka cokolwiek się skurczyła i pomarszczyła, ale wyglądała na wyjątkowo dobrze zakonserwowaną, zważywszy, że miała koło dziewięćdziesiątki. Zawsze była pulchna, w najmniejszym stopniu nie koścista – stanowiła wręcz antytezę jego matki – a dziś wyglądała tak samo dobrze jak zawsze. Dawno temu ona i babcia Warford tworzyły, wraz z księżną Hargate i kilkoma innymi paniami, jeden z najelegantszych w Londynie kręgów dam.

– Longmore, wieki cię nie widziałam – rzekła i wyciągnęła pulchną upierścienioną dłoń, którą ucałował z galanterią. – Twoja rodzina niezwykle się ostatnimi czasy ożywiła. Clara była zaledwie wczoraj. Dlatego i ty przyszedłeś, to oczywiste. Przyznała się, że uciekła, głupiutkie dziecko. Ja jej na to, żeby wracała prosto do domu. Cóż za nonsens! Nie kocham go – powiedziała. Powinna była o tym pomyśleć, zanim poszła z nim na taras i pozwoliła mu na to i owo. Doprawdy, zdumiewające. Zawsze zdawało mi się, że Clara ma więcej rozsądku. – Jej bystre spojrzenie brązowych oczu spoczęło na Sophy. – A to kto?

Stara dama podniosła monokl i powoli oceniła towarzyszkę Longmore’a – od czubka dziwacznego kapelusza po czubki zdumiewająco niepraktycznych jedwabnych pantofelków.

– Wygląda znajomo, ale to nie żadne z was, wiem to. To nie od Fairfaksów.

– Rzeczywiście nie, lady Durwich. Pozwoli pani, że przedstawię jej pannę Noirot, znaną stylistkę.

Sophy utonęła w przesadnym dygnięciu, identycznym jak to, którym potraktowała Valentine'a – furkocząc wstążkami i trzęsąc kwiatami.

– Och, cóż za rzadkość – rzekła lady Durwich, gdy Sophy wstała. – Stylistka, tak? Jak nazywa się ten kolor, panno Noirot?

– *Cendre de rose*, milady.

– Różowy popiół? – spytał.

Obie kobiety poczęstowały go takim samym „cóż-za-głupiec" spojrzeniem.

– Panna Noirot jest projektantką strojów Clary – wyjaśnił Longmore. – Bardzo się zaniepokoiła o wyprawę ślubną.

– Nie opowiadaj głupstw – rzekła stara dama. – Wiem, że to dla ciebie trudne, ale wysil się trochę. Nie mam zbyt wiele czasu do stracenia – najwyżej dziesięć lub dwadzieścia lat. Może lepiej pozwól młodej kobiecie mówić za siebie. – Opuściła monokl i spojrzała wyczekująco na Sophy.

– Nie owijając w bawełnę, milady, zrozumiałam, że lord Longmore, pomimo swoich wielu zalet...

– Och, odkryła pani jakieś jego zalety?

– Pomimo jego wielu zalet – ciągnęła Sophy, lekko potrząsając głową, aż zafurkotały wstążki – jak na przykład fantastyczny cios, władczość i świetnie skrojone ubranie, a to zaledwie parę przykładów. W tych i wielu innych sprawach nikt nie pobije jego lordowskiej mości. Jednakże wydaje mi się, że nie od rzeczy byłoby nazwać go raczej pozbawionym daru taktu i perswazji. A podejrzewam, że właśnie tego trzeba w kontakcie z lady Clarą.

– Może pani tak myśleć – rzekła lady Durwich. – Zaczynam wierzyć, że Clara buja w obłokach.

Weszła służąca z herbatą. Nastąpiła przerwa, podczas której lady Durwich spełniła obowiązki gospodyni. Chociaż nie mieli zbyt wiele czasu do stracenia, Longmore przypuszczał, że dama nieczęsto przyjmuje gości, zwłaszcza młodych. Korciło go, by jak najszybciej wyciągnąć od niej informacje i uciekać, wiedział jednak, że poganianie jej byłoby grubiaństwem.

Kłopot w tym, że dama znalazła Sophy daleko bardziej interesującą niż tarapaty Clary. Nic dziwnego, Sophy promieniowała bowiem niezwykłym wprost urokiem.

Kiedy lady Durwich, pogrążona w pogawędce przy herbacie i ciasteczkach, spytała, czy Sophy zwiedzała już kiedyś pałac, ta natychmiast przedzierzgnęła się z wytwornej francuskiej stylistki w podekscytowane angielskie dziewczę.

– Lord Longmore z trudem zmusił mnie do marszu – rzekła. – Cały czas się zatrzymywałam i oglądałam wszystko z dziecięcym zachwytem. Jakże to musi być cudowne mieszkać w takim miejscu. Nie miałam pojęcia, że tu ktoś mieszka, to znaczy oprócz służby.

– Wielkie nieba, skąd się wzięła ta dziewczyna! – zakrzyknęła lady Durwich. – Nie słyszałaś nigdy o prawie zamieszkania w pałacu za zasługi dla Korony?

– Panna Noirot mieszkała do niedawna w Paryżu – wtrącił Longmore. – Jest raczej Francuzką.

– Moi rodzice byli Anglikami – sprostowała Sophy. – Ale owszem, dorastałam we Francji. Jestem miejskim szczurem.

– Panna Noirot wyznała mi, że pierwszy raz jest tak daleko od Londynu – rzekł Longmore.

– I teraz, kiedy zobaczyłam, jak jest na wsi, dziwię się śmiałości lady Clary, że wyjechała z miasta sama. Drogi są wprawdzie dobre, ale trzeba się zatrzymać, by zjeść, by załatwić obsługę konia u stajennych... Trzeba zapłacić za przejazd przy bramach i uważać, żeby nie skręcić w złą drogę. To nie ma nic wspólnego z podróżowaniem po Londynie. Musiała być naprawdę w rozpaczy, by uciec.

– To była zawsze nieustępliwa dziewczyna – powiedziała lady Durwich. – Choć otoczenie uważało, że jest inaczej.

– Anielska piękność – rzekł Longmore. – Jej adoratorzy wypisywali najgłupsze poematy na jej cześć. W ogóle jej nie znali.

– Nie doceniali jej – poprawiła Sophy. – Jej uroda przesłaniała im jej umysł.

– To kobieta – rzekł Longmore. – Po co kobiecie umysł?

– Do radzenia sobie z mężczyznami, którzy go nie mają – odparowała Sophy. – To niełatwe. – Zwróciła się do lady Durwich. – Może, milady,

gdyby zechciała pani powiedzieć, co przypomina sobie pani z waszej rozmowy, moglibyśmy się zorientować, jakie miała zamiary.

Wydawało się, że zabierze to wieczność.

Longmore wstał z fotela i podszedł do okna. Apartament składał się z kilku pokoi na parterze, a okno wychodziło na dziedziniec, z którego przyszli. W polu widzenia nie pojawiło się nic, co mogłoby go rozerwać, tylko bruk na dole i różowe ceglane ściany pnące się trzy piętra do góry i zasłaniające światło dnia.

Stare damy były gadatliwe i zapominalskie. Rzadko kiedy opowiadały historie we właściwej kolejności, częściej robiły wycieczki od głównego wątku to tu, to tam, wszędzie. Za parę godzin się ściemni. On i Sophy mogli wprawdzie jechać nocą, ale co, jeśli pogoda będzie miała na ten temat inne zdanie?

Na ile mógł, przysłuchiwał się rozmowie kobiet.

Niełatwe zadanie. Umysł wolał błąkać się po pokręconych korytarzykach, skrótach i zakamarkach, jak te tutaj, w najstarszej części pałacu.

Pomyślał o siostrze i o tym, co powiedziała o niej Sophy. Nie było to przyjemne.

Skupił się więc na włosach Sophy spływających na plecy i piersi, długich puklach wijących się i przemieniających w złoto po wyschnięciu... na zarysie piersi pod cienką muślinową koszulą... zarysie ud... i miejscu między nimi, trójkąciku, który musiał być pokryty złotawymi włoskami.

To było łatwiejsze do zniesienia.

Niemniej było mu duszno. Salon był zbyt przytulny i gorący. Apartamenty w Hampton Court były w opłakanym stanie, ciemne i zatęchłe. Dama stale utrzymywała ogień w kominku, by odpędzić wilgoć. Miejsce zawalono zbieranymi przez dekady bibelotami. Głosy rozmawiających za jego plecami kobiet były stłumione. Szczebiotały niczym stare przyjaciółki.

Oczywiste, że nie było tu z niego pożytku. Kiedy kobiety plotkowały, mógł w tym czasie przepytać służbę. Mógł poszukać Fenwicka i posłuchać jego relacji. Już postanowił przeprosić damy i wyjść, kiedy lady Durwich zakrzyknęła:

– Nareszcie! Wiedziałam, że jest w pani coś znajomego. I teraz już wiem! Te oczy! To oczy DeLuceyów. Rozpoznałabym je wszędzie.

* * *

Sophy uświadomiła sobie, że Longmore odwrócił się od okna i popatrzył ostrzej.

Uśmiechnęła się uprzejmie do lady Durwich.

– Nie pani pierwsza to mówi, milady.

– Nic dziwnego – rzekła starsza dama. – Takich oczu się nie zapomina. Choć zajęło mi chwilę, by je sobie przypomnieć. Poprzedni hrabia Mandeville był wielkim przyjacielem mojego męża. I była Eugenia, lady Hargate. Jej najstarszy syn, Rathbourne, poślubił dziewczynę z rodziny wojskowych. Córka lady Rathbourne była ulubienicą Eugenii. Widziałam ją na jej pogrzebie. Przypominasz sobie chyba, jak poznałeś lady Lisle, prawda, Longmore? Ładna rudowłosa dziewczyna. Czyż nie miała oczu DeLuceya?

Wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie, ale Sophy to wystarczyło. Zauważyła, że jego ciemne oczy rozszerzyły się lekko, postawa stała się czujniejsza. Wyglądał jak wilk, który łapie trop.

– O tak, Koszmarni DeLuceyowie – rzekła Sophy z rozbawieniem. – Mówiono mi, że większość rodziny mieszka za granicą. Nie jest wykluczone, że jeden z moich przodków urodził się z nieprawego łoża jakiegoś arystokraty.

Od chwili przybycia do Londynu ona i jej siostry były świadome ryzyka. Co prawda Marcelline była od niego wolna z racji podobieństwa do ojca, jednak Sophy i Leonie odziedziczyły oczy po matce z domu DeLucey, które – ogromne i jaskrawo niebieskie – były cechą bardzo wyróżniającą.

DeLuceyowie – znani w Anglii jako Koszmarni DeLuceyowie – nadal byli, zupełnie słusznie, w najlepszym wypadku niegodni zaufania, a w najgorszym – przeklinani. Całą rodzinę zabiła cholera – Marcelline, Sophy i Leonie były ostatnimi z rodu.

– Większość z nas powiedziałaby to samo – rzekła lady Durwich. Wzięła monokl i ponownie omiotła wzrokiem swą rozmówczynię. Sophy przyjęła to spokojnie, pomogły jej w tym lata praktyki w grze w karty, nie wspominając o czekaniu na decyzje wymagających klientek.

– Nie chciałbym przerywać fascynujących plotek z przeszłości – wtrącił Longmore. – Dzień jednak mija, a my, jak się zdaje, nadal nie ustaliliśmy,

dokąd pojechała Clara.

– Och, niecierpliwość młodości – westchnęła lady Durwich. – To właśnie powiedziałam Clarze. Nie umiała rzec, co w nią wstąpiło, że wyszła bez przyzwoitki właśnie z Adderleyem. Nie miała z nim tam nic do roboty, jak sądzę.

– Jak to nie miała tam z nim nic do roboty, skoro właśnie on zdjął z niej połowę sukni? – spytał Longmore.

– Tak naprawdę to nie zdjął – rzekła Sophy. – Zsunął jej tylko dekolt o parę centymetrów i zagniótł fałdki stanika.

Wiedząc, że szczegóły konstrukcji stroju rozzłoszczą Longmore'a i odwrócą jego uwagę od DeLuceyów, ciągnęła:

– Wykrój dekoltu był bardzo głęboki, milady, a udrapowany materiał krzyżował się na przodzie w wąskich fałdkach. Wyhaftowałyśmy na sukni mnóstwo różyczek, pączków, gałązek i listków. Haft biegł wokół rąbka spódnicy, a na przodzie w górę. Miała na sobie broszkę ze szmaragdami, która podtrzymywała haftowane fałdy – o tak. – Wskazała miejsce między piersiami odpowiadające miejscu, gdzie lady Clara miała przypiętą broszkę. – Odsłaniało to odrobinę jej halki i szlachetną jasną...

– O tak, tak. Ośmielam się twierdzić, że lady Durwich przeczytała już wyczerpujący opis szczegółów modnego stroju Clary w „Porannym Zwierciadle" – przerwał Longmore. – Jak i my wszyscy.

– Ja tylko zauważam, że lady Clara mogła wydawać się w oczach brata bardziej rozebrana, niż była w rzeczywistości – rzekła Sophy.

– A jaką różnicę czyni stopień jej dezabilu? – spytał. – Znalazła się z nim sam na sam, a on doprowadził jej suknię do stanu nieładu. Potem udawał szarmanckiego, próbując zasłonić ten stan, który, jak doskonale wiedział, zasłonić się już nie dał.

– Och, gdyby naprawdę był szarmancki, nie miałby potrzeby niczego zasłaniać – zauważyła lady Durwich. – Jeśli szczerze by mu na niej zależało, nie wyprowadziłby jej na taras. Naturalnie nie powiedziałam tego, by jeszcze bardziej nie martwić dziecka. Przecież Clara sama zdaje sobie z tego sprawę. Właśnie to doprowadziło ją do takiego zdenerwowania. Niegodziwa lady Bartham rzuciła jej to w twarz albo też dała wystarczająco wyraźnie do zrozumienia. A Clara mówiła, że i tak z trudem znosiła to upokorzenie, a już niemożliwe było znoszenie go jako zawinionego wyłącznie przez mężczyznę, który ją zdradził. Próbowałam przemówić jej

do rozsądku, ale wiecie, jak bardzo bierze sobie wszystko do serca. Babka by jej to wyperswadowała. Zawsze znajdowała sposób. Ja zaś równie dobrze mogłabym rozmawiać z obrazem. Nie widzę sposobu na rozwiązanie tego problemu. Ona z pewnością nie wierzy, że można cokolwiek uratować i dlatego mogę się o nią tylko lękać.

Rozdział 9

Hampton Court to pałac królewski, położony dwadzieścia kilometrów od Londynu, wzniesiony przez kardynała Wolseya, który podarował go swojemu władcy Henrykowi... Pałac i otoczenie, godne zwiedzenia przez podróżujących, są udostępniane na uprzejmą prośbę przez członków personelu pałacu.
Obraz Londynu Cruchleya (1834)

Jakąś wieczność później Longmore próbował wyprowadzić Sophy z apartamentu drogą, którą do niego przyszli. Przystawała i rozglądała się na boki, wyglądała przez okna, przenikała wzrokiem wąskie korytarzyki i zamknięte drzwi.

– Zostałaby tu pani na noc, gdybym na to pozwolił – zauważył.

– Próbowałam tylko dowiedzieć się jak najwięcej – odpowiedziała. – Przekonanie pana siostry do powrotu nie będzie łatwe. Musiałam zdobyć możliwie wiele informacji.

On już nie chciał rozumieć ani trochę więcej. To, co odsłoniła przed nim lady Durwich, w połączeniu z przemową Sophy na temat Clary sprawiło, że wrzał. Musiał wydostać się z ciasnego salonu, inaczej coś by w nim połamał.

Nie chciał już zabić Adderleya. Śmierć byłaby bowiem łaską. Należało stłuc go na miazgę i na zawsze zniszczyć jego urodę. Powinien cierpieć przez resztę swojego życia, tak jak teraz cierpiała przez niego Clara.

– Byłoby lepiej, gdybym wyszedł – powiedział. – Kobiety paplające o uczuciach to nie jest to, co lubię najbardziej. Powinienem był porozmawiać ze służbą. Clara, zdaje się, nie była szczególnie rozmowna, w przeciwieństwie do lady Durwich. Davis za to rozmawiała z ogrodnikiem o miejscowych zajazdach, a ten polecił Pod Niedźwiedziem w Esher. Musimy ruszać w drogę.

– Wiem – rzekła.

– Więc o co chodzi?

– Już idę.

– Marudzi pani.

– Ja myślę.

– Nie umie pani iść i myśleć równocześnie?

– Czy pan zawsze jest taki niecierpliwy? – spytała. – Po co ja w ogóle pytam?

– Straciliśmy długie godziny – zarzucił.

– Nie więcej, niż straciła pańska siostra – broniła się. – Nie mogła jechać w czasie burzy. Noc spędziła w zajeździe. Musiała dać odpocząć koniowi, sam pan to powiedział.

– Ma nad nami dzień przewagi! – rzekł.

– Nie sądzę, że powinniśmy ruszać, skoro jest pan taki wzburzony – odparła.

– Nie jestem wzburzony – zaprotestował. – A nawet gdybym był, nie miałoby to żadnego wpływu na powożenie.

– Jest pan w najwyższym stopniu wzburzenia – rzekła Sophy. – To przez to, co powiedziałam o Clarze, prawda? I przez to, co powiedziała lady Durwich. Teraz ma pan ochotę kogoś zabić. Albo uderzyć. A nie możemy sobie na to pozwolić, bo jeśli zostanie pan aresztowany...

– Nie dam się zaaresztować – upierał się.

Złapała go za poły żakietu.

– Niech mnie pan posłucha – rzekła. – To ja zamierzam zająć się zmartwieniem pana siostry.

– Pani! – parsknął. – Ta sprawa nie ma dobrego rozwiązania. Byłem w błędzie, myśląc inaczej. Ten łotr umyślnie zrujnował moją siostrę. To nawet nie było pożądanie, niech go diabli! Z zimną krwią...

– Zajmę się nim – powiedziała.

– Jest pani kobietą! Właścicielką sklepu! Co, u diabła, zamierza pani wskórać?!

– Nie ma pan pojęcia, do czego jestem zdolna – odcięła się.

– Do kłamstwa – na pewno. Do grania – też. I do szpiegowania – owszem, do tego też.

– Jest pan zepsutym arystokratycznym bałwanem – powiedziała. – Nic pan o mnie nie wie. Nie ma pan pojęcia, przez co przeszłam. Jest pan dzieckiem. Małym dzieckiem. Zepsutym, energicznym i przerośniętym dzieckiem, które bije innych, kiedy nie może dostać tego, co chce. Pan... och!

Objął ją w pasie, pociągnął i podniósł, przyciskając do piersi.

– Jestem dzieckiem, tak? – spytał.

Sophy wiła się i szarpała, ale nie miała najmniejszych szans. Wsunął głowę pod rondo jej kapelusza i odnalazł jej wargi. Kiedy przypomniała sobie, że powinna być bardziej stanowcza, było już za późno. Całował ją. Znacznie intensywniej niż poprzednio.

Czuła to aż po czubki palców u stóp.

Zacisnęła pięści. Mogła to zrobić. Mogła z tym walczyć. Mogła walczyć z nim. Zmusiła się, by go uderzyć. Tłukła pięściami w jego pierś, ale było to żałosne. Nawet gdyby włożyła w to więcej siły, wątpiła, czy w ogóle by to poczuł.

A jego cyniczne usta były tak gorące. Był taki duży, twardy i... bezpieczny.

Czuła jego zapach. Zapach jego skóry i męskości. Czuła się tak, jakby paliła opium. Jego wielkie ciało, zapach i smak zabijały jej siłę woli i umysłu.

Skapitulowała. Jej ciało przywarło do niego, a usta się rozchyliły. Pocałunek stał się mroczny i głęboki. Odczucia, których nie umiała nazwać, wkradły się do jej serca i sprawiły, że waliło mocno, coraz mocniej, po czym zeszły niżej, do niebezpiecznego rejonu, aż poczuła pragnienie, którego nie czuła nigdy wcześniej.

Dłonie rozprostowały się same tylko po to, by chwycić się jego ramion, bo kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Zachowywała świadomość, równocześnie coraz bardziej pogrążając się w omdleniu.

Przycisnął ją do ściany, ustami nadal trzymając ją w niewoli, a językiem ucząc wszelkich rodzajów grzechu. Puściła go, pozwalając, by podtrzymywała ją ściana, i kładąc bezwładne ręce na zimnej cegle, podczas gdy wszystko poza tym zdawało się przepysznie gorące. Wyciągnął ręce i oparł je o ścianę po obu stronach jej głowy, zamykając ją jak w pudełku. Poczuła, że nachylił głowę pod innym kątem i zmienił nacisk języka, aby nauczyć ją kolejnych stu grzesznych pocałunków.

Słyszała coś, ale daleko, coś nieistotnego.

Ktoś odchrząknął.

Otworzyła oczy. W tej samej chwili Longmore odsunął wargi od jej ust i ledwie unosząc głowę, odwrócił wzrok w stronę, z której popłynął dźwięk.

– Jego lordowska mość wybaczy – odezwał się grobowy głos.

Longmore uniósł głowę o następnych parę centymetrów, ale tylko po to, żeby rzucić ostrzegawcze spojrzenie właścicielowi głosu.

– Nie widzisz, że jestem zajęty?

– Tak, wasza lordowska mość – odparł głos. – Ale...

– Ach! – Sophy popchnęła pierś Longmore'a. – A niech cię! – Popchnęła go znowu, ale nie różniło się to niczym od popychania zamkowych murów obronnych.

Popatrzył błyszczącymi oczami w dół, na jej ręce w rękawiczkach, a kącik jego ust – złych, zdradzieckich ust – uniósł się lekko.

– Puść mnie! – zawołała.

Longmore powoli wciągnął powietrze do płuc, po czym wypuścił je i się cofnął. Nie był to czas wystarczający, by ustąpiło jego podniecenie, chociaż była to łatwiejsza część stojącego przed nim zadania. Trudniejsze okazało się myślenie, bo w głowie miał przyjemną gęstość i ciepło i wolałby pozostać w tym stanie, aniżeli powrócić do poprzedniego sprzed paru chwil.

Spod zmrużonych powiek zerknął na tego, kto zakłócił im chwile rozkoszy. Sophy miała przekrzywiony kapelusz, spuchnięte wargi i patrzyła na niego szeroko otwartymi, zamglonymi oczami.

Wyglądała przepysznie.

– Ja tylko się żegnałem – wyjaśnił głosem niższym i bardziej schrypniętym niż zwykle.

– To tak się to nazywa? – spytała.

– Zostawiam panią tutaj. Z lady Durwich. I pani, i ona możecie sobie rozmawiać o uczuciach, ile dusza zapragnie.

Odwiązała wstążki kapelusza pod brodą, zdjęła go i uderzyła Longmore'a z całej siły. Trafiła w pierś i ramię, a potem jeszcze raz w pierś. Dopiero wtedy odskoczyła. Kapelusz trzymany za wstążkę odbijał się od jej spódnicy, gdy szła, kołysząc biodrami.

– Zabłądzi pani tutaj beze mnie – zawołał za nią.

– Nie sądzę! – burknęła, nie odwracając się.

Wzruszył ramionami i poprawił własny kapelusz, kiedy dostrzegł, że pałacowy służący wciąż stoi parę metrów dalej z obojętną twarzą.

– Chciałeś czegoś? – spytał Longmore.

Człowiek popatrzył w stronę okna. Przez pofałdowaną szybę widoczny był ciemny kształt.

– Lady Flinton hołduje surowym obyczajom, milordzie – rzekł przepraszająco służący. – Ujrzała scenę, którą nazwała niemoralną, i poleciła mi, bym państwu przerwał.

Longmore uchylił kapelusza w stronę sylwetki za oknem.

A potem podążył za Sophy.

Jak się spodziewał, skręciła w złą stronę. Znalazł ją na dziedzińcu, otrzepującą kapelusz o spódnicę i wpatrującą się w zegar astronomiczny.

– Powiedziała pani, że mnie zasztyletuje, jeśli jeszcze raz panią pocałuję – przypomniał.

Wzrok błękitnych oczu, już nie zamglonych, ale bystrych i surowych, powędrował od zegara i spoczął na nim.

– Szukałam właściwej broni, ale wygląda na to, że całą stąd sprzątnięto.

– Mam panią zabrać do zbrojowni? – spytał. – Wisi tam na ścianach wszelkiego rodzaju broń sieczna i kłująca.

– Tak, zdecydowanie – rzekła.

– Niestety, nie mamy na to czasu. Musimy odnaleźć moją siostrę. – Wziął ją za ramię. Nie było to tak łatwe, jak mogłoby się zdawać. Górna część rękawa była niczym wielka poducha. Musiał złapać za przedramię, nisko, tuż nad nadgarstkiem. Kusiło go, żeby trzepnąć ją w rękę, ale podejrzewał, że znów by mu się wyrwała, a już zmarnowali wystarczająco dużo czasu.

Właściwie nie zmarnowali, niemniej...

Złapał mocno przedramię i wyprowadził Sophy z dziedzińca. Bez trudu dała się poprowadzić. Szkoda. Nie miałby nic przeciwko kolejnej szarpaninie.

Lecz nie, musieli już ruszać.

– Myślałam, że zamierza mnie pan tu zostawić – zauważyła.

– Odwiodła mnie pani od tego pomysłu... chwilę temu... kiedy stała pani przy murze pod oknem lady Flinton.

– Ach, tak. Skoro o tym mowa...

– Doskonale. Teraz jeszcze będziemy to omawiać – westchnął.

– Na pewno będziemy – ciągnęła. – Tym razem miałam na sobie kompletne ubranie, niech więc nie próbuje się pan tłumaczyć tym, że byłam półnaga.

– Nie muszę się tłumaczyć – rzekł. – Może jednak miała pani na sobie zbyt wiele warstw.

Obrzuciła go spojrzeniem pełnym czystej wściekłości. Był do tego przyzwyczajony, ludzie bardzo często patrzyli na niego w ten sposób. W jej wykonaniu było to jednak wspaniałe przedstawienie.

– Jedyną odkrytą częścią pani ciała była twarz – rzekł. – A pani usta ciągle się ruszały. Musiałem coś z tym zrobić.

– Dlaczego jeszcze żadna kobieta pana nie zasztyletowała? – spytała.

– Mam świetny refleks – wyjaśnił.

Odwróciła wzrok i znów popatrzyła na zegar.

– Jeśli to jest to, co zrobił Clarze lord Adderley, nic dziwnego, że wpakował ją w kłopoty – rzekła. – To niegodziwe ze strony mężczyzny, który posiada wielkie doświadczenie, żeby tak wykorzystać młodą kobietę.

Wszystkiego mógł się spodziewać, lecz nie takiego oświadczenia. Bardzo dlań bolesnego.

– Nie wykorzystałem pani – zaprotestował. – Ja tylko panią pocałowałem.

– Tylko – powtórzyła.

– Nie dotknąłem pani ubrania ani nie uczyniłem żadnej próby, by je z pani zdjąć.

Oparł obie ręce o ścianę – jakaś część jego mózgu musiała jednak myśleć, bo nie zbliżył się do Sophy.

– Oczywiście zdjęcie z pani ubrania wygląda na zadanie co najmniej dwugodzinne. W każdym razie, teraz, kiedy ma pani już jakieś doświadczenie, a ja... przeznaczyłem czas, by je pani przekazać... dzięki temu dużo trudniej będzie niegodziwcom wykorzystać panią w przyszłości...

Poniewczasie dotarło do niego to, co powiedziała.

– Co miała pani na myśli, mówiąc, że nic dziwnego, że Adderley wpakował Clarę w kłopoty?

– Nie jestem wychuchaną panną – rzekła. – Dorastałam w sklepie w Paryżu. Prowadzę butik. Prawdopodobnie jestem sprytniejsza. A ona jest niewinną panną, która zawsze miała opiekunów. Jeśli Adderley pocałował ją właśnie tak, nie miała szans. To bardzo nie w porządku.

Longmore nie próbował odnieść nieuczciwej korzyści. Sophy nie była arystokratką od dzieciństwa chronioną przed światem. Była stylistką, jej siostra omotała księcia Clevedona jak pierwszego lepszego głupca. Pocałować ją nie było żadną niegodziwością. Nieprawdaż?

– Znów zamierza mnie pani zdzielić tą ekstrawagancją modystki? – spytał. – Czy też doprowadzi się pani do porządku i włoży ją na głowę, zanim wrócimy do powozu?

Uderzyła go jednak kapeluszem. Wyrwał go z jej ręki i szybko się oddalił.

Słyszał za sobą odgłos skórzanych obcasów jej frywolnych pantofli uderzających o kamienny bruk i szelest jej falbaniastej halki. Nie obejrzał się jednak.

Pozwolił jej zrównać się z nim dopiero przy głównym wejściu.

Była zasapana i miała zarumienioną twarz. Wyciągnęła dłoń.

– Proszę mi oddać kapelusz – poleciła.

Nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę, umieścił kapelusz wprost na jej głowie i wziął ją pod ramię, by poprowadzić. Wyrwała się i podbiegła do najbliższego okna. Odbicie było jednak zniekształcone.

– Wygląda pani jak maszkaron – zażartował.

Podeszła bliżej okna i popatrzyła przez chwilę.

Ramiona jej zadrżały i zachichotała. A potem roześmiała się w głos, aż wstążki zatańczyły, a fałdy zafurkotały. Pomyślał, że nigdy nie słyszał czegoś równie cudownego jak jej szczery śmiech.

Zresztą nie tylko go słyszał, lecz także poczuł – i to ostro. Zupełnie jakby wdarł się głęboko i dotarł do najpilniej skrywanego miejsca. Zupełnie jakby sztyletem ugodziła go w samo serce.

Po chwili było po wszystkim. Śmiech przerodził się w uśmiech. Pokręciła głową, zdjęła kapelusz i włożyła go prosto, po czym znów przejrzała się w niewdzięcznej szybie.

Stanął za nią i ułożył go na głowie we właściwy sposób.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Wielkie błękitne oczy błyszczały, wyrażając coś, co natychmiast wzmogło jego czujność.

Zaczął zastanawiać się, co to było. Zawsze poważnie traktował swój instynkt.

Zawiązał wstążki pod brodą, następnie odsunął się poza zasięg błękitnego blasku jej oczu.

– Dobrze – powiedział. – Lepiej już jedźmy.

* * *

Nikt nie musiał tłumaczyć Sophy, że pocałowanie jej nie znaczyło dla hrabiego Longmore’a nic szczególnego. Był mężczyzną i to jednym z tych, którzy nie słynęli bynajmniej z powściągliwości.

Jednak dla niej było to wstrząsające i pouczające przeżycie. Na długie godziny zapomniała o Maison Noirot i jakichkolwiek strojach, nie opuszczało jej jedynie poczucie, że ma ich na sobie za dużo.

Jeśli relacje z mężczyznami zawsze wiążą się z czymś takim, nigdy nie będzie mogła sobie pozwolić na romans. Nie będzie miała wtedy czasu myśleć o sklepie.

Jak to, na litość boską, udawało się Marcelline?!

Czyżby miała więcej zdrowego rozsądku? Czy też działo się to za sprawą małżeństwa? Być może tak poważna decyzja uspokaja tego rodzaju uczucia.

A trudno było wyobrazić sobie coś bardziej przerażającego niż małżeństwo z Longmore’em. Było to tak złe rozwiązanie, że od rozmyślania nad nim kurczył się mózg.

Musiała się jakoś uspokoić. Lecz nawet teraz, w pełni zdawszy sobie sprawę, że Longmore zrobił po prostu to, co zwykle robią mężczyźni, musiała bardzo mocno się starać, by wrócić myślą do lady Clary i tego, dokąd się udała.

Odpowiedź nadeszła zaledwie kilka kilometrów dalej na drodze z Hampton Court w Esher w gospodzie Pod Niedźwiedziem.

To był wielki i zatłoczony zajazd dla dyliżansów. Kiedy wjeżdżali, kilka właśnie z niego wyjeżdżało, a kilka do niego skręcało. Wszystkie jechały do Londynu albo z Londynu, jak powiedział jej Longmore.

– Przyjeżdżają prawie w tym samym czasie – powiedział. – Mogła to pani zauważyć, czekając na mnie w kawiarni Gloucester. Możliwe jednak, że nie pozwolili pani na to mężczyźni próbujący zwrócić na siebie pani uwagę.

– Niechże pan nie lęka się o tych wszystkich mężczyzn – uspokoiła go. – Rozglądałam się tylko za panem.

– Ma pani przynajmniej dobry gust – pochwalił.

Na tym zakończyła się wymiana docinków, bo musiał skupić się na manewrowaniu między innymi powozami. Kiedy zatrzymał się wreszcie, Fenwick ochoczo zeskoczył i podbiegł do koni.

Zaświtało jej w głowie, że chłopiec – wychowany na ulicy miejski urwis – robi to od samego początku podróży.

– Przychodzi mu to z taką łatwością – rzekła i coś ją olśniło. Popatrzyła na Longmore’a. – Wczoraj na Bedford Square od razu powierzył mu pan zaprzęg. Czy to normalne?

– Zawsze w pobliżu kręcą się dzieciaki, które za drobną opłatą chętnie popilnują koni – wyjaśnił, prowadząc ją do gospody. – Sama pani mówiła, jak łatwo i gładko wskoczył na tył karykla, żeby mnie okraść. Zdaje się, że ma już doświadczenie ze stajnią i powozami. Tyle że nie da się wyciągnąć z niego żadnych informacji. Będzie to wymagało nie lada zachodu.

– Cieszę się, że przydaje się nam w podróży – rzekła. – Tylko proszę sobie nie wyobrażać, że mi go pan wykradnie.

– Ani mi się śni – zaprotestował. – Mój służący Reade udusiłby go we śnie. Jest bardzo zaborczy. Zaryzykuję stwierdzenie, że nawet teraz knuje już coś przeciwko chłopcu, myśląc, że ten zasadza się na jego miejsce.

Umilkli po wejściu do gospody, gdzie zaczęli ich potrącać wchodzący i wychodzący grupami ludzie. Po paru minutach powozy zdążające do Londynu wyjechały, ruch ustał, a Longmore’owi udało się znaleźć właściciela i opowiedzieć historię zagubionej saszetki.

Nawet w ferworze pracy właściciel bez trudu przypomniał sobie kabriolet i dwie damy. Pokazał nawet wpis w księdze gości. Podpisały się jako pani Glasgow i panna Peters. Sophy poznała staranne pismo lady Clary. Davis, która zapewne nie była wprawiona w podpisywaniu czegokolwiek, nakreśliła swoje fałszywe nazwisko wąskimi, kanciastymi literami, które wyglądały tak zniechęcająco, jak tylko mogły wyglądać litery.

– Wyjechały rano – dodał właściciel. – W kierunku Portsmouth.

– Niech to licho! – zakrzyknął Longmore.

* * *

– Nie miała czego wybrać, tylko Portsmouth! – narzekał, kiedy znów znaleźli się w powozie. – Miasto portowe. Przepełnione burdelami i pijanymi marynarzami, a także łajdakami i oszustami wszelakiego

autoramentu szukającymi ofiar do oskubania. No i statki odpływające we wszystkie strony świata. Na kontynent. Do Irlandii. I do Ameryki.

To było znacznie gorsze, o wiele gorsze niż samotna podróż Clary.

Zrozumiał, że ogarnia go przemożna panika. Zwalczył ją.

– Nie może wyjechać z kraju – powiedziała Sophy.

– Nie wie jak – zawtórował. – Ale spróbuje. W miejscu, gdzie roi się od oszustów i łotrów czyhających, by wykorzystać nieznającą życia kobietę. Rozpoznają ją z daleka – wychuchaną pannę, kompletnie zieloną.

– Nie jest sama. Ma Davis – pocieszyła go Sophy. – Każdy, kto będzie chciał się dostać do Clary, najpierw musi zmierzyć się z jej służącą. Davis może i musi uginać się przed kaprysami swojej pani, ale poradzi sobie, jeśli będzie musiała jej bronić.

– To tylko jedna kobieta – westchnął Longmore.

Nie musiał patrzeć. Coś w powietrzu powiedziało mu, że ją uraził. Znowu.

– Dlaczego przypuszcza pan, że wszystkie kobiety są słabe? – spytała.

– Bo tak jest – odparł. – Mogę panią podnieść jedną ręką. A czy pani mnie podniesie, używając do tego choćby obu rąk?

– To zaledwie jeden rodzaj siły – zaprotestowała.

– To tylko osobista służąca damy – rzekł. – Jest na górze hierarchii kobiecej służby. Nie musi dźwigać ciężarów.

– Jest na nogach do usług w każdą pogodę – sprostowała Sophy. – Kiedy się nie krząta, usługując pani, naprawia jej suknie, czyści, zbiera i układa części garderoby. Kiedy dama zachoruje, to jej służąca wykonuje przecież najniewdzięczniejszą pracę, pielęgnując ją w dzień i w nocy, podczas gdy doktor i matka tylko wydają polecenia. Służąca biega cały dzień i noc po schodach, przynosząc coś i odnosząc. Ma oko na służbę niższego stopnia i pilnuje, żeby wszystko, o co prosiła jej pani, zostało zrobione jak trzeba. Słabeuszka nie przetrwa w tej pracy nawet pół dnia.

Longmore wlepił wzrok w końskie łby. Nigdy nie poświęcił ani jednej myśli kobiecie, która opiekowała się jego siostrą, odnotował zaledwie, iż jest niełądna, a jej twarz przypomina pysk buldoga.

– W porządku, jest może silna – zgodził się. – Nie zmienia to jednak faktu, że jest to kobieta.

– Budząca grozę kobieta – powiedziała Sophy. – Dla lady Clary większe zagrożenie stanowi lord Adderley niż donżuani z Portsmouth.

– Najwyraźniej nie miała pani do czynienia z marynarzami – zauważył.

– Bardzo mało pan wie.

Tak też mu się zdawało.

– Niechże więc mnie pani oświeci.

– Jestem stylistką – rzekła. – Modystką i krawcową. Każdy wie, że poluje się na nas jak na kaczki.

– Odniosłem wrażenie, że nie zdaje sobie pani z tego sprawy – zauważył. – Nie chce pani współpracować.

– W tym, co powiedziałam, miała być ironia.

– Niech się pani nie trudzi – przyciął. – Ironia przelatuje mi koło głowy.

– Co więcej, miałam wystarczająco mocne powody, żeby nie współpracować, co wyjaśniłam panu wczorajszego wieczoru. Proszę mi nie mówić, że pan nie zrozumiał.

– Nie wszystkiego słuchałem – wykręcał się.

– Chce mnie pan zmusić do tego, bym wyrządziła panu krzywdę – powiedziała.

– Będzie pani potrzebowała cegły – zażartował.

– Mam doskonałą celność – odcięła się.

Przejechali przez Cobham Gate, gdzie dowiedzieli się – gdyby mieli jeszcze jakiekolwiek wątpliwości – że kabriolet przejeżdżał tamtędy poprzedniego dnia.

Słońce zbliżało się do linii horyzontu. Miało zajść około ósmej. Do Portsmouth była jeszcze długa droga, więcej niż siedemdziesiąt kilometrów. Dzięki porze roku i księżycowi podróż nocą nie powinna być trudna, pod warunkiem że znów nie popsuje się pogoda. Tym razem jednak nie miał zamiaru się zatrzymywać, nawet gdyby zerwał się huragan.

Popatrzył na Sophy. Kapelusz nieco się spłaszczył. Wstążki oklapły, a kwiatki też straciły wcześniejszą świeżość. Nic dziwnego, skoro postanowiła wykorzystać nakrycie głowy jako broń. Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Była zdumiewającą odtrutką na smutek.

– Proszę mi opowiedzieć o marynarzach – poprosił. – Czy wylewa pani na nich gorącą herbatę? Czy też godzi ich pani ich własnymi nożami?

– Wie pan, że można zabić szpilką od kapelusza?

– Nie wiedziałem. Czy mówi to pani z własnego doświadczenia? Zamordowała pani już kogoś? Bynajmniej nie chciałem, by to zabrzmiało

krytycznie.

– Zaledwie skaleczyłam – wyjaśniła. – Zdumiewająco skutecznie. To był kapitan statku, a lamentował jak panienka i zemdlał.

– Szkoda, że nie nauczyła pani tego mojej siostry.

– Parę trików wcale by jej nie pomogło – powiedziała. – Potrzebne jest do tego doświadczenie całego życia, a nawet wtedy można znaleźć się w pułapce. Adderley jest bardzo przystojny i wie, jak zdobywać serca dam. Lady Durwich sądzi jednak, że pańska siostra próbowała sprawić, by inny mężczyzna poczuł się zazdrosny, a może ktoś sprawił jej zawód. Możliwe, że to ona była zazdrosna i jej przedstawienie miało nosić tytuł: „Ja ci pokażę!” albo też „Do tej gry trzeba dwojga”.

– Czy zawsze tak jest? – przerwał. – Czy pani umysł nigdy nie wypoczywa?

– Gdybyśmy nie miały wyobraźni, ani ja, ani Marcelline, ani Leonie, nie byłybyśmy tu, gdzie jesteśmy – rzekła. – Pan nie musi zastanawiać się nad takimi rzeczami. Mężczyźni rządzą światem, a świat ów urządzony jest ku wygodzie arystokratów. Kobiety natomiast muszą mieć wyobraźnię. Muszą umieć marzyć. Nawet lady Clara. Nauczyłyśmy ją tego trochę i pokazałyśmy, że powinna pozwolić sobie na śmiałość – i nie czuję się z tego powodu winna. Jestem kimś w rodzaju Pigmaliona.

– Aluzje do mitologii – przerwał. – Clevedon robi to przez cały czas. A teraz pani. Który to Pigmalion?

– Rzeźbiarz, który stworzył piękną rzeźbę kobiety, a potem...

– A, to ten. Ona ożyła.

– Tak.

– Skąd pani wie takie rzeczy? – spytał. – Kiedy właścicielka butiku znajduje czas, by dowiedzieć się, kim był Pigmalion? I kiedy znajduje czas, by opanować sztukę pisania w kwiecistym stylu?

Skierowała na niego uprzejmie zainteresowane spojrzenie, które sprawiało, że jej piękna twarz stawała się idealnie nijaka.

– Nie dziwi pana, jeśli dżentelmen umie mówić, pisać i czytać w trzech albo sześciu językach, wygłaszać mowy w parlamencie, dokonywać eksperymentów chemicznych czy też pisać artykuły o botanice? Nie zastanawiał się pan nigdy, skąd jakikolwiek dżentelmen bierze czas, by robić to wszystko? Ja się zastanawiam. Weźmy na przykład doktora Younga.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Oświeciła go. Człowiek ów zmarł kilka lat wcześniej. Był doprawdy geniuszem. Pracował jako lekarz w Szpitalu św. Jerzego. Działał w Towarzystwie Królewskim. Pisał o geologii, trzęsieniach ziemi, o świetle, obliczaniu ryzyka w ubezpieczeniach na życie oraz o harmonii muzycznej. Pomógł nawet odczytać starożytne hieroglify na kamieniu z Rosetty.

Longmore wrócił myślą do rozmowy z lady Durwich i tego, co powiedziała o Koszmarnych DeLuceyach. Przypomniał sobie lady Lisle, która już jako mężatka większość czasu spędzała, podróżując z mężem po Egipcie. Charyzmatyczną kobietę, promieniującą podobną energią...

Odwrócił się, by przyjrzeć się Sophy... i nakrył Fenwicka zwieszającego się z budy.

– Co ty wyprawiasz? – ofuknął chłopca.

– Słucham. O rzeczach, o których rozmawiacie wy, arystokraci.

Longmore automatycznie poprawił jego wymowę.

Fenwick posłusznie powtórzył. Oparł się na łokciach, żeby było mu wygodniej.

– To zupełnie jak słuchać bajek. Jaka była ta o tym Pig... coś tam?

– Pigmalionie – dopowiedziała Sophy i opowiedziała całą historię, nie szczędząc przymiotników i przysłówków. Opowieść zajęła kilka kilometrów. A potem zaczęła opowiadać o Atalancie i jabłkach, o Ikarze i jego skrzydłach, a wreszcie o wędrówkach Odyseusza.

Słuchanie jej nie mogło się równać doświadczeniu czytania artykułów o modzie. Opowiadając, wcielała się w postaci z opowieści. Potrafiła naśladować nie tylko chłopca, ale i Longmore’a, dopóki ten ostatni kompletnie nie zapomniał o lady Lisle.

* * *

Nikt nigdy nie pomyliłby lorda Longmore’a z geniuszem intelektu. Niemniej nawet on, w swojej prostocie, mógł uczepić się jakiejś informacji i kurczowo się jej trzymać. Sophy z łatwością poradziła sobie jednak ze wzmianką lady Durwich o DeLuceyach. Odciągnięcie uwagi Longmore’a nie było takie trudne.

Wiedziała, że nie przejąłby się, nawet gdyby okazało się, że należy do Koszmarnych DeLuceyów. Nie obchodziłoby go również, że Noirotowie cieszyli się równie złą sławą. Problem tkwił w tym, że ponieważ w ogóle nie dbał o takie rzeczy, nie zadbałby także o to, by zachować je wyłącznie dla siebie. Jeśli więc mogła wyjąć mu je z głowy, gdzie, jak kombinowała, nie było zbyt wiele miejsca – mniej prawdopodobne było, że powie o nich któremukolwiek ze swoich przyjaciół.

Odyseja umiliła im czas przez kolejne dwie zmiany koni. Potem Longmore doszedł do wniosku, że Sophy wygląda na zmęczoną i wygłodniałą. Po spożyciu szybkiego posiłku w kolejnej gospodzie zaproponował odpoczynek.

– Księżyc jest na niebie od wczesnego popołudnia. Zajdzie nad ranem. Muszę skupić się na powożeniu, a baśniowe przygody greckich herosów nadmiernie mnie rozpraszają. Fenwick też musi odpocząć.

Pilnował, by konie szły równym kłusem, pozwalając im galopować tylko na równych odcinkach. Tu i ówdzie odnotowywał charakterystyczne znaki wzdłuż drogi, niektóre, jak drogowskaz na Devil’s Punch Bowl czy żurawie, w świetle księżyca wyglądały, jakby pochodziły ze świata duchów.

Większą część podróży spędzili w milczeniu. Sophy zbudziła się dwa razy, odkrywając, że zasnęła na ramieniu Longmore’a. Był to niemały wyczyn, ponieważ nawet przy doskonałych resorach i starannym utrzymaniu żaden powóz nie jechał z idealną płynnością.

Kiedy obudziła się po raz drugi i pośpiesznie się odsunęła, roześmiał się i powiedział:

– Wiedziałem, że była pani bardzo zmęczona.

– To przez kołysanie – powiedziała.

– Może pani jeszcze pospać, jeśli pani chce – rzekł. – Przed nami spory kawałek drogi. Mam tylko nadzieję, że dotrzemy do Portsmouth, zanim zajdzie księżyc. Nie pali mi się do jazdy po nieznanych ulicach w mroku przed wschodem słońca.

Rozdział 10

Zaiste zadowolony będzie gość, któremu dopisze szczęście,
by znaleźć się na brzegu, kiedy okręt wojenny pierwszej klasy
wypływa z zatoki. Cieszył się będzie bowiem najwspanialszym
widokiem na świecie, będąc świadkiem tego,
jak majestatyczna twierdza ślizga się po wodzie,
i wysłucha grzmiących armatnich wystrzałów, kiedy
minie ona flagę garnizonu.
Nowe Portsmouth, Southsea. Przewodnik po wyspach Angleseya i Haylinga (1834)

Księżyc zaszedł, zanim dotarli do Portsmouth. Longmore mógł jedynie trzymać się w nurcie głównego ruchu. Wzdłuż High Street znajdowało się wiele porządnych zajazdów – wśród nich Pod Fontanną i U George'a, gdzie zatrzymywały się dyliżanse. Zdecydował się na ten ostatni, ponieważ stamtąd wyjeżdżały dyliżanse Poczty Królewskiej. A poza tym ten właśnie zarekomendowano służącej Clary.

Po wysłaniu Fenwicka, by rozpytał się wśród służby i stajennych, Longmore zaprowadził Sophy do środka.

Był pewien, że tutaj będzie mógł polegać głównie na Fenwicku, ponieważ właściciele uczęszczanych gospód w ruchliwym mieście – wciąż na nogach, krzątający się nawet nad ranem – prawdopodobnie nie będą pamiętali dwóch kobiet.

Przypuszczenia Longmore'a okazały się prawdziwe, co potwierdziła także księga gości zajazdu – nikt nie zwrócił uwagi na dwie kobiety podróżujące razem.

Longmore odszedł, by porozmawiać z Sophy.

– Możemy się zatrzymać – rzekł. – I tak niewiele zdziałamy o tej porze.

– Powiedział pan, że słońce zaraz wzejdzie, bo wschodzi koło czwartej. – Wzięła zegarek, który wisiał na łańcuszku przy podróżnej sukni. – Dopiero wpół do trzeciej.

– Wygląda pani jak sam diabeł – rzekł. – Musi się pani wyspać.

– Spałam w powozie – broniła się.

Spała mu na ramieniu, a absurdalne przybranie jej kapelusza łaskotało go bez przerwy w podbródek. Zsuwała się coraz niżej i niżej, a w określonym momencie budziła się nagle z przestrachem.

Pomyślał, że to urocze – trochę dziwna myśl w odniesieniu do Sophy, ale tak właśnie było. Sophy była skomplikowaną osobą. To właśnie czyniło ją tak interesującą. To i przepyszne usta, zapach i doskonała figura.

– To nie było porządne spanie – przekonywał. Nie zwracając uwagi na protest, wynajął jej pokój i zamówił posiłek. Oraz służącą. Ktoś musiał uwolnić ją od stroju i pomóc położyć się do łóżka. Lepiej, by nie był to on, bo żadne z nich nie zażyłoby odpoczynku.

* * *

Sophy miała jedynie mgliste wspomnienie tego, co się zdarzyło, kiedy dojechali do gospody. Nadeszła wielka fala znużenia, która musiała wzbierać od tygodni. Zwaliło ją z nóg. Nie mogła utrzymać otwartych oczu ani nawet ciągnąć sprzeczki z Longmore’em.

Pamiętała jeszcze, jak się o nią zatroszczył i pozamawiał wszystko, co trzeba. Uparł się, że ma przyjść do niej służąca, a ona mgliście przypominała sobie paplającą coś dziewczynę, kiedy szły na górę po schodach do wynajętego pokoju. Kazał wysłać na górę lekki posiłek. Sophy go zjadła, zaskoczona tym, jak bardzo była głodna. Umyła się i rozebrała z niezwykle, zważywszy na porę, pogodną i cierpliwą pomocą. Longmore musiał dać dziewczynie hojny napiwek.

Tak bardzo była zmęczona, że nie spodziewała się zasnąć. Im dłużej szukali, tym bardziej się niepokoiła o lady Clarę. Przekonała Longmore’a, że siostra jest bezpieczna z Davis, ale nie przekonała samej siebie.

Musiała jednak pogrążyć się we śnie, bo wyrwał ją z niego hałas. Była tak nieprzytomna, że potrzebowała dłuższej chwili, żeby zrozumieć, że ktoś dobija się do drzwi.

Skoczyła natychmiast z bijącym sercem i zobaczyła światło wczesnego ranka sączące się z okna. Jak długo spała?

Wygramoliła się z łóżka, znalazła szlafrok na fotelu obok i jęła go wkładać, gdy usłyszała głos Longmore’a:

– Gdzie ta paskudna służąca?

Sophy podbiegła do drzwi i otworzyła.

W korytarzu stał Longmore, ubrany w to samo, co miał na sobie poprzedniego dnia. Czyżby nie spał? Z pewnością też się nie ogolił. Cień zarostu na szczęce nadawał mu niebezpieczny rys.

– Clara jest tutaj – powiedział.

– Tutaj? W gospodzie?

– Nie. To znaczy, jeśli jest, nikt mi tego nie powiedział. Nie wyjechała jednak z Portsmouth. Nie powinienem był pani budzić...

– Nie powinien był pan pozwolić mi spać – rzekła.

– Proszę wybaczyć. Potrzebuję pomocy. To podejrzane, jeśli mężczyzna poszukuje młodej kobiety. Ludzie stają się mniej skłonni do zwierzeń. Fenwickowi brakuje pani wdzięku w wyciąganiu informacji od niechętnych, a mnie trudność sprawia powstrzymywanie gniewu.

– Szukał pan już, beze mnie – powiedziała z wyrzutem.

Przestąpił przez próg, a ona cofnęła się o dwa kroki. Popatrzył na jej stopy. Ona też. Były bose.

– Gdzie pantofle? – spytał.

Bez czekania na odpowiedź podszedł do łóżka, znalazł pantofle i wskazał gestem fotel. Usiadła.

– Potrafię włożyć moje własne...

– Jeszcze nawet się pani nie przebudziła. – Ukląkł, wziął do ręki jej stopę i wsunął ją w pantofel. Zatrzymał się, wciąż obejmując jej nogę, i patrzył na nią przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność.

– Obudziłam się. Mogę zrobić to sama.

Otrząsnął się z transu, włożył jej drugi pantofel, po czym wstał.

– Nie powinna pani chodzić boso w publicznych zajazdach – rzekł.

– Nigdzie nie chodziłam. A pan nie powinien był szukać Clary beze mnie.

– Potrzebowała pani snu – rzekł. – Potrzebowała go pani od dawna, założę się o wszystko. Bywa pani na nogach o dziwacznych porach.

– Jestem kobietą pracującą – zauważyła.

– Powinna to pani rzucić.

– Co takiego?

– To absurdalne. Pani siostra poślubiła księcia. Powiedziałem Clevedonowi... – Nie dokończył.

– Co pan mu powiedział?

– To teraz nieistotne.

– Dla mnie na pewno jest to istotne.

– Chce pani znaleźć Clarę czy się kłócić? – spytał.

– Najchętniej obie te rzeczy.

– Niech mnie pani nie wyprowadza z równowagi – ostrzegł. – Nie mam czasu, żeby panią zmiażdżyć. Razem z Fenwickiem jesteśmy na nogach od bladego świtu.

– Beze mnie.

– Bez pani – przyznał. – Rozległy się jakieś piekielne wystrzały. Powiedziano mi, że dzieje się tak dwa razy dziennie – o wschodzie i zachodzie słońca. Po czymś takim uznałem próbę zaśnięcia za bezcelową. Wziąłem Fenwicka do portu. Trochę czasu zajęło znalezienie miejsca, o które nam chodziło, ale w końcu się udało. Dowiedzieliśmy się, jakie statki pasażerskie odpłynęły od czasu, kiedy mogła przyjechać tu Clara. Mamy pewność, że nie weszła na pokład żadnego z nich, co wytłumaczę pani później. Przyszedłem teraz powiedzieć, by się pani pośpieszyła.

– Doskonale.

Wstała z fotela i podeszła do stojaka z miską. Pomimo gwałtownej pobudki wciąż była śpiąca. Napełniła miskę wodą i obmyła twarz. To poprawiło sytuację. Osuszała skórę ręcznikiem, gdy w lustrze zobaczyła jego twarz obok swojej.

– Nie może się pani pośpieszyć? – spytał.

– Zabierze mi to przynajmniej pół godziny bez pomocy służącej.

– Nie wiem, dokąd poszła ani co robi – rzekł. – Wiem tylko, że kiedy zamówiłem ją chwilę temu, powiedziano mi „zaraz”. A to może znaczyć godzinę. To istny dom wariatów. Wszyscy biegają jak szaleni tam i z powrotem, podając śniadanie.

Machnął ręką na podróżną suknię, którą nosiła wczoraj, a którą służąca starannie rozwiesiła na krześle.

– Może po prostu narzuci to pani na siebie, dobrze? Nie wybieramy się na pokaz mody.

– Nie mogę tak po prostu jej na siebie narzucić! Jak może być pan tak grubiański?

– Przychodzi mi to z łatwością.

Później, kiedy będzie po temu czas i sposobność, zdzieli go czymś większym od cegły.

Znalazła koszulę, usztywnianą falbaniastą halkę i gorset i ułożyła je na łóżku. Zmęczonym gestem, może dlatego, że nie mogła się oprzeć igraniu z ogniem, zdjęła szlafrok i nocną koszulę.

Zrobiłaby to samo, gdyby była z siostrami i śpieszyła się tak jak teraz. Niemniej wiedziała doskonale, że jest przy niej ktoś inny.

– A niech to licho!

Popatrzyła na niego z ukosa, wkładając koszulę. Odwrócił się plecami do jej nagości.

To było zabawne. Nastrój trochę jej się poprawił.

– Może pan spróbować wezwać służącą – podpowiedziała.

– Za żadne skarby świata – rzekł.

– To niech pan patrzy. Nie przejmuję się tym. Nie jestem przesadnie wstydliwa.

Nie było to kłamstwo. To, że wymyślała stroje, nie oznaczało, że wstydziła się nagości. Nawet przed nim. Czy – raczej – zwłaszcza przed nim. W końcu nazywała się Noirot.

– Nie patrzę – powiedział. – Ja też nie jestem skromny, ale muszę zostać przy zdrowych zmysłach. Na Jowisza, pani jest diabłem wcielonym!

Weszła w usztywnioną falbaniastą halkę i zawiązała tasiemki w pasie. Ułożyła na łóżku gorset i zaczęła przeciągać w nim sznurówki.

– Co zabiera tak wiele czasu? – spytał i się odwrócił. – Co, w imię szatana i jego poddanych, pani tu wyrabia?!

– To jeden z nowych gorsetów wymyślonych przez Marcelline – wyjaśniła. – Taki, który mogę założyć sama. Służąca nie potrafiła zrozumieć, jak się go obsługuje, a ja byłam zbyt zmęczona, żeby tłumaczyć. Powyjmowała sznurówki i muszę...

– Mogę zasznurować – zaoferował się. – Prawdę mówiąc, jestem w tym bardzo dobry.

– Nie dziwi mnie to – rzekła, po czym wsunęła gorset przez głowę i przełożyła ręce przez ramiączka. Obciągnęła go i dopasowała na tułowiu.

Longmore stanął za nią.

– Zostawia się zawiązane na dole i zasznurowane – wyjaśniła. – Trzeba go tylko założyć i ściągnąć z przodu.

– Genialne – pochwalił.

– Ale służąca rozwiązała supeł i rozsznurowała wszystko jak w zwykłym gorsecie.

– Widzę.

Czuła jego ręce na dole pleców, zawiązujące węzeł. Czuła, jak przeciąga sznurówki przez dziurki i wygładza wąski pasek, podchodząc w górę pleców.

Miał w tym wprawę. Ile kobiet w życiu już rozsznurował?

Czuła na plecach ciepło jego rąk, a na szyi – jego ciepły oddech. Delikatny meszek na karku się zjeżył.

Kiedy skończył, nie odsunął się od razu. Jego ręce spoczęły na jej biodrach. Stał tak blisko, że słyszała jego przyśpieszony oddech. Czuła gorąco wielkiego ciała – a może biło od niej? Stał tak blisko, że wystarczyło tylko się cofnąć, zrobić kroczek do tyłu i oprzeć się o niego...

Serce poczęło jej bić szybciej, a diabeł w środku zaćmił jej umysł, kusząc ją, by oparła się o niego choć na chwilę. Czy nie chcesz, by jego zręczne dłonie znalazły się na twoim ciele? – zdawał się szeptać. – Nie chcesz poczuć jego silnego ciała na sobie? I w sobie?

Po czym cienki głosik, podobny do głosu ciotki Emmy, przerwał milczenie, spierając się: – A co stanie się z twoją władzą, jeśli się temu poddasz?

Już poddała się wewnętrznym demonom, bo igrała z ogniem. Zrzuciła nocną koszulę i pokazała mu się naga. To było szaleńczo nieodpowiedzialne – nawet jak na nią. Wystarczyło, by zapomnieć, po co właściwie tutaj jest.

Lady Clara.

Wszystko zależało teraz od niej. Butik. Ich przyszłość. Powodzenie albo śmiertelna porażka. Pretensja będzie triumfować.

Ponuro zebrała całą siłę woli.

Okręcił ją i odsunął jej ręce. Zacisnął jeszcze raz mocno, po czym błyskawicznie zawiązał sznurówki z przodu.

Odeszła od niego i nałożyła poduszkę pod rękaw.

– O Boże, musi to pani wkładać? – jęknął. Głos miał niski, mroczny i niebezpieczny, sprawiający, że umysł jej się mieszał.

Popatrzyła na niego. Przeczesywał palcami włosy.

Miała ochotę rozpuścić swoje. Była jednak Noirot.

– Zauważył pan rozmiar rękawów sukni? – rzekła spokojnie. – Bez poduszek wyglądałabym, jakby z ramion zwisały mi spódnice. – Przełożyła rękę przez otwór w poduszce. – Powiedział pan, że ludzie traktują pana podejrzliwie. Przejrzał się pan w lustrze? Przynajmniej jedno z nas powinno

wyglądać przyzwoicie. Nie zabierze to wiele czasu. Poduszki wymyśliła Leonie.

– Jesteście wszystkie bardzo pomysłowe – zauważył.

Zaczęła przywiązywać taśmę poduszki do ramiączka gorsetu.

– Czemu nosi pani aż tak skomplikowany strój? – spytał.

– Bo to powinny nosić pańskie modne drogie przyjaciółki – wyjaśniła cierpliwie. – Choć bez wątpienia ich ubrania nie są wykonane aż tak starannie. Ani też nie są uszyte zgodnie z najświeższą, najśmielszą modą.

– Proszę pozwolić mi zrobić i to – powiedział. – Jest pani, owszem, giętka, ale ja będę lepiej widział, co robię.

Kiedy zawiązywał poduszki, dopasowała taśmy na rękawach halki i otrzepała ich krawędzie.

Kiedy wzięła pończochy, odsunął się jednak. Ale się nie odwrócił. Sophy drżała pod jego ciemnym, wlepionym w nią spojrzeniem, kiedy pośpiesznie wciągała pończochy i zawiązywała podwiązki.

Kiedy skończyła, złapał suknię i przerzucił jej przez głowę. Próbował też włożyć jej rękawy, ale zaklął:

– Tu nie ma w ogóle miejsca, do cholery! To jak przeciskanie poduszki przez dziurkę od klucza!

– Przeciska się te poduszki – poinstruowała. – Są wypchane puchem i dobrze się je zgniata. Musi pan jednak zrobić to ostrożnie.

– W całym swoim życiu nie widziałem bardziej idiotycznej bielizny.

– To nie takie trudne – pocieszyła go. – Wystarczy się uspokoić.

– Łatwo powiedzieć – burknął.

Mówić było łatwo. Czuć to zupełnie inna historia. Bynajmniej nie była spokojna. Żaden mężczyzna nie pomagał jej do tej pory ubierać się ani rozbierać. Intymność była niemal bolesna.

– Przecisnę lewą, a pan – prawą.

Działali szybko i w milczeniu. Kiedy skończyli z rękawami, wiedział już, co zrobić z całą resztą. Przykucnął nawet, aby wygładzić i wyprostować spódnicę.

Potem sięgnął po jej kapelusz, włożył go na głowę Sophy, zawiązał wstążki i popchnął dziewczynę do drzwi.

– Buty – zaprotestowała. – Nie mam butów.

Spojrzał w dół na jej stopy w rannych pantoflach.

– Ki diabeł?! – zdziwił się.

Odszukał jej buty, popchnął ją na fotel, włożył je na stopy i zapiął. Następnie złapał ją za rękę i pociągnął tak szybko, że niemal na niego wpadła.

Otoczył ją ramionami. Wyrzucił z siebie parę przekleństw i odskoczył, jakby była czymś zarażona.

– Przysiągłbym, że zrobiła to pani umyślnie, żeby mnie doprowadzić do szaleństwa – rzekł.

A moje szaleństwo?

Była całowana przez innych mężczyzn, ale on pokazał jej, że istnieje cały świat zupełnie innych pocałunków.

Tamta intymność nie miała nic wspólnego z tą, z dotykaniem przez niego bielizny, sukni, wszystkiego, czego dotykała tylko ona. Trzęsła się cała w środku.

Na zewnątrz pozostała jednak Sophy Noirot.

– Mógł pan posłać po służącą – wytknęła.

Otworzył drzwi. Kiedy stał tam, ciężko oddychając i emanując niecierpliwością, poszukała jeszcze rękawiczek i torebki. Dopiero wtedy wyszła, a on powiedział coś pod nosem. Zabrzmiało to dziwnie, jakby po francusku.

* * *

Longmore wziął Sophy na ulicę Brad, gdzie podróżni mogli kupić bilety na rejsy w różnych kierunkach.

Cud, że odnalazł drogę, zważywszy, że Sophy całkowicie zaćmiła mu umysł. A raczej to, co jeszcze z niego zostało.

Nie był człowiekiem, którym łatwo było wstrząsnąć, lecz jej się to udało.

Tak po prostu zrzuciła z siebie szlafrok, a potem koszulę z nagiego – całkowicie, cudownie nagiego! – ciała.

Widział ją z profilu i ten obraz wrył mu się w pamięć – gładka, mleczna skóra i idealnie uformowane piersi, a także najpiękniejszy dół, jaki kiedykolwiek widział – a kilka już widział.

A potem musiał jej pomóc się ubrać...

Diabelski gorset! Dopóki nie skończył, ręce mu się trzęsły, tak ze sobą walczył, by nie rozsznurować wszystkiego, co zasznurował.

Wolałby stoczyć walkę z tawerną pełną pijanych marynarzy.

I jeszcze te przeklęte poduszki do rękawów i konieczność sięgania przez dekolt, żeby poprawić te cholerne przedmioty, by siedziały jak należy.

Miał ochotę stłuc siostrę na kwaśne jabłko. Oraz Adderleya.

Tymczasem Sophy w spokoju przeglądała przewodnik po Portsmouth, który Longmore kupił przed paroma godzinami.

– To był wspaniały pomysł – pochwaliła ze zdziwieniem w głosie.

– Kupuję je od czasu do czasu – rzekł niedbale. – Nie jestem rodzajem podróżnego, który potrzebuje drukowanych przewodników, ale rzadko bywam w Portsmouth. Częściej na wyścigach w Goodwood lub Soberton. A tu prawie nigdy. Pomyślałem, że są w nim bardziej wiarygodne informacje niż te, które moglibyśmy wydostać od zagonionego właściciela gospody. No i wiedziałem, że ogromną stratą czasu byłoby wałęsanie się bez celu i pytanie o Clarę w każdej gospodzie i kasie biletowej. Ta książka, jak pani widzi, zawęża pole poszukiwań.

– W niedzielę wypływają stąd tylko dwa parowce – rzekła, wiodąc palcem po załączonej stronie, na której wymieniono wszystkie rejsy. – Jeden do Ryde.

– Wątpię, czy wyspa Wight jest dla niej dostatecznie daleka – rzekł Longmore.

– Jest rejs do Irlandii. Stąd do Plymouth, Cork, a potem do Liverpoolu. – Popatrzyła na niego. – Według przewodnika przypływa tutaj rano.

– Dziwi się pani jeszcze, że tak ją poganiałem? Pierwsze parowce nie wypływają jednak wcześniej niż o siódmej, mamy zatem całe pół godziny. Parowiec do Ryde wypływa przed ósmą. Tylko nie wierzę, że przebyła całą drogę do Portsmouth jedynie po to, by wyjechać na Wight. A jeśli nawet, to czemu miałaby wstawać o świcie, skoro rejsy do Ryde są kilka razy dziennie? Clara nie lubi wcześnie wstawać tak samo jak ja.

– Wstanie wcześnie, jeśli nie może spać – powiedziała Sophy. – Tak czy inaczej, musimy zacząć od statków niedzielnych. Ten do Irlandii odpływa z Blue Posts. Zaczniemy stamtąd?

– Pomyślałem, że przede wszystkim wybrałaby Irlandię albo kontynent – powiedział. – Jednak na wypadek, gdyby rzeczywiście chciała popłynąć na wyspę, posłałem Fenwicka do tawerny Quebec. Opisałem mu Clarę i powiedziałem, żeby zagrał jakąś przejmującą scenę na wypadek, gdyby się tam pojawiła i zmierzała w stronę statku. Nie mam wątpliwości, że wymyśli

coś skutecznego. Zaproponował, że zagra głodującego chłopca, który zemdleje u jej stóp, co przyjdzie mu z łatwością, bo nie jadł jeszcze śniadania.

– Do tego się nie wyspał – powiedziała. – Nie mogę uwierzyć, że wziął go pan ze sobą, a mnie zostawił w gospodzie.

– Spał w powozie – rzekł Longmore. – To była prawdopodobnie jedna z jego najlepszych drzemek od dłuższego czasu. – Wtedy przypomniał sobie, że i ją wyciągnął na ulicę bez śniadania. – Znajdziemy coś do jedzenia w Blue Posts.

* * *

Niedziela ściągnęła do Portsmouth gości spragnionych widoków wymienionych w przewodniku, który Longmore dał Sophy: fortyfikacji, kościołów i statków, a nade wszystko *Victory* – słynnego statku lorda Nelsona. Dla samego portu był to dzień raczej leniwy, a o tak wczesnej godzinie nie trzeba było lękać się tłumów zdenerwowanych podróżnych.

Sophy i Longmore wkrótce dowiedzieli się, że Clara nie zarezerwowała rejsu do Irlandii. Przynajmniej na razie. Na liście pasażerów nie było żadnej pary kobiet.

Próbowała natomiast – i nie udało jej się – dostać na liniowiec amerykański do Nowego Jorku.

– Nie podobało mi się to – wyjaśnił Sophy agent. – Każdy widzi, że to dama, prawda? Podobnie jak każdy widzi, że ta druga nie jest damą. Widziałem, że coś tu nie gra. Prawie nie miały bagażu. Łatwo było się jej pozbyć, bo nie miała żadnych dokumentów podróży. Nie przeszłaby przez urząd celny i tak jej powiedziałem. Powiedziałem jej też, że niezależnie od tego, w jakich jest tarapatach, w obcym miejscu popadnie tylko w większe. No, niech mi pani powie? Było dla mnie zupełnie jasne, że to arystokratka, a ta druga to wcale nie jej ciotka. Przecież nie urodziłem się wczoraj, prawda? Mam nadzieję, że ją znajdziecie, zanim napyta sobie biedy, z której się nie wygrzebie.

Lady Clara spotkała się z podobną odprawą, gdy próbowała wykupić miejsce na parowcu do Hawru.

Sophy i Longmore szli właśnie do kolejnego kantorka z biletami, gdy podbiegł do nich chłopiec w poszarganym ubraniu.

– To państwo pytają o dwie kobiety? – upewnił się. – Jedną wysoką i ładną, a drugą brzydką, co wygląda jak buldog?

– Tak – potwierdziła Sophy.

– Domyśliłem się, że to państwo. Bo wyglądacie tak, jak powiedział – wysoki, ciemny dżentelmen i dama z wielkimi błękitnymi oczami wystrojona w śmieszne ubrania. Mam powiedzieć, że Szalony Dick je znalazł i żebyście się śpieszyli do tawerny Quebec, bo nie wie, jak długo uda mu się je zatrzymać. Tam jest za dużo marynarzy i różnych takich, którzy krzywo na niego patrzą.

* * *

Sophy i Longmore znaleźli Clarę na nabrzeżu, przechadzała się tam i z powrotem, podczas gdy służąca stała, pilnując skromnego stosu bagaży. Dzień był ciepły, ale wiał chłodny wiatr. Zdawała się przed nim bronić, krzyżując ramiona na piersi. Coraz to spoglądała na wodę. Według Sophy wyglądała na chorą.

Służąca zauważyła ich pierwsza, ale Longmore położył palec na ustach, dając jej znak, by milczała.

Fenwick siedział na skrzyni, opierając podbródek na dłoni. Zgodnie z jego raportem w pobliżu kręciło się sporo marynarzy. Nie spuszczali go z oka i nawet nie udawali, że jest inaczej. Wyglądał gorzej, bo był zmęczony. Dwudniowa podróż znów upodobniła go do włóczęgi, nadając mu wygląd kogoś, po kim nie można się spodziewać niczego dobrego.

Longmore się zbliżył i powiedział:

– Och, tutaj jesteś, Claro.

Zamarła na dźwięk jego głosu.

– Biegam po całym mieście i cię szukam.

Podbiegła do niego, a on otworzył ramiona. Jednak zamiast przyjąć pocieszenie, zaczęła bić go w pierś.

– Nie – powiedziała. – Nie, nie, nie.

– Co, u diabła?!

– Nie wrócę – oświadczyła. – Nie zmusisz mnie do powrotu.

– Gdzie się w takim razie wybierzesz? – spytał.

– Nie wiem – rzekła. – Dokądkolwiek. Wszędzie, byle nie tu.

Rodzeństwo wkrótce ściągnęło na siebie uwagę zebranych.

Sophy zdecydowała, że pora interweniować. Podeszła do najbliższego oficera marynarki, wydała lekki okrzyk i zemdlała.

Było to omdlenie strategiczne, jak ocenił Longmore. Upewniła się przedtem, czy na pewno znajdzie się w ramionach muskularnego i przystojnego mężczyzny. Przez chwilę nawet Longmore dał się nabrać. Wiedział, że jest wyjątkowo zmęczona, bo nawet on czuł silne znużenie, a przecież nie pracował tak intensywnie przed wyjazdem jak ona. I jeszcze wyciągnął ją z gospody o nieludzkiej godzinie i poganiał.

Wtedy jednak Clara podbiegła do niej, krzycząc:

– Och, panno Noirot, jest pani chora? Biedactwo, mój brat to straszny brutal.

Na te słowa błękitne oczy zamrugały i się otworzyły.

– Moja droga, to pani. Tak bardzo się martwiliśmy. – Z wdziękiem wyplątała się z ramion przystojnego marynarza, w których wylądowała.

– Na pewno nic pani nie jest, panienko? – spytał.

– Och, na chwilę zakręciło mi się w głowie – powiedziała słabym głosem.

Zbliżył się do nich Longmore.

– Zupełnie nic jej nie jest – powiedział. – Nie jadła śniadania, to wszystko.

Powiał wiatr i obie młode kobiety przytrzymały kapelusze, podczas gdy ich spódnice podwiało, ukazując patrzącym ekscytujący widok falbaniastych halek i zgrabnych kostek.

Oficer marynarki zdawał się nie wiedzieć, którym nogom warto poświęcić więcej uwagi.

– Fenwicku, pomóż służącej z bagażami – polecił Longmore. – Moje panie, wierzę, że dostatecznie zabawiliśmy już publiczność.

Twarz Clary przybrała znajomy uparty wyraz.

– Niech pani będzie rozsądna, moja droga – powiedziała Sophy. – Nie może pani ruszyć w podróż tylko z tym. – Wskazała gestem żałośnie małą kupkę bagaży. – Nie ma pani co na siebie włożyć.

Ku zdumieniu Longmore’a to podziałało. Clara popatrzyła na bagaże, na służącą, a potem na Sophy.

– To, czego pani trzeba, to brandy – oświadczyła Sophy.

– Tak – zgodziła się Clara.

– Wracajmy do gospody – zaproponowała Sophy.

Dolna warga Clary zadrżała.

– Obiecuję pani, że wszystko będzie dobrze – rzekła Sophy. – Porozmawiajmy o tym w wygodniejszym miejscu.

– Rozmowa niczego nie rozwiąże – upierała się Clara.

– Owszem, rozwiąże – rzekła Sophy z takim przekonaniem, że nawet Longmore jej uwierzył.

* * *

Wrócili do George'a, gdzie Longmore załatwił prywatny salonik. Najpierw zamówił brandy. Jeśli upicie siostry mogło skłonić ją do współpracy, był na tak.

Nie trzeba było wiele. Po połowie kieliszka Clara zdawała się trochę spokojniejsza. Usiadła blisko Sophy.

– Czuje się pani trochę lepiej? – spytała Sophy.

– Nie zniosę powrotu – rzekła Clara. – Czy nie ma innej drogi?

– Naprawimy to – obiecała Sophy. – Moje siostry i ja naprawimy to i zrobimy to tak pięknie, jak szyjemy pani stroje. Muszę jednak zrozumieć wszystko, co się stało. Proszę pomyśleć o tym jak o braniu miary i przymierzaniu kolorów do twarzy.

– To dość łatwe – rzekła Clara. – Byłam zła.

– Na co?

– Na coś głupiego. To zupełnie nieważne.

– Na mężczyznę?

Clara popatrzyła jej w oczy.

– Doskonale – zgodziła się Sophy. – To nieistotne.

– Dlaczego? – spytał Longmore.

– Dlatego – odparowała Sophy. Wymieniła z nim spojrzenia. Przekaz był tak jasny, jakby złapała go za klapy żakietu i powiedziała: „Nic nie mów i nic nie rób".

– Proszę mówić dalej – poprosiła Clarę.

– Byłam zła – rzekła Clara. – I wtedy zjawił się Adderley z szampanem. Wypiłam za szybko, potem tańczyliśmy i zakręciło mi się w głowie.

– Upiłaś się – skwitował Longmore.

– Nie waż się prawić mi kazań. – Clara zgromiła go wzrokiem.

– Ja nie...

– I nie mów mi, że nie powinnam była wychodzić na taras z Adderleyem. Widziałam, że ty często wymykałeś się z kobietami – nawet w Pałacu św. Jakuba! Nawet w tamtejszym salonie!

– Jestem mężczyzną – oświadczył Longmore. – I nie robię tego z niewinnymi dziewczętami.

Patrzył prosto na Sophy.

Nie upił jej. I nie była niewinna.

Mogła być nieco niedoświadczona w niektórych aspektach intymności, ale był pewien, że wiedziała o mężczyznach więcej niż Carlotta O’Neill.

Dziewice stanowczo nie zrzucają nocnych koszul przed mężczyznami.

Cóż, może stylistki mają taki zwyczaj. Ubieranie i rozbieranie – na tym w końcu polega ich praca.

I może to sprowokował... niechcący. Obudził ją z głębokiego snu, wtargnął do jej pokoju i oczekiwał, że natychmiast się ubierze.

Może uczyniła to, żeby go zadowolić.

Może. Może. Czemu, u diabła, musiał myśleć o tak wczesnej porze?!

– Myślałam, że zamierza porozmawiać – mówiła Clara. – Pomyślałam, że chce mi powiedzieć, jaka jestem cudowna, a ja chciałam to usłyszeć, bo nie czułam się wcale... ładna. Czułam się wielka i niezgrabna.

– Nie jesteś znów taka wielka – wtrącił Longmore.

– Lady Clara nie jest wcale wielka ani niezgrabna, ale tak się poczuła – rzekła z naciskiem Sophy.

– Uczucia – rzekł z rezygnacją.

– Tak.

Oparł się wygodniej i wypił swoją brandy.

– Pomyślałam, że lord Adderley skradnie mi całusa – rzekła Clara. – A ja byłam wtedy rozzłoszczona... i czułam wtedy... Nie wiem.

– Przekorę – podpowiedziała Sophy.

– Tak. Ale okazało się, że nie był to skradziony całus. To było coś zupełnie innego. Nie byłam pewna, czy mi się to podoba, ale było podniecające, bo wiedziałam, że to złe. Lecz sprawy potoczyły się tak

szybko... I wtedy pojawili się tam ci wszyscy ludzie. I nadbiegł Harry, a ja wiedziałam, że może zabić Adderleya.

– Spróbowałbym – rzekł Longmore. – Podejrzewałem jednak, że panna Noirot rzuci się na mnie z krzesłem albo doniczką z kwiatkiem. Albo też zacznie krzyczeć i mdleć.

Clara patrzyła to na niego, to na Sophy.

– Oczywiście – potwierdziła Sophy. – Wiedziałam, że w tamtej chwili nie myślał trzeźwo. Albo w ogóle. Byłam przygotowana na to, by pozwolić mu uderzyć lorda Adderleya. Ale tylko tyle. Gdybym mogła wtedy znaleźć coś, by go tym uderzyć i przyciągnąć jego uwagę, nie zawahałabym się.

– Szkoda, że nie wiedziałam – rzekła Clara.

– A kiedy nie próbowała go pani ochronić – ciągnęła Sophy – wiedziałam, że to... nie było do końca prawdziwe.

– Łzy były dostatecznie prawdziwe – powiedziała Clara. – Bałam się o brata.

– O mnie? Przeciwko temu mizernemu...

– Nigdy nie myślisz o następstwach. Mógłbyś wpaść we wściekłość i go zabić, a potem musiałbyś uciekać do Europy. Tylko że ty nigdy nie uciekasz, przed niczym. Złapaliby cię i powiesili za zamordowanie bezbronnego człowieka.

Longmore wlepił wzrok w siostrę.

– Broniłaś mnie?

– Ktoś musiał – powiedziała.

– Na litość boską, Claro!

– Skąd miałam wiedzieć, że panna Noirot doskonale wie, co robić? Nie miałam nawet pojęcia, że w ogóle tam była. – Popatrzyła na Sophy. – Gdzie pani była?

– Lepiej tego nie wiedzieć – pośpieszył z wyjaśnieniem. – Czy już skończyliśmy rozmawiać o twoich uczuciach? Bo mam dość rewelacji jak na jeden dzień. Wy też wyglądacie, jakbyście miały już dosyć, obydwie. Wyglądacie obrzydliwie...

– Harry!

– Obie przypominacie czarownice – rzekł. – Zalecam dawkę snu na urodę przez resztę przedpołudnia. Jeśli wyjedziemy w południe, powinniśmy dziś w nocy dotrzeć do Londynu.

Rozdział 11

Kabriolet w rzeczywistości jest nową wersją starej
jednokonnej dwukółki. Zabiera dwie osoby, wygodnie ulokowane,
osłonięte od słońca i deszczu, ale niepozbawione
świeżego powietrza, i zapewnia prawie taką samą prywatność
jak powóz zamknięty, jeśli z przodu zasunąć zasłonki. Może wjechać
i wyjechać z miejsc, gdzie nie dotrze pojazd
dwukonny na czterech kołach.
William Bridges Adams, *Angielskie powozy* (1827)

– To szaleństwo – powiedział Longmore do Sophy, kiedy opuścili kolejną stację dla dyliżansów. – Nie ma mowy, byśmy dojechali do Londynu przed świtem.

Jego siostra jechała przodem i ustalała tempo. Lodowce poruszają się szybciej.

– Powiedział pan, że będzie jechała wolno. Powiedział pan także, że będzie potrzebowała silnego konia, a stacje przeprzęgowe trzymają takie tylko dla dyliżansów i Poczty Królewskiej.

– Nie przyszło mi do głowy, że może nie chcieć zmiany konia – rzekł. – Z Portsmouth do Londynu jest sto kilkanaście kilometrów. Przyszykowałem się, żeby przekupić stajennych, aby dali jej takie zwierzę, jakiego trzeba. Według mojej oceny mogliśmy przemierzyć tę odległość w jeden dzień, lecz nie wziąłem pod uwagę, że moja siostra będzie nalegać na zatrzymanie swojego konia.

Mężczyźni czerpali dumę z tego, że umieją powozić każdym zwierzęciem. Clara jednak nie chciała zaryzykować podróży z nieznanym koniem. To oznaczało dłuższe postoje, by stworzenie mogło się napić i odpocząć.

– A ja rozumiem, że zwleka – powiedziała Sophy. – Przede wszystkim powodują nią emocje. Zapewne znajduje się w środku czegoś na kształt bitwy. Nie myśli się wówczas o tym, że można zostać rannym, prawda?

– Oczywiście, że nie. Wszystko, o czym się wtedy myśli, to zniszczenie przeciwnika.

– Zatem nie myślała o niebezpieczeństwie czy trudnościach – tłumaczyła Sophy. – Skoczyła do wody na głowę. Okazało się, że brzeg jest za daleko, a dookoła widać same kłopoty.

– Wiem, że jest nieszczęśliwa – powiedział z naciskiem. – Nie ma teraz jednak ani jednej piekielnej rzeczy, którą mógłbym zrobić, żeby tak nie było.

– Nikt w tej chwili nie może nic zrobić – zgodziła się Sophy. – Ja tylko chciałabym teraz umieć powozić. Mogłybyśmy zmieniać się co jakiś czas na koźle.

Potrząsnął głową.

– Nawet gdyby pani to umiała, nie spodobałoby się pani powożenie kabrioletem. To piękny, ozdobny powóz, idealny, aby zabrać damę na przejażdżkę po Londynie, ale nie został wykonany z myślą o długich podróżach. Bardzo prędko robi się w nim niewygodnie. Przedtem Clara była zbyt umęczona, aby o tym myśleć, ale teraz, zdaje się, zauważyła, że trzęsą jej się wszystkie wnętrzności.

– Jak daleko jeszcze? – spytała Sophy.

– Nie zrobiliśmy nawet połowy drogi – powiedział. Słońce wyraźnie chyliło się ku horyzontowi.

– Myśli pan, że powinniśmy nacisnąć? – spytała. – Nie wiem nic o powożeniu, to pan się na tym zna. Mnie nie będzie przeszkadzało, jeśli całą odległość pokonamy za jednym zamachem, ale z tego, co pan mówi, z lady Clarą jest inaczej.

– Zdecydowanie – potwierdził. – Kabriolet nie jest przeznaczony na długie dystanse. Nigdy nie brałem pod uwagę, że Clara może chcieć jeździć po kraju, i to bez stangreta!

– Dała sobie radę – zauważyła Sophy.

– Jestem zdumiony, muszę przyznać – powiedział. – Nie sądziłem, że Clara potrafi choćby założyć pończochy.

– I ja nie sądzę, że to potrafi – rzekła Sophy.

– Czy może pochwaliła się, jak jej się to udało? – spytał.

– Nie.

Clara dzieliła z Sophy pokój. Spały w jednym łóżku, jak siostry.

Dziwne. Clara jej ufała, a może była nią zauroczona.

Co nie robiło żadnej różnicy.

– Czy zdarzyło się, że powiedziała coś bardziej trzymającego się kupy niż to, z czego zwierzyła nam się rano? – spytał.

– Myślę, że to było dostatecznie spójne – zaoponowała Sophy. – Nie muszę wiedzieć już nic więcej. Doskonale ją rozumiem. Pomyślałam, że odpoczynek da jej więcej niż rozmowa. Wyspana zdawała się znacznie silniejsza duchem.

– A pani? – spytał. – Czy jest pani silniejsza duchem?

Zdawała się usposobiona do żartów.

– Przyniosło mi ulgę, że odnaleźliśmy lady Clarę – powiedziała. – Cieszę się, że nic jej się nie stało. Czekam teraz tylko na błyskotliwe rozwiązanie jej zmartwienia.

Żadne błyskotliwe rozwiązanie nie pojawiło się jednak do czasu, kiedy zatrzymali się w King’s Arms w Godalming. Zdążyło już się ściemnić, a mieli jeszcze – według mapy lady Clary – czterdzieści pięć kilometrów do Londynu.

– Zatrzymamy się w Guildford – powiedział Longmore. – Jest tam dużo gospód i wiem, że możemy tam liczyć na dobry obiad i wygodne pokoje. – Przyjrzał się siostrze, która wyglądała na wyczerpaną i głęboko nieszczęśliwą. – To tylko sześć kilometrów, Claro. Tam znajdziemy lepszy nocleg niż tutaj. No i będziemy mieć jutro krótszą drogę do Londynu. Dasz radę?

Uniosła podbródek.

– Pewnie, że dam. Dojechałam sama do Portsmouth, prawda? Równie dobrze mogę wrócić do d-domu.

Zająknięcie na końcu powiedziało Sophy wszystko, co potrzebowała wiedzieć. Musiało też coś powiedzieć Longmore’owi, ponieważ zmarszczył brwi. Stwierdził jednak, dość szybko jak na siebie:

– Tym razem ja pojadę pierwszy. W razie trudności albo gdy poczujesz się gorzej, daj znak Fenwickowi, a on nam powie.

Odwrócił się, by powiedzieć chłopcu, że musi siedzieć twarzą zwróconą w tył i bacznie się przyglądać, czy kabriolet nie wpadł w jakieś tarapaty.

– I żeby cię nie zemdliło od jechania tyłem – dokończył Longmore.

– Zemdliło? – powtórzył z urazą Fenwick. – Od takiego głupstwa?

Sophy nie miała wątpliwości, że świetnie się zabawi strojeniem min do kobiet i wyczynianiem różnych sztuczek, przy których może spaść i rozbić sobie głowę.

Przynajmniej odciągnie lady Clarę choć na chwilę od jej nieszczęścia.

Wkrótce potem, kiedy znów byli w drodze, Longmore powiedział:

– Kiedy dojedziemy do Guildford, wyślę ekspres do Valentine’a. W ten sposób wszyscy się dowiedzą, że Clara jest bezpieczna i że mogą położyć się do łóżka i odpocząć.

Sophy popatrzyła na niego.

– Co takiego? – spytał.

– Ma szczęście, że to pan jest jej bratem, a rodzice mają szczęście, że pan jest ich synem.

Roześmiał się.

– To szczera prawda. Co do joty – dodała.

– Co do joty – powtórzył.

– Jakże wielu mężczyzn w ogóle by tego nie zrozumiało – powiedziała.

– Przecież nie rozumiem – rzekł. – Nie rozumiem zupełnie niczego.

A mimo to okazał dobroć, nieoczekiwaną dobroć. Mężczyźni nie są zazwyczaj tak dobrzy. Niekoniecznie chcą okazać się źli, ale przyzwyczajeni, że wszystko kręci się wokół nich, nie zauważają, kiedy wir świata pociąga za sobą kobiety i je miażdży.

– Zrozumiał pan, że pańska siostra potrzebuje pomocy, a nie sędziego – powiedziała. – To bardzo wiele.

– Dobry żart – zaśmiał się. – Kimże ja jestem, aby kogokolwiek osądzać? Gdyby nie Clevedon, sto razy wyrzucono by mnie ze szkoły. Jako najstarszy syn i dziedzic wypadałem tam bardzo słabo.

Pomyślała, że z pewnością wypadał w szkole świetnie i ekscytująco, ale ona nie była taka jak chłopcy z jego klasy. Nazywała się Noirot i była przywiązana do śmiałości i łamania reguł. Domyślała się jednak, że według norm swych rówieśników był prymitywem.

– Polityka napawa mnie odrazą – powiedział. – Filantropia oznacza mnóstwo nudnych obiadów z kiepskim jedzeniem i pompatycznymi przemówieniami. Żadnej zabawy. Można by pomyśleć, że kariera wojskowa jest obiecująca, bo daje wiele sposobności do walki. Lecz nie. Nawet oficer musi wykonywać rozkazy. To nie do zniesienia.

– Z tego, co wiem, stan duchowny nie jest rozważany jako kariera dla najstarszego syna – wtrąciła. – Gdyby nie to, byłby doskonałym rozwiązaniem, czyż nie?

Wlepił w nią niedowierzające spojrzenie.

– O tak, niech pomyślę – ciągnęła. – Lord Longmore w służbie Bogu. Już to widzę.

Roześmiał się i zmarszczki na jego przystojnej twarzy pirata nagle znikły.

– Jakież nęcące perspektywy macie wy, arystokraci – rzekła. – Zaczyna mi być pana żal. Nie może pan zostać ani bokserem, ani połykaczem mieczy w cyrku...

– W cyrku!

– Ani też piratem, rozbójnikiem czy woźnicą rydwanu.

– W rzeczy samej, to czasami śmiertelnie ponure życie, panno Noirot, ale mój ojciec nie dba już o moje rozrywki. Zrezygnował ze mnie wiele lat temu. Nie jestem wzorem, o czym pani wie.

– Jest pan wzorowym bratem – pochwaliła. – A co do reszty, jest pan po prostu człowiekiem, którego drażnią reguły. Pańska siostra podobnie. Kłopot w tym, że w przypadku damy nie jest możliwe ich łamanie.

– Łatwiej to czynić mężatkom – rzekł. – Jeśli Clara skończy w małżeństwie z tą świnią, osobiście ją do tego zachęcę.

– Nie dojdzie do tego – zapewniła Sophy.

– Jest pani o tym przekonana?

– Jak najbardziej – skłamała.

W tej chwili nie miała najmniejszego pojęcia, co zrobić. Wiedziała tylko, że od tego, co wymyśli, zależy całe jej życie.

* * *

Gospoda Pod Białym Jeleniem, Guildford,
noc

– Mam tyle czasu na myślenie, a mimo to nie wiem, jak się z tego wygrzebać – pożaliła się lady Clara.

Lord Longmore zaraz po przyjeździe wysłał swój ekspres do Londynu. Wynajął pokoje i umieścił Clarę w jednym z nich, znajdującym się obok sypialni Sophy. Davis miała leżankę w apartamencie pani, a bardzo zdziwiony Fenwick został wynagrodzony swoim kątem połączonym

z pokojem Longmore’a – schowkiem wielkości wnęki na szafę, przeznaczonym zazwyczaj dla służącego.

Po zmyciu z siebie kurzu drogi Longmore, lady Clara i Sophy udali się na kolację. Potem Longmore poradził kobietom, żeby udały się na spoczynek i poszedł do siebie.

Lady Clara zaprosiła jednak Sophy do swojego pokoju na herbatę. Jednak to, co Sophy tam zobaczyła, nie było bynajmniej herbatą. Na tacy stała brandy, widomy znak, że dama była bardziej roztrzęsiona, niż wydawało się przy kolacji.

Noc w żadnym razie nie była zimna, ale lady Clara narzekała, że zmarzła na kość, i zarządziła, by napalić w kominku. Zasiadły przed nim w fotelach ustawionych blisko siebie.

– Gdybym nie była aż tak rozmemłana i gdyby nie stało się to publicznie, przy tych wszystkich ludziach, którzy zobaczyli mnie półnagą, łatwiej byłoby się jakoś z tego wykręcić.

– Nie była pani wcale półnaga – zaprotestowała Sophy. – Stanik był tylko w lekkim nieładzie, to wszystko.

– To nie ma znaczenia – rzekła gorzko lady Clara. – Zrujnowana to zrujnowana.

– Zamierzamy odbudować pani reputację – pocieszyła ją Sophy. – Proszę się nie martwić. Proszę pozwolić pomartwić się mnie. Teraz zaś potrzebujemy dobrej historyjki, na wypadek gdyby ktoś jednak panią rozpoznał.

– To mało prawdopodobne.

– Wierzy w to pani, prawda? Jest dla mnie niepojęte, jak się pani udało przeżyć całą podróż do Portsmouth.

– To było bardziej skomplikowane, niż myślałam, przyznaję – rzekła Clara. – Nie miałam pojęcia, ile kosztują różne rzeczy. Wiedziałam jedno – że będę potrzebować pieniędzy. Wysłałam Davis, by sprzedała jakieś moje suknie, zanim jeszcze wyjechałyśmy z Londynu. To ona rozmawiała też z właścicielami gospód i załatwiała różne rzeczy. Udawała moją ciotkę. Ja trzymałam się z tyłu.

– Pani, z tyłu – uśmiechnęła się Sophy. – Musiała się pani uciec do genialnej sztuczki.

– Ubrałam się w najskromniejszą suknię i włożyłam na czas podróży kapelusz Davis.

– W Portsmouth nie była pani jednak aż tak skromnie odziana – zauważyła Sophy. – Ktoś mógł tam panią rozpoznać. Myślę, że powiemy, iż lord Longmore zabrał panią do Portsmouth, aby odebrać stamtąd starego przyjaciela, który przyjechał na wesele.

Rozbawienie minęło i piękna twarz Clary przybrała uparty wyraz, który Sophy widziała już wcześniej.

– Nie będzie żadnego wesela.

– Tak tylko powiemy – rzekła Sophy. Wnętrzności jej się ścisnęły. Nie mogło być wesela, ale wciąż nie miała pojęcia, jak je powstrzymać. Odprawienie niechcianego narzeczonego było dość proste. Lecz uczynienie tego w sposób, który przywróciłby dobre imię lady Clarze? Czy to w ogóle możliwe?

A czas uciekał i Maison Noirot czekało nieuchronne bankructwo.

Sophy pochyliła się nad lady Clarą i położyła jej dłonie na ramionach.

– Proszę mnie posłuchać – rzekła. Mówiła bardziej stanowczo, a wyraz jej twarzy wzbudzał pewność i krzepił. Potrafiła wmówić każdemu dosłownie wszystko, więc poradzi sobie i z Clarą.

– To był podstęp, sama pani dała to do zrozumienia. Jest pani muchą, która znalazła się w sieci pająka. Sieć jest lepka, więc wyplątanie pani bez szkody dla reputacji będzie bardzo delikatną sprawą.

– Jest źle – rzekła ze smutkiem lady Clara. – Wiedziałam, że jest źle.

– Jest – przyznała Sophy. – Ale uczyniłam z przywrócenia pani reputacji swoją misję, jedyną jak na razie. Musi być pani jednak cierpliwa, twarda i mi zaufać.

– Próbuję być cierpliwa, ale mamy tak mało czasu.

Sophy przybrała pewną siebie i pokrzepiającą minę, ale poczuła okropny ucisk w brzuchu.

– Ile nam go pozostało? – spytała.

– Mniej, niż myślałam. – Lady Clara wyjaśniła, co stało się w środę i czwartek przed ucieczką.

– Przed ostatnim przyjęciem w sezonie – powtórzyła Sophy, gdy opowieść dobiegła końca. Miała nadzieję, że się przesłyszała. Wiedziała jednak, że to płonna nadzieja.

Ostatnie przyjęcie w salonie królowej wyznaczone było zazwyczaj na dwudziesty czwarty dzień miesiąca. Dzień wpłat kwartalnych. Dzień sądu ostatecznego.

– Dlatego uciekłam – wyjaśniła Clara. – To przepełniło czarę goryczy. Liczyłam na to, że mam parę miesięcy. Mama była tak niechętna Adderleyowi, że byłam pewna, że odwlecze to na tyle, na ile to możliwe.

To bez różnicy, powiedziała sobie Sophy. Sklep musiał odzyskać utracone wpływy do dnia wpłat kwartalnych bez względu na wszystko.

– Ach, mamy więc przeszło dwa tygodnie – rzekła spokojnie. – Dość czasu.

– Jest pani pewna?

– Oczywiście.

Lady Clara popatrzyła na nią, a nadzieja i wiara w jej oczach sprawiły, że Sophy zachciało się płakać.

– Proszę mi to zostawić – rzekła.

* * *

Cholera jasna, i co teraz?

Sophy zamknęła za sobą drzwi do pokoju lady Clary i stanęła na chwilę, wpatrując się tępo w ścianę naprzeciwko.

Pomogła schwytać nieszczęsną. Wiezie ją na powrót do Londynu.

A co potem?

Zaledwie trochę ponad dwa tygodnie – w najlepszym razie – aby sprawić cud.

Jeśli się nie uda...

– Ohoho! – zawołał męski głos. – Patrzcie, co nam się trafiło, chłopaki.

Sophy spojrzała w stronę, skąd dochodził głos.

Och, wspaniale. Jeszcze tego jej brakowało. Kwartet pijanych w sztok dżentelmenów. Co gorsza, bardzo młodych pijanych dżentelmenów, z których część była ewidentnie nastawiona na polowanie.

– Cud, anioł, jakiż pociągający – powiedział inny. – Anioł, który spadł nam prosto z nieba.

– Usycham, blondynka?

– Proszę nie zwracać na niego uwagi, madame. Ten tam to jełop. – Ostatni z rozmówców uczynił pijacką próbę wykonania ukłonu.

Sophy potraktowała ich jednym ze specjalnych ukłonów sióstr Noirot, który aktorki i tancerki ćwiczą całe lata i który zawsze zaskakiwał

patrzących. I tym razem doskonale zmylił uwagę. Kiedy młodzieńcy kombinowali, co mogą z nią zrobić, sięgnęła do ukrytej kieszonki po spinkę do kapelusza trzymaną tam zawsze na sytuacje awaryjne. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiała jej użyć. Pytanie brzmiało, czy uciekać do pokoju lady Clary, czy też do własnego?

– Na Jowisza, to baletnica – domyślił się jeden z pijanych.

– Może zatańczy pani dla nas? – zaproponował inny. Rzucił się w jej stronę i się potknął. Złapał jej ramię, by zachować równowagę. Zachwiała się i spinka do kapelusza wypadła jej z ręki.

Popchnęła go, ale nie puszczał.

– O tak, zatańczmy – powiedział, zionąc jej w twarz alkoholem.

– Puszczaj mnie – powiedziała.

– Właśnie, puszczaj ją – powiedział drugi. – Ona chce zatańczyć ze mną. – Pociągnął ją w swoją stronę.

Wbiła mu łokieć w dołek. Zaśmiał się tylko, zbyt pijany, by to poczuć. Złapał ją za pośladek.

Cofnęła się, a on przycisnął ją do ściany. Smród alkoholu przyprawiał ją o mdłości.

– Zobaczyłem ją pierwszy – powiedział któryś.

– Czekaj na swoją kolej – powiedział ten najbliżej Sophy. – Najpierw dostanę całusa.

Zbliżył do niej twarz z ustami uformowanymi w dzióbek. Kopnęła go w goleń. Poleciał w tył, ale znalazł się zaraz następny i złapał ją za ramię.

Ogarnęła ją panika, a w środku ścisnął mróz. To byli młodzieńcy, pijani młodzieńcy, ale było ich zbyt wielu. Nie miała broni. Korytarz był pusty, nie licząc pary wysokich butów, czekających na wyczyszczenie.

Odwróciła głowę, ale była w pułapce. Otaczali ją, byli zbyt blisko. Kopała i opierała się, ale to tylko ich podjudzało. Kobiety nie były ważne. Kobiety służyły do zabawy.

Otworzyła usta, by zacząć krzyczeć. Jeden z nich opadł na nią, wyciskając z niej powietrze.

Panika ogarnęła także jej umysł. Walczyła na ślepo, nie miała ani chwili do stracenia. Popchnęła chłopaka i zaczęła krzyczeć.

Ogłuszył ją ryk.

Spojrzała w stronę, skąd dobiegał dźwięk.

W ich kierunku biegł Longmore z pociemniałą twarzą i oczami rzucającymi wściekłe błyski.

– Co u diabła?! – odezwał się młodzieniec, który na niej leżał.

Longmore zdjął go z Sophy i odrzucił w bok.

– To nie w porządku! – zawołał jego przyjaciel. – My pierwsi ją zobaczyliśmy! – Próbował przycisnąć dziewczynę do siebie.

Longmore kopnął go, aż odrzuciło go na ścianę. Innego, który do niego przystąpił, zdzielił w bok. Chłopak zachwiał się i upadł.

Inny zamierzył się pięścią na Longmore’a. Ten tylko się odsunął. Pięść poleciała dalej, pociągając za sobą jej właściciela, który zatoczył się niezgrabnie. Siła pędu zabrała go na schody, gdzie zderzył się z poręczą.

W korytarzu ucichło.

– Czy ktoś jeszcze chce się bawić? – spytał Longmore.

* * *

Z trudem ich dostrzegał. Cały świat był pokryty czerwienią. Z trudem ich słyszał, tak głośno szumiała krew w jego uszach.

Rozprostował palce, gotowe znów uciec się do przemocy. Łamać i miażdżyć.

Czekał.

Zafurkotało, zaszumiało i napastnicy znikli.

– Tchórze! – zawołał. Ruszył za nimi.

Wtedy to usłyszał.

Łup!

Łup!

Łup!

Popatrzył w tamtą stronę.

Sophy stała z czołem opartym o drzwi. Słyszał jęki i szlochanie. Zobaczył jej pięść unoszącą się i uderzającą o drzwi.

Łup!

Szloch.

Łup!

Szloch.

Zapomniał o pijanej grupie. Podbiegł do niej. Odwrócił. Po jej twarzy płynęły łzy. Cała się trzęsła.

– Nic pani nie jest? Czy ci nicponie zrobili pani krzywdę? Wiem, że to jeszcze chłopcy, ale jeśli panią skrzywdzili...

Uderzyła go.

– Ty idioto!

Położyła mu czoło na piersi w taki sam sposób jak na drzwiach. Buch! Buch! Buch!

– Co się dzieje? – spytał.

– Nie pomagaj mi!

– Czy pani oszalała? A może to wstrząśnienie mózgu?

Drzwi pokoju Clary otworzyły się i pokazała się w nich głowa w nocnym czepku.

– Wielkie nieba, co tu się dzieje?!

– Nic takiego – rzekł Longmore. – Wracaj szybko do łóżka.

– Harry, czy ty znów urządzasz rozróby?

– Już po wszystkim – rzekł Longmore. – Wracaj do łóżka.

– Harry...

– Daj już spokój – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Clara zgromiła go wzrokiem, cofnęła się jednak do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Musimy opuścić ten korytarz, bo przyciągnęliśmy już dość uwagi.

– Nie dbam o to – burknęła Sophy. Wciąż cała się trzęsła.

Podniósł ją.

– Postaw mnie – powiedziała.

– Przestań – rzucił. – To histeria.

Wziął ją na ręce i otworzył drzwi do jej pokoju.

– Nienawidzę was – powiedziała głosem stłumionym łzami. – Głupi, pijani arystokraci. Nie wiedziałam, co robić.

– Wiem – powiedział.

– Nienawidzę tak się bać.

– Wiem.

Zaniósł ją do łóżka. On także nadal się trząsł. Z wściekłości.

I lęku.

Gdyby już spał, nie usłyszałby jej.

Drzwi były grube. Dźwięki z korytarza – bardzo stłumione. A to była gospoda i głosy pijanych mężczyzn nie były tu niczym szczególnym.

Mogli ją okryć hańbą. Zranić.

Ścisnęło go w dołku.

Usiadł na łóżku, wciąż trzymając ją w ramionach.

– Dlaczego nie krzyczałaś?

– Myślałam, że sobie poradzę.

– Z czterema naraz?

– Byli pijani. Ledwo trzymali się na nogach. Łatwo było odwrócić ich uwagę. Lecz... byłam zbyt wolna.

– Byłaś zmęczona – powiedział.

– Nie szukaj dla mnie wymówek! Nie jestem niedorajdą!

– Wiem – rzekł. Nie był pewien, co właściwie wiedział, prócz tego, że mogła stać się jej krzywda. I że miała dobry powód, aby zachowywać się dziko i nieracjonalnie.

Wielu młodzieńców miało w zwyczaju pić i szukać zabawy. A ona wyglądała jak idealna ofiara – luksusowa kurtyzana – w przebraniu, które przywdziała, aby pomóc mu w poszukiwaniu Clary. Zrobiło mu się niedobrze.

– Wyjęłam szpilkę do kapelusza – rzekła. – Ale oni wszyscy mnie szturchali. Było ich tak wielu, niezgrabne prostaki. Wyleciała mi z rąk.

– Powinnaś była od razu krzyczeć, by wezwać pomoc – powiedział.

– Nigdy w życiu nie musiałam prosić o pomoc.

Cóż za piekielny rodzaj życia prowadziła? Była stylistką, a zabrzmiało to tak, jakby ten zawód czynił wojnę herbatką u cioci.

– Zawsze musi być pierwszy raz.

– Zamierzałam krzyknąć – przyznała. – Ale jakaś tępa pała uwaliła się na mnie i wycisnęła ze mnie całe powietrze.

– Tak, cóż, na pewno poradziłabyś sobie sama – zadrwił. – Lecz łomotanie, przepychanie i inne odgłosy wyrwały mnie z miłej drzemki. Nie miałem zamiaru stać bezczynnie, kiedy w pobliżu toczyła się tak pociągająca walka.

– Tak. – Złapała się za głowę.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, po czym delikatnie przytulił jej głowę do swojego ramienia.

– Miałaś złą chwilę – pocieszył ją.

– Nie wiem, co robić – rzekła. – A zawsze wiem, co robić. To okropne uczucie – nie wiedzieć. Być bezradnym. Nie cierpię tego.

– Nie jesteś bezradna – zaoponował. – Nie pozwala ci na to brak skrupułów. Po prostu czujesz się zagubiona. – Chwilę milczał. – I nie chodzi tylko o tych durniów.

– Nie.

– Chodzi o Clarę.

– Tak. Jest jedyną pasażerką na mojej łodzi. A łódź bez steru błąka się po morzu i nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

– O co jeszcze? – spytał.

– Wiesz – rzekła. – Twoja matka. Jak ją przekonać?

– To beznadziejne – rzekł. – Wyrzuć ją z tej łodzi.

Odepchnęła jego rękę i podniosła głowę.

– Czyni nasze życie bardzo trudnym – wyznała.

– Robi to każdemu – powiedział. – Weź się za coś, na co możesz mieć wpływ. Za Adderleya na początek. Skup się tylko na nim. O mojej matce zapomnij. Zapomnij o pryszczatych młodzieńcach. Nawet nie wiedzą, jak im się upiekło. Jeszcze chwila, a wymyśliłabyś coś takiego, że wprost marzyliby o tym, aby wyszedł jakiś wielki gość i powalił ich wszystkich na ziemię.

Popatrzyła mu w oczy i zobaczył, że coś się zmienia. Przelotny ognik, światełko, niczym pierwsza gwiazda na wieczornym niebie.

Jej usta powoli wygięły się w uśmiechu.

Kiedy patrzył na ten lekki uśmiech, napięcie, którego wcale nie był świadomy, zaczęło ustępować.

Zobaczył chochlika czającego się w jej oczach i w uniesionych kącikach ust.

Kusiło go, by ucałować ten kącik.

Zapewne byłoby to zbyt grubiańskie.

Był jednak mężczyzną, a ona siedziała mu na kolanach i była gorąca i miękka. Kiedy jej udręka zelżała, rozluźniło się także jej ciało. Był teraz boleśnie świadomy każdej krągłości, która stykała się z jego torsem.

Pochyliła głowę, wzięła go za rękę i przytknęła sobie do policzka.

Wstrzymał oddech.

– Jesteś niemożliwy – powiedziała miękko. – Właśnie wtedy, kiedy zamierzam w ciebie uderzyć... ty mówisz... albo robisz rzeczy...

– To wszystko część mojego niecnego planu – powiedział. Mówił byle co, co tylko przyszło mu do głowy. Gdyby okazało się, że trafił, byłby to czysty przypadek.

– Nie poddajesz się, prawda? – spytała.

– Jestem uparty – rzekł. – Cecha rodzinna.

– Tak. Ja też mam różne rodzinne cechy. – Westchnęła.

Odwróciła twarz i ucałowała wnętrze jego dłoni.

Dotyk jej ust poraził go jak grom z jasnego nieba.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś – rzekła. – Nikt jeszcze tego dla mnie nie zrobił.

– A czemu, u diabła?! – spytał.

– Nie było nikogo takiego jak ty – odparła.

Zeszła mu z kolan i uklękła przodem do niego. Oparła ręce na jego ramionach i nachyliła się, jakby chciała mu powiedzieć jakiś sekret... a potem pocałowała go w policzek. Był to pocałunek lekki jak muśnięcie motyla, ale wstrząsnął nim do głębi, a jego serce jęło bić bardzo szybko, tłocząc krew wszędzie, tylko nie do mózgu.

Wielki Zeusie!

Pocałowała go w płatek ucha.

Zagłębiła palce w jego włosach.

– Och – odezwała się. – To nie do zniesienia.

– Co takiego? – spytał ochryple.

– Taka powściągliwość.

– Wyrzuć ją więc za burtę – zaproponował.

– Dobrze – zgodziła się.

Złapała jego włosy i trzymała go, całując – mocno, zdecydowanie.

Dokładnie tak, jak on całował ją.

Dokładnie tak, jak ją nauczył.

Tylko lepiej.

Rozdział 12

Pilnowaniem własnego prowadzenia się, roztrząsaniem motywów
i poprawianiem omyłek, zwalczaniem tych błędów, ku którym
przejawiają skłonność, i postanawianiem pielęgnowania cnót,
których im brakuje – kobiety w każdym wieku są,
co wszędzie widać, nadmiernie zajęte.
Księga młodej damy (1829)

Była zbyt wytrącona z równowagi, by zwrócić uwagę.

Lecz parę chwil w jego ramionach, słuchanie jego niskiego głosu uporządkowały świat w sposób, w jaki tylko on mógł to uczynić... by powróciła do rzeczywistości.

I do niego.

Zdjął żakiet i fular, a jego czarna czupryna się rozwichrzyła. Światło lampy uczyniło rękawy koszuli niemal przezroczystymi, odsłaniając zarys muskularnych, tulących ją ramion. Przylgnęła policzkiem do jedwabnej kamizelki. Wąchała go i czuła smukły tors pod koszulą i kamizelką. Powędrowała wzrokiem w dół, po wytwornym hafcie błyszczącym w lekkim świetle.

Czuła pod sobą jego silne uda i długie nogi w ciasnych spodniach, które już nie pozostawiały niczego wyobraźni.

Wszystko wewnątrz niej drgało.

Była wyczerpana i wściekła.

Ocalił ją i powiedział rzeczy, dzięki którym powróciły jej rozum i pewność siebie.

A także pożądanie.

Pożądała go. Pragnęła go od chwili, w której po raz pierwszy ujrzała go pędzącego niczym śmierć po korytarzu rezydencji Clevedona.

A teraz pożądała go jeszcze goręcej niż czegokolwiek wcześniej w całym swoim życiu. Nawet sklep stracił przy nim swój blask.

Jak długo jeszcze miała czekać?

Dlaczego musiała być dobra i przyzwoita?

Była Noirot.

Wyrzuciła powściągliwość za burtę.

Pocałowała go bez lęku, głęboko, w sposób, jakiego ją nauczył. A kiedy go całowała, pozwoliła swym dłoniom gładzić jego szerokie ramiona, gdzie cienkie płótno koszuli nie kryło ciepła jego skóry i mięśni napinających się pod dotykiem.

Przyjemność z tego płynąca była niemalże nie do zniesienia. Było tak, jakby falowało wewnątrz niej morze uczuć, cudowny sztorm, który rzucał nią tam i z powrotem.

Kołysała się na jego kolanach, pozwalając, by poniosła ją rozkosz. Poczuła, że Longmore sztywnieje i zaczyna się wycofywać.

– Poczekaj – odezwał się. – Poczekaj jedną...

– Na co mam czekać? – Lekko uszczypnęła zębami jego ucho.

– Musisz mi powiedzieć... – Jego głos ucichł.

– Co mam ci powiedzieć? – spytała.

– Nieważne. Już zapomniałem.

Objął ją ramionami i odwzajemnił pocałunek. Żadnego czekania ani wahania. Zuchwale i prosto podążał do celu, tak bezpośrednio, jakby wymierzał cios w głowę.

Była oszołomiona, ale wiedziała, co robić. Nauczył ją.

Pocałunek był jak taniec i pojedynek zarazem: zbliżali się do siebie, atakowali, cofali, okrążali w świecie, który stopniowo robił się ciemniejszy i gorętszy, w którym zabrakło rozsądku.

Odnalazła guzik jego koszuli i odpięła go. Wsunęła dłoń w otwór, by dotknąć jego skóry. Wstrząsającym przeżyciem było poczuć jego gardło i obojczyk. Na nim także wywarło to wrażenie, bo zesztywniał. Nie odepchnął jej jednak. Wzmógł tylko uścisk i przytulił ją mocniej do siebie. Poczuła pod sobą jego podniecenie. Wiedziała, co to było. Zrozumiałaby, nawet gdyby nie wyjaśniły jej tego siostry. On jej pożądał.

A ona pożądała jego.

I tyle.

Niebezpiecznie, niedobrze. Lekkomyślnie.

Niepohamowanie.

Popchnęła go, a on rozluźnił uścisk i popatrzył na nią. Miał takie ciemne oczy, czarne jak noc o północy, jak grzech, który obiecywały.

Popchnęła go znowu, mocniej i naparła na niego ciałem. Zrozumiał wreszcie i się poddał. Opadł na łóżko i zaniósł się zduszonym śmiechem.

– Sophy...

– *Oui* – powiedziała. – *C’est bien moi.*

– Sophy – powtórzył niższym głosem kochanka. Wzdłuż kręgosłupa powędrował łaskoczący dreszczyk. Wyzwolił w środku wiele rzeczy. Gorąco. Niecierpliwość.

Wczołgała się na niego.

– Co muszę teraz zrobić? – Zaczęła odpinać mu kamizelkę.

– Diablico – powiedział. – Chodź tu do mnie.

Pociągnął ją w dół i pocałował, znacznie czulej. Całował jej czoło, brwi, nos, policzki i podbródek. Pocałował ją w ucho, a potem w szyję, we wrażliwe miejsce koło ucha.

Całował ją, dopóki nie poczęła drżeć, a świat nie zatańczył dookoła. Wtedy położył na jej plecach swoją dużą dłoń i przeturlał się na łóżku, zmieniając pozycję. Teraz on był na górze. W jego oczach widziała bezdenną czarną czeluść, gorącą i obiecującą grzech za grzechem.

Serce zaczęło jej bić jak szalone.

Przesunął dłońmi w dół po jej ramionach, a potem pomału, z ociąganiem, po piersiach, od czego poczuła gorąco w całym ciele, nawet w czubkach palców u nóg. Wydała z siebie westchnienie, które w nocnej ciszy zabrzmiało jak jęk. Było bardzo cicho, jak gdyby znaleźli się gdzieś daleko, tylko we dwoje, jak gdyby nikogo innego nie było na świecie.

Oni także milczeli. Ciszę przerywały tylko westchnienia, szepty pożądania i rozkoszy oraz szelest pościeli.

Jego ręce ześlizgnęły się niżej po jej brzuchu i do miejsca między nogami. Wyprężyła się i poruszyła, poszukując czegoś więcej, tak jak robi to głaskany kot, choć żaden kot nie mógłby czuć czegoś takiego. Jego dłonie – sprytne i umiejętne – śledziły kształty jej ciała, dowiadywały się wszystkiego o niej i o intymnych miejscach, ukrytych pod jej pięknymi strojami.

Potem obrócił ją na bok i poczuła jego ręce przesuwające się po jej plecach. Przypomniała sobie poranek i zalała ją kolejna fala gorąca.

W jednej chwili poluzował jej stanik. Działał zdecydowanie i poczuła, jak odpina ramiączka, całując jednocześnie jej szyję i ramiona. Ściągnął jej suknię przez głowę, obracając nią, jakby była szmacianą lalką. Odrzucił

kreację na bok i Sophy usłyszała szelest materiału osuwającego się na podłogę.

Potem przyszła kolej na buty i poduszki na rękawy. Szybko odpiął też gorset, który poddał się łatwo, tak jak chciała tego jego pomysłodawczyni. Paroma ruchami palców i jednym ruchem ciała pozbył się kamizelki.

Sophy wsunęła dłonie pod delikatne płótno koszuli, badając palcami zarys jego piersi i brzucha. Mięśnie napinały się i rozluźniały pod jej dotykiem.

Ona dotykała, on odpowiadał. Nie była bezbronna. Nigdy już nie będzie bezbronna.

Miała władzę nad wielkim i niebezpiecznym mężczyzną.

Jak przez mgłę zanotowała, że pozbawił ją sztywnej halki i koszuli. Podwiązki też zostały rozwiązane, a pończochy – zsunięte. Nie dbała o to. Była teraz owinięta jego ciałem. Widziała, jak się bił. Widziała, jak powoził. Widziała, jak chodził. Jak się poruszał. Ilekroć on był w pobliżu, nie była w stanie patrzeć na nic innego. A teraz nie mogła przestać go dotykać i zachwycać się nim, jego siłą i pięknem, wszystkim, co czyniło go tym, kim był.

Jak cała jej rodzina, ona też zawsze pozwalała sobie na wiele, grała *va banque*, ryzykowała. Teraz też śmiało przesunęła dłoń na przód spodni, na fascynujący zarys, gorący i pulsujący pod jej dłonią. W głowie zadźwięczał jej głos ciotki Emmy, ale ostrzeżenie zabrzmiało zbyt słabo i natychmiast zostało zepchnięte w najdalszy kąt umysłu.

Miała go teraz zbyt wiele i to przezwyciężyło rozum. Zbyt wiele nieokiełznanej męskości, która zawładnęła jej zmysłami. Zbyt wiele pożądania, które wzięło władzę nad jej poczuciem rozsądku.

Pochylił się i pocałował ją, a pocałunek rozbudził jej tęsknoty, które przyćmiły wspomnienie ciotki, Paryża, Londynu...

Nie liczyło się już nic oprócz tej chwili między nimi. Cały świat skurczył się do niego – jego smaku, dotyku jego ust... jego szorstkości i czułości w tej samej pieszczocie... ciężaru jego ciała, kiedy się do niej przycisnął.

Całował ją wszędzie – po twarzy, szyi, ramionach, piersiach – co sprawiało, że chciała płakać i śmiać się jednocześnie. Pocałunki na brzuchu zapłonęły żywym ogniem. Wczepiła palce w jego włosy. Podążył jeszcze niżej, ku miejscu między nogami.

Poczuła ręce ściskające jej uda, kiedy język czynił z najintymniejszą częścią jej ciała to samo, co czynił w ustach. Wtedy już wszystko przestało się liczyć... i wreszcie wszystko zaczęło się liczyć od nowa.

Zmieniło się wszystko. Świat przeobraził się – był wielką, ciemną laguną w parną noc. Powietrze zgęstniało i oszałamiało. Rozkosz narastała i narastała, a wraz z nią nieokreślona tęsknota. Za czymś, czego nie potrafiła nazwać, ale co musiała znaleźć, czego musiała dosięgnąć.

Wiedziała, że pozbył się reszty ubrania, czuła i słyszała jego ruchy. Położył się na niej zupełnie nagi, a jego usta znów odnalazły jej wargi. Pocałunek był taki głęboki i czuły, i tak nieskończenie słodki...

Wtedy wsunął się w nią, wyrywając Sophy ze stanu otępienia pożądaniem. Mgła ogarniająca jej myśli podniosła się, a oczy szeroko się otworzyły. Poczuła całą wielkość i gorąco jego męskości... w sobie. To było dziwne i niewygodne. Co ja najlepszego zrobiłam? – pomyślała.

Jednak on całował ją nadal, a jego usta przesunęły się od jej ust ku policzkom i szyi. Pod czułymi pieszczotami jej napięcie powoli ustępowało. Ciało się rozluźniało, przyjmując go w siebie. Było to też dziwne i cudowne – być połączonym w tak intymny sposób. Pogładziła rękami jego plecy, rozkoszując się dotykiem jego skóry i pulsowaniem mięśni.

Zapach mężczyzny napełnił powietrze, jej nozdrza i głowę. Była nim pijana. Była pijana swoją nad nim mocą i jego mocą nad nią. Kiedy zaczął się w niej poruszać, poruszyła się też instynktownie, łapiąc jego rytm w taki sam sposób, w jaki nauczyła się całowania... jakby umiała to od zawsze i tylko czekała na sygnał do rozpoczęcia.

Na początku robił to delikatnie i wolno. Próbowała porównać doznawane uczucia do muzyki. Potem, kiedy już wibrowała w niej każda struna, muzyka stała się intensywniejsza. Wolne i rozważne pchnięcia były coraz szybsze i silniejsze. Świat stawał się ciemniejszy i dzikszy, a ona czuła, jakby nareszcie znalazła się w swoim żywiole. Poruszała się wraz z nim w tym samym zawrotnym tempie, pędząc ku nieznanemu przeznaczeniu.

W jej sercu narastało tylko jedno wołanie: Tak, weź mnie ze sobą!

Wziął, a po gorączkowym pośpiechu i szale znów przyszedł wstrząs, gdy coś w jej środku zdawało się wybuchać, fala za falą, aż wszystko odpłynęło, z wyjątkiem szczęścia. Dryfowała w tym szczęściu, dopóki nie opanowała jej dziwna cisza, nieoczekiwany błogi spokój.

* * *

Sophy nie była pewna, jak długo pozostawała w tej nicości. Ledwie poczuła, kiedy z niej zszedł i przytulił się do jej pleców. Czuła się tak wygodnie, bezpiecznie i ciepło.

Może zasnęła. A może tylko pozostawała w zawieszeniu, w transie. Nie wiedziała.

Nagle jednak powróciła do rzeczywistości, otworzyła oczy, a wraz z tym powróciła bolesna jasność tego, co się stało.

– Och, nie!

Wyrwała się z jego ramion i usiadła.

– Nie mogę uwierzyć. Jak mogłam? Nie, nie, nie! Proszę, niech to będzie tylko sen!

– Sophy. – Jego głos był niski i zachrypnięty od snu.

– To nie twoja wina – powiedziała. – Moja. Zrobiłam to umyślnie. Nie wierzę. Zrobiłam to umyślnie, chociaż wiedziałam... – Wiła się w męce. – Ach, jak mogłam być aż tak głupia?

– Sophy – powtórzył.

– Czemu po prostu nie wysadzić sklepu w powietrze? – spytała. – Czemu go nie podpalić? Jaki jest lepszy sposób na zniszczenie naszych interesów niż to, co właśnie zrobiłam?

– Sophy – powiedział. – Chodź spać.

– Nie mogę spać w takiej chwili!

Wyciągnął rękę i objął Sophy, po czym przyciągnął ją do siebie.

– Bądź cicho – nakazał.

– Jesteśmy zrujnowane! – jęknęła. – I to przeze mnie! Dlaczego po prostu nie poszłam pracować do Pretensji? Nie mogłabym wyświadczyć jej lepszej przysługi!

– Sophy, śpij – powtórzył. – Żadnego gadania. Teraz nie będziemy o tym rozmawiać. Śpimy.

A potem wyciągnął wielką, gorącą rękę i położył ją na jej piersi. Westchnęła. Umościła się przy nim wygodniej, po czym zasnęła.

* * *

Kiedy Longmore obudził się kolejny raz, jasność panująca w pokoju powiedziała mu, że jest ranek, ale niezbyt późny.

Poczuł obok siebie poruszenie.

– O nie – powiedziała. – O nie...

Zdusił westchnienie.

– Co ja zrobię...

– Zaczekaj chwilę. – Odwrócił ją do siebie i pocałował w szyję. Odkrył, że to jej wrażliwy punkt, jeden z wielu.

– Och – westchnęła w sposób, który doprowadził jego członek do stanu gotowości.

Zaczął ją całować, bo uwielbiał zapach, smak i dotyk jej skóry, a także sposób, w jaki reagowała, niewyuczony, instynktowny. W sztuce miłosnej była całkowicie szczera.

Zaczął ją całować, bo lubił to robić, poza tym był lekkomyślnym człowiekiem, który nie wyrobił w sobie zwyczaju, by martwić się o konsekwencje.

Powiódł dłońmi po jej nagim ciele, a ona wygięła się rozkosznie.

– To nie w porządku – powiedziała ochryple. – Nie w porządku.

– Ja też nie jestem w porządku – powiedział, powtarzając to, co stwierdziła kilka dni wcześniej. Całował ją wszędzie tam, gdzie błądziły jego ręce. W najpyszniejszych miejscach zatrzymywał się na dłużej – w punkcie za uchem i w zgięciu łokcia. Ze szczególną atencją ucałował jej pierś, zanim wziął idealnie różową brodawkę do ust, by ją possać. Poruszyła nogami i naprężyła brzuch. Wsunęła palce w jego czuprynę i ten gest sprawił, że całkowicie stracił kontrolę.

Choć był człowiekiem myślącym niewiele, miał silnie rozwinięty podstawowy instynkt. Ten zaś powiedział mu, że może już nie mieć takiej okazji i trzeba ją jak najlepiej wykorzystać.

Zatem potraktował tak samo drugą doskonałą, doprawdy doskonałą pierś i zsunął się niżej. Na jakiś czas przywarł do jedwabiście złotego trójkącika między udami, pozwalając językowi dokazywać na nim, aż zaczęła jęczeć bezradnie, szepcząc po francusku jakieś głupstwa i przesadnie słodkie czułości. A potem podążył w dół szlakiem, który wyobrażał sobie niezliczoną ilość razy – wzdłuż wdzięcznych kształtów nogi, zgrabnie uformowanej kostki, eleganckiego podbicia stopy i dalej ku maleńkim palcom u stóp. Pocałował każdy z nich.

A potem zaczął od nowa, podążając szlakiem drugiej nogi.

Kiedy skończył, przewrócił ją na brzuch.

– Milordzie – odezwała się.

– Harry – poprawił. – Teraz już nie musimy bawić się tytułami.

– Harry – powtórzyła bez tchu.

Nie był pewien, czy jakakolwiek kobieta, która nie była jego bliską krewną, kiedykolwiek wymówiła to imię. W jej ustach zabrzmiało... po francusku.

Ucałował jej kark i pozwolił dłoniom iść w ślad za ustami po każdym centymetrze jej pleców. Pleców prostych i jedwabiście gładkich... mających na dole śliczne wcięcie i krągłość idealnych pośladków.

Pocałował je z uznaniem.

Zachichotała.

Usadowił się między jej nogami i wyciągnął ręce, by ją tam pogłaskać. Wstrzymała oddech i wygięła się w łuk, poruszając się pod jego ręką. Była wilgotna, co tylko wzmogło jego niecierpliwość. Podniósł ją lekko i wprowadził członek w jej wnętrze od tyłu.

– Och, och, och – jęknęła.

– Tak – powiedział. Uszczypnął zębami jej szyję.

Tak, tak, tak, tak!

Cały jego umysł i ciało mówiły „tak”. Jedną ręką ją przytrzymywał, a drugą gładził jedwabisty wzgórek między nogami, poruszając się w niej powoli.

Chciał, by trwało to godzinami, ale nie miał nad tym władzy. Wysunął się z niej, delikatnie położył obok i obrócił ją twarzą do siebie.

Znów w nią wszedł, teraz widział jej twarz, a ona zarzuciła na niego ramiona w tak cudowny sposób, w jaki tylko ona mogła to zrobić, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz na świecie i jakby znała go od zawsze, i jakby od zawsze należał tylko do niej.

Pogłaskała jego brzuch i miejsce, w którym byli złączeni, i jęła wychodzić na spotkanie jego pchnięć, w rytmie zgranym z jego rytmem.

Widział, jak zmienia się jej twarz, kiedy zbliżała się do szczytowania, i wykonał jedno mocne i głębokie pchnięcie, po którym krzyknęła. Wytrysnął potem, a jego ciało zawibrowało, po czym poczuł, że opada. Ukrył twarz w jej szyi.

* * *

Znów zasnęli. Światło wpadające do środka powiedziało Sophy, że jest już późny ranek, zazwyczaj budziła się znacznie wcześniej. Nie śpieszyło jej się jednak do wstania.

Było tak wygodnie spać w ramionach mężczyzny, a Longmore trzymał ją cudownie blisko siebie.

Lubi kobiety, pomyślała.

Z drugiej zaś strony, co ona w ogóle mogła o tym wiedzieć? Tylko tyle, co słyszała: kobiety narzekające na mężczyzn, którzy odwracali się na drugi bok i zasypiali. Albo nagle znikali.

On jeszcze nie zniknął, co było nieco kłopotliwe, zważywszy, że jego siostra spała w pokoju obok.

Poczuła, że jego ciało zmienia pozycję.

Za nią. Pamiętała, co robił w nocy. Same interesujące rzeczy.

– Musisz już iść – powiedziała.

– Jeszcze nie teraz – wymamrotał.

– Twoja siostra – przypomniała.

– Nie wstanie przed południem.

– Nie możesz być tego pewien.

– Ona nie prowadzi sklepu. To ty wstajesz o świcie. Clara śpi jak zabita i nie budzi się przed jedenastą.

Sophy usiadła.

– No, tak – zamruczał. – Teraz będziemy się o to kłócić.

– Nie ma dyskusji – rzekła. Umysł miała teraz całkowicie jasny, jakby roznieciła w nim ogień, który spalił wszelkie wątpliwości. – To oczywiste. Nikt Nie Może Się Dowiedzieć.

Oparł się na łokciu i popatrzył na nią.

– Wiesz – rzekł. – Odniosłem wrażenie, jakbyś wypowiedziała te słowa wielkimi literami.

– Bo o to mi chodziło. Jeśli nikt się nie dowie, nikt nie będzie wiedział. Musisz obiecać, że nikomu nie powiesz.

– Chciałbym wiedzieć, skąd pomysł, że jestem kimś, kto powierza swoje miłosne sekrety przyjaciołom? – obruszył się. – Myślisz, że jestem z tych, którzy na lewo i prawo chwalą się deflorowaniem dziewic?

– Kto powiedział, że byłam dziewicą?

– Nikt nie musiał niczego mówić. Sam się tego domyśliłem. Z czasem.

– Bo nie wiedziałam, co robić – domyśliła się.

– Tak, i jeszcze twoja bardzo ciasna szparka.

– Nie miałam czasu – wyjaśniła. – Nigdy nie miałam czasu na mężczyzn.

– Nie krytykowałem – powiedział. – Byłem lekko zdziwiony, ale... właściwie...

– Podoba ci się, że byłeś pierwszy.

– Tak – przyznał. – Podoba. To dziwne. Nigdy nie dbałem o tego typu rzeczy. W twoim przypadku uczyniłem wyjątek.

Jej także podobał się fakt, że to on był pierwszy. Świat zaludniali flirciarze i ludzie fałszywi. Marcelline poślubiła jednego. Lady Clara wpakowała się w kłopoty z drugim.

Jednak jakiekolwiek były mankamenty Longmore'a, był on zawsze sobą.

To pokrzepiające.

– Dopóki będziesz milczał, dopóty nie będzie kłopotu – powiedziała.

– A ty? – spytał. – Dotrzymasz tajemnicy?

– Nie zaproponuję umieszczenia tego w dziale ogłoszeń „Porannego Zwierciadła", jeśli o to ci chodziło.

– Nie to miałem na myśli. Co z siostrami? Powiesz im wszystko czy też nie?

– Tt-aak…

– Tak?

– One nie powiedzą nikomu.

– To kobiety – zauważył.

– A komu miałyby powiedzieć? – spytała. – Ciotkom Clevedona? Naszym klientkom? Bądź rozsądny.

– Czemu mam zacząć właśnie teraz?

– Zaręczam ci, że dość mamy kłopotów z tym, że Marcelline wdarła się bezprawnie do świata arystokracji – powiedziała. – Jeśli rozejdzie się, że uwiodłam najstarszego syna lady Warford, to twoja matka nie poprzestanie na bojkocie Maison Noirot. Zacznie nas zwalczać. Permanentnie. Nawet ja nie będę w stanie odbudować sklepu. Siostry o tym wiedzą.

– Wszystko się zgadza – rzekł. – Dopóki nie zrozumiemy, kto tu kogo uwiódł.

– To boleśnie jasna część sprawy – odparła.

– Nie mogłaś nic na to poradzić – rzekł.

– Tak naprawdę – mogłam. Gdybym miała okazję, gdybyś nie był tak wstrząsająco wyrozumiały i kuszący...

– Cholernie ciężko na to pracowałem. Nad kuszeniem. Nie byłem pewien, czy w ogóle zwracasz na mnie uwagę.

– Chyba widać było, że robię niewiele więcej.

– Świetnie. Musiałem ułożyć sobie całą strategię.

Popatrzyła na niego.

– Myślałeś o tym?

– Musiałem, prawda? Jesteś skomplikowana.

– Prostsza, niż ci się wydaje – rzekła. – Nie jestem grzeczną panienką.

– A ja nie jestem grzecznym chłopcem – powiedział. – To niegodziwe, by uganiać się za niedoświadczonymi dziewczętami. Nie mogłem się jednak oprzeć.

– Oczywiście, że nie. Mnie nie można się oprzeć. Nie powinieneś się więc obwiniać.

– To jest jedna z rzeczy, których nigdy nie robię – powiedział. – Niemniej... – Zmarszczył brwi. – Mogliśmy zrobić jedno z tych... wiesz... małych, ruchliwych różowych rzeczy, które wrzeszczą...

– Dziecko – domyśliła się. – Wiem.

– W tym przypadku...

– Nie przekraczajmy mostów, zanim do nich nie dojdziemy – powiedziała, ignorując lodowatą panikę, która ogarnęła jej wnętrzności. – Teraz mam bardziej palący problem. Wesele twojej siostry już za dwa tygodnie.

* * *

Longmore po prostu leżał, pozwalając leniwie, by bawiły go fascynujące poglądy Sophy na świat, podczas gdy tak naprawdę wodził oczami za jej cudownie nagim ciałem. Miał tuż przed sobą jej piersi, jakże wspaniałe!

Chwilę zajęło, żeby dotarło do niego jej ostatnie zdanie. Wtedy oprzytomniał i usiadł.

– Żartujesz sobie.

Potrząsnęła głową, a jasne pukle zatańczyły.

Nic dziwnego, że wieczorem się załamała.

– Nie zdawałem sobie sprawy – rzekł. – Myślałem, że matka będzie to przeciągać w nieskończoność.

Powiedziała mu, co Clara wyznała jej o lady Bartham i jego matce.

– Przysięgłam, że nie dopuszczę do tego ślubu i odbuduję reputację twojej siostry – rzekła. – Powiedziałam, że uczyniłam z tego swoją misję, jedyną misję. Tak mi przykro...

Zamknęła oczy.

– Chwileczkę. – Otworzyła je, błyszczące i bardzo błękitne. – Nie jest mi z tego powodu przykro. – Wskazała ręką na niego i na łóżko. – Było to z mojej strony głupie, ale było podniecająco i cudownie i nie mogę sobie wyobrazić bardziej poruszającego końca dziewictwa. Muszę jednak skupić się na interesach.

– Prawda. – Włożył skrzyżowane ręce pod głowę. Trzeba coś z nią zrobić. Nie był tylko pewien co.

Cokolwiek to było, musiał popracować nad tym w samotności.

Ona mu w tym nie pomoże, a nie zamierzał nikogo prosić o radę.

Sama myśl, że mógłby powierzyć komukolwiek swoje miłosne sprawy, mroziła mu krew w żyłach.

Oczyma wyobraźni zobaczył wypowiedziane przez Sophy słowa, jakby zapisała je wielkimi literami.

Nikt Nie Może Się Dowiedzieć.

Zaraziła go swoim melodramatem.

Popatrzył na nią przez chwilę z lubością.

– Interesy – powtórzyła.

– Tak – przytaknął.

Westchnęła głęboko, a on zobaczył, jak jej biust wznosi się i opada. – Musisz już iść. Siostra może nie wstanie tak wcześnie, ale Davis na pewno już się krząta.

– Słusznie.

Wyszedł z łóżka i zaczął zbierać z podłogi ubrania, wyplątując je z chaosu spódnic, bielizny oraz butów.

Sophy także wstała i goła niczym Ewa tuż po stworzeniu pomogła mu się ubrać.

Kiedy stanął przy drzwiach, westchnęła cichutko, po czym podbiegła do niego i złapała go za klapy. Pochylił głowę.

Wspięła się na palce i pocałowała go mocno w usta.

– Idź – powiedziała. – Idź... – Głos jej umilkł, a ręce ześlizgnęły się z klap. Chociaż patrzyła na niego, wiedział, że go nie dostrzega, zajęta czym innym. On za to widział ją doskonale, każdy różowy, biały i złoty centymetr jej ciała.

– Zaczekaj – odezwała się. Myślała. Prawie widział, jak obracają się koła i mielą szatańskie młyny.

– O, tak! – powiedziała.

Jej oczy otworzyły się szeroko, a błękitny wzrok nabrał jasności szafiru.

– Mam to!

Położyła głowę na jego piersi. Longmore zmierzwił jej złociste pukle. Powściągnął drugą rękę, którą korciło, by objąć jej pierś.

– Wspaniały człowieku – powiedziała. – Mam to!

– Co masz? – spytał jak we mgle, pogrążony w zapachu jej włosów i skóry, letnim zapachu odległego miejsca, w którym był szczęśliwy. – I co czyni ze mnie...

– Mam pomysł. Wiem, jak ocalimy twoją siostrę.

* * *

Rezydencja Warfordów,
wieczorem

Rodzina wstała od obiadu i siedziała w bibliotece, kiedy Longmore przywiózł siostrę do domu.

Matka natychmiast poderwała się z fotela.

– Och, Claro, jak mogłaś? – zawołała.

Longmore zobaczył, że siostra przygotowuje się na falę obwiniania, oskarżeń i wszelkiej werbalnej przemocy, które – według pojęcia lady Warford – były płynącymi z serca matki radami dla najstarszej córki.

Już otworzył usta, by powiedzieć coś niegrzecznego.

Wówczas lady Warford rzuciła się na Clarę, objęła ją ramionami i zaszlochała:

– Och, moje drogie dziecko, jestem taka szczęśliwa, że wróciłaś do domu. Nigdy, już nigdy nie wolno ci uciekać. Choćbyś miała największe

zmartwienie, musisz mi, kochanie, szczerze o nim powiedzieć. Obiecaj. Obiecaj to, proszę.

Było to, pomyślał, pierwsze ,,proszę", jakie usłyszał z matczynych ust.

– Przepraszam, mamo – wykrztusiła Clara. W jej głosie, stłumionym ramieniem matki, wyraźnie brzmiało zaskoczenie.

– To musiało być dla ciebie straszne – powiedziała matka. – Traumatyczne dla wrażliwej, młodej dziewczyny, która, rzecz jasna, nie wie nic o tym, jacy potrafią być mężczyźni. Zaufałaś mu tak niemądrze. Lecz skąd mogłaś wiedzieć? – Mocno uścisnęła Clarę i się cofnęła. – Muszę rzec, że Harry mnie zaskoczył. Zaskoczył nas oboje, prawda, Warford?

– O tak – przytaknął ojciec Longmore'a. – Dobra robota. Opiekował się siostrą. Nawalił ze wszystkim...

– Warford – przerwała ostrzegawczo małżonka.

– Lecz znalazłeś ją i przywiozłeś. Też dobra robota. Dzięki twojej chytrej wymówce dowiedzieliśmy się, że Adderley może nie być aż takim hultajem, za jakiego go mieliśmy.

– Potrzebuję drinka – rzekł Longmore i szybko podszedł do najbliższej karafki. Zawierała sherry, w której nie gustował, ale swoje powinna zdziałać. Nalał sobie do pełna i wypił.

– Przychodził tutaj codziennie – rzekła lady Warford tonem wyjaśnienia.

– Usłyszał o niedyspozycji Clary i bardzo się nią przejął – dodał Warford.

– Kwiaty, moja droga – rzekła lady Warford. – Przynosił ci kwiaty. A także owoce ze swojej oranżerii. Wyglądał na bardzo zmartwionego, prawda, Warford?

– W najwyższym stopniu.

– Powiedział, że rozumie, iż inaczej wyobrażałaś sobie to wszystko, ale powiedział, jak on to ujął... – Lady Warford zamilkła. – Nie pamiętam dokładnie, ale brzmiało to bardzo, bardzo właściwie. Nie zmienia to faktu, że jest bankrutem, a jego matka była, kim była. Lecz ona już nie żyje, a on naprawdę się o ciebie troszczył, Claro. Wierzę, że przy odrobinie pracy będziesz miała z niego pociechę.

Choć Clara wyraźnie osłupiała, zauważyła ostrzegawcze spojrzenie Longmore'a i udała, że poważnie bierze to sobie do serca.

Za to on nie próbował ukryć swojego niedowierzania. Nikt tego od niego zresztą nie wymagał. Pewien był, że zmartwienie Adderleya było szczere. Jeśliby się rozchorowała i zmarła przed ślubem, musiałby poszukać sobie

w pośpiechu innej posażnej panny, a majątki takie, jaki zapewniała mu Clara, nie leżą na ulicy.

– Jeśli ktokolwiek może z niego uczynić mężczyznę, to jest to Clara – rzekł. – Tak czy inaczej, powiedziałem już wcześniej, że musimy w tym położeniu szukać najlepszych stron. Będzie mniej gadania, jeśli wszyscy wydamy się zadowoleni z tego związku. Nie zaszkodzi, żeby towarzystwo się dowiedziało, że w końcu odkryliśmy, iż Adderley nie jest aż tak zły, jak wszyscy przypuszczają. Ja zaś obiecuję obchodzić się z nim grzecznie przy następnym spotkaniu. – Wypił resztę sherry i odstawił kieliszek. – Mogę już iść?

Rozdział 13

By zabezpieczyć honor i zapobiec rozpowszechnianiu się skandalu
wśród parów (...) przez ustne świadectwo, istnieje specjalne prawo,
zwane scandalum magnatum, na mocy którego każdy człowiek oskarżony o to,
że jest autorem ustnego świadectwa skandalu przeciwko
danemu parowi (choćby i prawdziwego), podlega grzywnie
polubownie określonej bądź pozostaje
w zamknięciu do czasu zapłaty tej grzywny.
Herbarz Anglii, Szkocji i Irlandii Debretta (1820)

Wyłącznie dla „Porannego Zwierciadła" Foxe'a,
środa, 10 czerwca

Doszło do naszych uszu, że w tym tygodniu przybyła do Londynu tajemnicza Nieznajoma Dama z Francji. Jak nam oznajmiono, skrzynie zawierające garderobę damy były tak liczne, że wymagały wynajęcia prywatnego statku. Zapowiada to długi pobyt damy na naszej zielonej i pięknej wyspie. O tym, w czyich włościach dama ta będzie rezydować, w jakim celu przybyła i – zwłaszcza – o tym, kim jest, mamy nadzieję powiadomić czytelników z właściwą nam skwapliwością.

Teatr Królowej,
środa wieczorem

Wszyscy w Londynie wiedzieli, że książę Clevedon poznał madame Noirot w operze w Paryżu. Tego wieczoru jednak po raz pierwszy ukazała się ona w teatrze w Londynie, a okazja ta nie pozostawiła wątpliwości

u nikogo z publiczności, zwłaszcza jej męskiej części, co do tego, czemu książę Clevedon tak zagustował w damie.

Był to pierwszy raz, kiedy zgromadzenie Tych, Którzy Się Liczą, w ogóle ją zobaczyło. Choć znała już ją garść klientek Maison Noirot, były to głównie damy z warstwy szlacheckiej oraz niższych kręgów arystokracji. W ogólnej hierarchii mieli mniejsze znaczenie.

Mało tego, jego książęca mość wprowadził do swojej loży nie jedną olśniewającą damę, ale dwie – Marcelline oraz jasnowłosą tajemniczą piękność.

Lady Warford, siedząca po drugiej stronie sali teatralnej, uparcie nie odrywała wzroku od sceny, odmawiając przyjęcia do wiadomości istnienia nowej księżnej Clevedon.

Clara jednakże przyglądała się jej bardzo pilnie. Lorda Adderleya, który posłusznie siedział przy niej, grając rolę troskliwego narzeczonego, zapytała mimochodem:

– Wie pan może, kim jest ta dama obok księżnej Clevedon?

Adderley spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie zna jej pani? Myślałem, że to kolejna z sióstr. Czyż jedna z nich nie jest właśnie blondynką?

– Siostry są niezamężne, a ta dama nosi suknię mężatki – rzekła Clara. – Zamężnej Francuzki, jak mi się zdaje.

Longmore, który siedział za narzeczonymi, odezwał się:

– Francuzki? Możesz to stwierdzić, patrząc z tak daleka? I to bez lornetki...

– Och, to się wie od razu – rzekła Clara. – My, Angielki, możemy nosić dokładnie to samo co Francuzki, ale w jakiś sposób od razu wiadomo, że jesteśmy Angielkami. – Odwróciła się, by napotkać wzrok swojego brata. – Byłeś w Paryżu, Harry. Zgodzisz się ze mną?

Matka chrząknęła znacząco i posłała dzieciom napominające spojrzenie. Oboje udali, że tego nie dostrzegli.

– Ja zaś mogę być tylko pewien tego, że wprawiła cały teatr we wrzenie – zauważył Longmore. – W ogóle nie słyszy się artystów, co nie zawsze jest problemem, chociaż byłoby lepiej, gdyby uczyniła to w czasie jakiejś długiej i nudnej niemieckiej opery, a nie *Wioślarza*. Niemniej artyści będą musieli trochę bardziej się przyłożyć. Wierzę, że w przerwie uda mi się dopaść Clevedona i zmusić go, by przedstawił mnie tej damie. A wtedy

powiem wam wszystkim, kto jest odpowiedzialny za to zamieszanie. Przynajmniej raz będę o parę godzin szybszy niż „Zwierciadło”.

Wiedząc, że wielu innych dżentelmenów powędruje w tym samym kierunku, opuścił rodzinną lożę na parę minut przed rozpoczęciem przerwy i wszedł do loży Clevedona przed całym stadem.

Skłonienie głową w stronę przyjaciela wystarczyło za grzeczne przywitanie.

– Pobiłem wszystkich innych o długość konia – pochwalił się.

– Tego się po tobie spodziewałem – rzekł Clevedon. – Potrafisz być szybki, kiedy ci zależy.

Longmore zwrócił się teraz do Marcelline:

– Zanim zjawią się tutaj hordy, księżno, czy byłaby pani tak łaskawa i przedstawiła mnie swojej towarzyszce?

– Madame de Veirrion, pozwoli pani, że przedstawię jej lorda Longmore’a, bardzo dobrego przyjaciela mojego męża – dokonała prezentacji księżna.

Dama nie zareagowała.

Jej książęca mość powtórzyła zatem to samo po francusku.

– O tak – rzekła Madame. – Przyjaciel od dawna. *Comme un frere, n’est-ce pas*? Lordzie Lun-mour. – Ukłoniła się lekko, a brylanty umieszczone na przybraniu głowy zalśniły.

Jej angielszczyzna była komicznie okropna. Aby ją oszczędzić, Longmore poprowadził konwersację po francusku. Dawało mu to małą przewagę nad większością mężczyzn, którzy po chwili stłoczyli się w loży Clevedona. Choć wielu z nich, w tym Clevedon, mówiło po francusku poprawnie, jak przystało na dobrze wykształconych dżentelmenów, był to język wyuczony z wyraźnym angielskim akcentem. Konwersacyjny odpowiednik wyspiarskiej wersji francuskiej sukni, którą opisywała Clara – słowa były właściwe, ale brzmiały z angielska.

Longmore, choć był najgorszym uczniem pod słońcem, jakimś cudem miał zdolności do języków – przynajmniej tych bazujących na łacinie.

– Monsieur de Lun-mour mówi w moim języku jak paryżanin – pochwaliła Madame. – Jak to jest, ja, mój angielski jest głupi. Nie można mnie nauczyć. *Hélas*, próbowali. *Mon mari* – mój małżonek tak drogi... – Jej błękitne oczy zaszły mgłą. W upierścienionej i ozdobionej bransoletami

ręce pojawiła się koronkowa chusteczka, którą otarła łzy. – *Ce pauvre Robert!* Próbuje i próbuje mnie uczyć. I co? Jestem nieukiem.

Wszyscy dżentelmeni jęli ją zapewniać, że jest wręcz przeciwnie.

Kiedy się uciszyli, Longmore przemówił:

– Jest pani czarującym i pięknym nieukiem, Madame. Tak – ciągnął po francusku – czarująca i piękna kobieta uniknie oskarżenia o morderstwo. Czy wyobraża sobie pani, że którykolwiek z nas mógłby oskarżyć ją o zamach na nasz język?

* * *

Longmore zostawił Madame i jej koterię wkrótce przed zakończeniem przerwy i wrócił do rodzinnej loży.

Wzrok jego matki ciskał sztylety – i nic dziwnego. Dołączyła do niej bowiem lady Bartham, która nie omieszkała wetrzeć soli we wszystkie znalezione i rozdrapane rany swej towarzyszki.

– Tak jak wydedukowałaś, to francuska dama – rzekł siostrze Longmore, nie zadając sobie trudu, by zniżyć głos. Obie starsze kobiety przerwały rozmowę. – Madame de Veirrion. Przyjaciółka księżnej z jej paryskich lat. Wdowa – zamożna wdowa, powiedziałbym. Nie jestem znawcą, ale suknia damy wydała mi się szalenie kosztowna. Biżuteria jest łatwiejsza do oceny. Pewne jest, że nie nosi imitacji.

Lady Bartham przyłożyła lornetkę do oczu i zaczęła starannie studiować francuską damę.

Po krótkim wahaniu jego matka uczyniła to samo.

– Wdowa, powiadasz, Longmore?

Zawsze pilnowała, by przy lady Bartham używać tytułu wobec starszego syna. Przyjaciółka miała dwie gotowe do zamęścia córki, ciemnowłose i zbyt kościste jak na jego gust.

– Całkiem młoda wdówka – rzekł Longmore. – I mówi tragicznie po angielsku.

– Dla ciebie to żaden kłopot – zauważyła Clara.

– Bez wątpienia – wtrącił się Adderley. – Języki obce to pańska mocna strona. Języki i karcący cios. – Uśmiechnął się dobrodusznie i potarł szczękę. Siniec wciąż było widać. – Dobrze mi zrobił – przyznał ciszej.

Właśnie to powinien był powiedzieć mężczyzna, jeśli chciał zawrzeć pokój z rodziną, do której się wżeniał. Czynił to tak zręcznie, że ktoś mniej od Longmore’a cyniczny mógłby mu uwierzyć.

– Spędziłeś tam sporo czasu – zauważyła Clara.

– Jest śliczna i kaleczy angielski w bardzo czarujący sposób – powiedział.

– Widać, że ma w sobie coś wyjątkowego – zauważyła lady Bartham. – Zdaje się, że zaczarowała wszystkich dżentelmenów.

– Francuzki często tak robią – rzekła ponuro lady Warford.

– Myślę, że książę będzie musiał wezwać posiłki, aby uspokoić tłumy – zażartowała Clara.

– Bez wątpienia dama wywołała poruszenie – rzekła lady Bartham. Przeniosła spojrzenie surowych orzechowych oczu wprost na Longmore’a. – Ale kim ona jest?

* * *

Wyłącznie dla „Zwierciadła Porannego” Foxe’a,
czwartek, 11 czerwca 1835 roku

Kim ona jest? To pytanie zawisło na ustach wszystkich, kiedy to wczorajszego wieczoru tajemnicza nieznajoma pojawiła się w Teatrze Królowej, ubrana w atłasową czarną suknię o kroju à la Sevigné ozdobioną rzędem czarnych kokard. Rękawy przyozdobione nœuds de page *były bardzo pełne, z podwójnymi marszczonymi falbanami z białego atłasu. To, co w pierwszej chwili zdawało się spódnicą, było artystyczną iluzją stworzoną przez warstwę złotego atłasu posypanego brokatem.*

Wasza korespondentka dowiedziała się z najlepszego źródła, że Madame de V... jest potomkinią francuskiego księcia, którego rodzina przez długi czas związana była z dworem dynastii Burbonów, a który zmarł tragicznie, jak wielu członków ancien régime, *pod ostrzem gilotyny. Zważywszy obecne niepokoje w Paryżu, nie można się dziwić, że dama, pozbawiona w tym roku opieki troskliwego małżonka, za namową doradców postanowiła przenieść swoją znaczną fortunę – jak nam powiedziano, porównywalną z fortuną księcia C. – na spokojne ziemie Jego Brytyjskiego Majestatu. Powiedziano nam, że dama na stałe zamieszka w Londynie. Tymczasem wynajęła apartament w jednym z hoteli opisywanych w „Obrazie Londynu Cruchleya" jako „udzielający schronienia zagranicznym potentatom i osobistościom podróżującym* incognito*". Z wiarygodnego źródła wiemy także, że dama owa była pierwszą patronką obecnej księżnej C. podczas długiego pobytu jej książęcej mości w Paryżu i że zarówno Madame, jak i zmarły monsieur de V. należeli do ówczesnych znajomych księżnej.*

Następnie, po ogólnych plotkach, zwyczajowych wieściach z dworu królewskiego, komentarzach na temat ucieczki Sheridana i panny Grant, a także zabawnych anegdotach, na samym końcu kolumny poprzedzającej stronę z ogłoszeniami, ukazała się następująca notatka:

Wczorajszego wieczoru zaobserwowaliśmy pewnego lorda w towarzystwie damy, którą ma poślubić za dwa tygodnie. Miło nam zaanonsować, że dama zdaje się w pełni sił po ostatniej słabości. Niestety, tego samego wieczoru, a może dokładniej – we wczesnych godzinach porannych – jego lordowską mość zauważono w jaskini hazardu o wątpliwej reputacji, z której wyszedł długo po wschodzie słońca. Dla tych wszystkich – a zaliczamy się do nich – którzy życzą damie, pomimo nieprzyjemnych okoliczności poprzedzających zaręczyny, szczęśliwej przyszłości, jest to w najwyższym stopniu niepomyślny obrót wypadków. Mieliśmy nadzieję, iż po zdobyciu ręki owej pięknej damy jego lordowska mość okaże wdzięczność postanowieniem, by pójść i nie grzeszyć więcej. Wierzyliśmy, że, odpokutowawszy swoje błędy, zamyśli się także nad błędami swoich przodków i porzuci je dla dobra damy, o ile nie dla własnego honoru – aby odbudować godność rodowego nazwiska. Jak nasi czytelnicy zapewne wiedzą, ojciec jego lordowskiej mości otrzymał tytuł barona za usługi wyświadczone Jego Królewskiej Mości. Do usług tych zaliczały się niemałe pożyczki, w tym także użyczenie na czas nieokreślony własnej pięknej żony. Fortuna od tamtej pory trwoniona jest nieustannie przy hazardowym stoliku. Zadumać się wypada nad pobudkami, a także rozsądkiem kogokolwiek, kto

zachęca jego lordowską mość do dalszych fanaberii, prolongując mu na nie kredyt.

* * *

Salon, rezydencja Warfordów,
czwartek po południu

Jak większość z towarzystwa, lord Adderley przeczytał „Poranne Zwierciadło” przy porannej kawie. Zaklął soczyście i jął obrażać zarówno swojego osobistego służącego, jak i każdego innego, kto miał nieszczęście znaleźć się tego dnia na jego drodze. Po wprawieniu domowej służby w stan, w którym poprzysięgli mu okrutną zemstę, pośpieszył do miasta, aby pokazać się narzeczonej. Tam zaczął łgać w żywe oczy – produkując stosownie urażone zaprzeczenia.

Obraźliwy dokument zabrał ze sobą. Pokazał się w salonie, gdzie oczekiwała na niego przyszła małżonka, i rzucił gazetę na stół w teatralnej scenie słusznego gniewu.

– Nie wiem, jak tym łotrom ze „Zwierciadła” uchodzi na sucho drukowanie takich plugawych kłamstw – rzekł zirytowany. – Trzeba im dać nauczkę. Już dawno temu powinni stanąć przed sądem za te bzdury. Gdyby Tom Foxe był dżentelmenem, wyzwałbym go na pojedynek. Skoro nie jest, będę nalegał, by go aresztowano.

Lady Clara wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze i westchnęła:

– Ludzie potrafią być tak niegodziwi. Wyłapują zupełnie niewinne rzeczy i przekręcają je w coś hańbiącego. Wyolbrzymiają wszystko, co słyszą i widzą. Lecz „Poranne Zwierciadło” nigdy przecież nie publikuje nazwisk, prawda? A w takim razie nikt, kto to przeczyta, nie uwierzy, że chodzi o pana.

– Czyżby? – Zmarszczył brwi, patrząc na gazetę. Choć nigdy nie uważał lady Clary Fairfax za szczególnie bystrą, przypuszczał jednak, że potrafi dodać dwa do dwóch.

– Z pewnością nie – rzekła. – Harry powiedział, że nawet człowiek o mizernej inteligencji ma na tyle rozumu, by tam nie grać. To doprawdy ohydne miejsce, zupełnie jak Putney Bridge, tak powiedział.

Policzki jęły go palić.

– Longmore był tutaj i mówił o tym? – Wskazał brukowiec.

– Och, często kupuje egzemplarz „Zwierciadła” w drodze do domu skądś tam, dokąd zachodzi po teatrze lub przyjęciu – powiedziała. – Był tu przed chwilą. Wybierał się do Madame de Veirrion. Zamierza ją przekonać, by z nim gdzieś wyjechała. Jak pan sądzi, czy to osoba godna szacunku?

Nie, jeśli zamierza wyjechać z twoim bratem, pomyślał.

– Nie słyszałem, by było inaczej – powiedział na głos.

– Myślę, że musi być przyzwoita – ciągnęła lady Clara. – Jest przyjaciółką księżnej Clevedon, a i książę z pewnością dobrze ją poznał w Paryżu. Nie wyobrażam sobie, by zabrał ją do teatru, gdyby nie była godna zaufania.

– Clevedon zdaje się nie przejmować tym, co pomyślą o nim inni – zauważył.

Clara była zbyt taktowna, by wytknąć mu, że z rocznym dochodem sięgającym setek tysięcy książę Clevedon mógł sobie na to pozwolić.

– Przejmuje się tym, co mówi się o księżnej i jej córce – rzekła Clara. – Nawet król i królowa ją uznali. Na pewno nie życzyłby sobie, by powiązanie z niewłaściwymi osobami naraziło na szwank jej pozycję.

– Byłoby to niemądre, zgadzam się.

– Jeśli dama jest przyzwoita, mama będzie zachwycona. Małżonek Madame zostawił jej wszystko. Mama nie ma nic przeciwko temu, że jest wdową. Bała się, że Harry skończy, żeniąc się z jakąś tancerką baletową albo ze służącą z tawerny.

Twarz Adderleya zapłonęła. Pochodzenie jego matki było drażliwym punktem. Była córką właściciela karczmy – kochanką króla, jak wiele ,,przyzwoitych” kobiet. Niestety, została nią już po jego narodzinach. Nikt nie zwracał uwagi na bękarty, o ile były królewskimi bękartami. Bycie potomkiem króla to prawdziwa gratka. On jednakże był potomkiem karczmarza i ciemnej wiejskiej szlachty. W jego żyłach nie płynęła choćby kropla monarszej krwi.

– Małżeństwo? – spytał zdziwiony. – Longmore? To nie do pomyślenia. Czyżby to zaszło aż tak daleko?

Clara wzruszyła ramionami.

– Któż to może wiedzieć? Zdaje się jednak, że jest w niej bardzo zadurzony. A znasz przecież Harry’ego, zawsze rzuca się na głowę, bez

namysłu... – przerwała, zanosząc się kaszlem. Położyła sobie dłoń na czole.

Był to drobny, nieświadomy gest, ale wystarczył, by przypomnieć mu, że niedawno była chora – tak chora, że jej dom był zamknięty dla niemal wszystkich przez trzy dni. Podszedł do niej i ukląkł przy fotelu.

– Moja droga, nie czuje się pani dobrze?

Opuściła rękę.

– Nie, trochę... och, to nic, tylko przez całą wieczność nie wychodziłam z domu, na to wygląda. Potrzebuję świeżego powietrza. Chyba każę sobie przygotować kabriolet i przejadę się wokół parku.

– Nonsens – powiedział. – Jeśli życzy sobie pani świeżego powietrza, z radością ją przewiozę. Proszę tylko kazać sobie przynieść kapelusz i szal.

* * *

Nie nadeszła jeszcze godzina, o której elegancki świat wylegał do Hyde Parku, kiedy lord Longmore skierował tam swój karykiel. Słuchał swojej jasnowłosej towarzyszki. Paplała coś łamaną angielszczyzną tak dziwacznie, że nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, chociaż nie był w najweselszym nastroju.

– Ma pan za wiele w głowie – mówiła Madame. – Jedna część milorda poświęca mi uwagę. Druga część zaś spoczywa w innym miejscu. Skłonna jestem się pytać, czy to ja go tak znudziłam?

– Zaczynam sobie życzyć, co jest dość dziwne, żebyś była nieco nudniejsza – rzekł. – Zapewniasz mi więcej wrażeń, niż mogę znieść. Ostatniego wieczoru... – Pokręcił tylko głową.

– Ale nic nie dałeś po sobie poznać!

Popatrzył na nią.

– Zwiodłaś całe towarzystwo z zapierającą dech w piersiach łatwością. Przysiągłbym, że kobiety, które musiały patrzeć ci prosto w twarz niezliczoną ilość razy, kiedy poprawiałaś im kokardy, powinny cię rozpoznać nawet z drugiego końca sali. Kilku mężczyzn, którzy przyszli do loży, było przecież w klubie White’a tego dnia, kiedy stałaś w deszczu na St. James, podarowując im widok sztywnej halki i kostek.

– Ludzie widzą to, czego się spodziewają – powiedziała. – W sklepie jest to krawcowa lub stylistka. W miejscu, w którym nikt się ciebie nie

spodziewa, można co najwyżej wydać się z lekka znajomym.

Jej fałszywy głos, nieprawdziwy akcent i poplątana angielszczyzna znikły. W tym także była doskonała – z łatwością zmieniała osobowości i twarze.

– Właścicielki sklepu są jak służba, niewidzialne – ciągnęła. Służący to inna historia. Oni rozpoznawali wszystkich i wszędzie. Gdyby było inaczej, Madame mogłaby rezydować w domu Clevedona, a Longmore miałby nieco mniej zmartwień. Nie wchodziło to jednak w grę. Nie można było oczekiwać, że służba dużego domu dotrzyma tajemnicy w jakiejkolwiek sprawie. Założyła więc kolejną maskę i wynajęła francuską służbę w zaufanej agencji. Z czasem „Poranne Zwierciadło” wyjaśni okoliczności, w jakich opuściła Francję. Będzie to, w co nie wątpił, mrożąca krew w żyłach historia zdrady, rejsu pod osłoną nocy, a także wyczerpującej ucieczki przed wrogami.

Potrząsnął głową.

– Nadal trudno to przełknąć – ci sami mężczyźni, którzy gapili się na ciebie przez okno w klubie White’a, prześcigający się w dowcipie i próbujący cię zauroczyć po francusku.

– Bo scena była świetnie przygotowana – rzekła. – Wszystko, czego potrzebowaliśmy, to żebyście ty i lady Clara udawali, że mnie nie znacie.

– Clara zrobiła to tak sprytnie, by nie skłamać wprost, jak zauważyłem.

Rola Clary była jednak zaledwie epizodem. To Sophy grała pierwsze skrzypce. To ona musiała przybrać nową tożsamość – skupiając na sobie uwagę całej publiczności.

Uczyniła to z talentem i pewnością, która pozbawiła go tchu. Przyszło jej to tak łatwo. Ona jest w swoim żywiole, pomyślał

– Wspaniale zagrałeś swoją rolę – rzekła. – Tak dobrze, że prawie wybiłeś mnie z rytmu. Nadal jestem poruszona twoją doskonałą francuszczyzną.

– Zasłużyłem dzięki temu na pochlebstwo Adderleya. – Wzruszył ramionami. – Miał nawet czelność skomplementować mój sierpowy i przyznać, że na niego zasłużył.

– On powie wszystko – zauważyła. – Jest w ciężkich tarapatach.

To była jedna ze spraw niepokojących umysł Longmore’a.

– I zrobi wszystko – rzekł. – Łaskawie to sobie zapamiętaj. Pamiętaj także, że nie jest głupi. Lepiej na siebie uważaj.

– Nie mogę uwierzyć, że dajesz mi rady, jak grać. – Nastroszyła się. – Zapomniałeś już nasz dzień u Pretensji?

– To zupełnie co innego.

– Zupełnie to samo – zaoponowała. – Udaję kogoś, kim nie jestem. Cały czas to robię. Udaję, że nie mam ochoty spoliczkować klientki. Udaję, że ona nie jest idiotką. Udaję, że uwielbiam zmieniać wstążkę po raz czternasty tylko dlatego, że klientka nie wie, co jej się podoba albo czego chce, dopóki nie wypowie się w tej kwestii wszystkich trzydzieści przyjaciółek.

– To nie kobiety w sklepie – zauważył.

– Jestem tego w pełni świadoma. Zapomniałeś już, czyj to był pomysł? Zapomniałeś, że pochwaliłeś ten plan jako doskonały?

– Kiedy mi o tym powiedziałaś, byłaś półnaga – bronił się. – W takiej chwili każdy plan uznałbym za doskonały.

– Cóż, powinieneś był to sobie wyryć głęboko w umyśle.

– Nic podobnego. To było, zanim Clevedon zdradził nam parę brzydkich szczegółów o Adderleyu.

Kiedy oni ruszyli w pościg za Clarą, Clevedon przeprowadził swoje własne rozpoznanie. Dowiedział się, że długi lorda Adderleya są znacznie większe, niż głosiła plotka, a plotka wspominała o bardzo wysokiej sumie. Niektórzy jego wierzyciele posuwali się do śledzenia go. Nie byłby bowiem pierwszym dżentelmenem, który przed długami salwuje się ucieczką do Calais czy innych części kontynentu.

– Zawarł umowy także z lichwiarzami – rzekła i lekceważąco machnęła ręką. – Wiem coś o nich.

– Ich metody nie zawsze są eleganckie – zauważył.

– Wiem, jacy są – rzekła.

– To bynajmniej nie nieszkodliwi głupcy, jak ci wynajęci przez Pretensję.

Westchnęła z irytacją.

– Powiedziałam ci, że wiem. Nie masz pojęcia, z czym miałyśmy do czynienia w Paryżu.

– Nie wiem – zgodził się. – Coraz jaśniej jawi mi się, jak niewiele o tobie wiem.

... poza tym, że miała idealne piersi, a pośladki znacznie więcej niż idealne, a kiedy się kochała, była w tym zupełnie uczciwa.

Oraz że zbyt wiele czasu spędził, pracując nad kwestią, jak z powrotem wciągnąć ją do swojego łóżka.

Popatrzył w dal. Zbliżał się powóz Adderleya.

– Ja tylko proszę, żebyś nie była nadmiernie pewna siebie – powiedział. – Nie chcę, byś miała z tego powodu kłopoty.

– Nie wiesz, do czego jestem zdolna – powiedziała. – Nie jestem twoją siostrą. Nigdy nie żyłam pod kloszem. Nie masz pojęcia, czego trzeba, aby założyć pracownię, która odniesie sukces. A teraz przestań przejmować się wierzycielami Adderleya, nieuczciwymi lichwiarzami i zostaw go mnie. Musisz mi zaufać i wiedzieć, co robię, abyś mógł skupić się na swojej roli. Musisz być Longmore'em, który zadurzył się w Madame de Veirrion. Popatrz na mnie. Jestem Madame.

Odmieniła się.

Patrzenie na nią było niczym objawienie. Kiedy drugi powóz się zbliżył, jej zachowanie uległo gwałtownej zmianie – postawa, sposób, w jaki gestykulowała, nawet twarz. Wszystko to zdarzyło się znacznie szybciej, niż dałoby się opisać.

Tym razem nie miała na sobie przebrania – ani przydymionych okularów, aby zakryć głęboki błękit oczu, ani sztucznych pieprzyków, które miały skalać jej perfekcyjną cerę, ani też żadnych mikstur do przyszarzenia złotych włosów. Ubrana była znacznie drożej i bardziej ekstrawagancko niż zwykle – a był to nie lada wyczyn – lecz twarz miała odsłoniętą i bez upiększeń.

Mimo to stała się kimś innym, jakby pod swoim władaniem miała sto dusz i potrafiła zmieniać je, jak zmienia się kapelusze.

Jakimś sposobem, za pomocą siły swej osobowości, sprawiała, że świat wierzył w iluzję, jaką tworzyła.

Miała słuszność, przynajmniej częściowo: musiał przestać myśleć o pysznej i kłopotliwej łamigłówce w osobie Sophy Noirot, a skupić się na powabie Madame de Veirrion.

Wjechał przez bramę Cumberland w północno-wschodniej części parku po to, by ,,przypadkowo" spotkać się tam z drugą parą. Londyńskie eleganckie towarzystwo zazwyczaj wchodziło do parku od strony Hyde Park Corner, tworząc wielki ścisk w południowo-wschodniej części. Celem Longmore'a i jego towarzyszki było stworzenie wrażenia, że właśnie wyjeżdżają.

Kiedy zaprzęgi przystanęły obok siebie, Longmore dokonał prezentacji.

Clara wykazała się stosowną dozą kobiecego zainteresowania osobą Madame.

Adderley wykazał się ciekawością w męskim wydaniu – próbował ocenić walory Madame pod pelerynkami i gigantycznymi rękawami sukni bez zdradzania się z tą ciekawością. Naturalnie jednak dla Longmore'a i każdego innego mężczyzny było oczywiste, że Adderley otaksował jej doskonale kształtną sylwetkę i zabawił z tym odrobinę dłużej, niż było trzeba. Uczynił gigantyczny wysiłek, by nie okazać swego zainteresowania – trzeba mu było oddać tę niewielką zasługę – Madame jednak przykuła jego uwagę. Był jak nieświadoma niczego ryba niezdająca sobie sprawy, że sieci już zostały zarzucone.

Longmore widział ostatniej nocy, jak zawładnęła uwagą jego przyjaciół. Dziś po południu obserwował, jak od niechcenia zarzuca przynętę – jak patrzy na Adderleya z ukosa, jak przechyla głowę, a to się porusza, a to się uśmiecha. Złapała go na haczyk po pięciu minutach. W oczach Adderleya pojawił się błysk zadumy i zaczął się między nimi niemy dialog. Longmore'a zaczęła boleć głowa od udawania, że tego nie dostrzega.

Madame przez cały czas konwersowała głównie z Clarą. Starała się, by wyglądało na to, że chce się jej przypodobać. A Clara, wysłuchująca z poważną miną łamanej angielszczyzny Madame, wydawała się całkowicie nieświadoma milczącej gry między Madame i Adderleyem.

– Jestem zbytnio... oj, jakie jest słowo, którego chcę użyć? – Madame zmarszczyła się ładnie. – Iść do przodu zbytnio. O, za daleko. Posuwam się za daleko, tak? Czyli że jestem zuchwała.

– Ależ skądże – zaprotestował z galanterią Adderley. Podstępny, przebiegły wieprz.

Madame udawała, że tego nie zauważyła, pochłonięta rozmową z Clarą.

– Lecz moja panno Claro, powtarzam wciąż: któż to wie, co nadejdzie? Dziś jesteśmy zadowoleni, szczęśliwi. Następnego dnia ktoś, kogo kochamy tak bardzo – paf! – odchodzi. To właśnie przyszło do mojego życia. Jednego dnia tyle radości i pokoju. Kolejny dzień mija – wszystko złość. *Mon époux*, on zmarł. Wtedy Paryż oszalał. Któż może powiedzieć, co przyjdzie?

– Nie ja, z całą pewnością – pośpieszył z odpowiedzią Longmore.

– Czas, on od nas ucieka – oznajmiła. – Nie nadąża się. – Zamknęła oczy. – To nie jest poprawne słowo.

– Słowo, którego pani brakuje, Madame – wtrącił Longmore – brzmi „czekać”. – Nauczył się już jej sztuczki używania angielskich słów, które brzmiały jak francuskie, ale ich znaczenie w obu językach się nie pokrywało. – Jak sądzę, miała pani na myśli, że ponieważ czas nie czeka na nas, pani nie będzie czekać na czas.

– Szczera prawda – potwierdziła Madame. – Śpieszę się. Moja panno Claro – *la très belle sœur* lorda Lun-moura – pozwól, że się poznamy. Pozwól, żebyśmy spotkały się znowu. – Posłała powłóczyste spojrzenie Adderleyowi. – Jutro, dobrze? Idziemy na wystawę obrazów w… Jakie to miejsce, lordzie Lun-mour?

– W Instytucie Brytyjskim – przyszedł jej z pomocą.

– Właśnie – rzekła Madame. – Przekonałam lorda Lun-moura, żeby mi towarzyszył, żebym ubóstwiła sztukę.

– O tak, chciałabym tego nade wszystko! – zawołała Clara. Nie wpadła w histeryczny śmiech ani też nie wspomniała, ile to razy jej brat mawiał, że prędzej da sobie oczy wypalić gorącym pogrzebaczem, niż wmiesza się w tłum snobów, wlepiających wzrok w malowidła i czyniących na ich temat nadęte i nieuchronnie błędne komentarze.

Zwróciła się tylko w stronę Adderleya z wyrazem współczucia na twarzy i spytała:

– Lecz może dla pana będzie to nudne, lordzie Adderley? Jeśli tak, nie ma potrzeby wystawiać pana cierpliwości na próbę. Mój brat z łatwością posłuży za eskortę dla dwóch dam. Pożyczymy od papy lando.

– Milorda nie bawi ubóstwianie obrazów? – spytała Madame, spoglądając na Adderleya i wdzięcznie wydymając usta.

– W towarzystwie dwóch tak pięknych i czarujących dam przyjemność sprawiłoby mi nawet patrzenie na posadzkę – rzekł Adderley.

* * *

Wyłącznie dla „Porannego Zwierciadła” Foxe’a,
piątek, 12 czerwca

Interesujący zbieg okoliczności? Do naszego korespondenta trafiła intrygująca informacja. Dowiedzieliśmy się ostatnio, że zaledwie na parę dni przed przyjęciem urodzinowym u króla pewnemu dżentelmenowi odmówiono dalszego kredytu u wielu przedsiębiorców, gdzie zastawione miał istotne sumy. Jak wszyscy wiemy, nasi krawcy, dostawcy artykułów wyposażenia wnętrz, tytoniu, win, szewcy i wielu innych bardzo często za swój obowiązek poczytują czekać miesiącami, a nawet latami na swoich dobroczyńców, by popłacili rachunki. Zmarły król jegomość, jak pamiętamy, zostawił dziesiątki tysięcy funtów długów. Do jakiej zatem ostateczności przywiedziony być musi kupiec, aby odmówić dalszego kredytu jednemu ze swoich lordowskich patronów, możemy się jedynie domyślać. Nie trzeba zbytnio łamać sobie głowy, by dostrzec powiązanie pomiędzy takim obrotem sprawy a doprowadzeniem do pośpiesznych zaręczyn owego lorda, następstwa zdradzieckiego okrycia niesławą pewnej damy. Dama, o której mowa, jak wszystkim wiadomo, wniesie do małżeństwa posag, który wynosi blisko sto tysięcy funtów.

* * *

Popołudnie

Była to doroczna letnia wystawa starych mistrzów w Instytucie Brytyjskim, przedstawiająca prace z kolekcji każdego, kto się liczył, począwszy od Jego Królewskiej Wysokości, poprzez licznych książąt, diuków, markizów, po hrabiów czy lordów. Uprzywilejowani wzięli udział w oglądaniu wystawy poprzedniej soboty, w poniedziałek zaś otwarto ją dla publiczności.

Pomimo swojej awersji do pretensjonalnych snobów, szurających koło zatęchłych dzieł sztuki, lord Longmore mógł odnaleźć nieco rozrywki w malowidłach przedstawiających sceny bitewne i makabryczne obrazy śmierci.

Nie był w dobrym nastroju. Wkrótce po ich przybyciu na miejsce Adderley i Madame zaczęli zostawać w tyle za nim i jego siostrą. Teraz oddalili się tak, by nie było ich słychać, choć nadal pozostawali w polu widzenia. Adderley stał bardzo blisko Madame, kiedy pozornie rozprawiali o numerze pięćdziesiątym trzecim: ,,Kobieta przyłapana na cudzołóstwie" Rocco Marconiego.

– Miałeś w ręku „Zwierciadło", jak przypuszczam – powiedziała Clara, wyciągając go z mrocznie radosnej fantazji, której centralnym punktem było wybicie Adderleyowi zębów.

– Jak cała reszta świata – rzekł.

– Adderley się wściekł – rzekła. – Mieliśmy kolejne przedstawienie, kiedy przyszedł, by mnie odebrać. Grozi, że aresztują Foxe'a za *scandalum magnatum*. Udawałam współczucie, ale powiedziałam, że tydzień przed ślubem to nie najlepszy czas, by wplątywać się w procesy sądowe. Powiedziałam mu, że papa jest zdania, iż Foxe'a nie można skazać, bo nie podał żadnych nazwisk. Papa stwierdził też, że jeśli nasz król nie był w stanie aresztować każdego człowieka, który opisał jego skandale, to taki nikt jak Adderley też nie ma na to szans.

– Taki nikt jak Adderley – powtórzył Longmore. – Rzuciłaś mu coś takiego w twarz?

Skierowała na niego niewinne spojrzenie.

– Ja tylko powtórzyłam to, co powiedział papa.

– Jesteś bez serca – skwitował.

– Tak. Ośmielę się rzec, że teraz zwierza się ze zgryzoty Madame. – Clara spojrzała w ich stronę. – Wygląda na bardzo współczującą, nie sądzisz?

Madame wpatrywała się w Adderleya, słuchając go pilnie, a urękawiczoną dłoń trzymała na bardzo obcisłym staniku.

– Minęła się z powołaniem – zauważył Longmore. – Miejscem dla niej jest teatr.

– Zdumiewające, że możesz patrzeć na nich z tak poważną miną – rzekła Clara. – Ona jest przezabawna, prawda? Taka bystra, a wydaje się, że ma pusto w głowie. Kocham ją.

– Którą ,,ją" masz na myśli?

– Obie. – Wzrok Clary spoczął na bracie. – Wydaje mi się, że nie bawisz się zbyt dobrze.

– Tu nie chodzi o moją dobrą zabawę – wyjaśnił. – Ten człowiek poluje na moim terenie. To teatr. Powinienem słać im podejrzliwe spojrzenia. – To akurat okazało się niezwykle proste. – A potem, gdy wyczerpie się moja cierpliwość, mam odbyć zajadłą sprzeczkę z Madame.

– Doskonale – pochwaliła. – Rzuci się w jego ramiona na pocieszenie.

Powinno to być bardzo zabawne. Lecz nie było.

– Tak. Taki jest plan.

Ruszył w ich kierunku.

Rozdział 14

Instytut Brytyjski. Niczym pielgrzymi docierający do miejsca
kultu z uwielbieniem zmieszanym z lękiem i drżeniem, tak i my witamy
letnią wystawę prac starych mistrzów w Instytucie Brytyjskim...
Jest tu sto siedemdziesiąt sześć obrazów (...) i nie ma wśród nich żadnego,
którego posiadanie nie byłoby tak pożądane, jak bywa posiadanie klejnotu.
„The Court Journal”, sobota, 13 czerwca 1835 roku

Chociaż ktoś mógłby pomyśleć, że Adderley nie może wyglądać na bardziej zarozumiałego, on jednak zdołał przejść samego siebie. Przybrał prowokujący uśmieszek, odsuwając się od Madame, której przed chwilą szeptał coś do ucha.

– Lordzie Lun-mour, lady Claro – rzekła Madame ze zbyt niewinnym uśmiechem. – Jesteśmy dla was zbyt wolni.

– Nie ma pośpiechu – uspokoił Longmore. – Obrazy będą tu jeszcze wisieć jakiś czas. My tylko zaciekawiliśmy się, co tak fascynującego znaleźli państwo akurat w tym.

– *Eh bien*, przypomniał mi coś innego i dlatego opowiadam lordowi Add’lee małą anegdotę. – Zarumieniła się.

Naprawdę się zarumieniła.

Longmore wiedział, że posiadała zdumiewające zdolności aktorskie. Pokazywała je co jakiś czas. Wiedział, że potrafi płakać na zawołanie. Potrafi sprawić, by jej oczy wypełniły się łzami, które nie płyną. Nie słyszał jednak o nikim, kto rumieniłby się ot tak.

– Chciałbym ją usłyszeć – rzekł.

Adderley spojrzał na Clarę.

– Obawiam się, że nie jest stosowna dla uszu niezamężnej damy – rzekł.

– Ale jest stosowna dla przyszłego pana młodego? – spytała Clara, unosząc brwi. W oczach miała lód. Było to spojrzenie doprowadzone do perfekcji przez jej matkę.

– Błagam, *ma chère* – moja droga – proszę nie brać tego za obrazę – wtrąciła się Madame. – To tylko pikantny mały żarcik. Lord Add’lee powie go pani po ślubie.

Lodowate spojrzenie Clary spoczęło na obrazie.

– Ciekawe, nieprawdaż, jakąż wielką zbrodnią jest cudzołóstwo, jeśli dopuszcza się go kobieta. Gdy zaś idzie o mężczyzn, to niemal sprawa honoru. Powiem tak – to piękny obraz, ale kompletnie nie w moim guście.

Odeszła, wyprostowana i sztywna, z wysoko zadartym podbródkiem.

– Byłbym ostrożniejszy na pani miejscu, Madame – ostrzegł Longmore. – Ktoś może źle zrozumieć pani... hm... przyjacielską życzliwość.

– Muszę mieć ostrożność? – spytała. – Ach, wy, Anglicy. Tacy sztywni. Ja trochę flirtuję. Czy to szkodzi? To przywilej mężatek.

– Ze względu na okoliczności może to zostać odebrane jako coś więcej niż flirt.

Machnęła ręką.

– Angielskie zwyczaje są takie dziwne. Tutaj wszyscy obdarzają uwagą niezamężne kobiety. Panny flirtują i tańczą, a wszyscy dżentelmeni się za nimi uganiają. We Francji te wszystkie *mademoiselles* siedzą cicho z przyzwoitkami. Muszą milczeć i być skromne jak zakonnice. Zamężne damy zaś oddają się flirtom i romansom, lecz bardzo dyskretnie.

– Nie jest już pani we Francji, Madame.

– Nie aprobuje pan mnie, milordzie? Znajduje pan moje maniery nieuprzejmymi?

– Wprost przeciwnie, znajduję pani maniery nazbyt uprzejmymi – rzekł.

– Co to jednak znaczy? Pod jakim względem jestem zbyt uprzejma? Że rozmawiam z pańskim przyjacielem?

– Z narzeczonym mojej siostry – poprawił Longmore.

– I cóż z tego? – rzekła z beztroskim śmiechem. – Ma pan lęk, że zabiorę go jej? Jeśli zrobię taką rzecz, może to dla niej najlepiej. Gdybym była zaręczoną panną, nie życzyłabym sobie męża, który tak łatwo idzie do innej kobiety. I jeszcze dzieje się to parę dni przed weselem! Ach, cóż. Może to duża przysługa, to, co dla niej teraz robię.

Głos Clary – nie dość głośny, by zrozumieć, co powiedziała, lecz wyraźnie zagniewany – na powrót przyciągnął ich uwagę.

Jej słowa sprawiły, że Adderley stał się bardzo oficjalny. Jego jasną skórę zabarwił ciemny rumieniec, wskutek czego przestał wyglądać anielsko i poetycko.

– No proszę, widzi pan? – rzekła Madame. – Już się kłócą.

– Na to wygląda.

Clara gestykulowała i uniosła wysoko podbródek. Oddaliła się od Adderleya, a każdy jej gest emanował gniewem. Adderley poszedł za nią. Zniknęli za drzwiami.

– Robić scenę zazdrości nie jest mądre – zauważyła Madame. – Rozdrażnia go. Tak krótko przed ślubem to głupie. Tak się odpędza mężczyzn. – Potrząsnęła głową.

– Może on sam rwie się do tego, by go przegoniono – zauważył Longmore.

Znów zaśmiała się charakterystycznie, po francusku, po czym wzruszyła ramionami – również po francusku.

– *C'est la vie*. Jeden traci, drugi zyskuje, czyż nie?

Gdyby nie wiedział – gdyby nie przypominał sobie w myśli, że wie – pomyślałby, że to awanturnica, doświadczona, jeśli idzie o mężczyzn i o świat. Uwierzyłby, że miała mnóstwo kochanków.

Ale nie, miała tylko mnie.

Wiedział o tym. Wiedział, że był pierwszy.

Być może w tym właśnie tkwił problem.

Czyżby stworzył potwora? Czyżby otworzył tamę? Czyżby...

Boże, o czym on myśli? Zachowuje się jak Sophy.

Służący, który pojawił się przy jego boku, wyrwał Longmore'a z lunatycznych rozmyślań.

– Przepraszam, milordzie – odezwał się. – Lord Adderley kazał wyrazić swoje ubolewanie. Mam powiedzieć, że jaśnie pani, pańska siostra, poczuła się niedobrze i wyraziła życzenie udania się do domu.

Longmore rozejrzał się wokół siebie. Sprzeczka z Madame, choć cicha, przyciągała uwagę.

Przedstawienie nie jest skończone, zwrócił się bezgłośnie do publiczności.

Madame potrząsała głową.

– Nie pasują do siebie – rzekła. – Od razu to zobaczyłam.

– Zobaczyła pani, naprawdę? A do kogo, pani zdaniem, bardziej by pasował?

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

– Dziwne, lordzie Lun-mour, ale sama odkrywam, że nie czuję się zbyt dobrze. Jakieś niedobre powietrze jest w tym miejscu. Przygnębiające dla mnie. A może towarzystwo. Myślę, że wolę wrócić do hotelu.

* * *

Wyłącznie dla „Porannego Zwierciadła” Foxe’a,
sobota, 13 czerwca

Coroczna wystawa w Instytucie Brytyjskim przyciągnęła wielu dystyngowanych gości. Ci, którzy odwiedzili ją wczoraj, zaobserwować mogli, prócz dzieł sztuki, także dramat, który rozgrywał się przed obrazami. Pewna świeżo zaręczona para, wspomniana już wcześniej na tych stronach, pokazała się w tym miejscu. Wraz z nią przybyli brat narzeczonej i francuska dama, której jego lordowska mość towarzyszył już kilkakrotnie od momentu jej przyjazdu do Londynu. Przykro nam poinformować, że relacje obu par się popsuły. Nie zaręczymy, że na scenie nie pojawił się zielonooki potwór zazdrości, bo niektórzy goście mogli zauważyć lodowatą atmosferę, która zapanowała pomiędzy obiema damami. Chłód w powietrzu mógł wynikać z faktu, że jeden z dżentelmenów obdarzał znaczniejszą uwagą towarzyszkę swojego przyszłego szwagra niż damę, którą ma lada dzień poślubić. Nie można również nie dodać, że kiedy przyszły pan młody opuszczał scenę, to bynajmniej nie jego narzeczona odprowadzała go zamglonym wzrokiem.

* * *

Maison Noirot,
niedziela po południu

– Nie – oświadczył Longmore. Zmiął papier i wyrzucił go do pustej popielniczki.

– Nie pytałam cię o zgodę – rzekła Sophy.

Stali w pokoju na drugim piętrze, gdzie, jak zauważył, pracowały siostry, każda w zgodzie ze swoim talentem. Tutaj jej wysokość księżna Clevedon projektowała swoje niezwykłe kreacje. Tutaj panna Leonie ślęczała nad księgami rachunkowymi. I tutaj panna Sophy komponowała swoje dramaty modowe, by utrzymać Maison Noirot na pierwszej pozycji w świadomości eleganckiego towarzystwa.

Longmore zastał ją pogrążoną w pracy. Miała atrament na palcach i plamę na policzku. Kręcony złoty pukiel włosów wymknął się spod zapinki i fruwał nad lewą brwią.

– Masz na twarzy atrament – zauważył.

– Nie zmieniaj tematu – powiedziała. – To zaproszenie jest doskonałe.

– To doskonała okazja dla ciebie, byś wpakowała się w tarapaty – zaprotestował.

Zgodnie z liścikiem, który Longmore właśnie wyrzucił, lord Adderley życzył sobie zasięgnąć porady Madame w jakiejś prywatnej sprawie. Czy uczyniłaby mu honor i dała się zaprosić dziś wieczorem na kolację w hotelu Brunswick?

– Nie, właśnie oszczędza nam kłopotów – powiedziała. – Teraz możesz się włamać do jego domu.

Wlepił w nią wzrok.

– Czy te plamy z atramentu zatruły ci mózg? – spytał. – Nigdy nie mówiłaś o włamywaniu się do domu. Czemu, na litość boską, miałbym robić coś takiego?!

– Aby znaleźć dowody przestępstwa.

– Nie znalazłaś już dosyć? – spytał. – Wszystkie te doniesienia, które otrzymałaś od Fenwicka i jego licznych koleżków? Plotki, które odkrył Clevedon? Prywatne raporty finansowe, które dostała panna Leonie, nie zapytam nawet skąd? Czego jeszcze ci trzeba?

– Listów od doktorów opiekujących się jego żoną, która jest zamknięta wbrew swojej woli w domu dla obłąkanych – oświadczyła.

– Co takiego?!

– Przydałoby się odkryć teraz, że ma już żonę – powiedziała. – Najlepiej zdrową, mieszkającą w Irlandii, ale szalona też może być.

– Przydałoby się – powtórzył. – Ale to wysoce nieprawdopodobne. Takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach grozy – szalona żona na strychu albo dawno zaginiony prawdziwy dziedzic tytułu zamknięty w lochu na dwadzieścia lat. W tym przypadku to raczej nieprawdopodobne, choć przykro mi to mówić.

– Potrzeba nam czegoś mocnego – upierała się. – Dla towarzystwa nie ma znaczenia, że dżentelmen tonie po uszy w długach, jest hazardzistą czy bałamuci kobiety. To nie przeważy straszliwej zbrodni lady Clary, która zezwoliła, by pocałował ją i nieco zsunął stanik sukni.

– A co z ostatnią wzmianką w „Zwierciadle” dotyczącą wierzycieli i dziwnego zbiegu okoliczności? – spytał. – Mnie na przykład krew zagotowała się w żyłach. Jestem pewien, że to postawi go w złym świetle w oczach niektórych z wyższych sfer.

– To było niezłe, ale potrzebuję czegoś mocniejszego – oświadczyła. – Listów od wierzycieli i pożyczkodawców. Ciekawych obietnic typu ,,lepiej ożeń się szybko, milordzie, bo inaczej coś może ci się stać”. Coś w tym rodzaju.

Chwilę zajęło, by jego umysł uspokoił się na tyle, by przemyśleć to, co mówiła. Miała swój sposób na wciąganie ludzi w wartki nurt dramatu, który wypełniał jej twórczy umysł.

Szybko uporządkował fakty i spytał:

– Sophy, jaki głupiec dałby coś takiego na piśmie? I jaki imbecyl by to przechowywał?

– Zdziwiłbyś się – powiedziała. – Większość przestępców nie ma zbyt bystrych umysłów. Są jak wiewiórki, które nie myślą o niczym innym, tylko o orzechach i o orzechach, i o tym, jak dostać więcej orzechów. Lichwiarz na przykład wcale nie musi być geniuszem finansowym. Wystarczy, że jest dobry w zbieraniu wielkich stert orzechów. Spytaj Leonie. Ona ma wielką głowę do finansów, ale większość z nich...

– Sophy...

– Adderley też nie jest zbyt bystry – rzekła.

– Ani ja – przyznał. – Jestem za to zdolny do uwiedzenia kobiety, jeśli postawię to sobie za cel, a on...

– Jesteś znacznie bystrzejszy od niego – powiedziała. – Nie mogę uwierzyć, że jest on tak wielkim głupcem, żeby zaprosić kobietę na obiad na parę dni przed weselem. A jeszcze zaprosić ją do hotelu, na który nie dość, że nie może sobie pozwolić, to jeszcze z pewnością zostanie w nim rozpoznany. Nagle stało się dla mnie zupełnie jasne, czemu popadł w tak szokujące długi. Jest jednym z tych, którzy są przekonani, że wszystko potoczy się po ich myśli – następny rzut kostką i następne rozłożenie kart. W skrócie – jest bałwanem i to nie on chce mnie uwieść. To ja mam uwieść jego, nie pamiętasz?

– Nie. Nie zgadzałem się, byś kogokolwiek uwodziła.

Uśmiechnęła się, podeszła do niego i złapała klapy jego żakietu.

– Posłuchaj – rzekła, zatapiając w nim swe przejrzyście błękitne spojrzenie.

– Nie – zaprotestował. – To szaleństwo.

– Nie jestem Clarą. Potrafię się o siebie zatroszczyć.

– Nie zawsze.

– Zawsze – powiedziała. – Na pewno w tym przypadku. To Adderleyowi grozi niebezpieczeństwo, nie mnie. Zamierzam zjeść z nim kolację, tak jak prosi, w hotelu Brunswick. Zatrzymam go tam na co najmniej dwie godziny. To dość czasu, by przeszukać dom. Nie jest duży.

Istotnie nie był. Adderley musiał sprzedać większość posiadanych nieruchomości. Czego nie mógł sprzedać – zastawił lub wydzierżawił. Posiadłość rodowa przeszła w ręce wojskowego i jego rodziny. Obecnie Adderley wynajmował mały dom nieopodal Leicester Square.

– To prywatna własność – opierał się Longmore. – Czyjś dom. Ze służbą – choć wszystkich zastanawia, jakim cudem ją opłaca. Jak wiesz, mój życiorys nie jest nieskalany, ale nigdy nie włamałem się do prywatnego domu żadnego dżentelmena.

– Nie różni się to zbytnio od włamania się do czyjegoś pokoju. Albo ucieczki z internatu w czasie ciszy nocnej. A to robiłeś, jestem pewna.

– Skąd wiesz? – spytał. Stała za blisko. Jej zapach przesycał otaczające go powietrze. Przesycał także jego umysł oraz działał nań jak miód na mechanizm zegara.

– Byłeś w szkole z internatem i wiem, że nie dostawałeś nagród za dobre sprawowanie.

– Chodziło mi o to, skąd wiesz, że te dwie rzeczy się od siebie nie różnią? Skąd w ogóle wiesz takie rzeczy, Sophy? – spytał.

Puściła jego klapy i odsunęła się o krok.

– Na litość boską, to dość oczywiste. To są budynki. Z drzwiami i oknami. Włamywacze otwierają zamki, otwierają niezamknięte okna albo wybijają zamknięte. – Machnęła ręką. – Nie mam pewności, która metoda jest najlepsza, ale Fenwick na pewno będzie to wiedział.

– Niech więc zrobi to Fenwick – powiedział. – Jest mały i mniej widoczny. Potrafi się wszędzie wkręcić i wymknąć z ciasnych miejsc, a jako doświadczony straceniec łatwiej umknie i nie będzie musiał odpowiadać na denerwujące pytania. A nawet jeśli go złapią, z łatwością wydostaniemy go z kłopotu.

– Nie potrafi czytać – zauważyła.

Przechyliła głowę na bok i wpatrzyła się w niego. Myślała, myślała i myślała. Swoim niestrudzonym małym mózgiem.

– Sądziłam, że zachwyci cię perspektywa włamania się do domu Adderleya i odkrycia jego nikczemnych tajemnic – rzekła.

– Zachwyciłbym się, gdyby on był wtedy w domu. A ty – zupełnie gdzie indziej.

– Spróbuj być rozsądny – poprosiła. – Nic mi się nie stanie. Nie może. Jeśli Adderley otrzyma ode mnie to, czego chce, straci zainteresowanie.

– Albo nie. – Longmore nie stracił zainteresowania. Wprost przeciwnie, był daleko bardziej zainteresowany, niż potrzeba dla zachowania spokoju ducha. Nie pamiętał, by kiedykolwiek spędzał tyle czasu, myśląc o jakiejkolwiek kobiecie.

Problem w tym, że nie była to wystarczająco erotyczna czynność.

– Jeśli mu ulegnę, przestanie się rwać do przyjemności – zauważyła. – Nie będzie czyhał na okazję, by mnie złapać gdzieś samą. Nie będzie się czaił. Nie znajdzie się w stanie najwyższego podniecenia. Potrzebuje niewielkiej przeszkody, niezbyt mocnej, by nie pozbawiła go odwagi, lecz wystarczającej, by podkręciła jego chęć zdobywania. Czemu muszę ci to wszystko wyjaśniać? Jesteś mężczyzną. Wiesz, jak myślą mężczyźni.

– W rzeczywistości nie myślimy zbyt wiele.

– Wiesz, o czym mówię.

– Wiem, że takie sytuacje mogą się wymknąć spod kontroli. – Przypomniał sobie pijanych chłopców. Wyobraźnia odmalowała mu obraz

Sophy będącej na łasce Adderleya.

– Ciekawe, jak może się wymknąć spod kontroli z kimś, kogo uważa się za odpychającego – powiedziała. – Czy może wyobrażasz sobie, że wszystkie kobiety są niewolnicami pożądania? Wystarczy, by mężczyźni je pocałowali i popieścili, a one już tracą głowę?

– On nie będzie cię ani całował, ani pieścił – warknął.

– A ja nie stracę głowy – oświadczyła.

– Z tego, co sobie przypominam, ze mną nie zachowywałaś się tak racjonalnie.

– Bo to byłeś ty – rzekła. – To coś zupełnie innego. Wiem, na czym ta inność polega, i doprawdy, zasmuca mnie, że ty tego nie dostrzegasz. Czy wszystkie kobiety są dla ciebie wymienialne? Nie, lepiej nie odpowiadaj. Wolę nie znać odpowiedzi. Chcę trzymać się dziewczęcych złudzeń.

– Dziewczęcych złudzeń? Na Jowisza, miałaś takie?! Bo mnie się wydaje... – ucichł. Zrozumiał bowiem, że kobiety zawsze były dla niego bardziej lub mniej wymienialne. Poza nią. – Nieważne. Właściwie nie wiem już, co myślę.

– Nie myśl – poradziła. – Wystarczy, że dostaniesz się do domu i znajdziesz dowód przestępstwa. A ja zajmę się nim w tym czasie.

Miała zamiar tam pójść, a on nie mógł jej zatrzymać. Gdyby nawet przywiązał ją do krzesła i zamknął na klucz w pokoju, znalazłaby sposób, by się uwolnić, nie miał co do tego wątpliwości.

– Bardzo dobrze – powiedział.

Znów podeszła zbyt blisko. Położyła mu rękę na piersi.

– Dziękuję – rzekła. – Wiem, że się o mnie martwisz, i wiem, że wysłałbyś mnie do diabła, gdyby nie chodziło o twoją siostrę.

Nie była to do końca prawda, nie sprzeczał się jednak. Zamiast tego objął dłońmi jej twarz i pocałował. Raz, mocno i władczo w usta. Patrzył w żywo błękitne oczy kłamczuchy, po czym rzekł:

– Chciałbym, byś spróbowała nie dać się całować i pieścić przez Adderleya.

– Zaufaj mi – rzekła miękko.

Pragnął jej i myślał o niej zbyt wiele. Chorobliwie się o nią martwił. Jednak jej nie ufał.

Nie wierzył też, że nie zrobi tego, co postanowiła, bez względu na to, czy on będzie współpracował, czy też nie. Nie mając innego wyjścia, niż

współpracować, równie dobrze mógłby dostrzec jasne strony. Włamanie do domu Adderleya mogło dostarczyć obciążających go dowodów, co na zawsze zmaże mu z gęby bezczelny uśmieszek.

A jeśli to nie zadziała, zawsze będzie można go jeszcze zastrzelić.

* * *

Wieczorem

Wejście do domu Adderleya okazało się zaskakująco łatwe.

Po rekonesansie Fenwick zdał raport, że służący zgromadzili się na dole, gdzie palili, pili i hałaśliwie grali w karty.

Sposób Fenwicka na dostanie się do domu był bajecznie prosty. Wspiął się po rynnie, a potem wszedł do środka przez jedno z kilku niezamkniętych okien. W środku dotarł do drzwi frontowych i otworzył je Longmore'owi. Postronny obserwator rzekłby, że to służba wpuściła do środka jednego z przyjaciół lorda Adderleya.

Główną trudnością było poruszanie się po nieznanym i słabo oświetlonym wnętrzu bez obijania się o meble czy ryzyka strzaskania czegoś kruchego. Po kilku zatrzymujących serce skrzypnięciach i stukach Longmore się rozluźnił.

Skupił się na tym, by nie dać się przyłapać oraz coś znaleźć.

To okazało się znacznie trudniejsze.

Pokoje, które przeszukiwali, nosiły bowiem wszelkie ślady zniechęcenia, o ile nie otwartej wrogości służby. Tłumaczyło to również pijatykę na dole oraz niezamknięte okna.

Znaleźli razem z Fenwickiem mnóstwo papierów – sterty gazet, magazynów sportowych, publikacji z wyścigów, a także „Poranne Zwierciadło". Stosy zaproszeń. Góry nieposortowanej korespondencji. Masę przeróżnych rachunków od dostawców. Lecz nigdzie nie było tajemnicy, jakiej nie ujawniliby już Leonie i Clevedon.

Longmore przyłożył się zwłaszcza do przeszukania biurka w gabinecie, szukając w nim fałszywych przycisków oraz skrytek. Nic takiego nie znalazł. Nie bez obrzydzenia podążył do sypialni Adderleya. Przeszukał sekretarzyk, stolik nocny, garderobę, zajrzał także pod poduszki i materac.

Znalazł mnóstwo śmieci i dowodów na fatalne prowadzenie domu. Pracy było co niemiara i zdawało się, że obaj z Fenwickiem dopiero ją rozpoczęli, kiedy z któregoś pomieszczenia dobiegło bicie zegara. W tej samej chwili odezwał się dzwon kościelny, wydzwaniając dziesięć uderzeń.

Dziesiąta.

Już.

Fenwick, któremu przypadła rola strażnika, powiedział:

– Tam na dole się rozchodzą, wasza wysokość.

Zapadła cisza. A po chwili:

– Ktoś jest na schodach.

Longmore usłyszał zbliżające się głosy.

– Ty do garderoby! – polecił Fenwickowi.

Chłopak błyskawicznie znikł za drzwiami.

Lord Longmore zaś padł na podłogę i wczołgał się pod łóżko.

* * *

W odróżnieniu od ciotek Clevedona, goście przyjeżdżający do Londynu na krótki pobyt lokowali się w którymś z luksusowych hoteli na West End. W jednym z nich, Clarendon przy ulicy New Bond, przywyknięto już do dyskretnego spełniania życzeń klientów.

Madame de Veirrion wybrała tam jedną z największych sypialni. Gdyby zechciała potraktować pokoje jak swój prywatny apartament, personel Clarendon z radością by jej w tym pomógł. Nie było ich rzeczą zadawanie pytań i rozpowiadanie tego, co robiła albo gdzie i z kim się spotykała. Dlatego Clevedon wybrał właśnie ten hotel.

Choć było późno, gdy Madame wróciła, jej wejście wprawiło gości i personel w stan podniecenia. Miała na sobie wyjątkową suknię, której szczegółowy opis dostarczyła już wcześniej „Porannemu Zwierciadłu”, aby ukazał się w poniedziałkowym wydaniu. Było to jedno z najwspanialszych dzieł Marcelline, a Maison Noirot otrzymać miało z tegoż powodu wielką pochwałę w gazecie.

W Paryżu szalano za czarnymi mantylkami z tafty, noszonymi zazwyczaj z kontrastującą suknią o lżejszej teksturze, uszytą z muślinu lub atłasu. Marcelline jednak skojarzyła z czarną mantylką z tafty atłas o barwie

głębokiego różu, który podczas poruszania się wydawał głęboki, zmysłowy szelest.

Na twarzy każdej kobiety, która tego wieczoru widziała Madame de Veirrion, malował się wyraz pożądania, obserwowany zazwyczaj wyłącznie u mężczyzn.

Lord Longmore nigdy nie patrzył na nią w ten sposób.

Lecz on był inny, powiedziała sobie Sophy. Jego twarz pokerzysty potrafiła być bardziej nieprzenikniona niż jej własna. Trzeba było przyglądać mu się szczególnie uważnie, by uchwycić wyjątkowy błysk w ciemnych oczach... i jeszcze lekkie drgnięcie ust czy przechylenie głowy...

Zadrżała, przypominając sobie, kiedy ostatni raz patrzył na nią w ten sposób, zaledwie kilka godzin wcześniej, na chwilę przed pocałunkiem.

Była na bardzo złej drodze.

Gdyby nie musiała ratować lady Clary w tak krótkim czasie, z łatwością zrobiłaby z siebie idiotkę. Chlipałaby po nocach w poduszkę. Napisałaby przyprawiający o mdłości poemat o kochankach rozdzielonych przez okrutny los. Przytaczałaby całe sceny z *Romea i Julii* i płakałaby, bo ci młodzi kochankowie mieli znacznie lepsze perspektywy niż ona.

Nie miała jednak czasu, aby zachowywać się jak sentymentalna idiotka.

Musiała zagrać Kleopatrę przed Markiem Antoniuszem, czyli Adderleyem, chociaż w istocie nigdy nie uważała Marka Antoniusza za godnego królowej Egiptu. Miała o nim kiepskie zdanie.

Rozmyślała o roli grzesznej uwodzicielki i to wystarczająco wyczerpywało już jej cierpliwość, gdy lokaj stojący przy drzwiach jej apartamentu zaanonsował, że lord Longmore oczekuje na nią w salonie.

Serce zabiło jej żywiej.

Myślała, że będzie miała czas odpocząć i zebrać siły, zanim Longmore przyjedzie. Zachowanie przy nim spokoju nie było tak łatwe jak powinno. Zbyt często odnosiła wrażenie, że on zagląda prosto w jej myśli i widzi w nich to, czego widzieć nie powinien. Czuła się jak rozebrana, z tą różnicą, że do występowania przed nim nago nie miała zastrzeżeń, w przeciwieństwie do tego, aby zaglądał jej do głowy.

Trzymanie się przed nim na baczności nie było łatwe, zwłaszcza po wyczerpującym wieczorze z lordem Adderleyem.

Jego umysł pracował wolno. W rozmowie z nim musiała wypruwać sobie żyły, a zarazem utrzymywać odpowiedni dystans – nie za duży i nie za mały. Działała ostrożnie, aby doprowadzić jego umysł do właściwego stanu. Przypominało to taniec z mężczyzną o dwóch lewych nogach. Starała się być delikatna, mimo iż niełatwo jej było udawać, że nie rozumie tego, co on starał się ustalić.

Była to trudna praca, wysysająca wszelką energię, zajęła jej zresztą więcej czasu, niż się spodziewała.

Niemniej odniosła sukces i właśnie o tym postanowiła teraz myśleć. To dodawało jej skrzydeł, gdy płynęła do swego salonu niczym żywy obraz poczucia pewności siebie.

Do salonu podążyła też służąca, lecz Sophy ją zignorowała. Longmore stał przy oknie z kieliszkiem w ręku. Jego ciemne włosy były potargane, a fular – pomięty. Trudno było stwierdzić, czy to dlatego, że się bił, czy dlatego że spał w ubraniu. Wyglądał nader niechlujnie, a w jego oczach lśniły niebezpieczne błyski.

Odprawiła służącą gestem ręki.

– Idź spać. Zadzwonię, kiedy będziesz mi potrzebna.

Kiedy zostali sami, Sophy zdjęła rękawiczki.

– Mam nadzieję, że dobrze się tu tobą zajęli. – Zauważyła opróżnioną w trzech czwartych karafkę, stojącą na jednym z eleganckich stolików.

– Nakarmili mnie i napełnili kieliszek – potwierdził. – Gdzie, u diabła, się podziewałaś?!

Sophy położyła rękawiczki na najbliższym stoliku, rozpięła mantylkę i beztrosko rzuciła ją na rękawiczki. Pokojówki starannie składały części garderoby i wszystko umieszczały na właściwym miejscu. Wielkie damy takie rzeczy zostawiały służbie.

– Jak dużo wypiłeś? – spytała. – Zapomniałeś, że miałam jeść dziś kolację z lordem Adderleyem?

– Przez pięć godzin?

– Oczywiście, że nie. Niemożliwe – która to godzina?

Spojrzał na nią z ukosa, wyjął zegarek z kieszonki i otworzył kopertę.

– Jest wpół do pierwszej – rzekł podejrzanie spokojnym głosem.

– To niecałe pięć godzin – odparła.

– Gdzie, u diabła, byłaś przez cały ten czas?!

– Zajmowałam się Adderleyem.

– Mówiłaś, że to będą dwie godziny.

– Powiedziałam, że mogę dać ci przynajmniej dwie godziny – poprawiła.

– Nie tak to ujęłaś.

– A co to za różnica? – spytała. – Jesteś zły, bo przerwałeś poszukiwania, myśląc, że masz tylko dwie godziny?

– Moje poszukiwania są nieważne.

– Nieważne? Przecież o nie tu chodziło.

– Chyba nie – rzekł. – Chyba znalazłaś coś ciekawszego, skoro tak cię to zajęło.

– Cóż, zdaje się, że tak – potwierdziła.

– Płonę z ciekawości, co to takiego – rzekł.

Nie miała zamiaru opisywać mu wszelkich manewrów i kontr, które musiała zastosować, ani uczyć go sztuki manipulowania mężczyznami.

– Powinieneś wiedzieć, czego nie znalazłam – powiedziała. – Nie wierzę, że stoisz tutaj, gromiąc mnie wzrokiem, jakbym była twoją bezradną siostrą. Ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem lady Clarą, na tyle niemądrą, by pozwolić się wyprowadzić na ciemny taras przez lorda bez grosza przy duszy. Nie jestem lady Jakąkolwiek. Nie jestem naiwna.

– Niemniej jednak...

– Nic nie mogło mi się stać – dokończyła. – Nie pozwoliłabym na to. I nic się nie stało. – Miała ochotę nim potrząsnąć. Jak mógł uważać ją za tak głupią? Jak mógł wierzyć, że jest aż tak niewybredna? – Zważywszy ten zły humor, który zdajesz się mieć, wnioskuję, że twoja misja nie przyniosła nic ciekawego. Czy może znalazłeś coś gorszego, niż można sobie wyobrazić, makabryczne szczątki w komórce albo...

– Kłaki kurzu pod łóżkiem – rzekł. – A także coś, co równie dobrze mogło być martwym gryzoniem, jak i skarpetkami twojego amanta.

– Prowadziłeś poszukiwania pod łóżkiem? – zdziwiła się. – Czemu nie posłałeś tam Fenwicka? Jest mniejszy i nie uderzyłby się w głowę jak ty.... – Umilkła, wyobrażając sobie Longmore’a wciskającego swoje rosłe ciało pod łóżko. – O, nie? Nie uderzyłeś się w głowę? – Podeszła do niego. – Pozwól, że zobaczę. Powinieneś polecić służbie przynieść sobie lód. Poślę po niego.

Cofnął się o krok.

– Nie uderzyłem się w głowę. Wiedziałem, że mam ją trzymać pochyloną. Zdarzało mi się wcześniej wchodzić pod łóżka, choć może nie

ostatnio. Tkwiłem tam nieruchomy i cichy, podczas gdy para służących świetnie wykorzystała nieobecność pana na cudzołożenie przy drzwiach jego garderoby. W której ukrył się Fenwick. – Odwrócił się, podszedł do karafki i znów napełnił kieliszek.

Patrzyła na niego przez chwilę, dopóki jej wyobraźnia nie dokończyła malować sceny, którą przed chwilą opisał. Widywała podobne obrazki, lecz patrzyła na nie chłodno, czując głównie ciekawość.

Próbowała wyczyścić umysł, lecz ten urządził jej istną wystawę nieprzyzwoitych obrazów jego nagiego ciała, napierającego na nią i sprawiającego, że czuła rzeczy, jakich nie czuła nigdy wcześniej, dziką namiętność, do bólu rozkoszną.

Zrobiło jej się gorąco na samo wspomnienie. Poczuła ochotę, by podbiec do okna, otworzyć je i głęboko zaczerpnąć powietrza.

Nie, to nie była cała prawda.

Pragnęła podbiec do niego i skłonić go, by uczynił to znowu, by ją dotykał, całował, kochał, posiadł i wymazał wspomnienie nieznośnego głosu Adderleya, jego podwójnej natury i rąk zbyt blisko jej ciała.

Jej twarz przybrała wyraz z lekka rozbawionego współczucia.

– Nikt was jednak nie nakrył – zauważyła.

– Mógłbym zacząć śpiewać „Boże, chroń króla”, a nie zauważyliby, że tam jestem – powiedział ponuro. – Szczęśliwie w tej pozycji nie można trwać za długo. Nie zajęło im to więc zbyt wiele czasu. Potem śmiali się z tego i wyszli, być może po to, żeby powtórzyć przedstawienie w drugim pokoju. Nie zostałem, by to sprawdzić. Wydobyłem z kryjówki Fenwicka i zwialiśmy stamtąd. – Pociągnął z kieliszka.

Nie powiedziała nic, tylko patrzyła na jego ręce i sposób, w jaki światło odbijało się na jego twarzy.

– Musiałem zejść po rynnie – oświadczył w ciszy. – Po czym Fenwick wygłosił krytykę mojego sposobu schodzenia.

– Myślę, że on... – odzyskała głos.

– To była całkowita strata czasu! – Rąbnął kieliszkiem o tacę, aż podskoczyła karafka. – Adderley nie ma w domu niczego, o czym byśmy nie wiedzieli. Było dokładnie tak, jak mówiłem. Rzeczy, które miałaś nadzieję znaleźć, ludzie znajdują jedynie w powieściach. Wymyślonych. A to nie jest żadna cholerna fantazja!

Rozdział 15

Kiedy w jedwabiach Julia kroczy,
Zda mi się, że ich nurt uroczy
Płynnie omywa moje oczy.
Lecz kiedy potem jedwab spływa
I w oczach lśni jej piękność żywa,
O, jakże blask jej mnie porywa!
Robert Herrick, *Na szatki Julii* (1648)[1]

Jej głowa odskoczyła, jakby ją spoliczkował. Wtedy Longmore zapragnął w coś rąbnąć, najchętniej w siebie samego.

Zachowywał się jak idiota, dał się bowiem doprowadzić do szaleństwa, za co mógł jednak obwiniać wyłącznie siebie.

To on nalegał, żeby się spotkali po zakończeniu swoich zadań. W ten sposób, wytłumaczył sobie, gdyby Adderley próbował podążyć za Madame do jej pokoi, on będzie na posterunku i pośle wieprza do diabła.

Longmore znalazł się na posterunku, ale trwał na nim – zdawało mu się – długie miesiące. Zgodnie z normami wyższych sfer godzina nic nie oznaczała. Jednak w przypadku kobiety, która miała wrócić z kolacji obliczonej na dwie godziny, każde spóźnienie zdawało się niewybaczalne.

I do tego jeszcze tak wyglądać po powrocie!

Wpłynęła do salonu, kołysząc biodrami z pewnym siebie uśmiechem – uśmiechem kobiety, która wie, że jest pożądana, i wierzy, że ogół jest jej to winien. Weszła niczym królowa albo jakaś istota mityczna, bogini urodzona w chmurach. I jeszcze ta suknia – ciemnoróżowa i czarna, atłasowa i koronkowa. W świetle lampy gazowej różowy jedwab połyskiwał jak zachód słońca w czasie sztormu. Lecz bynajmniej nie angielski zachód słońca. Przywoływał na myśl magiczne chwile na odludziu w górach Toskanii, kiedy wiatr owiewał mu głowę, niosąc upajającą woń lawendy i jaśminu.

Obserwował, jak ściąga rękawiczki, i poczuł, że puls mu przyśpiesza. Widział, jak odpina czarną mantylkę zwieszającą się na jej ramionach, jak lśniąca tkanina porusza się, szeleszcząc przy tym setką szepczących głosów.

Jej koronkowy rąbek zasłaniał różowy przód sukni. Oczami duszy zobaczył, co było pod spodem, aż ku skórze, której dotyk już znał. Wiedział, jak to jest czuć pod dłońmi aksamit jej brzucha.

Patrzył, jak odrzuca mantylkę, i wstrzymał oddech. Dekolt sukni był szokująco głęboko wycięty, ledwie krył jedwabiste krągłości jej piersi.

Aż tyle.

Aż tyle widział Adderley.

Kiedy to zrozumiał, wściekł się. A potem rozgniewał się na nią, że się wściekł, i na siebie, że pofolgował tej wściekłości. Zachowywał się jak ktoś niepoczytalny, a przy tym brutalny, mało tego, jak uczniak.

– Niech to diabli wezmą, Sophy – powiedział.

Rumieniec skąpał jej policzki.

– Nie mogę uwierzyć, że robisz wokół tego taki raban – rzekła. – Jesteś człowiekiem, który nie troszczy się o to, co mówią inni. Jesteś człowiekiem, który drwi z konwenansów i podejmuje ryzyko, im większe, tym lepiej. To rzecz, którą mógłbyś potraktować jako żart.

– To nie był żart.

– Cóż, zatem chciałabym się dowiedzieć, co się stało z twoim poczuciem humoru – rzekła. – Chciałabym się dowiedzieć, co stało się z twoim zamiłowaniem do przygód. Chciałabym...

– To ty mi powiedz – przerwał. – Po kiego diabła miałoby mnie obchodzić, co robisz?! Dlaczego...

– Jesteś niedorzeczny.

– Nie, nie jestem, zwłaszcza w kwestii siebie samego. Nigdy nie byłem taki...

Nie byłem – jaki? Kim był, jeśli nie sobą? Co to było?

Usta jednak mówiły dalej, plotły coś niezależnie od myśli, jak zwykle.

– Pozwoliłem się wciągnąć w te twoje szalone intrygi... I to jest zabawne. I niezabawne. Nie umiem się tym bawić. Nie mogłem się nawet nacieszyć włamaniem z tym młodocianym opryszkiem, bo przez cały czas, w każdej minucie, kiedy czytałem nudne rachunki w księdze i te pożałowania warte, smętne listy od wierzycieli – przez cały ten czas myślałem, jakimż dwulicowym łajdakiem on jest i jak musi być zdesperowany, żeby zastawić pułapkę właśnie na moją siostrę, wśród tylu kobiet... a tu jeszcze i ty z nim jesteś, pewna, że potrafisz nim rządzić...

– Bo potrafię – krzyknęła. – Zrobiłam to! Jakże możesz być tak odporny na wiedzę? – Nie podnosiła głosu, ale słychać w nim było wibrującą porywczość. – Wiem, że nie ma sumienia. Wiem, że w ogóle nie dba o kobiety. Są tylko rozrywką. Nawet zdobycie żony w najbardziej podstępny sposób nie wydaje mu się nikczemne. To tylko część gry, nieróżniąca się od ruletki, kart czy wyścigów konnych. Wiem to wszystko. Potrafię zobaczyć go wyraźniej niż ty. A ty sądzisz, że grozi mi z jego strony jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Akurat z jego strony, na tylu mężczyzn? Myślisz, że pozwoliłabym mu się uwieść? Jak możesz być takim idiotą?

– To właśnie chciałbym wiedzieć – zawtórował. – Jak mogę być takim bałwanem, żeby zepsuć sobie świetny wieczór martwieniem się o ciebie? A teraz – kiedy mam jeszcze do wyboru dość ofert na spędzenie reszty wieczoru, marnuję go dalej na kłótnię z tobą?

Zaczerwieniła się, a jej błękitne oczy zwęziły się w gniewie. Przeszła na cichy, ale pełen wściekłości francuski:

– To prawda. To wielka strata czasu dla nas obojga. Cóż, pozwoli pan, milordzie, że nie będę się panu dłużej narzucać.

Odwróciła się na pięcie. Atłas zaszeptał gniewnie, a wstążki zdawały się trząść z wściekłości. Otworzyła drzwi, ku wielkiemu zaskoczeniu lokaja, który opierał się o nie, próbując podsłuchiwać przy dziurce od klucza.

– *Bonsoir, monsieur* – rzekła, cedząc każdą sylabę.

– *Bonsoir, madame* – odparł Longmore. Zabrał kapelusz, rękawiczki i podszedł do niej.

Stała w drzwiach z zadartym podbródkiem, patrząc na niego z urazą. W jej oczach płonął błękitny ogień. Gorąco zabarwiło jej policzki i szyję na czerwono. Ogień zajął także mleczny biust, szybko unoszący się i opadający.

Longmore sięgnął ręką za jej plecy i zatrzasnął drzwi przed nosem lokaja.

Cisnął na bok rękawiczki i kapelusz.

Wziął ją w ramiona.

– O nie, nie zrobisz tego! – zawołała. – Nie będziesz odgrywał przede mną po mistrzowsku samca, ty przeklęty draniu. – Uderzyła go w pierś. – Zostaw mnie. – Jej głos był zimny i stanowczy.

– To mnie do tego zmuś – powiedział jeszcze zimniejszym i bardziej stanowczym głosem.

Zaczęła się wyrywać.

– Będę krzyczeć.

– Nie, nie będziesz. – Pocałował ją, bynajmniej nie delikatnie, ale z całą frustracją, złością i lękiem, które nagromadziły się w nim przez cały dzień i noc.

Wiła się i walczyła – także niedelikatnie – czuł jednak, że jej usta się poddają, zanim uczyniło to jej ciało. Reszta była jedynie urażoną dumą. I jego duma nie wyszła z tego bez szwanku, ale nie była to nawet połowa uczuć, które żywił.

Zaniósł ją na sofę. Przerwał pocałunek i rzekł:

– Teraz wychodzę.

– Dobrze – zgodziła się. – Najwyższa pora.

Rzucił ją na sofę, a atłas jął szeleścić i syczeć na niego, kiedy Sophy gramoliła się z trudem, by przyjąć pozycję siedzącą.

– Żegnaj! – powiedział.

– Krzyżyk na drogę – odparła.

Zdjął surdut.

– Nigdy już nie wrócę – oświadczył.

– Nigdy nie jest za późno – zripostowała.

Rozwiązał fular.

– Skończyłem z tobą.

Zaczął rozpinać spodnie. Jego ręce poruszały się bardzo pewnie. Nie śpieszył się. Jeden. Guzik. Raz. Na. Jakiś. Czas.

Przyglądała mu się spod zmrużonych powiek.

– Marzyciel – syknęła. – Nigdy. Nigdy nawet za milion lat.

– Nie zamierzam nawet zdejmować z ciebie ubrania – rzekł. – Za dużo fatygi.

– Nie zasługujesz na to, by widzieć moje piękne ciało – wypaliła.

– Nie jest znów aż tak piękne – odwzajemnił się.

– Owszem, jest – znacznie piękniejsze niż twoje, którego nie chcę już nigdy oglądać, a zwłaszcza tego fragmentu. – Jej wzrok prześlizgnął się po jego rozporku, gdzie pulsował podniecony członek. On nie odróżniał walki z kobietą od jej uwodzenia. W tej chwili Longmore także tego nie odróżniał.

Usiadła z powrotem na sofie.

Złapał ją za stopy i znów przewrócił na plecy. Wczołgał się na nią i wepchnął jej pod głowę aksamitną poduszkę.

– Nie daruję ci tego – oświadczyła. Kąciki jej ust opadły w poirytowaniu. – Jesteś ohydnym, gruboskórnym i najbardziej niewrażliwym kretynem, który skalał ziemię swym przyjściem na świat.

Pochylił się i pocałował każdy z opadających w złości kącików. Potem pocałował ją prosto w usta, głęboko i żarłocznie. Był nadal pogrążony w chaosie, lecz liczyło się to coraz mniej. Zmęczyło go już myślenie i martwienie się.

Rozzłościł ją, więc była cała rozgrzana i podniecona, podobnie jak on. Nie był pewien, na czym to polegało, ale nie wydawało mu się to zbyt ważne.

Podniosła ręce do góry i złapała go za ramiona, po czym spróbowała nim potrząsnąć, co było absurdalne. Równie dobrze mogłaby się siłować z koniem. Poczuł, jak jej ręce podążają wyżej i zaciskają się na jego gardle, jakby myślała, że jest zdolna go udusić. Kiedy jednak uniosła się trochę, jej ramiona oplotły jego szyję i pociągnęły go, a on opadł na nią bez walki.

W jej zapach i dotyk miękkiego, krągłego ciała, w jej smak, a także dźwięk – atłas szepczący coś koronce, szelest falbaniastej usztywnianej halki, w przepyszną muzykę jej sukni.

Powiódł dłonią wzdłuż linii jej szyi i ramion, i niżej, po dojrzałej wypukłości jej piersi, doskonale widocznej w bardzo wyciętym dekolcie. Wygięła się w łuk z westchnieniem i przekleństwem „a niech cię!”. Wsunął rękę pod dekolt i ścisnął, po czym zaczął ugniatać doskonałą i jedwabistą pierś. A potem drugą. Wiła się pod nim, a jej biodra poruszały się w nieudawanej przyjemności.

Nieudawanej.

Szczerej.

Zsunął usta z jej ust i zaczął całować ją wzdłuż drogi, którą przebyła jego ręka. Zsunął w dół stanik i possał pierś. Pomiędzy jękami oznajmiła mu po francusku, że jest podłym i podstępnym człowiekiem, a ona nigdy, przenigdy mu nie ulegnie, bez względu na to, jak bardzo będzie ją prosił i błagał.

Podciągnął jej spódnice, usztywnianą halkę i wyszeptał po francusku, że jest niemożliwa i nieznośna, a on nie chce mieć z nią nic wspólnego.

– Wychodzę i nigdy już nie wrócę – rzekł i ukląkł między jej nogami.

– Dobrze – wydyszała. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę twoje plecy.

Wsunął palce pod jej gorset, a potem w szparę pantalonów do taśmy w pasie.

– Nie będę wcale za tobą tęsknił – rzekł, rozwiązując ją.

– Ja już o tobie zapomniałam – rzuciła.

Zsunął jej pantalony, powoli, za kolana. Podwiązki miała w tym samym odcieniu różu co suknię. Rozwiązał je. Pieścił jej aksamitne uda, przesuwając się w stronę miękkiego wzgórka. To prześliczne i bardzo kobiece miejsce połyskiwało złociście w świetle gazowej lampy. Kiedy położył na nim rękę, wstrzymała oddech.

– To moje – oświadczył.

– Nigdy – zaprotestowała.

– O, tak, madame – powiedział. – O, tak, panno Noirot. Sophy.

Kimkolwiek jesteś.

Pogładził ją, a ona zadrżała i wydała z siebie syczący dźwięk. Zabrzmiał zupełnie jak ,,jeszcze”.

Poruszała się pod jego dłonią, zachęcała, chciała więcej.

– Głupiec – rzuciła.

– Wiem dokładnie, co zrobić w takiej sytuacji – powiedział. Jego umysł był tak zamroczony, że były to jedyne słowa, jakie mógł w tej chwili wypowiedzieć. Była wilgotna i gotowa. Rozgrzana i roznamiętniona. Pieszczenie jej było dla niego rodzajem kary. Choć podobało mu się to, nawet bardzo: sposób, w jaki się poruszała, oraz sposób, w jaki jej oddech zatrzymywał się przy każdym uderzeniu rozkoszy, a także sposób, w jaki jej oddech przyśpieszał i stawał się chrapliwy, kiedy ją tam gładził.

Jej gorąca ręka zamknęła się na jego członku i przesunęła palcami po całej jego długości. Trzymała mocno i zaborczo.

– Teraz – powiedziała z pomrukiem kotki. Tygrysicy. – Teraz, milordzie, ty okrutniku.

Poczuł, jak krew płynie mu szybko w żyłach, jak zalewa go falą powodzi, tą samą, która zachęcała go do walki. Instynktownie. Bez myślenia. Wszedł w nią i roześmiał się – z bogactwa doznań i z radości zwycięstwa. Złapał jej pośladki, prześliczne pośladki, i jął wbijać się w nią

raz za razem. Bez żadnej finezji. W gorączce. W pożądaniu. W żądzy posiadania.

Moja – z każdym pchnięciem. Moja. Moja. Moja.

Ona wzięła go w ten sam sposób. Z prymitywną, niekłamaną i chciwą żądzą. Wzięła go i oddała mu się bez reszty, nie oszczędzając się. Toczyli bitwę kochanków, rodzaj wojny, która właściwie nie była wojną. W miarę jak rytm ich zbliżenia robił się szybszy i gorętszy, świat mroczniał, po czym łagodniał i miękł. Myśli odpłynęły daleko. Nie było niczego prócz *teraz*.

Poczuł drżenie, kiedy zaczęła szczytować. A potem jęła się podnosić, przesuwać ręce po jego włosach i całować go. Zasmakował czegoś w tym pocałunku, w swojej odpowiedzi albo w kombinacji obu tych rzeczy. Nie znajdował na to słów. Odczucie było całkowicie nowe, a zarazem przemożne, rozgrzewało do białości. Potem przytuliła go do siebie, a on ją całował i czuł, że cały świat to właśnie to – on i ona, połączeni. Świat zadygotał i eksplodował.

* * *

Wyciągnął się na sofie, a Sophy leżała obok, w sposób wysoce urągający wszelkim zasadom, z pończochą zsuniętą do kostki.

A on nie zdjął nawet butów.

Była to świetna, niezwykle ekscytująca zabawa. Tyle uczuć – odczuć fizycznych, jakich nie zaoferowało jej do tej pory nic innego.

Leżała przez chwilę, póki nie uspokoił się jej oddech, napawała się ciężarem i ciepłem Longmore’a, a także cudownym, niedającym się opisać uczuciem ciała mężczyzny – tego mężczyzny – splecionego z jej ciałem.

Tu i teraz po prostu sobie pofolgowała, udając, że jest Madame, która może myśleć tylko o przyjemnościach chwili. Madame, która nie miała żadnych obowiązków prócz zabawiania się, zwabiania mężczyzn w swoją sieć i delektowania się swoją nad nimi przewagą oraz przyjemnością, którą mogli jej dać.

Podniósł się.

– Cóż, niechaj to będzie dla ciebie nauczka – powiedział.

Pofolgowała sobie znowu i przeczesała palcami jego gęstą czarną czuprynę. Podsunął jej głowę, jak pies, który chce być podrapany po

uszach. Był człowiekiem wielkiej zmysłowości, zrozumiała, co nie powinno jej dziwić. Był tak bardzo fizyczny, tak pewien swego ciała.

– Nie jesteś już wściekły? – spytała.

– Mój umysł jest teraz cudownie czysty – przyznał.

W serii kilku płynnych ruchów uwolnił swoje ciało z jej objęć, uniósł się i wstał z sofy. Pochylił się i pocałował jej kolano, po czym złożył jej ubranie z taką łatwością, jakby od lat ubierał ją i rozbierał. Wiedziała, że to praktyka, lata praktyki z kobietami, ale czuła, że jest w tym coś więcej. Była jakaś zażyłość, jakby od lat byli kochankami. Był taki... swojski.

Przypominało jej to historię jej siostry i Clevedona. Byli razem, ich losy się złączyły i cały czas przeżywali chwile takie jak ta.

Longmore wciągnął spodnie i zapiął je.

– Nie zamierzasz mi powiedzieć, bym poszła spać? – spytała.

– Z jakiegoś względu nie czuję się w ogóle śpiący – powiedział.

– Zatem mogę ci powiedzieć, co osiągnęłam tego wieczoru, a ty posłuchasz tego i nie będziesz się zachowywał jak szalony zazdrośnik.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego w ogóle miałbym być zazdrosny – burknął. Podszedł do tacy, którą przynieśli mu służący. Napełnił sobie kieliszek i jeszcze jeden dla niej. Podał jej, wyprostował się i cofnął się o krok. Wypił, zamykając oczy.

Czekała.

Otworzył oczy i popatrzył na jej stanik.

– O to – rzekł. – Wy przy kolacji, a ten lepki, oślizgły gad pożerał wzrokiem twoje wspaniałe piersi.

Upajała się tymi słowami, jakby były najcenniejszym komplementem albo deklaracją wieczystego poświęcenia. Tak, gładził je i pieścił, ssał nawet, lecz wypowiedziane przez niego słowo ,,wspaniałe” zabrzmiało jak poezja. Nie należał do mężczyzn, którzy prawią kobietom pochlebstwa. Był na to zbyt rzeczowy.

A ona... wręcz przeciwnie.

– Marcelline umyślnie skroiła dekolt tak nisko – wyjaśniła. – Chciałyśmy pokazać mu coś kuszącego, kiedy prezentowałam mu kolejne powaby – niezmierzone bogactwa, o których wspominałam co i rusz, od niechcenia. Mówiłam też o mojej samotności. I o tym, jak bardzo brakuje mi męża.

Dostrzegła błysk zrozumienia w jego ciemnych oczach. Usiadł obok na skraju sofy.

Doprawdy, nie był aż tak pozbawiony inteligencji, jak sądzili inni.

– Widzisz? – powiedziała. – Widzisz, dlaczego nie muszę odpierać jego uwodzicielskich sztuczek?

– Skusiłaś go większą nagrodą – domyślił się. – Sprawiłaś, że zaczął uważać, iż jego marzenia były zbyt skromne. Myślał tylko o tym, żeby się z tobą przespać, a ty skusiłaś go, by zagrał o wyższą stawkę.

– Fortuna Madame rywalizuje z bogactwem księcia Clevedona, jeśli wierzyć „Porannemu Zwierciadłu” – zauważyła.

– Sprawia, że posag Clary wydaje się niczym – powiedział. W zamyśleniu pił wino. – Jednak wiesz, lepszy wróbel w garści...

– Wiem. Dlatego musiałam zrobić z siebie smakowity kąsek, któremu nie można się oprzeć.

– Wykonałaś kawał dobrej roboty. – Jego głos stał się głębszy. Wziął kieliszek z jej ręki i postawił go na podłodze. Pochylił się i pocałował wzgórek jej piersi, a potem wypukłość drugiej. A potem znów pierwszej, a następnie powiódł po nich językiem.

Wciągnęła powietrze. Jego język wyczyniał dziwne rzeczy w miejscu, gdzie dekolt stykał się z ramieniem sukni, a to wyzwoliło niespokojne odczucia w dole brzucha. Złapała jego gęstą czuprynę.

– Mamy tylko parę dni – rzekła.

Podniósł głowę i przyjrzał się jej spod półprzymkniętych powiek.

– Wiemy, co mamy robić – powiedział.

– Mamy ogólny plan – przyznała. – Musimy go udoskonalić, uwzględniając ostatnie osiągnięcia.

Jego oczy były niczym północ. Ujrzała w nich jakiś szczególny, diabelski błysk.

– Zróbmy to później – powiedział.

* * *

Później

Tym razem, nie będąc już tak wyprowadzonym z równowagi duchowej ani też się nie śpiesząc, Longmore zaniósł ją do sypialni.

Po miłosnych uniesieniach zasnął. Mógłby spać do popołudnia, gdyby nie to, że przeturlał się na miejsce, gdzie powinna leżeć Sophy, i zamiast jej gorącego ciała znalazł zimne prześcieradło.

Otworzył oczy i uniósł się na łokciu. Światło wczesnego ranka sączyło się do pokoju przez na wpół tylko zaciągnięte zasłony. Nie było jednak ani śladu Sophy.

Wstał i doszedłszy do wniosku, że chodzenie po apartamencie nago nie jest najrozsądniejszym pomysłem, włożył spodnie. Nie miał pojęcia, kto jeszcze mógłby być w pobliżu o tej godzinie, ale o ile niektóre służące widziały niejedno i niełatwo było nimi wstrząsnąć, inne mogłyby zacząć piszczeć. To zaś z pewnością dotarłoby do uszu personelu. Do niczego zaś nie był im potrzebny skandal łączący Madame z najstarszym synem markizy Warford.

Znalazł Sophy przy sekretarzyku w salonie, kreślącą jakiś tekst.

– Co ty, u diabła, robisz?! – spytał. – Słońce ledwie wstało.

– Muszę napisać doniesienie do dzisiejszego „Zwierciadła” – rzekła. – Nie będzie z niego pożytku, jeśli Tom nie wydrukuje go dzisiaj, a powinien go dostać pół godziny temu. – Odłożyła pióro. – Już gotowe, a mnie zajmie jeszcze tylko chwilę wysłanie go do redakcji. Mamy w gazecie taki mały system, nie do wykrycia.

Włożyła gruby szlafrok na coś, co okazało się frywolną koszulą nocną, sądząc po falbankach wyglądających spod rąbka okrycia.

Wyszła z pokoju w chmurze furkoczących wstążek i muślinu.

Przypomniał sobie, jak skakała w palącej się koszuli tamtej nocy podczas burzy, kiedy zatrzymali się w zajeździe. Poczuł ucisk w piersi. Był jednocześnie szczęśliwy i przybity.

Podszedł do okna i wyjrzał, starając się pokonać te uczucia.

Parę chwil później Sophy wróciła ze zmarszczonymi brwiami, niosąc list.

– Ciekawe – rzekła. – Właśnie go doręczono.

Spojrzał na list, rozejrzał się, po czym wrócił, by przyjrzeć mu się dokładniej. Pismo wydawało się znajome. Czy nie widział go już wcześniej?

Usiadła przy sekretarzyku i złamała pieczęć.

Wczoraj. To wtedy widział to pismo.

Przebiegła wzrokiem po treści i się uśmiechnęła.

– Ojej – powiedziała. Przeczytała list jeszcze raz, tym razem wolniej, chichocząc tu i ówdzie.

Longmore stał i czekał, a resztki jego dobrego humoru gdzieś uleciały.

– Czy to jakaś wielka tajemnica? – spytał. – Czy też mogę się pośmiać?

Wręczyła mu list. Nie wziął go do ręki, popatrzył tylko na dół, na podpis. Adderley. Tak jak myślał.

– Chcesz go przeczytać? – spytała. – Czy ja mam to zrobić? Myślę, że trzeba przeczytać go na głos, wtedy odniesie lepszy efekt.

– Dalej, czytaj – ponaglił.

Moja droga madame de Veirrion – zaczęła.

Nie mogę zasnąć. Moje serce zbyt jest przepełnione uczuciami, by odpocząć, a umysł – zbyt pobudzony. Zasnąć nie sposób, póki nie ulżę sercu i nie wyspowiadam się niebiańskiej istocie, która je skradła. Nawet teraz jeszcze słyszę pani głos niczym wabiącą muzykę. Zamykam oczy i wszystko, co widzę, to pani piękne...

– Piersi – przerwał Longmore. – Wszystko, co on widzi, to twoje piękne piersi, oślizgły drań!

– Oczy – sprostowała, pokazując miejsce w tekście. – Moje piękne oczy, „niczym dwa oceany, o niezmierzonej głębi i tajemnicy”.

– Rozchoruję się – jęknął.

– Mam przestać czytać? – spytała.

– Nie, czytaj. Chcę to usłyszeć, zupełnie jak ktoś, kto nie może się oprzeć, by nie gapić się na wypadek powozów albo na trupy wynoszone spod ruin walącego się domu.

Miałem się za odpornego na dźgnięcia i uniesienia miłosne – czytała. – *Wierzyłem zawsze, że takie uczucia właściwe są jedynie uczniom i poetom.*

I wtedy spotkałem ciebie. Proszę, wybacz mi, Madame – prawie nie wiem, co piszę. Jestem przelękniony i zmieszany. Wiem tylko, że nie mógłbym spocząć bez przelania na papier tych paru słów, aczkolwiek niezdarnych... – pod każdym względem nieźle napisane – *...na papier tych paru słów, aczkolwiek niezdarnych, aby wyrazić moje uczucia. Jest pani taka dobra, taka wyrozumiała, moja bardzo droga pani. Błagam, niech pani* łaskawie *przyjmie słowa swego pokornego sługi.*

– Cóż za koszmarny zamach dokonany na niewinnym kawałku papieru! Zachichotała, po czym dokończyła:

Proszę tylko o słówko lub dwa, dość, by ocalić mnie od skrajnej rozpaczy. Maleńka nadzieja, to wszystko, o co błagam – proszę dać mi znać, kiedy mógłbym panią znów zobaczyć. Modlę się, by stało się to jak najszybciej. Jestem cały pani, oddany, A.

Spojrzała na Longmore'a.

– Czyż to nie cudowne?

– Cudowne? Rozum cię opuścił czy co? Cóż za tupet! Niech go wszelka zaraza weźmie, wiedziałem, że nie ma klasy, ale każdy dzień udowadnia, że moja ocena była nader pochlebna. To przechodzi wszelkie pojęcie! Zaręczony z moją siostrą i kochający się w mojej... mojej... jak wy to nazywacie?

Uniosła brwi.

– Jak wy to nazywacie? – powtórzyła.

Zmarszczył się.

– No, wiesz, co mam na myśli.

– Może w twojej ciotce?

– Nie ciotce, Sophy. Nie to. Nigdy to. – Jakże może być taka niedomyślna? – Nic podobnego.

– To co w takim razie?

Machnął ręką w stronę listu.

– Wie przecież, że towarzyszyłem ci wszędzie. Wie, że się tobą interesuję. Dżentelmen nie poluje na terenie innego dżentelmena.

– Słyszysz to, co mówisz? – spytała. – Zachowujesz się tak, jakby Madame istniała naprawdę. To przecież tylko maskarada, nie pamiętasz?

– Nie o to chodzi.

– Chodzi tylko o to – rzekła.

– On nie ma żadnego cholernego interesu w tym, żeby pisać do ciebie miłosne liściki – rzekł. – Jeśli w ogóle można uszlachetnić napuszone wypociny tą nazwą, co czynię z żalem, bo ośmiesza to listy miłosne.

– Longmore!

– Myślałem, że teraz jestem już Harry. Czy może to też maskarada?

– Która część? – spytała. – Nie jestem pewna, co masz na myśli.

On też tego nie wiedział. Patrzył na list w jej rękach. Jej delikatnych dłoniach. Tych samych, które zagłębiały się w jego włosach, chciały go udusić, trzymały jego członek i okazywały, że go pożąda.

– Jak on śmie? Jak śmie być wabiony twoim głosem? Jak śmie być przelękniony i zmieszany? On cię w ogóle nie zna. To piekielna zniewaga.

Przyglądała mu się badawczo z przechyloną głową, myśląc i myśląc, próbując go zrozumieć.

– Co się z tobą dzieje? – powiedziała wreszcie. – On tylko tak mówi.

– Tak – przyznał. – Mówi rzeczy, które kobiety chcą usłyszeć. Że myślimy o waszych oczach, nie piersiach. Waszych głosach, nie miejscu między nogami. O rozmowie z wami, a nie najszybszej drodze, by dostać się pod spódnicę.

– Próbuje zaciągnąć mnie do łóżka – powiedziała. – O to chodzi. Co, u licha, cię opętało?! Powiedziałeś, że twój umysł jest czysty. Myślałam, że już załatwiliśmy tę sprawę. Jak wiele razy mamy cudzołożyć, aby...

– My nie cudzołożymy – wycedził przez zęby.

– Na pewno robimy coś nie w stylu dam...

– My się kochamy – rzekł.

Wyrwał jej list, zmiął w twardą, małą kulkę i cisnął przez pokój.

– Ty i ja. To, co robimy, robimy z miłości. To różnica. Wielka różnica. A on nie ma prawa się z tobą kochać i pisać do ciebie takich listów. Tylko dlatego, że nie piszę do ciebie niezdarnych, idiotycznych liścików, od których zbiera się na wymioty, tylko dlatego, że nie mówię...

Umilkł, świadomy uczucia, dziwnego dźgnięcia szczęścia i nieszczęścia równocześnie.

Patrzył na nią przez dłuższy czas.

Splotła dłonie. Na palcach znów miała atrament, lecz twarz tym razem była czysta. Patrzyła na niego bardzo intensywnie, jej oczy przewiercały go na wylot, starając się przebić jego grubą, bardzo grubą czaszkę, próbując pojąć to, czego on sam nie pojmował.

– Tylko dlatego, że nie mówię...

Odwrócił się i poszedł do sypialni.

Poszła za nim.

Zebrał odzież z podłogi i zewsząd, gdzie wylądowała, rzucił na jeden z trzech foteli w sypialni i zaczął się ubierać. Wokół nich rosła pełna napięcia cisza.

– Ta maskarada – odezwała się wreszcie. – Nie przywykłeś do udawania. To cię martwi i dezorientuje.

Włożył koszulę, odpiął spodnie i wsunął ją za pasek.

– Cała rzecz polega na tym, by wierzyć w nią, kiedy przedstawienie trwa – rzekła. – Ale wrócić do swojego ja, gdy tylko schodzi się ze sceny.

Włożył kamizelkę i zapiął guziki. Usiadł, by wsunąć pończochy i buty.

– On gra na naszą korzyść – zauważyła.

Wstał, wziął z oparcia fular i zarzucił go na szyję. Zawiązał go szybko w sposób, za który jego służącego niechybnie spotkałaby reprymenda.

– Adderley to dudek – powiedziała. – Naiwniak. Plama. To nie dzieje się naprawdę.

Wcisnął się w żakiet.

– Owszem, dzieje się – powiedział.

– Nie, to...

– To jest prawdziwe – powiedział. – Ty i ja: to jest naprawdę. Ja cię kocham.

Usłyszał jej szybki, gwałtowny oddech.

– To jest mój kłopot, głupca – powiedział. – Kocham cię.

Stała spokojnie, raz jeden – raz jeden – zbyt wstrząśnięta, by udawać, że nie jest, zbyt wstrząśnięta, by przybrać nic niemówiącą minę. Jej błękitne oczy zogromniały w wielkim, nieskończonym zdumieniu.

Pochylił się i pocałował ją prosto w usta.

– Idę teraz – powiedział. – To wszystko jest zbyt wstrząsające. Potrzebuję drinka, jak sądzę. Albo muszę kogoś pobić. Cokolwiek. Kocham cię. Tak właśnie jest. To właśnie się stało. Tak.

Odwrócił się i pokręcił głową. Po czym roześmiał się i wyszedł.

* * *

Sophy wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął.

– Nic takiego się nie zdarzyło – wyszeptała. – Wymyśliłam to sobie.

Jej wzrok powędrował po pokoju, teraz pozbawionym wszelkich śladów jego obecności.

Nie mógł zrobić czegoś takiego. Był ostatnim człowiekiem na ziemi, który zdobyłby się na takie wyznanie.

Jej wargi jednak nadal pulsowały od namiętności ostatniego pocałunku, zapamiętała też lekkie skrzywienie jego ust oraz dziwną nutę w jego śmiechu na chwilę przedtem, zanim się odwrócił.

Wybiegła przez te drzwi do następnego pokoju i kolejnego...

Zatrzymała się przy drzwiach na korytarz.

Cóż ona takiego robi?

Nie mogła wybiec na korytarz w nocnej koszuli. Co chciała przez to osiągnąć?

Lecz nie. Była ostrożna. Nie było niczego szokującego w tym, że owdowiała cudzoziemka zabawia dżentelmena aż do wczesnych godzin porannych. Większość towarzystwa właśnie teraz wracała do domów po nocy pełnej rozrywek, a jej apartament, podobnie jak apartament cudzoziemskiego ambasadora, był przystosowany do przyjmowania gości. Ci, którzy słyszeli o wyjściu stąd Longmore’a wczesnym rankiem, mogli snuć domysły, ale nie oznaczało to jeszcze skandalu, chyba że opisałoby to „Poranne Zwierciadło”. Służba była na tyle dobrze opłacona, by nie rozpowiadać o Madame plotek, w żadnym języku.

Gdyby jednak wybiegła w nocnej koszuli i szlafroku na korytarz za jego lordowską mością, zobaczono by ją, a to stanowczo byłby już skandal.

Wróciła do salonu.

– W żadnym wypadku nic by to nie zmieniło – wymamrotała pod nosem. Cóż by zyskała, gdyby za nim pobiegła? Co najwyżej kolejne zaszyfrowane uwagi.

Usiadła przy sekretarzyku i wlepiła wzrok w pióro, które niedawno odłożyła.

Serce wciąż mocno jej biło. Słowa, które wypowiedział, nie stanowiły dla niej zagadki. Jej serce dość dobrze pojęło sformułowanie „kocham cię”.

– Wygląda na to, że też cię kocham, Harry, ty mój imbecylu – wyszeptała. – Nic dobrego z tego dla nas nie wyniknie.

Siedziała przez jakiś czas, kontemplując beznadziejność położenia, podczas gdy część jej umysłu polowała na intrygę, wszak było to w jej naturze. Nie istniała jednak intryga, która sprawiłaby, że wszystko potoczy się właściwie.

Nie mogła zostać jego kochanką. To byłoby fatalne rozwiązanie dla sklepu.

A co do małżeństwa...

Śmiechu warte. Nawet gdyby był aż tak szalony i lekkomyślny, żeby poprosić ją o rękę, nie mogła go przyjąć. Towarzystwo wciąż kipiało wściekłością z powodu relacji Clevedona i Marcelline. Kolejny mezalians wykończy Maison Noirot na zawsze. Na czele niszczycielskiej armii zaś stanie lady Warford.

Marcelline miała przynajmniej tyle rozsądku, że zakochała się w sierocie.

Sophy rozmyślała o Fairfaksach, wszystkich zgodnie sprzymierzonych przeciwko niej. Nawet lady Clara. W końcu lubić projektantkę czy służącą to jedno, a zaakceptować tę osobę jako siostrę to zupełnie inna sprawa.

Nie mówiąc o cierniu w postaci przodków Sophy.

Nie, było to i dziwaczne, i beznadziejne. Doprawdy, nie miała teraz czasu, by śnić na jawie i wymyślać szalone intrygi. Na razie miała w rękach jedną intrygę, dającą realne szanse na zwycięstwo. Potrzebowała jednak całego swojego sprytu, aby ją skutecznie przeprowadzić.

Rozdział 16

Markiz Hertford zaprosił znaczną część eleganckiego towarzystwa na pierwszą fetę w sezonie do swej rezydencji w Parku Regenta. (...) Jak zrozumieliśmy, wystawiono ponad pięćset zaproszeń.
„The Court Journal”, sobota, 13 czerwca 1835 roku

Wyłącznie dla „Porannego Zwierciadła” Foxe’a, poniedziałek, 15 czerwca

W świetle ostatniego incydentu na corocznej letniej wystawie w Instytucie Brytyjskim możemy tylko pokręcić głowami ze zdumieniem nad dziwactwami pewnego dżentelmena. Dżentelmen ów zdobył – czy uczciwie, czy też nie, pozostawiamy to osądowi czytelników – rękę pierwszorzędnej londyńskiej piękności, brylant pierwszej wody – tego tytułu nie poskąpią jej nawet najbardziej zatwardziali nieprzyjaciele kobiet. Dama z pozycją, niezrównanej urody i wdzięku, powinna wzbudzić uczucia najczystszego poświęcenia w każdym męskim sercu, nieskamieniałym w nieugiętym uporze przez lata bezwzględnego lekceważenia obowiązków. Prawdą jest, że grabież dokonywana przez dżentelmena na niegdyś kwitnących ziemiach zostawionych mu w spadku przez kochającego ojca zniżyła zależnych od niego dzierżawców i służbę do poziomu żebraków.

Londyn przez wiele już lat nie widział tak haniebnego przypadku lekkomyślnego szastania pieniędzmi i lekceważenia niepisanego kodeksu, który zezwala dżentelmenowi ignorować lament wierzycieli, ale wymaga szybkiego płacenia wszelkich długów przyjaciołom. W rzeczy samej, by znaleźć porównywalny w skali przypadek, musimy cofnąć się w czasie do roku 1816, kiedy Beau Brummell uciekł z Anglii pod osłoną nocy, pożyczywszy około trzydziestu tysięcy funtów od przyjaciół.

Nie wiemy obecnie, co myśleć, możemy jedynie przedstawić czytelnikom pojedynczy incydent: w niedzielę wieczorem dżentelmen, o którym mowa, był widziany w ustronnej wnęce restauracji hotelu Brunswick. Należy w tym miejscu przyznać, że *w spotkaniu dżentelmenów delektujących się wyborną hotelową kuchnią i napitkami nie ma nic niezwykłego. Rzecz w tym, że to nie dżentelmeni bawili w towarzystwie jego lordowskiej mości. Jedyną towarzyszką przy stole była młoda francuska wdówka, którą widziano ostatnio wspartą na ramieniu brata jego narzeczonej.*

* * *

Maison Noirot,
wtorek po południu

– Nie, nie! – zawołała Marcelline. – Co ty wymyśliłaś, Sophy? To bardzo ważne, aby lady Clara była ubrana na biało. A ty musisz się ubrać na niebiesko.

– Myślałam, że na to przyjęcie zrobiłaś tę śliwkową suknię – odparła Sophy.

Marcelline machnęła rękami, kategorycznie odganiając ten pomysł.

– Tak było, dopóki nie zobaczyłam obu sukni zestawionych razem i ciebie obok lady Clary. Nie, nie. To poza wszelką dyskusją. Zbyt duży kontrast.

Suknie wisiały na trzech manekinach. Były częścią kompletu dwunastu manekinów – ekstrawagancji, która nie znalazła uznania Leonie. Razem stanowiły reprezentacyjne widowisko i robiły wrażenie na klientkach. U konkurencji były tylko dwa przestarzałe egzemplarze.

– Oczywiście, że jest kontrast – upierała się Sophy. – Jestem szykowną, pełną fantazji młodą wdową. Lady Clara to niezamężna młoda dama.

– Wiem – rzekła niecierpliwie Marcelline. – Jeśli jednak lady Clara założy białą suknię, a ty śliwkową, różnica wyda się zbyt rażąca, a ty wypadniesz w tym porównaniu na rozwiązłą. Szyk z fantazją – bardzo dobrze, to ekscytuje. Rozwiązłość zaś to już oskarżenie. – Zwróciła się do brata lady Clary. – Proszę coś powiedzieć, lordzie Longmore.

Cofnął się o krok.

– O, nie. Dziękuję bardzo. Jeśli idzie o damskie stroje, jestem niczym Szalony Dick. On nawet się nie zbliża do kobiecych guzików, haftek i tym podobnych, a ja nie zgadzam się na wciąganie mnie w dysputy o modzie.

Longmore, lady Clara, Marcelline i Sophy stali w ustronnym saloniku na pierwszym piętrze, z dala od ruchu na parterze – znacznie większego, niż siostry się spodziewały w obliczu końca sezonu.

Wyższe sfery uwielbiały kończyć sezon hucznymi zabawami, porównywalnymi z końcowymi wybuchami pokazu sztucznych ogni, a gospodarze prześcigali się w organizacji największej eksplozji. Odzieżowa rywalizacja kobiet nie różniła się zaś niczym od przygotowań do wojny.

W czwartek lady Bartham wydawała coroczny bal. Jej zamiarem było odsunięcie w cień wszelkich innych przyjęć na zakończenie sezonu, łącznie z wczorajszą fetą markiza Hertforda w Regent Parku, balem i kolacją

u księcia i księżnej St. Alban’s dzisiejszego wieczoru oraz zabawą na wsi w Sion House zorganizowaną przez księcia i księżną Northumberland.

Aby prześcignąć wszystkich innych, lady Bartham zaprosiła naturalnie nie tylko osoby uczestniczące bezpośrednio w skandalu z Adderleyem, ale także parę, która pojawiła się na kilku zaledwie balach, czyli księcia i księżnę Clevedon.

Kiedy wielki świat dowiedział się, że zarówno lady Clara Fairfax, jak i jej – jak plotkowano – rywalka do uczuć Adderleya, Madame de Veirrion, są patronkami Maison Noirot, kilka dam porzuciło swoje krawcowe i udało się czym prędzej na St. James. Nie ulegało wątpliwości, że chcą one zobaczyć, jak obie damy wydrapują sobie oczy, nie wspominając już o możliwości przyjrzenia się olśniewającej księżnej Clevedon.

Były to jednak drugorzędne motywy. Najważniejszym było prześcignąć wszystkie inne damy, łącznie z sensacją z Paryża, Madame de Veirrion. Okazało się, że posiadanie sukni wykonanej w Maison Noirot stało się jedyną drogą do osiągnięcia tego celu, nawet jeśli oznaczało to znalezienie się na liście wrogów markizy Warford.

Ponieważ zachwycona Leonie uznała dopływ pożądanych klientek za zasługę Sophy, była nieco mniej zrzędliwa w kwestii pieniędzy niż zazwyczaj. Dziś skorzystała z obecności Sophy w Maison Noirot, by odwiedzić kupców lnianych. Leonie miała oko do tkanin, podobnie jak do kolumn cyfr.

Niemniej to Marcelline była uznanym geniuszem z zakresu mody. Gdyby Leonie była obok, powiedziałaby Sophy: „Ależ oczywiście, że założysz niebieską suknię, czyż Marcelline nie powiedziała wyraźnie, że tak będzie lepiej?”.

Lady Clara podniosła się, by dokładniej obejrzeć suknie, i dodała swoją opinię:

– W niebieskim będzie pani wyglądać bosko. To idealny odcień podkreślający kolor pani oczu. No i stanowi znakomite tło dla brylantów.

– Brylanty? – zapytał Longmore.

– Oczywiście – odparła lady Clara. – Madame musi wprost ociekać brylantami, aby zaostrzyć apetyt pewnego dżentelmena.

Ciemne spojrzenie Longmore’a powędrowało ku Sophy. Nie widziała go od poniedziałkowego poranka. To był pierwszy raz, kiedy popatrzył na nią

naprawdę, odkąd przyjechał tu z siostrą. Pomyślała, że błysk w jego oczach to rozbawienie.

Możliwe, że w ogóle nie był zakochany. Może dał się tylko ponieść chwili, a potem doszedł do siebie, tak samo jak dochodził do siebie o poranku po nadmiernej hulance.

Zakochany mężczyzna powinien być wszak choć troszkę zafrasowany, blady i zbolały. Powinien czuć ukłucie miłości, jak banalnie wyłożył to lord Adderley.

Może jednak naiwnością z jej strony było oczekiwać, że mężczyzna pokroju Longmore'a w ogóle będzie się przejmował takim drobiazgiem jak zakochanie. Nie był wrażliwy czy czuły, no i z pewnością nie można mu było zarzucić przesadnego sentymentalizmu.

A ona właśnie to w nim pokochała.

Jak również wiele innych rzeczy.

To bez znaczenia, bez znaczenia, bez znaczenia.

Skupiła się na teraźniejszości i na konieczności przebrnięcia przez to spotkanie ze swobodą i godnością.

– To nie czas na subtelności – zauważyła.

– Och, nikt nie myśli o subtelności na balu u lady Bartham – rzekła lady Clara, nieświadoma napięcia między jej bratem a jedną z jej projektantek. – Kobiety wieszają na sobie wszystko, co mają w kasetkach z biżuterią.

– Lecz nie pani, lady Claro – upomniała ją Marcelline. – Pani będzie miała na sobie bardzo skromną biżuterię. Pani uroda nie wymaga klejnotów niezależnie od okazji, to samo dotyczy kreacji. Wspaniała suknia nie potrzebuje kilogramów biżuterii. Lecz co najważniejsze, chcemy podkreślić pani czystość i niewinność.

– I chcemy udać, że ja też mam na zbyciu trochę czystości i niewinności – wtrąciła Sophy. – To znaczy chciałam powiedzieć, że Madame ma.

Longmore podszedł do manekinów i przyjrzał się niebieskiej sukni.

– Czemu ma pani względem niej obiekcje? – spytał. – Błękit podkreśli barwę pani oczu – pani niebiańskich oczu – a może to usta albo duszę głupiec Adderley określił w ten sposób?

– To ja jestem niebiańska – poprawiła. – Moje całe jestestwo.

– Lord Adderley naprawdę to powiedział? – spytała lady Clara.

– Ułożył to na piśmie – rzekł Longmore. – Czy Madame nic ci nie powiedziała?

– A kiedy miała to zrobić? – zabrała głos Sophy. – Pamięta pan zapewne, że stosunki lady Clary i Madame w ostatnich dniach nieco się ochłodziły.

– Tracę wątek, kto jest kim i o co komu chodzi – rzekł. – Jak na mój mały móżdżek za dużo jest tu subtelności i ukrytych znaczeń. Za dużo podstępów.

To właśnie jest moja druga natura, pomyślała Sophy. A może pierwsza.

Demonstrując poczucie humoru, opowiedziała lady Clarze o miłosnym liściku. Zobaczyła, że dama spojrzała na brata, czyżby obserwując jego reakcję? Lecz on nawet tego nie zauważył. Przechadzał się tam i z powrotem przed manekinami z rękami splecionymi za plecami. Sophy przyszło do głowy, iż sprawia wrażenie, jakby robił przegląd wojsk.

W pewnym sensie tak właśnie było. Dwie z sukien na manekinach były zaś arsenałem broni Sophy i lady Clary.

– Jakże się cieszę, że nic o tym nie wiedziałam! – wykrzyknęła lady Clara, gdy Sophy ze stosownym patosem przekazała końcową prośbę lorda Adderleya. – Przenigdy nie byłabym w stanie opanować się w czasie jego wczorajszej wizyty. – Uśmiechnęła się słabo. – Wściekał się o artykuł w „Porannym Zwierciadle”. Znów groził, że pozwie gazetę. Wygłosił tyradę o oszczerstwach. Nie mogłam się doczekać, kiedy skończy. Myślałam, że mama wybuchnie, ale ona jedynie siedziała – wyprostowana, sztywna i oburzona. Musiał pojąć, że użył złej taktyki, bo uciszył się, gdy nie doczekał się wyrazów współczucia. A potem zapewnił mnie, że ów incydent był zupełnie niewinny.

– Żałuję, że ominęło mnie to przedstawienie – powiedział Longmore, starannie lustrując niebieską suknię. – Musiałem się pokazać na fecie markiza Hertforda.

Poszedł na to przyjęcie po tym, jak powiedział, że mnie kocha, pomyślała Sophy. Powiedział, że kocha, i popatrzył tak, jakby był to żart albo zagadka... i roześmiał się... a potem wyszedł.

Marcelline podeszła do niego.

– Czy coś pana martwi w sukni Sophy... – Przerwała, zmarszczyła brwi i podeszła do białej kreacji, którą zrobiła dla lady Clary. – Sophy, czy myślisz, że rękawy powinny... – Popatrzyła na suknię, a potem na lady Clarę. Zmrużyła oczy i zacisnęła usta w sposób, który świadczył o tym, że jej oko artystki wychwyciło jakąś wadę, której nie potrafił dostrzec nikt inny.

– Rękawy – powtórzyła. – Nie są do końca... Lady Claro, muszę poprosić panią o jeszcze jedną przymiarkę sukni.

– O, tak, oczywiście. Po to przecież przyjechałam. I czyż nie miło ze strony Harry’ego, że mnie tu przywiózł, skoro mógł pojechać do Ascot? Dziś zaczęły się wyścigi, jak panie wiedzą, a on nie opuścił ani jednego dnia otwarcia, odkąd wrócił z Europy.

Marcelline uśmiechnęła się tylko i poprowadziła lady Clarę do przebieralni. Drzwi nie były zamknięte, a delikatny, melodyjny głos Clary był doskonale słyszalny.

– Szkoda, że opuścił przedstawienie z Adderleyem. Zastąpiłoby mu to rozrywkę w Ascot. Myślę, że śmiałby się do rozpuku. Mama, naturalnie, nie widzi w tym nic śmiesznego. Była wyraźnie wyprowadzona z równowagi, ale trzymała się w ryzach. Nawet ja muszę jej to przyznać. Niezwykle trudno jest siedzieć w milczeniu, kiedy obrażają twoją inteligencję.

Longmore przysunął się do Sophy.

– Chciałbym cię zobaczyć ociekającą brylantami i... bez niczego więcej – powiedział bardzo cichym głosem, który zmiękczył równocześnie jej umysł i ciało. Głośniej zaś odpowiedział siostrze:

– Byłem ciekaw, jak ten padalec się wytłumaczy.

– Och, zwalał winę na ciebie – odparła Clara lekko stłumionym głosem. Sophy usłyszała szelest materiału i mruczenie Marcelline.

– Mnie? – spytał Longmore. Pochylił się i polizał ucho Sophy.

Zacisnęła dłonie. Powinna się odsunąć, ale to było takie pyszne. I takie nieprzyzwoite.

– Twierdził, że uraziłeś uczucia Madame – wyjaśniła Clara. – Tłumaczył, że próbował ją tylko pocieszyć. Wtrąciłam, że kolacja sam na sam z damą w hotelu to nieco dziwny sposób pocieszania. Dlaczego nie zaproponował orzeźwiającego spaceru na świeżym powietrzu? Czemu nie zaprosił jej do amfiteatru Astleya albo ogrodu zoologicznego?

Longmore całował szyję Sophy widoczną nad falbanką sukni. Wymagało od niej nadludzkiego wysiłku, aby skupić się na lady Clarze, ale nie mogła się odsunąć.

– To doskonale – odezwała się. – Nie przebaczyła mu pani zbyt łatwo.

– W ogóle nie – sprostowała lady Clara. – Wiem, że się na mnie rozgniewał. Oczekiwał, że się uśmiechnę i przyjmę, cokolwiek tylko powie.

Myśli, że może robić wszystko, na co ma ochotę, tylko dlatego, że w jego rękach jest moje dobre imię – imię, które sam skalał. Umyślnie.

Longmore przestał całować Sophy i zajrzał jej głęboko w oczy.

– To zbyt skomplikowane – powiedział. – Nie mogę tego robić i myśleć równocześnie.

– Więc się odsuń – rzekła.

– Ale nie chcę.

– Wiem, że chciałby zerwać – ciągnęła Clara. – Ale się nie ośmiela. Wiecie, wróbel w garści... lecz, o mój Boże, cóż ja pocznę, jeśli to się nie powiedzie i...

– Cii! – przerwała ostro Marcelline. – Wszystko będzie dobrze. Niech nam pani zaufa, moja droga.

– Zaufać wam – szepnął Longmore, zaglądając Sophy w oczy. – Bardzo zabawne.

* * *

Ponieważ najlepiej dla Sophy było, aby nie widziano jej w sklepie zbyt często, unikała przebywania w butiku. To Marcelline odprowadziła lady Clarę i jej brata na dół i pożegnała – ku niewątpliwemu podnieceniu klientek.

Wróciła jednak bardzo szybko i zdjęła śliwkową suknię z manekina, obrzuciwszy ją ponurym spojrzeniem. Zarzuciła ją sobie na ramię, złapała Sophy za rękę i pomaszerowała z nią do przebieralni.

– Nie ma potrzeby wpadać w szał – uspokoiła ją Sophy. Marcelline potrafiła reagować z temperamentem, gdy chodziło o jej projekty. – Jeśli mówisz, że muszę włożyć niebieską, włożę niebieską.

– Wiem, czemu chcesz włożyć śliwkową – rzekła Marcelline. – Jest zachwycająca. Longmore zemdleje.

– Suknia może skłonić go do pewnych rzeczy, ale omdlenie do nich nie należy – sprostowała Sophy. – To człowiek, który mówi dziewczynie, że ją ko-kocha, a potem ry-ryczy ze śmiechu. Jakby to był jakiś ż-żart...

Ku swemu strapieniu zaczęła szlochać.

– Och, moja kochana. – Marcelline rzuciła suknię na krzesło i objęła siostrę.

I to było wszystko. Przytulała ją po prostu przez jakiś czas, dopóki Sophy płakała, a płakała, dopóki nie miała dość.

Wtedy Marcelline zaprowadziła ją na górę do salonu i przyniosła brandy, ulubione remedium sióstr Noirot na wszelkiego rodzaju zmartwienia.

– Pracujesz tak ciężko – powiedziała Marcelline, gdy wypiły pierwszy łyk. – Bierzesz na siebie tak wiele. Nawet Leonie to widzi.

– Zostawiłam was przecież z tym wszystkim. A ty na dodatek masz teraz męża! Wciąż jesteście nowożeńcami!

– Pomagają nam Selina Jeffreys i szwaczki – rzekła siostra. – Clevedon i ja bez przeszkód możemy spędzać razem tyle czasu, ile nam potrzeba. Fakt, że wyszło się za mąż, nie znaczy, że trzeba spędzać z małżonkiem każdą chwilę.

– Ale...

– Ale nic – dokończyła stanowczo Marcelline. – Jesteś przemęczona. Masz naprawdę dość pracy, zabiegając o nasze interesy. Teraz jeszcze wzięłaś na siebie cały ten pasztet z lady Clarą. No i jej brat, który kocha się z tobą w tym samym czasie, kiedy ty prowadzisz tak delikatną, rozbudowaną i ryzykowną intrygę.

Sophy spojrzała siostrze w oczy znad karafki z brandy.

Intrygi i podstępy stanowiły część rodzinnego dziedzictwa. Jeśli była jakakolwiek rzecz, którą siostry rozumiały równie dobrze albo lepiej nawet niż sztukę projektowania strojów, była nią sztuka oszukiwania.

– A jeszcze są moje siostry – dodała Sophy. – Ciągną ten cały interes, ślęczą nad sukniami i zadowalają zepsute damy, kiedy ja bawię się w luksusowym hotelu, udając królową Saby na koszt szwagra.

– *Ma foi*, nie możesz się tym zamartwiać! – roześmiała się Marcelline. – Clevedon aż cały drżał, żeby wziąć udział w twojej intrydze. I spróbuj pamiętać, że on w ogóle nie dba o pieniądze. On nie jest taki jak my. Nigdy nie musiał się o nic troszczyć. I nic nie wskazuje na to, że kiedykolwiek będzie musiał. Nie przejmuj się hotelem, służbą i tym podobnymi rzeczami. Przyjaciele mojego męża wygrają albo stracą w tym tygodniu w Ascot tyle samo, ile on wydał na ciebie. A nie będą mieli nawet w części tak dobrej zabawy.

Ciężar zelżał.

Sophy uśmiechnęła się do siostry.

– A to wielka uciecha – przyznała. – Tak się zapędziłam w zamartwianiu się o lady Clarę, że niemal zapomniałam, iż robię to, do czego zostałam stworzona – a to bardzo miła odmiana po miesiącach czekania na męczące klientki.

– To jedyny mankament – westchnęła Marcelline. – Kocham projektowanie strojów. Kocham ich szycie. Nie mam nawet nic przeciwko nudzie powtarzania niektórych elementów.

– To kojące – przyznała Sophy. – Przestaje się myśleć. Szyje się i znajduje przyjemność w tworzeniu czegoś pięknego.

– Uwielbiam to – przyznała Marcelline.

– Tylko te klientki...

– Gdybyż mogły zamiast siebie przysyłać tu manekiny. – Marcelline się roześmiała. – No, nie wszystkie. Niektóre są zabawne. Lady Clara to cudo, nawet kiedy sprzecza się ze mną o rzeczy, na których w ogóle się nie zna. Lecz większość z nich …naprawdę, kiedy się pomyśli... – Siedziała przez chwilę, wpatrując się w karafkę. – Musi być jakiś sposób.

– Moja droga, jeśli wolałabyś być księżną i projektować suknie w swoim zamku, wyłącznie dla własnej rozrywki, to wiesz, że Leonie i ja poradzimy sobie w butiku.

– Umarłabym, gdybym to rzuciła – rzekła Marcelline. – Coś by we mnie uschło. Próżna rada, ale ciotka Emma coś jednak dla nas zrobiła. Wbrew mamie, papie i wszystkim innym.

– Zainspirowała nas – dodała Sophy. – Miałyśmy być łajdaczkami jak cała reszta rodziny, i jesteśmy. Lecz ciotka Emma uczyniła z nas kogoś więcej. A teraz nie możemy już być kimś mniej, to wszystko.

Marcelline podniosła kieliszek, za nią Sophy.

– Za ciotkę Emmę – rzekła Marcelline.

– Za ciotkę Emmę – zawtórowała Sophy. Wypiły.

– Muszę włożyć niebieską suknię, bo... – zaczęła Sophy.

– Bo ta druga sprawi, że Longmore zemdleje, a potrzeba nam, aby zachował przytomność – dokończyła siostra. – Skoro mowa o Longmorze... – Uniosła pytająco brwi.

Kochaliśmy się, powiedział.

– Tak – potwierdziła Sophy. – Tak. Zrobiłam. To. Tę rzecz, którą mi wyjaśniałaś.

– Z zakresu rodzinnego pożycia – podpowiedziała Marcelline.

– Czekałam na właściwy czas, by ci powiedzieć – wyznała Sophy. – Tylko tego czasu nie było. Ostatnio prawie się nie widujemy.

Opowiedziała siostrze, co zdarzyło się na drodze do i z Portsmouth.

Wiedziała, że Marcelline nie będzie się gniewać ani jej potępiać. Noirotowie nie byli tacy jak reszta ludzi – nie dbali o zasady.

Siostra słuchała i uśmiechała się od czasu do czasu, a kiedy Sophy skończyła, wzruszyła ramionami, dokładnie tak, jak czynią to Francuzki, i dokładnie tak, jak czynili to wszyscy członkowie rodziny Noirotów.

– Było pewne, że zdarzy się to prędzej lub później – powiedziała. – Czystość i cnota nie pasują do Noirotów, prawda? A ty cała jesteś jak nas trzy i dwadzieścioro innych. To wyczyn, że zachowałaś cnotę tak długo.

– Prawdopodobnie przez brak okazji.

– Prawie nie masz czasu spać – rzekła siostra. – A gdzież czas na romanse? A jednak potrafimy znaleźć na to kilka chwil, jeśli musimy.

– Nie jestem pewna, czy musiałam – zauważyła Sophy.

– Ja jestem – uspokoiła ją Marcelline. – Wiem, że to cholernie niezręczne. Nie winię cię za to, że płaczesz, zastanawiając się, jak okropnie trudna i poplątana jest to sprawa.

– Trudna i poplątana? Chciałaś powiedzieć – beznadziejna.

– Wydaje się beznadziejna, muszę przyznać. – Marcelline się uśmiechnęła. – Lecz, moja kochana, *ma sœur chérie*, naprawdę muszę pochwalić cię za twój doskonały gust.

* * *

Rezydencja Warfordów,
czwartek, 18 czerwca

– Błagam, posłuchaj tego, mamo – rzekła lady Clara. Potrząsnęła lekko egzemplarzem „Porannego Zwierciadła”, odchrząknęła i zaczęła: – „Wydaje się, że rozłam, który parę dni temu zaistniał między pewnym lordem a młodą francuską wdową, został naprawiony i para grucha sobie w najlepsze. Ostatniego wieczoru zasiadła do kolacji w hotelu Clarendon z księciem i księżną, którzy ich ze sobą poznali, jak czytelnicy zapewne pamiętają, tydzień wcześniej w Teatrze Królowej. Madame miała na sobie

suknię z różowego *velours epinglé*, stanik udrapowany w fałdy wzdłuż biustu, a tył dopasowany. Bardzo krótkie i pełne rękawy były rozcięte z przodu, ukazując...”.

Kiedy doszła do fragmentu o gruchaniu, lord Adderley wstał z fotela i podszedł do kominka, gdzie jął podziwiać należącą do lady Warford kolekcję szklanych kwiatów z Murano. Nie zwracał najmniejszej uwagi na resztę cytatu, w którym opisywano najdrobniejsze szczegóły tego, co miały na sobie Madame i księżna.

Spełniając swój obowiązek, przyszedł dzisiaj z wizytą, jak czynił to codziennie oprócz wtorku, kiedy rodzina nie przyjmowała gości. Myślał o tym jak o rwaniu zęba. Nie był pewien, czy wytrzyma to dłużej: nieustanną paplaninę Clary i lodowatą, pełną wyższości uprzejmość jej matki.

– Gruchanie, coś podobnego – odezwała się lady Warford. – Nie zdziwiłabym się, gdyby Longmore złamał Foxe’owi szczękę za tę zniewagę.

– Harry prędzej będzie się śmiał – powiedziała Clara. – Choć w sumie to interesujące, iż wszystko między nimi jest w porządku, nieprawdaż, lordzie Adderley?

– Kolacja była umówiona przedtem – wtrącił. – Bez wątpienia Madame de Veirrion nie życzyła sobie sprawiać przykrości bliskim osobom. Książę i księżna to jej dobrzy przyjaciele.

– Zatem mój brat zapewne w pełni wykorzystał okazję, by zbliżyć się do Madame – zauważyła Clara. – On potrafi wkręcić się wszędzie, gdzie chce.

– Jeśli Longmore życzy sobie wygrywać, to konkluzja jest tylko jedna: postanowił wzbudzić zainteresowanie damy – wtrąciła lady Warford. – Miałam przeczucie, że do tego dojdzie, od chwili, kiedy zobaczyłam ją w teatrze. Cóż, mogłoby być znacznie gorzej, jestem o tym przekonana.

Służąca z tawerny albo baletnica.

– Sądzę, że ją polubisz, mamo. Zdaje się dobra z natury. Nie będzie synową nie do zaakceptowania.

– Synową? – spytał Adderley. – Prowadzicie ich już do ołtarza?

– Wierzę, że to tylko kwestia czasu – rzekła Clara z westchnieniem.

– Wyglądało na to, że tamtego dnia nie przypadła pani do gustu – zauważył.

– Było to, zanim powiedział mi pan, że Harry zranił jej uczucia. Wiem, jak prowokująco potrafi zachowywać się mój brat.

– Szokujący brak taktu – powiedziała lady Warford. – Niestety, Longmore potrafi być nietaktowny biegle w kilku językach.

– Tak czy inaczej, lady Bartham poprosi o przedstawienie jej dziś mamie i wygląda na to, że musimy się z tym pogodzić.

– Nie widzę innego wyboru, niż zgodzić się na poznanie tej damy – rzekła lady Warford. – Nie można mieć pewności co do Longmore'a, lecz na wypadek, gdyby zapłonął poważnym uczuciem do młodej kobiety, wolę rozpocząć znajomość w przyjacielskiej atmosferze. A jeśli to wszystko spełznie na niczym – lady Warford wykonała lekceważący gest – nic nam się nie stanie. Sezon prawie się kończy i nie będziemy musiały się widywać aż do następnego roku. A któż może wiedzieć, co się wydarzy do tego czasu?

– W rzeczy samej – odezwał się Adderley. – Któż to może wiedzieć? – Oderwał się od kominka. – Nie będę już nadużywał gościnności pań. Wiem, że damy życzą sobie teraz odpocząć i przyszykować się do wieczornego balu.

Nie próbowały go zatrzymywać.

Pożegnał się wielce uprzejmie, acz niezbyt ciepło. Kiedy wychodził z salonu, rad, że może wyjść, pewien, że na to właśnie czekały, usłyszał głos Clary:

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć kreację Madame de Veirrion.

Przełknął uśmiech i wyszedł.

Gruchała, doprawdy?

Chytra mała kokietka.

Niech „Zwierciadło" drukuje sobie, co chce. Niech wszyscy myślą, co im się podoba.

On znał o niej całą prawdę.

* * *

Bal u hrabiny Bartham,
czwartek wieczorem

Longmore obserwował zbliżającą się lady Bartham.

– Cokolwiek zrobisz – rzekł półgłosem – nie częstuj mojej matki swoim dygnięciem.

– A cóż to za dygnięcie? – spytała Madame.

– Wiesz, co mam na myśli. Baletowe dygnięcie umierającej łabędziej królowej.

– Głupstwo – oburzyła się. – Czemuż miałabym robić takie rzeczy?

Nie miał czasu na odpowiedź, ponieważ lady Bartham znalazła się już przy nich, cała w uśmiechach. Chwilę później prowadziła Madame na spotkanie z jego matką.

Pozwolił im iść przodem, dzięki czemu mógł obserwować każdego, kto przyglądał się Madame. Niebieska suknia wyglądała pięknie już w sklepie. Teraz zapierała dech w piersi. Delikatny srebrny haft oplatał górną warstwę niebieskiej krepy, która odznaczała się na spodniej warstwie atłasu. Na rękawach powiewały lśniące wstążki i mieniły się brylanty. Pod żyrandolami suknia przypominała słoneczne światło lśniące w tafli błękitnego morza.

Suknia była głęboko wycięta, by lepiej ukazać tony brylantów, które miała na sobie Madame – przy odrobinie szczęścia nikt się nie dowie, że obciążono nimi rachunek księcia Clevedona w firmie Rundell i Bridge.

Longmore rozglądał się po sali, od niechcenia wyławiając z tłumu lorda Adderleya, który uplasował się blisko baru z napojami orzeźwiającymi z uśmieszkiem zadowolenia na twarzy.

* * *

– Moja droga lady Warford, pozwoli pani, że przedstawię Madame de Veirrion – powiedziała lady Bartham.

Lady Warford usiadła o jeden stopień bardziej wyprostowana i o cień bardziej oficjalna. Jej błękitny wzrok przewiercił Madame, jakby gotowa była wyczytać z niej całe wnętrze bez zwyczajowych czynności wstępnych.

Przez chwilę Madame zastanawiała się, czy lady Bartham uczyniła jakiś błąd, czy też nastąpiło nieporozumienie. Zawczasu pytano damy, czy życzą sobie przedstawienia im nowych osób, w celu uniknięcia nieprzyjemnych sytuacji. Być może lady Warford się zgodziła, a potem zmieniła zdanie.

Mon dieu, zaraz zostanę zignorowana, pomyślała. To będzie cios śmiertelny, bo podczas największego wydarzenia sezonu.

Madame jednak nie dała nic po sobie poznać. Na jej twarzy rysował się uśmiech, wystarczający, by wydać się przyjazną, lecz w żadnym razie nie nadskakującą.

W końcu Madame de Veirrion miała wielki majątek i w Paryżu była Kimś.

Lady Warford skłoniła z wdziękiem głowę.

– Madame.

– Lady Warford.

Madame nie odwzajemniła ukłonu. Opadła w charakterystycznym dygnięciu sióstr Noirot, tym, które Longmore jej odradzał.

Usłyszała, że wszyscy wokół wstrzymali oddech.

Kiedy wstała, spojrzenie lady Warford wyrażało zdziwienie.

Longmore zaraz znalazł się u boku Madame.

– Dobry Boże, to moja matka, nie Ludwik XIV, Madame. Wy, Francuzi, zawsze doprowadzacie wszystko do przesady.

– O jakiej przesadzie pan mówi? – spytała Madame. – To markiza, czyż nie? Co w tym złego, że dygnęłam, okazując grzeczność pana tak wytwornej *maman*? Od której błagam o przebaczenie. Zechce pani wybaczyć, madame de... och, nie. Muszę powiedzieć lady Warford. Mój angielski jest daleki od perfekcji.

– Jestem pewna, że doszlifuje go pani z czasem, Madame de Veirrion – rzekła lady Warford. – Jak doszlifowała pani, co widać... inne rzeczy. – Rzuciła spojrzenie synowi, po czym powróciła do jego towarzyszki. – Jak sądzę, jest to pani pierwszy londyński bal?

– Tak, madame – lady Warford. To mój debiut, dzięki wielkiej dobroci pani przyjaciółki, lady Bartham.

– Ależ to oczywiste, że musiałam panią tu mieć – wtrąciła lady Bartham. – Nie do pomyślenia by było zapomnieć o damie, o której mówi teraz cały Londyn.

– Oczywiste, że musiałaś – mruknęła lady Warford i uśmiechnęła się słodko.

– Musiałam mieć też drugą damę, o której dużo się mówi – księżnę Clevedon.

– Jako że najwięcej mówi się po angielsku – wtrącił Longmore – Madame jest w tym fortunnym położeniu, że większości z tego nie rozumie. Ośmielę się rzec, że wyłapuje zaledwie trzy na dziesięć słów w prowadzonej tu rozmowie. Madame, wygląda pani na lekko oszołomioną. Sądzę, że potrzebne jest pani jakieś wzmocnienie. Lady Bartham, matko, Claro, czy zgodzą się panie na to, abyśmy oddalili się sprzed wzniosłych oblicz?

Rozdział 17

Jeśli pan Brinsley Sheridan jest małym i niewiele wartym,
acz wywyższającym się utracjuszem, dla którego mariaż był tylko
zręcznym paktem zawartym z niecierpliwiącymi się wierzycielami,
winniśmy być pierwszymi, którzy wyrażą ubolewanie
i potępią powzięty krok.
„The Court Journal”, sobota, 13 czerwca 1835 roku

Tańczyli.

Nie tego spodziewała się Sophy. Była tak skupiona na intrydze i odgrywaniu swojej roli, że nieomal zapomniała, że nie jest aktorką w dramacie teatralnym, lecz damą, która przyszła na bal.

Muzyka zagrała, gdy Longmore odprowadzał ją z dala od swojej matki. W następnej chwili lord i lady Bartham ruszyli do tańca z partnerami, których dyktowała im etykieta.

– To idealna wymówka, by nie prowadzić grzecznościowych konwersacji – zauważył Longmore. Poprowadził Sophy między wirującymi parami, a jego ramię mocno objęło ją w pasie. Wstrzymała oddech i powiedziała:

– Nie jestem pewna... To już całe wieki, odkąd...

– Poprowadzę – powiedział do niej po francusku. – Proszę zostawić to mnie, Madame. Proszę mi zaufać.

Po chwili porwał ją do walca, w którym zapomniała o interesach, intrygach i złoczyńcach. Tym razem był tylko ten mężczyzna, ruch jego atletycznego, pewnego siebie ciała.

Okrążali raz po raz salę balową, aż zdało jej się, że płynie po obłokach z jedwabiu i atłasu, białych i pastelowych, czarnych i szarych, wirujących dookoła. Połyskiwały wśród nich tęczowe gwiazdy szmaragdów, szafirów, rubinów, pereł i brylantów – nade wszystko brylantów – bijących blaskiem pod kolejnym tysiącem gwiazd kryształowych żyrandoli.

Było jak w baśniowej krainie.

Ile takich balów odwiedziła jako służąca? Ile razy opisywała takie sceny dla czytelników „Porannego Zwierciadła”?

Zawsze jednak robiła to z pozycji obserwatora.

Nie tańczyła całe lata i próbowała mu o tym powiedzieć. Nie tańczyła od czasów Paryża. A wtedy też nigdy nie wzięła udziału w takim zgromadzeniu jak to. I nigdy przedtem nie tańczyła w ramionach mężczyzny, którego...

Kochała.

Popatrzyła w górę i zobaczyła, jak przygląda jej się z lekkim uśmieszkiem. W jego ciemnych oczach lśniło rozbawienie i coś jeszcze, czego nie potrafiła odczytać.

– Niegrzeczna dziewczynka – odezwał się po francusku. – Co powiedziałem o dygnięciu? I dlaczego wydaje mi się, że nie zwróciłaś na to najmniejszej uwagi?

– Miałam powód – odpowiedziała w tym samym języku. Francuski przychodził jej naturalnie. Mordowanie angielszczyzny na modłę francuską, by brzmiała wiarygodnie, wymagało myślenia.

– Zawsze masz – zauważył.

– Po pierwsze, to przyciąga wzrok. Po drugie, pokazuje walory sukni w sposób, w jaki nie zrobi tego żaden inny ruch.

– Nawet ten? – spytał. – Czy nie została zaprojektowana tak, by wyglądać najbardziej ekscytująco podczas tańca?

– Uczysz się – pochwaliła.

– W samoobronie. Jak Clevedon.

Rozejrzał się, a ona powędrowała za nim wzrokiem. Marcelline i książę także tańczyli. Musiało być widoczne dla wszystkich obserwujących, dlaczego książę złamał zasadniczą regułę swojej klasy i poślubił właścicielkę sklepu. Równie oczywiste musiało być, że poślubił kobietę, która go kochała. Marcelline nie miała teraz nieprzeniknionej twarzy pokerzystki. Była sobą: kobietą głęboko, głęboko zakochaną w mężu.

Zasłużyła na swoje szczęście, pomyślała Sophy. Pracowała od dziecka. Z niefortunnego mariażu z kuzynem kobieciarzem wyciągnęła to, co najlepsze. A kiedy nadeszła epidemia cholery, która zrujnowała ich świat, przywiozła siostry do Anglii z garścią monet zaledwie i bezlitosną wolą sukcesu.

Sophy oderwała wzrok od Marcelline.

– Skoro rozumiesz aż tyle z projektowania sukien, wiesz, że miałam ukryte motywy. Prawda jest taka, że wszystkie nasze suknie mają być piękne, gdy dama spoczywa, ale jeszcze wspanialej mają się prezentować

w ruchu. Proszę, przypomnij sobie teraz moją wcześniejszą misję – tę, która zaprowadziła nas do sklepu Pretensji. Pamiętasz?

– Jakże mógłbym zapomnieć – rzekł. – Twój pieprzyk w szczególności, głęboko zapisał się – choć powinienem raczej rzec – stale na nowo się pojawia – w moich wspomnieniach.

– Pojechaliśmy tam, żebym mogła zobaczyć, czy to ta sama stara Pretensja, czy też coś nowego i groźniejszego – rzekła. – Musiałam zobaczyć suknię twojej matki, ponieważ jej kreacje są lepsze niż to, co zwykle szyją. Mimo to nadal nie umywa się do naszych. Jak jednak sprawić, by dostrzegła to twoja matka?

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z dygnięciem – zauważył.

– Nie dotarło do ciebie, że w chwili, kiedy przedstawiano mnie twojej matce, była ona otoczona przez dzieła Maison Noirot: lady Bartham, lady Clara i ja – wszystkie mamy na sobie kreacje Marcelline. Twoja matka nie mogła nie zauważyć różnicy pomiędzy tym, co mamy na sobie my, a tym, co ma na sobie ona. Może jej zająć chwilę, by pojąć to w pełni, ale zasiałam już ziarno.

– Interes – podchwycił. – Dygnięcie to był interes.

– Reklama – poprawiła.

– Kręci mi się od tego w głowie, Madame.

Poprowadził ją w taneczne obroty, od których jej także zakręciło się w głowie. Zapomniała o pracy. Jakże mogła myśleć, że walc to tylko taniec? Tańczenie walca z nim było jak powolne uprawianie miłości – dotykanie, nie pieszczenie. Trzymanie, lecz nie obejmowanie. Uczucie narastającego podniecenia i gorączki bez możliwości orgazmu.

Była dość blisko, by czuć ciepło jego ciała i przyśpieszony oddech. Było to głęboko intymne przeżycie, dłoń spleciona z dłonią, dotyk jego ręki w pasie. Poczuła się, jakby należała do tego miejsca teraz i od zawsze. Zastanawiała się nad kobietami wokół, mogącymi tańczyć w ten sam sposób z mężczyznami, którzy nie byli ich mężami.

Jakże się zatrzymać? – pomyślała. – Jakże mogę powrócić do swojego życia bez niego?

Nonsensowne pytanie. On i ona rozgrywali grę oraz swój romans, jakby był to zaledwie szczęśliwy zbieg okoliczności. Tylko kompletna fujara zrobiłaby z tego tragedię romantyczną.

Nie miała czasu, by być fujarą.

Miała do wykonania zadanie. A jeśli popełni błąd, życie młodej kobiety zostanie zniszczone... zabierając ze sobą nadzieje i sny trzech innych kobiet i wiele lat ich ciężkiej pracy.

Tylko że trudno jej było pozostać obojętną i wyrachowaną, kiedy z nim tańczyła.

Muzyka ucichła stanowczo za wcześnie. Sophy miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję, pocałować go bez pamięci i przywrzeć do niego, ponieważ...

Ponieważ w ciągu tego krótkiego czasu dowiedziała się, jak to jest żyć w jego świecie, a nie tylko się do niego wkradać. Zrozumiała, jak to jest być kimś szczególnym w ten zadziwiający sposób, w jaki kimś szczególnym byli jej przodkowie: nie dlatego, że byli utalentowanymi artystami, wynalazcami czy dzielnymi żołnierzami, ale ponieważ urodzili się jako arystokraci.

Jednak ponad to wszystko wyobrażała sobie – wierzyła – że czuje, nawet w swoim cynicznym sercu Noirotów – że była kimś szczególnym dla niego.

Może i była. Wiedziała jednak, jak musiała zakończyć się ta historia.

Czas położyć kres tragikomedii. Lub farsie. Nadal nie była pewna, jaki to gatunek.

* * *

Jakiś czas później

Longmore patrzył, gdy Madame szła przez salę w otoczeniu dżentelmenów. Stał z matką, która także się temu przyglądała.

Podobnie jak Adderley po drugiej stronie sali.

– Zamierzasz pozwolić, żeby ktoś skradł ci następny taniec? – odezwała się matka. – Na twoim miejscu nie byłabym jej taka pewna, Harry. Mógłbyś być pierwszy u bram, jakbyś to powiedział, ale wszyscy inni z łatwością mogą cię ubiec.

W tej chwili nie było dookoła nikogo z wyjątkiem bardzo sędziwej damy – jednej z przyjaciółek babki Warford – która była całkiem głucha. Przez jakiś czas musieli do niej mówić albo odpowiadać na jej pytania przynajmniej sześć, siedem razy, teraz jednak głowa damy opadła na obfity biust i rozległo się chrapanie.

Choć nikt nie mógł ich podsłuchać, Longmore nie posiadał się ze zdziwienia. Wwiercił w matkę pytające spojrzenie.

– Nie patrz tak na mnie – rzekła z rozdrażnieniem. – Pokazujesz tylko, jaki jesteś tępy.

– Nic na to nie poradzę – powiedział. – Dama nie wygląda mi na taką, jakie ty zwykłaś wybierać mi na żonę, a tymczasem stoisz tutaj i pchasz mnie do ołtarza.

– W niczym nie przypomina dziewczęcia, jakie bym dla ciebie wybrała – przyznała matka. – W ogóle.

Podniósł ze zdziwieniem brew.

– Jej angielski jest potworny – mówiła dalej matka. – Nie mogła odebrać dobrego wykształcenia.

– Niektórzy ludzie po prostu nie mają zdolności do języków – zauważył.

– Zdolności czy nie zdolności, nie jestem pewna, czy nie jest głupią gęsią – rzekła. – Niemniej jest ładną dziewczyną...

– Z ładną fortunką.

– Nie bądź wulgarny.

– Gdyby była bez grosza, nie popędzałabyś mnie, żebym się za nią uganiał. A ja nie widzę, po co się tak śpieszyć.

Rozejrzał się po parkiecie, po którym Adderley przemykał się w pogoni za Madame.

– Och, zobacz, Madame tańczy z trzecim synem lady Bartham. Jakaż by to była szkoda, gdyby to jego obdarzyła względami i swą olbrzymią fortuną.

– Byłaby szkoda, gdybyś stracił jakąkolwiek dziewczynę na rzecz tego nieopierzonego stworzenia – przycięła matka. – Rób, co chcesz, Harry. Zawsze tak robisz. Twoja siostra także. Przysięgam, że zostałam pokarana najbardziej nieposłusznymi dziećmi na świecie. Gdyby Clara mnie słuchała, nie znalazłaby się w tak koszmarnym położeniu. Z każdym dniem jej narzeczony podoba mi się coraz mniej, a od samego początku wydawał mi się odrażający. Spójrz na niego. Dwa tańce z Clarą i już odchodzi. Kiedy pomyślę o mężczyznach, których mogła mieć... O, za wiele tego. I popatrz, on też gapi się na Madame. Jak on śmie?

– Wszyscy się na nią gapią.

– Muszę powiedzieć, że stanowczo zbyt lekko do tego podchodzisz.

– Uważam, że to coś, do czego należy przywyknąć. Ona przyciąga uwagę, gdziekolwiek się pojawi.

Matka przyglądała się Madame przez chwilę, marszcząc brwi.

– Wiesz, Harry, ona mi kogoś przypomina.

Taniec już się kończył i Longmore zobaczył, jak Adderley podchodzi do Madame.

– O nie, mój drogi – rzekł Longmore. – Baw się, jeśli chcesz, ale nie z moją wesołą wdówką.

– A czemuż by miał się nie bawić? – spytała matka. – Ona nie należy do ciebie. Nie uczyniłeś nic, żeby zainteresowała się tobą na dłużej.

– A po cóż on miałby się nią interesować, skoro jest zaręczony z moją siostrą? Nie wspominając już o tym, że Madame ten taniec obiecała mnie.

– Nie rób scen, Harry. Nie tutaj.

– Mamo, wbijasz mi nóż w serce. Nigdy nie urządzam scen.

Nie pośpieszył przez salę, przepychając się przez tłum. Lord Longmore nie musiał tego czynić. Wystarczyło przybrać stosowną minę, a ludzie czym prędzej sami schodzili mu z drogi.

* * *

Kiedy Longmore podszedł do nich, Adderley przysuwał się stanowczo za blisko Madame, aby jej coś powiedzieć.

– Przykro mi, że przerywam *tête-à-tête*, lecz ten taniec jest mój.

– Wierzę, że się pan myli – odparował Adderley. – Madame obiecała taniec mnie.

Madame popatrzyła z niedowierzaniem to na jednego, to na drugiego, po czym przybrała zmartwioną minę.

– To zbyt źle – rzekła. – Musi mi pan wybaczyć, lordzie Add’lee. Lord Lun-mour mówi dobrze. To był jego taniec. Obiecałam. Moja okropna pamięć – błagam pana, niech mi wybaczy. Lecz będzie miał pan następny.

– Następna jest kolacja – przypomniał Longmore. – A skoro to taniec przed kolacją, do mnie należy przywilej odprowadzenia panią na nią. Na kolację.

– *C’est exact* – rzekła. – I o tym zapomniałam.

– Jakże łatwo pani zapomina – zauważył Longmore.

Obrzuciła go nieprzyjaznym spojrzeniem, po czym zerknęła na Adderleya wzrokiem wyrażającym daleko cieplejsze uczucia.

– Zobaczymy się więc po kolacji, lordzie Add'lee. Jeśli nie będę zbyt sfatygowana.

Adderley skłonił się i odszedł, nie przestając chytrze się uśmiechać.

Longmore patrzył za nim, po czym zwrócił się do Madame:

– A więc spodziewa się pani, że moje towarzystwo ją zmęczy?

– Nie to powiedziałam – sprostowała. – Przekręca pan moje słowa w złą stronę.

– Pani spojrzenie też? – spytał.

– Nie rozumiem...

– Zauważyłem spojrzenia, które mu rzucasz. Nigdy nie twierdziłem, że jestem geniuszem, ale poznaję flirciarskie spojrzenie, ilekroć je zobaczę.

– A czemu miałabym nie flirtować? – spytała. – Czemu wciąż i na nowo się o to spieramy? Czyżbym miała na szyi obrożę niczym pies? Nie jestem pańskim pieskiem na smyczy, lordzie Lun-mour. Nie należę do pana.

Ale marzy pani o tym – odparł w myślach, a na głos powiedział:

– Może i nie. Lecz ten dżentelmen należy do mojej siostry, jak już pani wspominałem. Kilka razy.

– To monstrualne. O co mnie pan oskarża? Że kradnę tego mężczyznę pana siostrze?

– Niedawno zdawała się pani myśleć, że powinien zostać jej skradziony.

Machnęła ręką.

– Byłam zagniewana i rzeczy, które powiedziałam, były głupie. Lecz dopiero co poznałam pańską matkę, która była dla mnie taka życzliwa. A siostra wybaczyła mi mały błąd. Czemu miałabym życzyć sobie, by je zmartwić? Jestem tu obca. Sama. Nikt mnie nie chroni. Mam tylko dwoje przyjaciół na obronę, więc cieszę się, gdy mi ich przybywa. – Ułożyła usta w podkówkę.

– Również się z tego cieszę, wraz z panią – rzekł. – Niemniej jednak, kiedy zaprzyjaźnia się pani za bardzo...

– Ależ nie! Byłam zaledwie życzliwa. – Błysnęła ku niemu błękitnymi oczami. – Flirtuję z nim trochę, w sposób, w jaki czynią to kobiety. Nie widzę powodu, czemu musi mi pan mówić, że to źle, że tak robię. Jak dotąd nie powiedział mi pan ani jednego słowa wskazującego na to, że traktuje mnie pan w sposób szczególny.

– Powiedziałem trzy, o ile pamiętam – rzekł cicho. – Czego więcej życzy sobie pani, Madame?

Róż zabarwił jej policzki i rozlał się w dół, pod brylanty okalające jej szyję i spływające po biuście.

– Wydaje mi się, że igra pan ze mną.

– Tak pani myśli? – spytał. – Że bawię się pani uczuciami?

– Zdaje się pan myśleć, że to dobry żart.

– A nie jest?

Łzy zalśniły jej w oczach i w tej chwili zrozumiał, że to już nie jest gra, a jeśli nawet tak jest, to balansują na skraju prawdy.

– Tak – rzekła. – Tak, w istocie. Przezabawne. Cha, cha, cha!

Odwróciła się z szelestem atłasu i koronki i odeszła, kołysząc biodrami, z uniesionym podbródkiem, przez salę balową.

Niemal natychmiast na drodze wyrósł jej lord Adderley.

– Myślałem, że obiecała pani taniec lordowi Longmore’owi.

– Zdaje się, że jestem zbyt *fatiguée* – rzekła. Otworzyła wachlarz i pomachała nim energicznie przed twarzą. – I bardzo gorąca. – Niech myśli, że to on ją tak rozpala. – Straciłam humor do tańca. Straciłam też przyjemność na tym balu.

– Ja też – rzekł po francusku z mocnym angielskim akcentem. – A pani zna powód.

Przyjrzała mu się znad wachlarza.

– Znam?

– Czyż już pani nie powiedziałem? – Głos Adderleya ucichł i stał się drżący. – Czyż nie obnażyłem swego serca przed panią? Każde napisane do pani słowo wyrwane jest prosto z tego serca. Wie pani, że żyję w męce. Czemu mnie pani torturuje?

Rozejrzała się wokół.

– Jest pan niedyskretny. Ktoś usłyszy.

– Musimy to załatwić – rzekł. – Każdego dnia zmienia pani zdanie.

– Każdego dnia! – wykrzyknęła. – A ile było tych dni? Dni, milordzie, nie lat ani nawet miesięcy czy tygodni. Kilka dni. Kilka listów.

O tak, odpowiedziała na wszystkie. Dała mu powód do nadziei i powód do rozpaczy. Zachęciła go, a równocześnie odepchnęła, udając niezdecydowanie. Dołożyła jednak starań, aby nie napisać niczego nazbyt konkretnego, by się nie poddał. – Nie wolno panu na mnie naciskać.

– Ja nie mogę czekać – wyznał. – Jeśli zamierza pani podeptać moje serce, niech pani uczyni to teraz. Zabij nadzieję, lecz czyń to szybko, na Boga, i wyrwij mnie z tego nieszczęścia!

Oddaliła się. Poszedł za nią.

– Pogania mnie pan – rzekła. – Kobiety nie wolno poganiać w rzeczach dotyczących jej serca.

– Znam swoje serce od chwili, kiedy panią poznałem – powiedział. – Już wtedy wiedziałem, że należymy do siebie.

Od chwili, kiedy dowiedziałeś się o moim wielkim majątku.

– Nie możemy tutaj rozmawiać – rzekła. – Tu za wiele się dzieje. Za dużo ludzi. Spotkamy się innym razem.

– Wszyscy idą na kolację – powiedział. – Lepszego czasu nie będzie. I nie będzie innego razu. Obiecała pani dać mi odpowiedź dziś w nocy.

– Jest pan za prędki.

A ona zrobiła wszystko, co potrafiła, by tak się stało.

– Madame, mój czas umyka.

– Ach, tak, ma pan się ożenić.

– To pani o tym zadecyduje.

– Nie mogę pogodzić się z myślą, że zabiorę pana tej ładnej dziewczynie – rzekła. – Złamać jej serce? Nie jestem taka. – W czasie rozmowy nie zatrzymywała się, ale szła swobodnym krokiem, pozwalając, by podążał za nią.

– Złamać jej serce? Ona z trudem mnie toleruje, jak zresztą doskonale pani wie. Widziała pani. Cała jej rodzina mną gardzi. Gdyby nie jedna chwila głupoty, byłbym wolny. A wtedy czekałbym na panią i czekał, aż się pani namyśli.

– Jedna chwila głupoty? A skąd mam wiedzieć, że nie jestem kolejną jedną chwilą głupoty?

– Jakiego dowodu pani żąda?

Doszli już do okien francuskich, otwartych, aby wpuszczały ciepłe letnie powietrze do sali balowej. Za nimi rozciągał się niewielki taras, okolony kamiennym murem. Jego lewa strona pogrążona była w cieniu. Ogród za tarasem oświetlały latarnie. Ależ romantycznie. Uśmiechnęła się do siebie.

Wyszła przez francuskie okno i podeszła do ocienionej części tarasu.

– Jakiego dowodu? – spytał ponownie.

– Ja nie pójdę na romans – rzekła cicho. – Byłam uczciwa w stosunku do męża. Nie jestem grzeszną kobietą. Nie zostanę pana kochanką. Nie jestem kurtyzaną.

– Nie chcę mieć kochanki – powiedział.

Naturalnie, że nie. Kochanki są zbyt drogie w utrzymaniu.

Milczała.

– Moje intencje są szlachetne – dodał. – Mogę tego dowieść.

Spojrzała na niego.

– Mogę – powtórzył. – Niech pani ze mną wyjedzie. Teraz, dziś wieczór. Znajdziemy się w Szkocji za mniej niż dwa dni i możemy się pobrać zaraz po przyjeździe.

– Uciec? Zrobiłby pan coś takiego?

– Dlaczego nie? Sheridan zrobił tak niedawno. A w przeciwieństwie do niego, my nie musimy się obawiać, że ktoś będzie nas ścigał.

Położyła rękę na sercu i się odwróciła.

– Madame?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Proszę się odsunąć. Muszę pomyśleć. To nie to, co myślałam. Nie przygotowałam się. – Mówiąc, ukradkiem pomajstrowała przy sukni. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że posunie się pan tak daleko – rzekła. – Uciec ze mną – to by rozgniewało moich przyjaciół. Być może oznaczałoby to także pańską niesławę.

– Nie dbam o to – rzekł. – Jeśli będę miał panią, nic innego się nie liczy. Madame, błagam panią. – Położył dłonie na jej ramionach i odwrócił ją przodem do siebie. Nie opierała się. – Niech pani ze mną wyjedzie.

– Nie! – krzyknęła. – Nie! Proszę przestać! Pomocy! – Krzycząc po francusku i angielsku, odepchnęła go. Kiedy to zrobiła, stanik jej sukni zsunął się, zaprojektowany specjalnie w tym celu, i odsłonił jasną koronkę luksusowej halki i kawałeczek eleganckiego weneckiego gorsetu autorstwa Marcelline.

W tej samej chwili niewielki tłum z lady Clarą na czele wylał się na taras.

Adderley odskoczył od Sophy jak oparzony.

– Co, u diabła?! – wykrzyknął. – Co to ma znaczyć?

– To chyba oczywiste, co to ma znaczyć – rzekła lady Clara. Pomaszerowała do niego i wymierzyła mu policzek. – Ty łajdaku.

Fałszywy, odrażający łajdaku.

– Wstyd! – powiedział ktoś w tłumie.

– Brzydzę się panem – wypaliła lady Clara. – Zrywam zaręczyny. Świat może sobie myśleć o mnie, co chce, ale ja nie wyszłabym za pana, nawet gdyby był pan ostatnim mężczyzną na ziemi.

– Ale ja nic... – zaczął Adderley.

– Wstyd!

– Hańba!

Marcelline przecisnęła się przez tłum gapiów i podeszła do Sophy.

– *Ma pauvre dame*! – Zgromiła Adderleya wzrokiem. – *Quel monstre*!

– Ale ja nigdy nie... – próbował się bronić Adderley.

– Zwierzę! – krzyknął ktoś.

– Brutal!

– Co tu się, u diabła, dzieje?! – Longmore przecisnął się przez tłum. Popatrzył na Sophy. Popatrzył na Adderleya, po czym rzucił się na niego.

Clevedon odciągnął go do tyłu.

– Nie rób tego – perswadował. – Nie warto brudzić sobie rąk.

– A to drań! – zawołał ktoś.

– Niech zgnije! – powiedział ktoś inny.

– Nie na moim tarasie – odezwała się lady Bartham. Stała w oknie. Obok niej stała lady Warford. Na tle światła padającego z sali balowej wyglądały jak dwa anioły zemsty.

– Lordzie Adderley, proszę opuścić mój dom – rzekła lady Bartham. – Nie jest już pan tutaj mile widziany.

* * *

Longmore znał swoją rolę i wiedział, co robić.

– Pod żadnym pozorem nie próbuj go uderzyć – poradził Clevedon, a siostry Noirot natychmiast się z nim zgodziły.

Ta chwila należy do Clary, tak powiedzieli wszyscy. Pozwól, by ona to zrobiła. Pozwól, by ujrzeli to ci, którzy ją wcześniej osądzali.

I tak Longmore pozwolił, by Clara spoliczkowała Adderleya.

Łobuz jednak się wymykał, a przed oczami Longmore’a zatańczyły płomienie.

Ruszył więc za Adderleyem. Uszedł trzy kroki, kiedy usłyszał głos Madame, drżący i przepełniony łzami.

– Lordzie Lun-mour.

Odwrócił się. Stała otoczona ramieniem siostry, a jej piękna suknia była w nieładzie. Po twarzy spływały jej łzy.

– Proszę zwrócić mnie do hotelu.

Widok sukni, do której dobierał się łotr, zaćmił mu umysł wściekłością. Mógł myśleć tylko o zabójstwie i nieomal powiedział: „Clevedon panią zabierze”.

Spojrzenie wielkich błękitnych oczu powstrzymało go jednak.

Nabrał w płuca powietrza i wypuścił. Wrócił do niej.

– Oczywiście, Madame – rzekł.

Wziął ją na ręce i wyniósł – przez salę balową, wzdłuż szpaleru gapiących się i szepczących arystokratów, a potem przez korytarz, do schodów prowadzących na zewnątrz rezydencji.

Po paru zaledwie minutach podstawiono powóz gospodarza. Szybko umieścił w nim Sophy.

Kiedy skręcili za róg i znaleźli się poza polem widzenia, odezwał się:

– Myślę, że dobrze poszło.

Tuliła się do niego, załzawiona i drżąca, zaraz jednak usiadła i wyjęła najcieńszą pod słońcem chusteczkę, którą otarła łzy.

– Niemal perfekcyjnie – przyznała.

– Niemal?

– Nie planowaliśmy, że rzucisz się za Adderleyem z chęcią mordu w oczach – przypomniała. – Nie należało za nim iść. Wyjaśniałam ci to. Wszyscy ci tłumaczyliśmy. To mogło zepsuć efekt. Zapomniałeś już, jaki jest porządek rzeczy? On obraża twoją... jak to nazwałeś?

– Moją ciotkę – podpowiedział i odwrócił wzrok ku oknu. Czasami był dupkiem, wielkim dupkiem.

– Gdybyś go uderzył, sprawa byłaby załatwiona. Nie chcieliśmy jednak załatwiać jej w taki sposób. Chcieliśmy okryć go hańbą tak samo, jak on okrył hańbą twoją siostrę.

Oparł się wygodniej i zamknął oczy.

– Wiem.

– Tyle że zapomniałeś. Nie można zapominać takich rzeczy. Niemal wszystko zepsułeś.

– On cię dotykał – rzekł.

– Przez trzy sekundy – odparła.

– Widział twoją halkę.

– Zaledwie centymetr.

– I twój gorset.

– Znów centymetr. Podobnie jak wszyscy inni. O to chodziło.

– Wiem – przyznał. – Jestem zakochanym mężczyzną, a zakochany mężczyzna nie myśli racjonalnie.

W powozie zapadła cisza.

Z zewnątrz dochodził stukot końskich kopyt i odgłos obracających się kół. Gdzieś bił dzwon.

– Coś trzeba z tobą zrobić – powiedział.

– Już zrobiłeś – przypomniała. – Kilka razy. W dwóch różnych hotelach. Przy wykorzystaniu całego wachlarza umiejętności.

Kochaliśmy się.

– Myślę, że muszę się z tobą ożenić – oświadczył.

Sophy poczuła, jak szloch boleśnie wzbiera w jej piersi. Zwalczyła go.

– Oświadczyny dwa razy w ciągu wieczoru – zaśmiała się. – Najwyraźniej blask brylantów zaćmiewa męskie mózgi.

– To właśnie mi się w tobie podoba – powiedział. – Jesteś taka romantyczna.

– No cóż, to przecież żart. – Odwróciła się do niego. – Prawda? Z nas. Jeśli nie zażartuję, zacznę płakać. A dość już się napłakałam tego wieczoru.

– Tamto było na pokaz.

– Doprawdy nie widzę różnicy – rzekła.

– A to, co dość dziwne, jest kolejna rzecz, którą w tobie cenię. W każdym razie, czy ci się to podoba, czy nie, moja matka chce, bym się z tobą ożenił.

– Chce, żebyś ożenił się z Madame, chciałeś powiedzieć.

– Uważa cię za dość atrakcyjną, chociaż niezbyt inteligentną. Niemniej zakłada, że dzięki temu pasujemy do siebie, ja bowiem nie wyróżniam się szczególnie w dziedzinie umysłu.

– Nie możesz poślubić Madame – rzekła Sophy. – I nie możesz poślubić mnie.

– To co w takim razie proponujesz? – spytał.

– Nie wiem – odparła.

– Cóż, pomyślmy – powiedział. – Wydobyłaś moją siostrę z położenia, które wszyscy inni uważali za beznadziejne. Z pewnością potrafisz uknuć jakąś intrygę i dla nas. Musisz. Nie masz żadnego podstępnego planu, który sprawi, że moja matka cię pokocha?

– Z czasem mogłabym zwabić ją do Maison Noirot – powiedziała. – Mogłabym ją namówić, by zaczęła mnie tolerować jako projektantkę jej strojów. Lecz sprawić, by mnie pokochała – nie ma mowy. Wyobraź sobie tylko, jak by się poczuła.

– Uczucia – westchnął.

– Jest kobietą. Matką. Spróbuj się postawić na jej miejscu. Zamiast jej córki Clevedon poślubił moją siostrę. A potem ty postanowiłeś mnie poślubić – siostrę kobiety, która zrujnowała jej misterne plany i która z tego powodu jest w pewnym stopniu, acz niebezpośrednio, odpowiedzialna za kłopoty Clary.

– Czy to takie ważne, by moja matka cię pokochała? – spytał.

Nie rozumiesz – chciała krzyczeć. – Moja rodzina nie robiła nic innego, tylko rozbijała inne rodziny. Przez pokolenia. Nie jestem dobra. Nie jestem szlachetna. Jestem łotrzycą, lecz nie chcę być taka.

Na głos zaś powiedziała:

– Twoi rodzice odetną cię od majątku. To najpotężniejsza broń, jaką mają. I możliwe, że jedyna.

– Rozumiem zatem, że będę musiał przyjąć pracę w sklepie i pozwolić, by moja żona mnie utrzymywała.

– Harry...

Popatrzył jej w oczy.

– Wiesz, że to absurd – rzekła. – Czy nie zdajesz sobie sprawy, że to Leonie trzyma kasę? Ani Marcelline, ani ja nie jesteśmy dobre w gospodarowaniu pieniędzmi. To znaczy, jesteśmy dobre głównie w ich wydawaniu.

Popatrzył na nią przez chwilę, a potem westchnął.

– Jesteśmy zgubieni – rzekł. – A w takim razie...

Wziął ją w ramiona.

Rozdział 18

Na większości głównych ulic metropolii szale, muśliny,
elementy damskich strojów i różnorodność
innych towarów wystawiana jest z pomocą luster, a nocami
korzysta się z dobrodziejstw oświetlenia gazowego, w sposób
niemal oślepiający dla kogoś postronnego, jak wiele poetyckich
fikcji, o których czytamy w baśniach arabskich.
„Księga rzemiosł angielskich i biblioteka sztuk użytecznych” (1818)

W piątek „Poranne Zwierciadło” doniosło o wszystkich szczegółach incydentu na balu lady Bartham – co stanowiło gwarancję, że właśnie jej bal będzie największą bombą końca sezonu – wraz z tasiemcowymi opisami sukni głównych postaci dramatu.

W sobotę brukowiec poinformował czytelników, że Madame de Veirrion w tajemnicy zniknęła z Londynu. Wymeldowała się z hotelu Clarendon w piątek wieczorem i odjechała powozem zaprzężonym w czwórkę koni. Była to ostatnia rzecz, jaką „Zwierciadło” mogło wykryć.

W niedzielę gazeta doniosła, że lorda Adderleya wyrzucono ze wszystkich klubów.

W poniedziałek ogłosiła, że lord Adderley wyjechał z Londynu pod osłoną nocy. Jego wierzyciele, jak stwierdzono, ruszyli w ślad za nim.

We wtorek Sophy siedziała przy biurku w gabinecie dzielonym przez trzy siostry. Układała opis sukni, którą następnego wieczoru u Almacka miała mieć na sobie lady Bartham. Chociaż artykuł miał się ukazać dopiero w czwartek, próbowała przygotować nieco tekstu na zapas, podczas przerw w pracy. Wraz z przypływem utytułowanych klientek i zalewem wydarzeń końca sezonu miała do opisania znacznie więcej sukien.

Sophy doszła już do przybrania głowy, gdy Mary Parmenter powiedziała jej, że jest potrzebna w prywatnym pokoju przyjęć.

Kiedy tam weszła, zastała lorda Longmore’a, lady Clarę oraz lady Warford, pilnie studiujących śliwkową suknię. Odwrócili się jak na zawołanie i spoczęły na niej trzy uważne spojrzenia.

Nie cofnęła się ani o krok. Nie pozwoliła też sobie na zdziwione spojrzenie. Nie wydała okrzyku powitania.

Lady Warford zmarszczyła się, po czym wydała z siebie lekki okrzyk:

– Madame de Veirrion? – spytała. – Ale ja myślałam... – Ucichła i opuściła wzrok, bacznie badając strój Sophy. Był elegancki i modny, taki jaki powinien być strój stylistki. W niczym jednak nie przypominał bogatego stroju Madame de Veirrion.

Sophy dygnęła, jak przystało na siostrę Noirot. Nie było to konieczne, ale dygnęła, może po to, by rozdrażnić lorda Longmore'a, który postąpił z nią po swojemu w czwartkowy wieczór w drodze do hotelu, a potem w hotelu, po czym wyszedł i zapewne podjął próbę, aby w ogóle zapomnieć o jej istnieniu.

– Tak, to Madame – potwierdził Longmore. – Ale to nie Madame. To jedna z tych budzących grozę sióstr Noirot. Ta ma na imię Sophy – i to ona naraziła się na napaść tamtego wieczoru, aby ocalić Clarę przed nieszczęśliwym małżeństwem.

Serce Sophy przyśpieszyło. Mimo to milczała. Próbowała także nie wyrażać niczego wzrokiem, choć było to znacznie trudniejsze.

Lady Warford patrzyła to na córkę, to na syna, to na nią.

– To była przebiegła intryga, którą wymyśliła panna Noirot – ciągnął. – Uczyniła to, ponieważ Clara jest ulubioną klientką Maison Noirot i siostry nie chciały jej stracić. Poza tym chyba ją kochają, na to wygląda. – Przerwał na chwilę. – A ja kocham pannę Noirot. Jestem jednak w tarapatach. Ona mnie nie poślubi, jeśli i ty jej nie pokochasz.

– Poślubi! – Jedno słowo. Jeden bolesny okrzyk jego matki.

– Nie wyjdzie za mnie za mąż, chyba że ją pokochasz – powtórzył. – Pragnę, byś uczyniła ten wysiłek.

Lady Warford lekko się zachwiała.

– Może lepiej usiądź, matko – odezwała się Clara.

– Nonsens. Czuję się doskonale. – Uniosła wysoko podbródek. – Stylistka. Krawcowa. Jeszcze jedna. – Popatrzyła na nią, a Sophy dostrzegła w jej oczach wyraz zagubienia.

– Milady... – zaczęła.

– Może, mimo wszystko, jednak usiądę – oznajmiła lady Warford.

Longmore przysunął jej krzesło. Usiadła. Po chwili się odezwała:

– A więc ta scena na balu u lady Bartham była... ukartowana?

– Wszystko było ukartowane, do najdrobniejszego szczegółu – potwierdził Longmore. – Zaaranżowane przez pannę Noirot. To był jej własny plan. Wymyśliła go, kiedy odwoziliśmy Clarę z Portsmouth. To zresztą także była zasługa panny Noirot. Bez niej nigdy nie odnalazłbym Clary.

– Och, Harry – jęknęła lady Warford.

– Ona mnie nie poślubi, chyba że ją pokochasz – rzekł. – Wcześniej ją polubiłaś.

– Och, proszę – wtrąciła się Sophy. – To było co innego. Wtedy byłam damą z wielką fortuną. Pieniądze nadrabiają mnóstwo niedostatków, wszyscy to wiemy. Niedobrze, że wystawiasz uczucia matki na taką próbę. Milady, może podać pani coś krzepiącego – zwróciła się do lady Warford. Nie czekając na odpowiedź, podeszła do szafki, aby wyjąć z niej brandy trzymaną na wypadek omdleń lub nagłych wzruszeń, okoliczności wcale nierzadkich w pracowni obsługującej damy. Nalała kieliszek i powiedziała:

– Nie mam pojęcia, co lord Longmore miał w głowie, że naraził panią na taki wstrząs. I to bez przygotowania, ośmielam się zauważyć.

– Gdybym powiedział matce, co zamierzam, nigdy by nie przyjechała.

– Przyjechałam – powiedziała powoli lady Warford. – To znaczy sądziłam, że jadę zobaczyć, co można ocalić z ślubnej wyprawy Clary. – Jej oczy wypełniły się łzami. – Na to okropne wesele. Z tym okropnym człowiekiem. A pani...

– Ona mnie uratowała, mamo – rzekła lady Clara. – Uratowała mnie. Dwa razy.

Lady Warford odwróciła się do córki. Jej wzrok wyrażał czystą miłość. Serce Sophy przepełnił ból. Jej matka nigdy nie patrzyła na nią w taki sposób... nawet kiedy była w pobliżu... kiedy pamiętała, że ma dzieci.

Podała brandy lady Warford, a ta szybko ją wypiła. Przez jakiś czas patrzyła na kieliszek. Nikt się nie odezwał. Serce Sophy biło tak mocno, iż pomyślała, że zaraz zemdleje. Zmusiła się jednak, by stać idealnie prosto i mieć przepisową minę stylistki. Uprzejme zainteresowanie. Pełne szacunku, ale nienadskakujące. W tym zawodzie trzeba było zawsze trzymać najwyższą...

– Myślę, że może... – zaczęła lady Warford. – Myślę, że może mogłabym... ją polubić.

Jej dzieci odezwały się równocześnie:

– Wspaniale, matko!

– Doprawdy? Mamo!

Lady Warford uniosła wzrok i spojrzała na Sophy.

– To wysoce nierozsądne spodziewać się, że pokocham panią po tak krótkiej znajomości – rzekła. – Jednakże...

Czekali.

– Jednakże uczyniła mi pani... wielkie dobrodziejstwo. – Umilkła i wzięła się w garść. – Bardzo wielkie dobrodziejstwo, którego nie sposób odwzajemnić. Doprawdy, to szokująca prowokacja. Ma pani jednak prezencję. A siostra pani jest księżną. To niemała rzecz. W każdym razie nie ma rady, żeby powstrzymać Harry'ego, kiedy wbije sobie coś do głowy.

– Czy to wystarczy, Sophy? – spytał Longmore. – To nie do końca to, czego sobie życzyłaś, ale na dziś to wszystko, na co matka może się zdobyć.

Sophy przełknęła łzy.

– Tak, to musi wystarczyć – potwierdziła. – Zrobię wszystko, by mnie bardziej pokochała, a tymczasem – tak, to wystarczy. Spróbuję z tym, co jest, bo… bo bez ciebie jestem bardzo nieszczęśliwa.

Rzuciła się w jego ramiona.

* * *

Dzień po ostatnim w sezonie przyjęciu u królowej panna Sophia Noirot i hrabia Longmore wzięli ślub w czerwonym salonie rezydencji Clevedonów. Tym razem świadkami ceremonii byli, oprócz sióstr i siostrzenicy panny młodej oraz większości ciotek Clevedona, lord i lady Warford oraz ich pięcioro dzieci.

Jakiś czas później, po weselnym śniadaniu, kiedy markiz i markiza wrócili do domu, pogrążeni każde w swoich myślach, lord Warford zapytał:

– Czy to nowa suknia, moja droga?

– O tak, nowa – odparła zdziwiona lady Warford. Małżonek, jak daleko sięgała pamięcią, nigdy nie zauważył jeszcze niczego, co miała na sobie. Dostrzegał co najwyżej rachunki od krawcowych i czasami gderał na ich temat, ale to było wszystko.

– Bardzo twarzowa – wymruczał. – Przypomina mi dziewczynę, którą poślubiłem.

Zarumieniła się lekko.

– Przypomina, doprawdy?

– Tak. – Wstał i zamknął drzwi od salonu na klucz.

A potem wydarzyło się parę rzeczy, które sprawiły, że zapomniała opowiedzieć mu o tym, z czym skojarzyły jej się oczy ich nowej synowej.

* * *

Po weselnym śniadaniu nowożeńcy udali się do Lancashire, siostry postanowiły bowiem, że towarzystwo musi mieć czas, by zapomnieć o Madame de Veirrion, zanim pozna nową lady Longmore.

Zatrzymali się na jedną noc w gospodzie Pod Aniołem, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Londynu.

I wtedy właśnie, po tym, jak pracowicie zdjął z niej każdą najmniejszą sztukę odzieży, którą miała na sobie, a potem kochał się z każdym nagim centymetrem jej ciała i leżał w błogostanie po zbliżeniu, kiedy wyplątała się z jego objęć, usiadła i powiedziała:

– Jest coś, o czym powinnam ci powiedzieć.

– Zawsze jest – mruknął.

– Powinnam była powiedzieć ci to przed ślubem – wyznała. – Marcelline była bardzo niespokojna, że tego nie zrobiłam.

– Wyznanie? – Uniósł się na łokciu. – Jakieś morderstwo? Obłąkany małżonek na strychu? Nie, przecież byłaś dziewicą.

– I to była cała moja niewinność – rzekła.

– Nie jestem aż takim amatorem cnót – powiedział. Jego wzrok przesunął się po jej piersiach. Światło lampy sprawiało, że lśniły jak dwa księżyce w trzeciej kwarcie, przepysznie zadarte do góry, podobnie jak jej nosek.

– Popatrz mi w oczy – powiedziała.

– Za chwilę – mruknął. – Podziwiam twoje piersi. To, jakie są wspaniałe. Oraz twój tyłeczek. Jest skończenie doskonały. Powinnaś być modelką do rzeźby Wenus. Lecz nie chcę, by gapił się na ciebie jakiś zbereźnik. Wolę zatrzymać cię tylko dla siebie.

– Kocham cię – rzekła.

– Powinnaś. Doskonale do ciebie pasuję.

– Pasujesz. Rozumiesz mnie. Dlatego właśnie pewna jestem, że nie przyjmiesz tego opacznie.

– Brzmi to złowrogo – zauważył.

– Przecież niczego się nie boisz – rzekła. – Patrz mi w oczy.

Popatrzył.

– I co? – spytała.

– Są niezwykle błękitne. To niepospolity kolor – powiedział.

– Błękit DeLuceyów – podpowiedziała.

– To naturalne, że jest przekazywany w rodzinie. Zabawne, że twoja starsza siostra nie skończyła z takimi oczami, ale już jej córce się nie udało.

Wielkie błękitne oczy otworzyły się szeroko.

Patrzył na nią przez chwilę.

– To miało być to wyznanie? – spytał.

– Tak. Wiedziałeś?

– No, potrafię dodać dwa do dwóch. Wciąż wtrącałaś jakieś uwagi o swojej przeszłości. Wiedziałem, że musi to być niesamowita historia, ale byłem zbyt zajęty rozmyślaniem nad tym, jak cię uwieść, żeby próbować ją z ciebie wydobyć. Dziś jednak wszystko stało się jasne.

– Dzisiaj – powtórzyła. – Przed ceremonią, podczas czy po niej?

– A czy to ważne?

– Tak, ponieważ Marcelline powiedziała, że zawarłam małżeństwo w złej wierze.

– Cóż, to byłoby jeszcze zabawniejsze, ale to nieprawda. Doskonale wiedziałem, w co się pakuję. Od zawsze to wiedziałem, ośmielam się twierdzić. Wiedziałem, że nie jesteś taka jak inni. Wiedziałem, że nie jesteś nudna.

– Nikt nigdy nie oskarżał DeLuceyów o to, że byli nudni – zauważyła.

– Jednak nie zdawałem sobie z tego do końca sprawy, dopóki wszyscy nie zebrali się na ślubie. Ty, księżna, Leonie i Lucie. Przypomniałem sobie, co lady Durwich mówiła o DeLuceyach. Przypomniałem sobie sposób, w jaki jej odpowiedziałaś, obracając to w lekki żart. Przypomniałem też sobie, w jaki sposób skierowałaś rozmowę na ten długi i nudny opis sukni mojej siostry.

– Abyś nie zwietrzył tropu – przyznała.

– Zadziałało. Aż do dziś. Kiedy stało się to jasne jak słońce. Pomyślałem sobie – na Jowisza, ten dzień jest coraz lepszy! Mój mariaż przyprawi londyńską socjetę o atak serca. Pomyślą, że szykuje się rewolucja lub nadchodzi apokalipsa. Namówiłem najpyszniejszego diabełka w kobiecej skórze, aby skłamał o miłości, wierności i posłuszeństwie do końca życia...

– To nie było kłamstwo – przerwała. – Poza częścią o posłuszeństwie.

– A to koszmarna DeLucey. Wżeniłem się w ich gang. Moje serce wzlatuje. Mało brakowało, a odniósłbym poważne obrażenia, powstrzymując się od śmiechu.

Kąciki jej ust zaczęły się unosić.

– Byłam pewna, że nie będziesz miał nic przeciwko temu – powiedziała.

– Przeciwko? Jest wspaniale.

– To ty jesteś wspaniały – rzekła. – Myślę, że zasługujesz na nagrodę za to, że się nie roześmiałeś i nie naruszyłeś powagi uroczystości.

– Omal mnie to nie zabiło.

Opadła i wślizgnęła się w jego ramiona.

– Wielką nagrodę. Tylko jeszcze jedno. – Gładziła jego pierś i brzuch.

– Wszystko, co zechcesz – zgodził się.

– Nikt Nie Może Się Dowiedzieć – powiedziała.

[1] Przekład Stanisława Barańczaka.

Salon mody sióstr Noirot zdobywa coraz lepszą klientelę z arystokratycznych kręgów. Interesowi sióstr zagraża jednak katastrofa – wybucha bowiem skandal, kiedy ich najlepsza klientka, koneserka wyrafinowanego francuskiego stylu, lady Clara pada nieoczekiwanie ofiarą spisku pozbawionego skrupułów łowcy posagów. Jak ocalić najlepszą klientkę od marnego losu żony utracjusza i zatrzymać ją przy sobie? Błyskotliwy umysł średniej z sióstr, Sophy Noirot, podparty zdolnościami aktorskimi i zręcznym piórem może jednak więcej, niż wydaje się samej jego właścicielce. Sophy pomaga zainteresowany jej wdziękami młody hrabia Longmore Harry Fairfax, brat lady Clary – znudzony arystokrata o bardzo męskiej urodzie, lecz niegrzeszący specjalnie intelektem. Pełna poczucia humoru i erotyki lekka opowieść bawi i trzyma w napięciu do końca.

www.wydawnictwobis.com.pl